

Vonda McIntyre

Opiekun Snu

Przełożyła: Marzena Beata Guzowska

Data wydania oryginalnego: 1978

Data wydania polskiego: 1991

TMN

1.

Chłopczyk bardzo się bał. Gada delikatnie dotknęła jego czoła. Za jej plecami tłoczyła się trójka dorosłych, — blisko, jeden obok drugiego. Obserwowali ruchy dziewczyny pełni obawy o to, czy na pewno nie było widać, jak bardzo są przejęci. Bali się Gady tak samo, jak możliwości śmierci swego jedyne go dziecka. W półmroku namiotu niesamowita, błękitna poświata lampy nie dawała poczucia bezpieczeństwa.

Chłopczyk miał oczy tak ciemne, że nie było widać źrenic. Gada pogładziła go po długich, opadających niemal do ramion włosach. Były niezwykle jasne, co jeszcze bardziej podkreślało jego ciemną skórę.

Gdyby Gada była z tymi ludźmi kilka miesięcy temu, zauważyłaby, że w dziecku rozwija się choroba.

— Przynieście, proszę, moją torbę — powiedziała.

Łagodny głos Gady zaskoczył rodziców chłopca. Odezwała się po raz pierwszy, odkąd ci troje przyszli prosić ją o pomoc. Może myśleli, że jest niemową.

Młodszy, jasnowłosy mężczyzna podniósł skórzaną torbę. Trzymał ją z dala od siebie i kiedy pochylał się, aby ją podać Gadzie, jego nozdrza drgały, podrażnione lekkim zapachem piżma unoszącym się w powietrzu.

Dziewczyna już niemal przywykła do lęku, jaki okazywał, spotykała się z tym już przecież tyle razy...

Kiedy wyciągnęła rękę, młody człowiek wzdrygnął się i odskoczył, upuszczając torbę. Gada zaśmiała się i pochwyciła ją w ostatniej chwili. Delikatnie umieściła sakwę na podłodze i spojrzała na mężczyznę karcącym wzrokiem.

— Kiedyś ukąsił go wąż — odezwała się ciemna, przystojna kobieta. — Omal wtedy nie umarł. — W jej głosie pobrzmiwał ton nie tyle przeprosin, ile rzeczowego wyjaśnienia.

— Przepraszam — powiedział młodszy z mężczyzn. — To jest... — Wykonał gest w jej kierunku.

Drżał, choć widać było, że próbuje nad sobą zapanować. Gada zerknęła na swe ramię. Małeńki wąż, cieniutki jak palec dziecka, wśliznął się jej na kark i wysunął białą wąską główkę spomiędzy jej krótkich, czarnych włosów. Leniwie badał powietrze rozszczepionym języczkiem, wysuwając go to w górę, to w dół.

— O, to tylko Mech — powiedziała Gada. — To niemożliwe, aby zrobił ci krzywdę.

Gdyby był większy, wyglądałby przerażająco: łuski jasnozielonego koloru, a te wokół pyszczka — czerwone, tak jakby właśnie skończył uctowanie na modłę ssaków: rozszarpując ofiarę. W rzeczywistości był o wiele bardziej elegancki.

Dziecko zacisnęło zęby, powstrzymując jęk bólu. Pewnie powiedziano mu, że Gada może poczuć się urażona, jeżeli będzie płakało. Piękna dziewczyna odwróciła się od dorosłych, żałując, że tak się jej boją, ale nie chciała tracić czasu, by ich do siebie przekonać.

— Już dobrze — powiedziała do chłopca. — Mech jest miły i bardzo łagodny. Zostawię go tutaj, aby się tobą opiekował. Nawet śmierć nie podejdzie do twego łóżka.

Wąż zsunął się w wąską, przybrudzoną dłoń, którą Gada wyciągnęła ku chłopcu.

— Delikatnie!

Chłopczyk ostrożnie dotknął palcem gładkich łusek. Gada wyczuła, ile wysiłku kosztuje go nawet tak prosty ruch. Mimo to na twarzy chłopca pojawił się słabiutki uśmiech.

— Jak ci na imię?

Chłopiec szybko zerknął na rodziców. Skinęli głowami potakując.

— Stavín — wyszeptał.

Oddychał z trudnością. Nie miał siły mówić.

— Ja jestem Gada, Stavínie i już niedługo, rano, będę musiała zadać ci ból. Później jeszcze przez parę dni będziesz trochę cierpieć. Ale dzięki temu wyzdrowiejesz.

Wpatrywał się w nią z powagą. Gada wiedziała, że choć zrozumiał i obawiał się tego, co miała zrobić, jego lęk był mniejszy, niż gdyby go okłamała. Ból musiał się bardzo nasilać, kiedy choroba w pełni się rozwinęła. Wydawało się jednak, że chłopiec był jedynie pocieszany w nadziei, że choroba albo przejdzie, albo szybko zabije dziecko.

Gada położyła Mcha na poduszce i przyciągnęła bliżej swą torbę. Wciąż jedynym uczuciem, jakie okazywali dorośli, był strach. Nie mieli ani czasu, ani dość rozsądku, by doszukać się w sobie choćby chęci zaufania jej.

Kobieta z tego związku miała tyle lat, że mogła więcej nie urodzić dziecka, a Gada widziała po ich spojrzeniach, ukradkowych dotknięciach, okazywanej trosce, że bardzo kochali tego małego. Musieli kochać, skoro zdobyli się na przyjście do Gady.

Z kufra ospale wysunął się Piasek; pokręcił głową, poruszając językiem.

— Czy to...? — Głos najstarszego z mężczyzn brzmiał głęboko i poważnie, ale z nutą lęku.

Piasek wyczuł strach. Cofnął się do pozycji ataku i lekko zaklekotał grzechotką. Gada przesunęła dłonią po podłodze, aby odwrócić jego uwagę. Później podniosła rękę i wyciągnęła ramię. Wąż rozluźnił się i wokół jej ręki, aż po ramię, owinął swe ciało, zdobne w romboidalne wzorki przypominające szlif diamentu. Wyglądał teraz jak czarno — płowa bransoleta.

— Nie — powiedziała Gada. — Wasze dziecko jest zbyt chore, aby korzystać z pomocy Piaska. Wiem, że to trudne, ale proszę was, starajcie się być spokojni; to wszystko, co możecie zrobić.

Gada musiała rozdrażnić Mgłę, by skłonić ją do wyjścia. Potrząsnęła torbą. Nagle na środek namiotu wyskoczyła ogromna kobra — albinos. Po chwili wąż cofnął się i wysoko uniósł głowę, rozkładając biały kaptur. Mieszkańcy namiotu zamarli z przerażenia. Gada, nie dbając o ludzi, zaczęła przemawiać do kobry, odwracając tym jej uwagę.

— No, wściekły zwierzaku, połóż się. Czas, panienczko, abyś zarobiła na swój obiad. Porozmawiaj z tym chłopcem. Nazywa się Stavin.

Mgła zaczęła powoli składać kaptur i pozwoliła Gadzie się dotknąć. Dziewczyna pochwyciła ją mocno z tyłu głowy i przytrzymała tak, aby kobra popatrzyła na Stavina. Srebrzyste oczy pochwyciły blask błękitnego płomyka lampy.

— Stavin — powiedziała Gada. — Dzisiaj jedynie poznacie się z Mgłą. Daję ci słowo, że na razie nic ci ona nie zrobi.

Pomimo to chłopiec zadrżał, kiedy Mgła dotknęła jego chudziutkiego ciała. Gada puściła głowę węża i pozwoliła, aby ten przesunął się po tułowiu dziecka. Kobra była cztery razy dłuższa od Stavina. Zwinęła się w potężny kłęb na brzuchu chłopca i próbowała wyciągnąć głowę w stronę jego twarzy, mocując się z silnym chwytem Gady. Pozbawione powiek oczy napotkały znieruchomiąle ze strachu spojrzenie małego człowieka.

Mgła poruszyła językiem, żeby powąchać dziecko. Młodszy mężczyzna wydał cichy, urywany okrzyk strachu. Stavin drgnął na ten dźwięk, a Mgła cofnęła się, otwierając paszczę i ukazując zęby. Głośno syknęła. Gada przykucnęła. W innych miejscach krewni czasami mogli zostawać, gdy pracowała.

— Będziecie musieli wyjść — powiedziała łagodnie. — Bardzo niebezpiecznie jest wystraszyć Mgłę.

— Ja nie wyjdę.

— Przykro mi, ale musicie poczekać na zewnątrz.

Być może młodszy mężczyzna i matka Stavina mieliby nadal obiekcje, ale białowłosey człowiek chwycił ich za ręce i wyprowadził.

— Potrzebne mi będzie małe zwierzę — rzuciła Gada, gdy odchyliła połę namiotu. — Koniecznie w futerku i koniecznie żywe.

— Znajdziemy coś — odpowiedział i trójka rodziców wyszła, znikając w mroku nocy.

Gada trzymała Mgłę na kolanach, próbując ją uspokoić. Kobra owinęła się wokół swej pani, wchłaniając ciepło jej ciała. Głód powodował, że stawała się bardziej nerwowa niż zazwyczaj. W czasie wędrówki przez pustynie czarnego piachu udawało się znaleźć dostateczne ilości wody, ale pułapki, które zastawiała Gada, nie zdawały egzaminu. Było lato, więc wiele z futerkowych łakoci, które tak lubiły Piasek i Mgła, zapadło w odrętwienie. Gada także musiała pościć od momentu, gdy zabrała zwierzęta na pustynię, daleko od domu.

Z żalem spostrzegła, że Stavin jest również bardzo przerażony.

— Przykro mi, że odesłałam twoich rodziców — powiedziała. — Niedługo wrócą.

Oczy mu się zaszklily, ale pohamował łzy.

— Powiedzieli, żebym robił, co mi każesz.

— Wolałabym, żebyś płakał, o ile potrafisz — rzekła. — To nie takie straszne.

Stavin chyba nie zrozumiał, co Gada miała na myśli. Tutejsi ludzie musieli opanować sztukę życia w krainie, w której warunki były bardzo trudne, odmawiając sobie prawa do płaczu, do biadolenia, do śmiechu. Zrezygnowali z rozpaczy, pozwalali sobie jedynie na niewielkie radości, ale udawało im się przetrwać.

Mgła uspokoiła się tak, że prawie zapadła w drzemkę. Gada odwinęła kobrę z talii i umieściła na sienniku obok Stavina. Kiedy wąż poruszył się, Gada przytrzymała mu głowę; wyczuwała napięcie mięśni gotowych do uderzenia.

— Dotknie cię teraz języczkiem — powiedziała do Stavina. — To może łaskotać, ale nie będzie bolało. Ona w ten sposób wacha, tak jak ty nosem.

— Językiem?

Gada kiwnęła głową i uśmiechnęła się, a Mgła wyciągnęła język, by musnąć policzek Stavina. Chłopiec nie drgnął. Obserwował; dziecięce zainteresowanie chwilowo przewyciężyło niepokój. Leżał bez ruchu, gdy długi język Mgły dotykał policzków, oczu, ust.

— Sprawdza smak choroby — powiedziała Gada.

Mgła zakończyła w końcu swe badania i cofnęła głowę. Gada przysiadła na piętach i puściła kobrę, która owinęła się wokół jej ramienia i ułożyła na barkach.

— Teraz zaśnij, Stavinie — powiedziała Gada. — Spróbuj mi zaufać i nie bać się tego, co będzie rano.

Stavin wpatrywał się w nią przez kilka sekund, starając się dojrzeć prawdę w jej jasnych oczach.

— Czy Mech będzie się mną opiekował?

To pytanie, a raczej akceptacja, jaka w nim pobrzmiwała, zaskoczyła dziewczynę. Odgarnęła chłopcu włosy z czoła i uśmiechnęła się, chociaż raczej chciało jej się płakać.

— Oczywiście. — Podniosła Mcha. — Czuwaj przy tym dziecku i opiekuj się nim.

Wąż — opiekun snu — leżał cichutko w jej dłoni, a jego oczka połyskiwały czarno. Łagodnie położyła go na poduszce Stavina.

— A teraz śpij.

Stavin zamknął oczy. Wyglądał teraz, jakby życie z niego ulatywało. Zmiana była tak nagła, że Gada wyciągnęła rękę, by go dotknąć, ale zobaczyła, że chłopczyk oddycha — powoli, płytko. Szczelnie otuliła go kocem i wstała. Mgła na jej barkach naprężyła się.

Gadę piekły oczy. Wszystko, na co patrzyła, było nienaturalnie ostre i wyraziste od gorąca. Wydawało się jej, że słyszy jakiś dźwięk. Zmagając się z głodem i wyczerpaniem, schyliła się powoli i podniosła skórzaną torbę. Mgła dotknęła jej policzka czubkiem języka.

Gada odgarnęła połę namiotu i poczuła ulgę, widząc, że ciągle jeszcze jest noc. Była w stanie znieść upał za dnia, ale jaskrawość słońca porażała ją niczym płomiem. Musiała być pełnia księżyca — mimo, że chmury przesłaniały wszystko, światło przesączało się przez nie tak, że niebo wydawało się szare.

Poniżej namiotów widoczne były zarysy jakichś kształtów. Tutaj, na obrzeżu pustyni, było dość wody, krzewy rosły więc mniejszymi lub większymi kępami, dając schronienie i pożywienie wszelkiego rodzaju stworzeniom. Czarny piach, który za dnia błyszczał oślepiająco, nocą wydawał się warstwą miękkiej sadzy. Gada wyszła z namiotu i złudzenie miękkości zniknęło. Jej buty ślizgały się, chrzęszcząc po ostrych, twardych ziarenkach.

Rodzina Stavina czekała. Siedzieli blisko siebie pośród namiotów skupionych na obszarze, z którego wyrwano, czy też wypalono krzewy. Spoglądali na nią milcząco, z nadzieją w oczach. Pośród nich znajdowała się kobieta trochę młodsza od matki Stavina. Ubrana była tak jak oni w długi, pustynny strój, lecz miała ozdobę nie spotykaną u tych ludzi — skórzane kółko wiszące na rzemieniu u szyi. Ją i starszego z rodziców Stavina łączyła ta sama cecha — ostro zarysowany kontur twarzy i wystające kości policzkowe. Jego włosy były białe, a jej — przedwcześnie siwiały, zatracając głęboką czernią. Obydwoje mieli ciemnobrązowe oczy, najdoskonalej przystosowane do pustynnego słońca. Na ziemi szarpało się w sieci małe zwierzę, wydając piskliwy, słaby głos.

— Stavin śpi — powiedziała Gada. — Nie przeszkadzajcie mu, ale gdy się obudzi, idźcie do niego.

Matka Stavina i młodszy partner wstali i weszli do środka natychmiast. Starszy z mężczyzn zatrzymał się przed nią.

— Czy możesz mu pomóc?

— Mam nadzieję. Tumor jest zaawansowany, ale wydaje się, że chłopiec jest twardy. — Własny głos wydawał się jej daleki, pobrzmiwał fałszywie, jak gdyby kłamała. — Mgła będzie gotowa na rano.

Ciągle czuła konieczność uspokojenia tego człowieka, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

— Moja siostra chciała z tobą rozmawiać — powiedział i pozostawił kobiety same, nie przedstawiając ich sobie nawzajem.

Nie wykorzystał sytuacji, by przydać sobie znaczenia, co mógłby osiągnąć, gdyby wyjaśnił, że ta wysoka kobieta jest przywódczynią ich grupy. Gada rzuciła spojrzenie w bok. Ale poła namiotu już opadła. Wyczerpanie dawało się dziewczynie coraz mocniej we znaki i po raz pierwszy miała wrażenie, że spoczywająca na jej barkach Mgła jest ciężka.

— Czy dobrze się czujesz?

Gada odwróciła się. Kobieta zbliżyła się do niej z naturalną elegancją, jednak odrobinę nieporadnie z powodu zaawansowanej ciąży. Miała drobne zmarszczki w kącikach ust, jakby od częstego śmiechu. Uśmiechnęła się teraz, choć z troską.

— Wydajesz się bardzo zmęczona. Czy mam kazać, aby ktoś przygotował ci łóżko?

— Nie teraz — odpowiedziała Gada. — Nie będę spała, póki nie będzie po wszystkim.

Kobieta badała wzrokiem jej twarz.

— Myślę, że rozumiem. Czy jest coś, co możemy ci dać? Potrzebujesz pomocy w przygotowaniach?

Gada zastanowiła się.

— Mój kucyk potrzebuje paszy i wody...

— Już o niego zadaliśmy.

— A ja potrzebuję kogoś do pomocy przy Mgle. Kogoś silnego. Ale... ważniejsze, żeby się nie bał.

Przywódczyni skinęła głową.

— Pomogłabym ci — powiedziała — ale ostatnio jestem trochę...za gruba. Przysłę kogoś.

— Dziękuję.

Zatroskana, starsza kobieta pochyliła głowę i powoli oddaliła się w kierunku namiotów. Gada podziwiała wdzięk, z jakim stawiała każdy krok. W porównaniu z nią poczuła się niezdarna i niechlujna.

Piasek poczuł jedzenie; zaczął zsuwać się z przegubu Gady. Złapała go, zanim zdążył opaść na ziemię. Uniósł górną część ciała i wysunął język zerkając w kierunku zwierzątka.

— Wiem, że jesteś głodny, paniczu — powiedziała Gada — ale to zwierzę nie jest dla ciebie. — Włożyła Piaska do torby, wzięła Mglę z ramienia i pozwoliła jej ułożyć się wygodnie w ciemnej przegródce.

Stworzenie znów zapiszczało i poczęło szamotać się, gdy przesunął się po nim wydłużony cień Gady. Dziewczyna pochyliła się i podniosła je. Gwałtowna seria pełnych przerażenia dźwięków zanikała w miarę, jak Gada głaskała futerko. Zwierzę — spokojne już, ale bardzo wyczerpane — wpatrywało się w nią żółtymi oczami. Miało długie tylne nogi i szerokie, cętkowane uszy. Kręciło noskiem, wietrząc zapach węża.

— Przepraszam, że zabieram ci życie — powiedziała Gada — ale nie będzie już więcej strachu i nie zadam ci bólu.

Łagodnie zacisnęła jedną dłoń wokół zwierzęcia i głaszcząc je, drugą chwyciła za kręgosłup u podstawy czaszki. Szarpnęła — raz, szybko. Wydawało się, że zwierzątko jeszcze walczy, ale było już martwe.

Wyciągnęła małą fiolkę z kieszeni przy pasie, rozchyliła jego zacisnięte szczęki i wpuściła w pyszczek kroplę mętnego preparatu. Szybko otworzyła torbę i wywabiła z niej Mglę. Kobra wyszła powoli i po chwili wyczuła zwierzę. Podpełzła i dotknęła je językiem. Przez moment Gada obawiała się, że wąż nie przyjmie padliny, ale ciało było jeszcze ciepłe i wciąż drgało, a kobra nie jadła nic od dawna.

— Smakołyk dla ciebie, panienko.

Mgła obwąchała stworzenie, cofnęła się i uderzyła, zatapiając krótkie, mocne zęby w drobnym ciele. Ugryzła powtórnie, pompując dawkę trucizny. Puściła ciało ofiary i zaczęła je połykać. Prawie wcale nie musiała rozszerzać szczęk. Kiedy Mgła położyła się spokojnie i rozpoczęła trawienie, Gada usiadła obok. Czekwała.

Posłyszała kroki na piachu.

— Przysłano mnie, abym ci pomógł.

Był to młody mężczyzna, chociaż czarne włosy miał już gdzieniegdzie oprószone siwizną. Wyższy od Gady i wcale niebrzydki. Miał ciemne oczy, a ostre rysy twarzy podkreślała fryzura — włosy czesane do tyłu i związane w ogon.

— Boisz się? — spytała Gada.

— Będę robił, co mi każesz.

Chociaż jego ciało ukrywała tunika, to długie, mocne ręce wskazywały, że jest silny.

— No to trzymaj ją i nie daj się zaskoczyć.

Mgła zaczęła się rzucać — tak działało lekarstwo, które Gada wlała w pyszczek zwierzęcia.

— Jeżeli ona ukąsi...

— Trzymaj! Szybko!

Młody mężczyzna wyciągnął ręce, ale wahał się zbyt długo. Mgła wykręciła się i śmięgnęła go ogonem w twarz niczym batem. Zatoczył się do tyłu — zarówno z powodu zaskoczenia, jak i siły otrzymanego ciosu. Gada mocno ścisnęła Mgłę tuż za szczęką i usiłowała pochwycić resztę jej ciała. Wąż był zwinny, silny i szybki.

Walcząc, kobra wydała z siebie długi syk. Pokąsałaby teraz wszystko, czego byłaby w stanie dosięgać. Gada mocując się z wężem, zdołała ucisnąć gruczoły jadowe i wydusić z nich resztki trucizny. Krople wisiały przez chwilę na zębach, błyszcząc niczym klejnoty. Na szczęście Gada walczyła z kobrą na piasku, na którym Mgła nie mogła znaleźć solidnego oparcia. W końcu młodemu człowiekowi udało się chwycić ogon Mgły. Drgawki ustały nagle i wąż spoczął bezwładnie.

— Przepraszam...

— Trzymaj ją — powiedziała Gada. — Przed nami cała noc.

W czasie drugiego ataku konwulsji młody mężczyzna trzymał Mgłę mocno i okazał się rzeczywiście pomocny. Później Gada odpowiedziała mu na pytanie, którego wcześniej nie zdążył dokończyć.

— Gdyby ona wyprodukowała truciznę i ukąsiła ciebie, prawdopodobnie byś umarł. Ale o ile nie zrobisz czegoś głupiego, to teraz nie zrobi ci nic złego. Co najwyżej może ukąsić mnie.

— Niewiele będziesz mogła pomóc mojemu kuzynowi, jeżeli będziesz martwa lub umierająca.

— Nie zrozumiałeś. Mgła nie jest w stanie mnie zabić. — Gada wyciągnęła rękę, aby mógł zobaczyć białe blizny po uderzeniach ogonem i ukłuciach zębów.

Przyjrzał się im, zerknął jej na moment w oczy i popatrzył w dal. Jasna plama w chmurach, z której wyzierały promienie światła, przesunęła się po nieboskłonie ku zachodowi. Gada na moment przysnęła, ale gdy Mgła poruszyła głowę, próbując uwolnić się z uścisku, dziewczyna ocknęła się raptownie.

— Nie wolno mi zasnąć — powiedziała do młodego mężczyzny. — Rozmawiaj ze mną. Jak cię nazywają?

Tak jak uprzednio Stavin, tak teraz młody mężczyzna zawahał się. Wydawało się, że obawia się jej albo czegoś, co ma z nią związek.

— Moi ludzie — zaczął — uważają, że to nierozsądnie mówić swoje imię obcym.

— Jeżeli uważacie mnie za czarownicę, nie powinniście prosić mnie o pomoc. Nie znam się na magii.

— To nie przesąd — powiedział. — Nie obawiamy się, że ktoś nas zaczaruje.

— Nie jestem w stanie przyswoić sobie wszystkich obyczajów ludzi na tej ziemi; zachowuję więc własne. A moim obyczajem jest zwracać się do tych, z którymi pracuję po imieniu.

— Nasze rodziny znają nasze imiona. Wymieniamy je też ze swymi partnerami.

Gada zastanowiła się przez chwilę i doszła do wniosku, że ten zwyczaj nie bardzo by do niej pasował.

— Z nikim więcej? Nigdy?

— No...przyjaciel może znać czyjeś imię.

— Aha! — zachnęła się Gada. — Rozumiem. Ciągle jestem tu obca, być może jestem uważana za wroga.

— Przyjaciel mógłby znać moje imię — powtórzył młody mężczyzna. — Nie chciałbym cię obrazić, ale tym razem to ty nie zrozumiałaś. Znajomy to jeszcze nie przyjaciel. Bardzo wysoko cenimy sobie przyjaźń. W tym kraju trzeba umieć szybko stwierdzić, czy ktoś jest godzien tego, by nazywać go tym mianem. Rzadko się z kimś zaprzyjaźniamy, bowiem to wielkie zobowiązanie.

— Brzmi to tak, jakby była to rzecz, której należy się obawiać.

Mężczyzna przez chwilę rozważał te słowa.

— Być może zdrada przyjaźni jest tym, czego się najbardziej obawiamy. To bardzo bolesna rzecz.

— Czy ktoś kiedyś cię zdradził?

Spojrzał na nią ostro, jakby przekroczyła granicę przyzwoitości.

— Nie — powiedział, a jego głos był równie twardy jak wyraz twarzy. — Nie przyjaciel. Nie ma nikogo, kogo nazwałbym przyjacielem.

Jego reakcja zaskoczyła Gadę.

— To bardzo smutne — powiedziała.

Zamyśliła się, próbując zrozumieć lęk, który jest w stanie tak bardzo odizolować ludzi od siebie. Jej samotność z konieczności nie była jednak tak straszna jak ich samotność z wyboru.

— Mów do mnie Gada — zdecydowała — o ile jesteś w stanie zmusić się do wypowiedzenia tego słowa. Nazywanie mnie po imieniu do niczego cię nie zobowiązuje.

Wydawało się, że młody mężczyzna chce coś powiedzieć — może znowu pomyślał, że ją obraził, może wydało mu się, że powinien dalej bronić swoich zwyczajów — ale Mgła zaczęła się rzucać w ich rękach i musieli ją trzymać, aby nie zrobiła sobie krzywdy. Kobra wiła się w uścisku Gady i omal się nie wymknęła. Próbowwała rozłożyć kaptur, ale dziewczyna trzymała ją mocno. Mgła otworzyła pysk i zasyczała, lecz z kłów nie uciekła już ani odrobina jadu.

Owinęła ogon wokół talii mężczyzny. Młodzieniec automatycznie zaczął ją odciągać i obracać, aby uwolnić się z jej zwojów.

— Ona nie jest dusicielem — powiedziała szybko Gada. — Nie zrobi ci krzywdy. Zostaw ją...

Było już jednak za późno. Mgła nagle rozluźniła mięśnie i młody człowiek stracił równowagę. Wąż wysmyknął się i oplótł mocno wokół Gady. Nie spodziewając się tego dziewczyna upadła wraz z nim na piach. Młody mężczyzna skoczył nagle w przód i uchwycił Mgłę tuż pod kapturem. Wspólnie nie dali Mgle znaleźć punktu oparcia i zdołali ją poskromić. Mocowali się jeszcze, ale nagle Mgłę opuściły siły i leżała teraz między nimi, niemal zupełnie sztywna. Z obojga lał się pot, a młody mężczyzna zbladł. Nawet Gada drżała.

— Mamy chwilę na odpoczynek — powiedziała. Spojrzała na młodzieńca i spostrzegła ciemną linię na jego policzku, w miejscu, gdzie Mgła uderzyła go ogonem. — Będzie puchło. Stłuczenie — poinformowała — ale nie zostanie blizna.

— Gdyby to była prawda, że węże żądają ogonami, musiałabyś przytrzymywać zarówno głowę, jak i ogon, a ze mnie niewiele byłoby pożytku.

— Dzisiejszej nocy potrzebuję, kogoś, kto nie pozwoli mi zasnąć, nieważne, czy będzie mi pomagał przy Mgle, czy nie. Ale bez ciebie bym jej nie utrzymała. — Walka z kobrą pobudziła Gadę, ale teraz ze zdwojoną siłą powracały wyczerpanie i głód.

— Gada...

— Tak?

Uśmiechnął się szybko, zakłopotany.

— Próbowalem, jak się to wymawia.

— Zupełnie nieźle.

— Ile czasu zajęło ci przejście przez pustynię?

— Niedużo, choć zbyt długo — sześć dni. Wątpię, czy szłam najlepszą drogą.

— Jak przeżyłaś?

— Jest tam woda. Wędrowaliśmy nocą, a odpoczywaliśmy za dnia. Tam, gdzie można było znaleźć jakiś cień.

— Niosłaś ze sobą cały zapas jedzenia?

Wzruszyła ramionami.

— Trochę. — Jakoś nie miała ochoty, aby mówić o jedzeniu.

— Co jest po drugiej stronie?

— Góry. Strumienie. Inni ludzie. Miejsce, gdzie dorastałam i uczyłam się swej sztuki. Dalej jeszcze jedna pustynia i góry, z położonym wewnątrz Miastem.

— Chciałbym zobaczyć Miasto.

— Słyszałam, że Miasto nie wpuszcza do środka ludzi z zewnątrz, takich jak ty czy ja. Ale jest wiele miasteczek w górach.

Młody mieszkaniec pustyni nie powiedział już nic więcej.

Kolejny atak konwulsji przyszedł o wiele wcześniej, niż spodziewała się Gada. Po ich sile znachorka mogła wywnioskować, w jakim stadium i jak poważna jest choroba Stavina. Bardzo pragnęła, żeby już był ranek. Jeśli miała stracić to dziecko, to chciała, aby już było po wszystkim.

Kobra roztrzaskałaby się o ziemię, gdyby Gada i młody mężczyzna jej nie trzymali. Nagle wąż zeszywniał, z zaciśniętymi szczękami i bezwładnym językiem. Przestał oddychać.

— Trzymaj ją! — zawołała Gada. — Trzymaj za głowę! Szybko! Bierz ją, a jak uciekniesz, biegnij! Weź ją! Teraz cię nie zaatakuje, najwyżej może cię przez przypadek uderzyć.

Młodzieniec wahał się tylko przez chwilę, później złapał Mgłę za głowę. Gada pobiegła, potykając się w głębokim piasku, do miejsca, gdzie rosły krzewy. Zaczęła odłamywać cierniste gałęzie, które raniły jej poblżnione ręce. Kątem oka dostrzegła kilka żmijgniezdających się pod kępką uschłej roślinności. Zasyczały na jej widok. Zignorowała je. Znalazła cienką, pustą w środku łodygę i wzięła ze sobą.

Kłęcząc przy głowie Mgły siłą otworzyła jej szczęki i wsadziła rurkę głęboko w gardło, do tchawicy, u nasady języka. Pochyliła się, wzięła rurkę w usta i łagodnie zaczęła wdmuchiwać powietrze w jej płuca.

Gada powtarzała zabieg, aż Mgła zaczęła oddychać samodzielnie. Kobieta odchyliła się i usiadła na piasku.

— Myślę, że wszystko będzie w porządku — powiedziała. — Mam nadzieję.

Przesunęła wierzchem ręki po czole. Dotknięcie wywołało ból — gwałtownie odsunęła ramię i ból ogarnął całe jej ciało: kości, ramiona, barki, aż dotarł do klatki piersiowej i ścisnął serce. Straciła równowagę. Próbowwała obronić się przed upadkiem, ale jej ruchy były zbyt wolne. Walczyła z uczuciem mdłości i zawrotami głowy; prawie zdołała je pokonać, ale w tym momencie poczuła, że ziemia się spod niej wymyka.

Poczuła piach na policzku.

— Gada, czy mogę puścić?

Pomyślała, że to pytanie skierowane jest do kogoś innego, choć zdawała sobie sprawę, że nikt inny nie może na nie odpowiedzieć. Poczuła na sobie czyjeś dłonie. Były bardzo delikatne. Potrzebowała snu, więc je odsunęła. One jednak chwyciły ją za głowę, podsunęły twardą skórę do jej ust i wlały wodę do gardła. Zakrztusiła się i wypluła

płyn. Podparła się na łokciu. Gdy wróciła jej świadomość, poczuła, że drży. Było tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy ukąsił ją wąż, kiedy system odpornościowy miała jeszcze nie w pełni rozwinięty. Młody mężczyzna klęczał obok z bukłakiem w dłoni. Mgła u jego stóp pełzała w stronę ciemności. Gada zapomniała o rwącym bólu.

— Mgła! — Poklepała ziemię dłonią.

Młody człowiek zrobił krok w tył i obrócił się. Kobra cofnęła się do pozycji ataku, balansując ponad nimi. Obserwowała: zła, gotowa do uderzenia, z rozłożonym kapturem. Tworzyła białą, falistą linię na tle ciemności. Gada zmusiła się, aby wstać; czuła się tak jakby jej ciało nie należało do niej. Omal znów nie upadła, ale zdołała utrzymać równowagę. Stała twarzą w twarz z kobrą, której oczy były na wysokości jej oczu.

— Teraz nie możesz się wybierać na polowanie — powiedziała. — Czeka na ciebie praca.

Wyciągnęła w bok prawą rękę, aby zwabić Mgłę, gdyby ta chciała uderzyć. Gada obawiała się nie tyle ukąszenia, ile utraty zawartości torebek jadowych.

— Chodź tutaj — powiedziała. — No chodź i pokaż swą złość. — Zauważyła krew sącząca się pomiędzy palców i strach o Stavina wzmógł się. — Czyżbyś już mnie ukąsił, zwierzaczu? — Ale nie, ból był inny: trucizna zadziałałaby uśmierzająco, a nowy jad jedynie piecze...

— Nie — wyszeptał zza jej pleców miody mężczyzna.

Mgła uderzyła. Odruchy wpojone długotrwałym treningiem zwyciężyły: prawą rękę Gada błyskawicznie cofnęła, a lewą chwyciła węża w momencie, gdy cofał głowę. Kobra wiła się przez chwilę, aż się uspokoiła.

— Przebiegła bestio! — powiedziała Gada. — Jak ci nie wstyd!

Pozwoliła, aby Mgła wpełzła jej na ramię i bark.

— Nie ukąsiła mnie?

— Nie — odpowiedział młody mężczyzna. Jego opanowany głos zabarwiony był odrobiną lęku. — Powinnaś teraz umierać, więc się w agonii, a twoje ramię powinno być czerwone i opuchnięte. Kiedy wróciłaś stamtąd... — Wskazał na jej rękę. — To musiała być żmija piaskowa.

Gada przypomniała sobie kłębowisko gadów pod stertą gałęzi i dotknęła krwi na ręce. Otarła ją i pomiędzy zadrapaniami ukazało się podwójne nakłucie po zębach jadowych. Rana była lekko nabrzmiąta.

— Trzeba ją oczyścić — rzekła. — Wstyd mi, że od tego zasłabłam.

Ból rozchodził się łagodnymi falami wzdłuż ramienia i przestawał palić. Stała, patrząc na młodego mężczyznę.

— Bardzo dobrze trzymałeś Mgłę. I bardzo dzielnie — odezwała się. — Dziękuję.

Spuścił wzrok, niemal się kłaniając. Po chwili wyprostował się i podszedł do niej. Gada położyła rękę na karku Mgły, aby ta się nie przestraszyła.

— Byłbym zaszczycony — powiedział — gdybyś mówiła do mnie Arevin.

— Z przyjemnością.

Gada przykłęka, by Mgła mogła zsunąć się do swojej przegródki. Za chwilę, kiedy wąż uspokoi się zupełnie, czyli o brzasku, będzie można pójść do Stavina.

Gada zamknęła torbę i chciała wstać, ale nie mogła. Niezupełnie jeszcze otrząsnęła się z działania nowego jadu. Ciało wokół rany było czerwone i podrażnione, ale krwotok się nie zwiększał. Siedziała i patrzyła na swoją rękę, próbując uświadomić sobie, co powinna teraz zrobić.

— Proszę, pozwól, że ci pomogę.

Dotknął jej ramienia i pomógł jej wstać.

— Przepraszam — powiedziała. — Tak bardzo potrzebny jest mi wypoczynek.

— Daj, umyję ci rękę — zaproponował Arevin. — Później będziesz mogła spać. Powiesz mi, kiedy cię obudzić...

— Nie mogę jeszcze spać. — Zebrała się w sobie, wyprostowała, odrzuciła mokre kosmyki krótkich włosów z czoła. — Już w porządku. Masz trochę wody?

Arevin sięgnął pod tunikę. Miał tam przepaskę na biodrach i skórzany pas, do którego przytroczone były bukłaki i małe torebeczki. Teraz Gada mogła zobaczyć, że mężczyzna był szczupły i dobrze zbudowany. Nogi miał długie i muskularne, skórę na nich o ton jaśniejszą od ciemnobrązowej opalenizny na twarzy. Odpiął bukłak i sięgnął po rękę Gady.

— Nie, Arevinie. Jeśli trucizna dostanie cię choćby w najmniejsze zadrapanie na twoim ciele, to stracisz życie.

Usiadła i połała sobie dłoń. Letnia woda ściekała na ziemię różowymi kroplami i znikła, nie pozostawiając nawet śladu. Rana krwawiła jeszcze trochę, ale ból był teraz niewielki. Trucizna została prawie zupełnie zneutralizowana.

— Nie mogę pojąć — powiedział Arevin — jak to się dzieje, że nic ci nie jest. Moją młodszą siostrę ukąsiła żmija piaskowa. — Nie udało mu się mówić tego tak spokojnie, jak by chciał. — Nic nie można było dla niej zrobić. Nie mogliśmy nawet zmniejszyć jej bólu.

Gada oddała mu bukłak i w zasklepiające się nakłucia wtarła balsam z fiołki, którą miała w kieszonce pasa.

— To część przygotowania — wyjaśniła. — Pracujemy z wieloma rodzajami węży, musimy więc być odporni na jak najwięcej rodzajów jadu. — Wzdrygnęła się. — Praca jest żmudna i dość bolesna.

Zacisnęła pięść; cienka warstwa pokrywająca ranę nie pękła. Gada nie miała już zawrotów głowy. Nachyliła się do Arevina i dotknęła jego zaczerwienionego policzka.

— Taaak... Powinno niedługo się zagoić.

— Jeżeli nie możesz spać — powiedział Arevin — to może byś przynajmniej odpoczęła.

— Dobrze — powiedziała. — Przez małą chwilkę.

Gada usiadła obok Arevina, opierając się o jego ramię i razem obserwowali słońce, które malowało chmury na kolor złota, płomieni i bursztynu, Prosty, fizyczny kon-

takt z drugim człowiekiem sprawiał Gadzie przyjemność, chociaż nie było to wszystko, czego potrzebowała. W innym czasie, w innym miejscu, być może zrobiłaby coś więcej, ale nie tutaj i nie teraz.

Kiedy dolna krawędź jasnej plamy słońca wzniosła się ponad horyzont, Gada wstała i sprowokowała Mgłę do wyjścia z torby. Osłabiona kobra wysunęła się powoli i wpełzła Gadzie na barki. Dziewczyna podniosła torbę i wolnym krokiem poszła wraz z Arevinem w kierunku namiotów.

Rodzice Stavina wypatrywali jej, stojąc tuż przed wejściem do namiotu. Przez chwilę Gada sądziła, że zdecydowali się ją odesłać. W chwilę później pełna lęku zapytała, czy Stavin nie umarł. Potrzęsnęli przecząco głowami i wpuścili ją do środka.

Stavin leżał tak jak go zostawiła; ciągle spał. Dorośli śledzili ją uważnymi spojrzeniami.

— Wiem, że wolelibyście zostać — powiedziała. — Wiem, że chcecie mi pomóc, ale nie ma tu nic do roboty dla nikogo, oprócz mnie. Proszę, wyjdźcie na zewnątrz.

Rzucili po sobie szybkie spojrzenia, popatrzyli na Arevina i Gada pomyślała, że odmówią.

— Chodźmy na zewnątrz — powiedział Arevin. — Jesteśmy od niej zależni.

Odchylił połę namiotu i wyprowadził ich. Gada podziękowała mu jedynie ukradkowym spojrzeniem, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Dziewczyna odwróciła się w stronę Stavina i przyklęła.

— Stavin! — Dotknęła jego czoła.

Było bardzo gorące. Zauważyła, że ręka drży jej bardziej niż przedtem. Delikatne dotknięcie obudziło dziecko.

— Już czas.

Zamrugnął oczami, budząc się z dziecięcego snu. Zauważył ją i powoli zaczynał poznawać. Nie wyglądał na przestraszonego. To cieszyło Gadę. Było jednak coś, czego nie umiała określić, a co budziło niepokój.

— Czy będzie bolało?

— A czy teraz boli?

Zawahał się przez moment, popatrzył w dal i znowu na Gadę.

— Tak.

— Może zabołec trochę mocniej. Mam nadzieję, że nie bardzo. Jesteś gotowy?

— Czy Mech może zostać?

— Oczywiście — powiedziała.

W tym momencie zrozumiała, co ją niepokoiło.

— Zaraz wrócę — jej głos zmienił się, był teraz tak matowy, że nie mogło to nie przstraszyć chłopca.

Wyszła z namiotu powoli, spokojnie, hamując się. Na zewnątrz stali pełni obaw rodzice.

— Gdzie Mech?

Arevin stał tyłem do niej, ale odwrócił się gwałtownie. Jasnowłosa mężczyzna wydobył z siebie krótki, bolesny jęk i odwrócił głowę pod jej spojrzeniem.

— Baliśmy się — odezwał się najstarszy z rodziców. — Obawialiśmy się, że ukąsi dziecko.

— To ja się obawiałem, że ukąsi. To ja. Wpełził mu na twarz. Widziałem jego zęby...
— Żona położyła ręce na ramionach młodszego partnera i ten nie powiedział już nic więcej.

— Gdzie on jest? — miała ochotę krzyknąć.

Przynieśli jej małe, otwarte pudełko. Gada wzięła je i zajrzała do środka.

Mech leżał, rozcięty prawie na dwoje. Wnętrznosci wypłynęły mu na zewnątrz. Wąż — opiekun snu — targany konwulsjami drgnął, wysunął języczek i schował go. Z gardła Gady wydobył się dźwięk zbyt zduszony, aby mógł być wzięty za płacz. Wzięła węża w dłoń najdelikatniej, jak umiała. Schyliła się i zbliżyła wargi do gładkich, zielonych łusek tuż za głową. Ugryzła szybko, gwałtownie, mocno, przy samej podstawie czaszki. Słona i zimna krew spłynęła jej w usta. Jeżeli dotychczas żył, to ona zadała mu natychmiastową śmierć.

Spojrzała na rodziców i na Arevina. Wszyscy byli bladzi, lecz nie miała współczucia dla ich przerażenia i nic ją ono nie obchodziło.

— Takie małe stworzonko — powiedziała. — Takie małe stworzonko, które nie jest w stanie zrobić nic, najwyżej dawać przyjemność i sprowadzać sny.

Patrzyła na nich jeszcze przez moment i weszła znów do namiotu.

— Zaczekaj — usłyszała, jak starszy z rodziców podchodzi do niej z tyłu. Dotknął jej ramienia. Wstrząsnęła ciałem, aby stracić jego rękę. — Damy ci wszystko, czego zażadasz — powiedział — ale zostaw chłopca w spokoju.

Odwróciła się do niego z furją.

— Mam zabić Stavina przez waszą głupotę?

Wydawało się, że mężczyzna chce ją zatrzymać. Mocno uderzyła go łokciem w żołądek i rzuciła się do namiotu. Wewnątrz kopnęła torbę. Obudzony nagle i rozzłoszczony Piasek wyszedł z niej i zwinął się w kłębek. Gdy ktoś próbował wejść, zasyczał i zagrzecotał z taką gwałtownością, jakiej Gada jeszcze u niego nie widziała. Nie pofatygowała się nawet, by spojrzeć za siebie. Schyliła głowę i otarła rękawem łzy, zanim zobaczył je Stavin. Klękła obok niego.

— Co się stało?

Nie wiedział nic, ale słyszał głosy i tupanie na zewnątrz.

— Nic, Stavinie — powiedziała Gada. — Czy wiesz, że przeszliśmy przez pustynię?

— Nie — odrzekł z zaciekawieniem.

— Było bardzo gorąco i nie mieliśmy nic do jedzenia. Mech teraz poluje. Był bardzo głodny. Wybaczysz mu i pozwolisz mi zacząć? Będę przy tobie cały czas.

Wydawał się bardzo zmęczony i rozczarowany, ale nie miał siły dyskutować.

— Dobrze — jego głos zaszeleścił jak piasek przesypujący się przez palce.

Gada uniosła Mgłę ze swoich barków i odchyliła koc, odkrywając drobne ciało Stavina. Tumor rozpychał się pod żebrami chłopca, zniekształcając klatkę, wysysając potrzebne do życia substancje i zatruwając organizm odpadami własnej przemiany materii. Gada ujęła Mgłę za głowę i pozwoliła jej przesunąć się po ciele chłopca. Mgła węszyła i smakowała. Gada musiała powstrzymać ją przed uderzeniem: całe to zamieszanie bardzo ją pobudziło. Kiedy Piasek zagrzecotał, wibracje wprowadziły kobrę w drżenie. Gada głaskała ją i uspokajała. Wytrenowane odruchy znowu powracały, zwyciężając naturalne instynkty. Mgła zatrzymała się, kiedy jej język musnął skórę nad tumorem; Gada puściła.

Kobra cofnęła się i uderzyła, kąsając tak, jak robią to kobry: najpierw zatopiła zęby płytko, później zwolniła uścisk i natychmiast ukąsiła znów, poprawiając chwyt. Stavin krzyknął, ale nie poruszył się, gdyż Gada mocno go trzymała.

Mgła wpuściła zawartość swoich torebek jadowych w ciało chłopca. Po chwili zeszała z niego, rozglądając się dookoła. Złożyła kołnierz i tworząc idealnie prostą linię, sunęła po podłodze w kierunku swej ciemnej, przytulnej przegrody w torbie..

— Już po wszystkim, Stavinie.

— Umrę teraz?

— Nie — odpowiedziała Gada. — Nie teraz. I mam nadzieję, że jeszcze przez wiele lat. — Z kieszonki u pasa wyjęła fiolkę z proszkiem. — Otwórz buzię. — Posłuchał, a ona posypała mu proszkiem język. — To zmniejszy ból.

Nie ocierając krwi, przykryła kawałkiem płótna kilka płytkich ranek. Odwróciła się od chłopca.

— Gada? Idziesz już?

— Nie odejdę bez pożegnania. Obiecuję.

Dziecko położyło się z powrotem i zamknęło oczy. Powoli ulegało działaniu lekarstwa.

Piasek spokojnie zwinął się na ciemnym wołoku. Gada poklepała podłogę, aby go przywołać. Podpełzł do niej i pozwolił umieścić się w swojej części torby. Gada zamknęła ją i podniosła. Wciąż miała wrażenie, że sakwa jest pusta. Usłyszała odgłosy na zewnątrz namiotu. Rodzice Stavina oraz inni ludzie, którzy przyszli pomóc otworzyli namiot i zagłądali do środka, wsuwając najpierw kije.

Gada usiadła obok skórzanej torby...

— Już po wszystkim.

Weszli. Arevin pomiędzy nimi. Tylko on z pustymi rękami.

— Gada — odezwał się, pokonując żal, smutek i zakłopotanie. Nie była w stanie odgadnąć, po czyjej był stronie. Wziął ją za ramię.

— Chłopiec umarłby bez niej. Cokolwiek teraz się stanie, on by umarł.

Odtrąciła jego rękę.

— On mógłby żyć. Mógłby przecież gdzieś odejść. Wy... — Nie mogła dalej mówić.

Czuła, że ludzie poruszają się i otaczają ją. Arevin podszedł jeszcze bliżej i zatrzymał się. Widziała, że chce, aby się broniła.

— Czy ktoś z was potrafi płakać? — spytała. — Czy ktoś z was jest w stanie zapłakać nade mną i moim bólem lub też nad drobnymi stworzonkami i ich bólem?

Czuła, jak łzy spływają jej po policzkach.

Nie rozumieli jej. Byli obrażeni jej łzami. Stali w pewnej odległości, ciągle pełni lęku przed nią, ale zbierali się w sobie. Nie potrzebowała już dłużej udawać spokoju, który był niezbędny, by oszukać dziecko.

— O, wy głupcy! — głos jej się łamał. — Stavin...

Wszystkich uderzył snop światła od strony wejścia.

— Przepuście mnie.

Ludzie stojący przed Gada rozsunęli się, robiąc przejście dla przywódczyni. Zatrzymała się przed Gada, nie zwracając uwagi na torbę, którą niemal dotykała stopa.

— Czy Stavin będzie żył? — jej głos brzmiał cicho, spokojnie i łagodnie.

— Nie mogę powiedzieć na pewno — odparła Gada — ale czuję, że będzie.

— Zostawcie nas.

Ludzie pojęli słowa Gady i jeszcze zanim dotarło do nich to, co powiedziała przywódczyni, opuścili broń i powoli, jeden po drugim, zaczęli wychodzić z namiotu.

Arevin został przy Gadzie. Siła, jaka wyzwoliła się w niej pod wpływem zagrożenia, teraz umknęła. Pochyliła się nad torbą, twarz ukryła w dłoniach. Starsza kobieta uklęknęła przed nią, zanim Gada spostrzegła i zanim zdołała jej w tym przeszkodzić.

— Dziękujemy — powiedziała przywódczyni. — Dziękuję ci. I przepraszani za...

Objęła Gadę ramionami i przyciągnęła ku sobie. Arevin kucnął koło nich i także objął Gadę. Jej ciało znów zaczęło drzeć, a oni trzymali ją, gdy płakała.

Później, wyczerpana, spała w namiocie ze Stavinem, trzymając go za rękę. Ludzie złapali małe zwierzęta dla Piaska i Mgły. Nakarmili Gadę i napoili, przynieśli nawet tyle wody, że mogła się wykąpać.

Kiedy się obudziła, Arevin drzemał w pobliżu. Było gorąco, więc rozchylił tunikę. Strużka potu płynęła mu po piersiach i brzuchu. Surowość rysów twarzy zniknęła; wydawał się wyczerpany i bezbronny. Gada chciała go obudzić, ale powstrzymała się. Potrząsnęła głową i odwróciła się do Stavina.

Pomacała guz i stwierdziła, że zaczął mięknąć i kurczyć się, ginąc pod wpływem jadu Mgły. Poprzez smutek odczuła niewielką radość. Odgarnęła jasne włosy z czoła Stavina.

— Już cię więcej nie będę okłamywać, malutki — wyszeptała. — Niedługo muszę stąd odejść. Nie mogę tu zostać.

Potrzebowała jeszcze ze trzy dni na odespanie skutków ukąszenia żmii piaskowej, ale miała nadzieję, że prześpi się gdzie indziej.

— Stavin?

Obudził się powoli.

— Już nie boli — powiedział półprzytomnie.

— Cieszę się.

— Dziękuję...

— Do widzenia, Stavin. Będziesz pamiętał później, że cię obudziłam i że poczekałam, aby się z tobą pożegnać?

— Do widzenia — odpowiedział, znów zapadając w sen. — Do widzenia, Gada. Do widzenia, Mech.

Zamknął oczy.

Gada podniosła torbę i stanęła, patrząc na leżącego Arevina. Mężczyzna nie poruszył się. Trochę z zadowoleniem, trochę z żalem, opuściła namiot.

Zmierzch zbliżał się długimi, rozmazanymi cieniami. Obóz był rozgrzany i cichy. Odszukała swego kuczka w tygrysie paski. Przygotowano dla niej wodę i jedzenie. Napelnione bukłaki leżały na ziemi obok siodła, a specjalny pustynny strój przerzucano przez łęk, chociaż Gada odmówiła przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty. Kucyk zarżał na jej widok. Podrapała go w pasiaste uszy, osiodłała i przytroczyła z tyłu swój dobytek. Skierowała się ku wschodowi, tam skąd przyszła.

— Gada.

Wciągnęła głęboko powietrze i odwróciła się. Arevin stał tyłem do słońca, a jego wydłużony cień sięgał niemal do jej stóp. Ciemne włosy z pasemkami bieli spływały luźno na ramiona, nadając twarzy łagodniejszy wyraz.

— Musisz iść?

— Tak.

— Miałem nadzieję, że nie odejdziesz, zanim... Myślałem, że zostaniesz przez jakiś czas... Są tu inne klany, inni ludzie, którym mogłabyś pomóc.

— Gdyby wszystko odbyło się inaczej, pewnie bym została. Jest tu dużo pracy dla uzdrowiciela, ale...

— Oni się bali.

— Mówiłam im, że Mech nie zrobi im krzywdy, ale oni widzieli jedynie jego zęby, a nie to, że mógł sprowadzać sny i lekką śmierć.

— Nie możesz im wybaczyć?

— Nie jestem w stanie sprostać własnej winie. To, co zrobili, było skutkiem mojego błędu, Arevinie. Nie rozumiałam ich dopóty, dopóki nie było za późno.

— Sama przecież powiedziałaś, że nie możesz znać wszystkich obyczajów i wszystkich lęków.

— Jestem jak kaleka — powiedziała. — Bez Mcha nie będę mogła sprowadzać snu, nie będę w stanie leczyć. Nie ma zbyt wielu węży snu. Będę musiała wrócić do domu i powiedzieć moim nauczycielom, że straciłam swojego opiekuna snu. Mam nadzieję, że wybaczą mi moja głupotę. Rzadko nadają komuś imię, jakie noszę. Będą bardzo zadowoleni.

— Pozwól mi jechać z tobą.

Pragnęła tego. Ale zawahała się, przeklinając swoją słabość.

— Mogą odebrać mi Mgłę i Piaska, a mnie wykluczyć. Ciebie mogliby wyrzucić także. Zostań tutaj, Arevinie.

— To nie miałyby znaczenia.

— Miałyby. Po jakimś czasie zaczęlibyśmy się wzajemnie nienawidzić. Nie znam ciebie, a ty nie znasz mnie. Potrzebny jest spokój, cisza i czas, abyśmy mogli się nawzajem zrozumieć.

Podszedł do niej i otoczył ją ramionami. Stali tak, obejmując się przez chwilę. Kiedy podniósł głowę, na jego policzkach zabłyszczały łzy.

— Proszę cię, wróć — powiedział. — Cokolwiek się wydarzy, proszę: wróć.

— Spróbuję — przyrzekła. — Następnej wiosny, gdy ustaną wiatry, spodziewaj się mnie. A jeszcze następnej, jeżeli się nie pojawię, zapomnij o mnie. Gdziekolwiek bym wtedy była, nie będę już o tobie pamiętać.

— Będę czekał na ciebie — powiedział Arevin.

Gada chwyciła uprzęż kucyka i ruszyła w kierunku pustyni.

2.

Mgła podniosła się sycząc, a Piasek towarzyszył jej niczym echo, grzechocząc ostrzegawczo ogonem. Później dał się słyszeć tętent kopyt przytłumiony przez piasek pustyni; Gada czuła go przez dłonie. Poklepała ziemię i skrzywiła się z bólu, wciągając powietrze. Wokół podwójnego nakłucia, w miejscu, gdzie ukąsiła ją zmija piaskowa, dłoń była sinoczarna od knykcia aż po przegub. Zniknęły tylko opuchnięcia przy brzegu rany.

Troskliwie ułożyła obolałą dłoń na podolku, a lewą dwukrotnie poklepała grunt. Grzechot Piaska ucichł, a wąż o deseni przypominającym szlif diamentu podpełzł w jej kierunku, opuściwszy legowisko na rozgrzanym kamieniu. Gada powtórnie poklepała grunt. Mgła, uspokojona znajomym odgłosem sygnału, złożyła kaptur.

Tętent ustał. Z obozu — grupy czarnych namiotów na czarnym tle, przysłoniętych rozproszonymi skałami na krańcu oazy — dobiegły, jakieś odgłosy. Piasek owinał się na przedramieniu Gady, a Mgła ułożyła się jej na barkach i ramionach. Mech powinien był opleść się wokół nadgarstka lub na szyi na kształt szmaragdowego naszyjnika, ale Mcha już nie było. Mech nie żył.

Jeździec popędził konia w jej kierunku. Skąpe światło bioluminescencyjnych latarek i spowitego w chmury księżyca połyskiwało w kropelkach, które wzbijał gnadosz, gnając poprzez płycizny oazy.. Ciężko chwycił powietrze w rozdęte nozdrza. Odblask ogniska zamigotał krwiście na złoconej uździe i rozjaśnił twarz jeźdźca. To była kobieta.

— Uzdrowicielka?

Gada podniosła się.

— Nazywam się Gada.

Może już nie miała prawa używać swego imienia, ale nie miała też ochoty powracać do tego z dzieciństwa.

— Jestem Merideth — powiedziała dziewczyna, zeskakując z konia i kierując się ku Gadzie. Zatrzymała się, gdy Mgła podniosła głowę.

— Nie zaatakuj — uspokoiła ją Gada. Merideth podeszła bliżej. — Jedna z moich partnerek jest ranna. Czy zechcesz przyjechać?

— Tak, oczywiście.

Gada obawiała się, że poproszono ją o pomoc umierającemu, a ona nie będzie w stanie nic zrobić. Przyklęła, by włożyć Mgłę i Piaska do skórzanej torby. Węże ześliznęły się jej po rękach.

Liska — swego tygrysięgo kuca, zostawiła w obozowisku, gdzie przed chwilą zatrzymała się Merideth. Gada nie musiała się o niego martwić, bo Grum, karawaniarka, dobrze się nim zajęła. Jej wnuki obficie go nakarmiły i porządnie wyszczotkowały. Grum miała dopilnować podkucia, gdyby kowal pojawił się pod nieobecność Gady, a uzdrowicielka miała nadzieję, że Grum pożyczycy jej jakiegoś wierzchowca.

Gada wyjaśniła wszystko Merideth.

— Nie ma na to czasu — odrzekła tamta. — Te pustynne chabety nie nadają się do galopowania. Moja klacz zabierze nas obie.

Wierzchowiec Merideth oddychał normalnie, chociaż pot spływał mu po łopatkach. Stał z podniesioną głową, z grzbietem wygiętym w łuk, strzygąc uszami. Rzeczywiście, to zwierzę robiło wrażenie. Było lepszej krwi niż kucyki koczowników z karawany, które były z kolei o wiele szlachetniejsze od Liska.

W przeciwieństwie do prostego stroju amazonki, uprzęż konia była bardzo bogato zdobiona.

Gada włożyła nowy pustynny strój i chustę na głowę — podarunki od ludzi Arevina. Była im wdzięczna za to ubranie. Mocna, lecz delikatna tkanina stanowiła doskonałą ochronę przed upałem, piachem i kurzem.

Merideth dosiadła konia, zwolniła strzemień i wyciągnęła rękę, by podać ją Gadzie. Jednakże kiedy Gada zbliżyła się, zwierzę, poczuwszy zapach węży, poruszyło chrapami i zatrzęsało się trwożliwie. Dzięki łagodnym dotknięciom Merideth klacz stanęła w miejscu, ale nie uspokoiła się. Gada wskoczyła na tył siodła. Mięśnie zwierzęcia napięły się i klacz rzuciła się do galopu, rozpryskując wodę. Lekka mgiełka osiadła na twarzy Gady. Uzdrowicielka zacisnęła nogi na mokrych bokach klaczy. Koń minął oazę i pomknął przez pustynie.

Z dala od ogniska Gada widziała niewiele. Czarny piach wchłaniał światło i uwalniał je w postaci ciepła. Klacz pędziła, wyszukane ozdoby uprzęży pobrzękiwały delikatnie ponad skrzypieniem kopyt na piachu. Koński pot — gorący i lepki wsiąkał w spodnie Gady, kleił się do kolan i ud.

Poza oazą, gdy zabrakło osłony drzew, Gada poczuła ukąszenia porywanego wiatrem piachu. Jedną ręką puściła Merideth tak, że mogła sobie naciągnąć chustę na twarz.

Niebawem wyjechały na kamienistą pochyłość. Klacz wdrapała się po stoku na litą skałę.

— Niebezpiecznie jest jeździć tutaj szybko. Mogłybyśmy wpaść w rozpadlinę, zanim byśmy ją zobaczyły — w głosie Merideth dało się słyszeć napięcie.

Poruszały się prostopadle do szczelin i pęknięć. Żelazne podkowy dzwoniły po bazalcie, jakby pod spodem była pustka. Kiedy klacz musiała przeskoczyć rozpadlinę, echo przenikało w głąb kamienia.

Gada zastanawiała się, co stało się przyjaciółce Merideth. Milczała jednak; kamienna równina uniemożliwiała rozmowę, wymagała skupienia uwagi na drodze. Gada nie miała odwagi zapytać, nie miała odwagi wiedzieć. Torba ciężko leżała na jej nodze, kołysząc się w rytm długich kroków klaczy. Gada czuła, jak Piasek zmienia pozycję w swej przegródce. Miała nadzieję, że nie zacznie grzechotać i nie wystraszy ponownie konia.

Rozlewiska lawy nie było na mapie, która kończyła się na południu, na granicy oazy. Szlaki handlowe omijały rozlewiska, gdyż były one trudne do przebycia zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt. Gada zastanawiała się, czy dojadą przed nastaniem dnia. Tutaj, na czarnej skale, upał wybuchnie gwałtownie i nieodwołalnie.

W końcu klacz zaczęła zwalniać, mimo że Merideth nieustannie ją popędzała.

Łagodna, rozkołysana jazda stępa poprzez szeroką rzekę kamieni nieomalże uśpiła Gadę. Otrzeźwiała gwałtownie, gdy klacz poślizgnęła się i podciągnęła pod siebie zadnie nogi, zjeżdżając po rozległym stoku zastygłej lawy. Gada uciskała jedną ręką torbę, drugą Merideth, a kolanami boki konia.

Rozkruszony drobno kamień u podnóża stoku utrudniał schodzenie. Merideth wciąż poganiała wyczerpaną klacz, wymuszając na niej kłus. Wkrótce kobiety znalazły się w głębokim, wąskim kanionie, którego ściany utworzone były przez dwa oddzielone od siebie jęzory lawy.

Świetlne punkty zawirowały na hebanowym tle i przez chwilę Gada myślała, że to świetliki. Później w oddali zarżał koń i światła okazały swą prawdziwą naturę — były to obozowe lampy.

Merideth pochyliła się do przodu i zaczęła szeptać do klaczy słowa zachęty. Naraz koń potknął się i Gadę rzuciło na plecy Merideth. Gwałtownie wstrząśnięty Piasek zagrzechotał. Przestrzeń dookoła niczym studnia wzmocniła dźwięk. Klacz wyrwała do przodu w panice. Merideth pozwoliła jej gnać, a kiedy koń zwolnił, piana ciekła mu po karku, a z nozdrzy sączyła się krew. Mimo tego Merideth zmusiła go, by szedł naprzód.

Wydawało się, że obóz to umykający przed nimi miraż. Każdy oddech sprawiał Gadzie taki ból, jakby to ona brnęła wśród piachu i kamieni.

W końcu dotarły do namiotu. Klacz zachwiała się i zwiesiwszy łeb, stanęła na drżących nogach. Gada ześlizgnęła się z jej grzbietu, mokra od potu, też cała drżąc. Merideth zsiadła i poprowadziła ją w stronę namiotu. Poły odchyliły się. Światło wewnątrz zdawało się być bardzo jasne. Ranna przyjaciółka Merideth leżała pod ścianą. Twarz miała zaognioną i lśniąca od potu; jej długie, ceglastoczerwone pukle wiły się na posłaniu. Obok, na podłodze, siedział mężczyzna. Podniósł głowę.

Jego miła, choć nieładna twarz poorana była bruzdami. Miał ściągnięte, gęste brwi i ciemne, pełne napięcia oczy. Jego włosy były splątane i matowe. Merideth przyklękła obok.

— Jak się czuje?

— W końcu zasnęła. Nic się nie zmieniło. Dobrze, że przynajmniej nie czuje bólu...

Merideth wzięła młodego mężczyznę za rękę i nachyliła się, by lekko pocałować śpiącą kobietę. Ta nie poruszyła się. Gada położyła torbę i podeszła bliżej. Merideth i jej towarzysz patrzyli na siebie, poddając się ogarniającemu ich wyczerpaniu.

Niespodziewanie mężczyzna pochylił się w kierunku Merideth; objęli się w milczeniu, mocno i długo.

Merideth wyprostowała się niechętnie.

— Uzdrowicielko, to moi partnerzy: Alex — wskazała głową w kierunku młodego człowieka — i Jesse.

Gada wzięła śpiącą kobietę za przegub dłoni. Puls był słaby, nieregularny. Na czole widniało głębokie wklęsnięcie, ale oczy nie były uszkodzone. Być może miała szczęście i okaże się, że to tylko lekki wstrząs. Gada odchyliła prześcieradło, którym przykryta była kobieta. Siniaki świadczyły o fatalnym upadku: bark, dłoń, biodro, kolano — wszystko mocno potłuczone.

— Powiedziałeś, że zasnęła. Czy od czasu wypadku była zupełnie przytomna?

— Gdy ją znaleźliśmy, była nieprzytomna, ale później odzyskała świadomość.

Gada pokiwała głową. Na boku Jesse widniało duże zadrapanie, a na udzie miała bandaż. Gada chciała odchylić opatrunek najdelikatniej jak umiała, lecz skrzepnięta krew przylepiła go do ciała.

Jesse nie drgnęła, kiedy Gada dotknęła drugiej szramy na nodze; nawet nie poruszyła się, jak to zwykle robią śpiący, kiedy im się przeszkadza. Gada połaskotała ją w podszew stopy; bez rezultatu. Nie było żadnych odruchów.

— Spadła z konia — wyjaśnił Alex.

— Ona nigdy nie spada — zaprotestowała Merideth.

— Żrebak się pod nią potknął.

Gada szukała w sobie dawnej odwagi, która powoli wysączyła się z niej od czasu, gdy Mech został zabity. Wyglądało na to, że już jej nie odzyska. Gada wiedziała, w jaki sposób Jesse została zraniona, pozostawało tylko stwierdzić, jak poważne są obrażenia. Milczała. Opierając rękę o kolano, ze spuszczoną głową, dotknęła czoła Jesse.

Chora odwróciła głowę, jęcząc cicho przez sen.

„Potrzebuje każdego rodzaju pomocy jaki jesteś w stanie jej zaoferować — pomyślała Gada ze złością — a im dłużej będziesz się pławić w litości nad sobą, tym większe masz szansę, że zamiast pomóc, zrobisz jej krzywdę.”

Gadzie wydawało się, że w jej głowie prowadzi dialog dwie różne osoby, z których żadna nie jest nią samą. Obserwowała, czekała. I odczuła głęboką ulgę, kiedy ta jej część, która była odpowiednikiem poczucia obowiązku, zwyciężyła tę bojaźliwą.

— Potrzebuję pomocy, aby ją obrócić — powiedziała.

Merideth chwyciła chorą za barki, a Alex za biodro. Unieśli ją i przekręcili na bok zgodnie z instrukcjami Gady, tak by nie naruszyć kręgosłupa. Czarny siniec rozlewał się w okolicy pasa, rozchodząc się w dwie strony na wysokości krzyża. Tam, gdzie był najczarniejszy, kość została zmiażdżona.

Siła upadku niemal odarła skórę z kręgosłupa. Gada namacała drobne odłamki, które zostały wepchnięte w głąb ciała.

— Połóżcie ją — powiedziała z głębokim, ciężkim westchnieniem.

Usłuchali i czekali w milczeniu. Przysiadła na piętach.

„Jeżeli Jesse będzie umierała — myślała — nie poczuje zbyt wielkiego bólu. Tutaj Mech i tak nie mógłby jej pomóc.”

— Uzdrawicielko...? — szepnął niepewnie Alex.

Miał niecałe dwadzieścia lat, zbyt mało, aby mógł znieść ciężar ogromnego smutku. Wiek Merideth nie dawał się określić. Mocno opalona z ciemnymi oczami, stara lub młoda, wyrozumiała, zgorzkniała.

Gada popatrzyła na Merideth, zerknęła na Alexa i odezwała się — bardziej do starszej partnerki.

— Ma złamany kręgosłup.

Merideth usiadła, zwiesiła ramiona. Była zaszokowana.

— Ale żyje! — krzyknął Alex. — Skoro żyje, to jak...

— Czy możliwe jest, że się mylisz? — spytała Merideth. — Możesz coś zrobić?

— Chciałabym. Merideth, Alex — ona ma wielkie szczęście, że żyje. Mało, że kość jest złamana; jest zmiądzona i przesunięta. Chciałabym móc powiedzieć coś innego: że być może kości się pozarastają, być może nerwy nie są uszkodzone, ale wtedy bym was okłamała.

— Jest kaleką.

— Tak — przyznała Gada.

— Nie — Alex schwycił ją za rękę. — Nie Jesse. Ja nie...

— Cicho Alex! — wyszeptała Merideth.

— Przykro mi — powiedziała Gada. — Mogłabym to przed wami ukryć, ale nie na długo. Merideth odsunęła pomarańczowy lok z czoła Jesse.

— Nie, lepiej wiedzieć wszystko od razu... i nauczyć się z tym żyć.

— Jesse nie będzie nam wdzięczna za takie życie.

— Cicho bądź, Alex! Wolałbyś, aby upadek ją zabił?

— Nie — powiedział cicho, spoglądając na podłogę namiotu.

— I ona mogłaby... I ty o tym wiesz.

Merideth popatrzyła przez chwilę na Jesse.

— Masz rację.

Gada zobaczyła, że zaciśnięta w pięść lewa ręka kobiety drży.

— Alex, czy nie poszedłbyś do mojej kłaczy? Strasznie ją zjeździłyśmy.

Alex zawahał się. Gada domyśliła się, że nie z powodu lenistwa.

— Dobrze, Merry.

Zostawił kobiety same. Gada czekała. Usłyszała najpierw skrzypienie wysokich butów Alexa na piachu, a później stukot końskich kopyt.

Jesse poruszyła się przez sen wzdychając. Merideth drgnęła, wciągnęła głęboko powietrze, próbując powstrzymać płacz, ale nie wytrzymała i wybuchnęła nagle. Łzy lśniły w świetle lampy, tocząc się jak sznurek diamentów. Gada przysunęła się bliżej, chwyciła Merideth za rękę i zaczęła pocieszać dziewczynę tak długo, aż zaciśnięte pięści rozluźniły się.

— Nie chciałam, żeby Alex widział...

— Wiem — powiedziała Gada.

„I Alex też — pomyślała. — Ci ludzie starannie ukrywają swą słabość.”

— Merideth, czy Jesse wytrzyma taką wiadomość? Nienawidzę czegoś ukrywać, ale...

— Ona jest mocna — powiedziała Merideth — a jeśli cokolwiek staraliśmy się przed nią zataić, ona i tak zawsze wiedziała.

— Dobrze. Muszę ją obudzić. Nie powinna spać bez przerwy dłużej niż kilka godzin. I trzeba ją obracać, co dwie godziny, bo dostanie odleżyn.

— Ja ją obudzę.

Merideth pochyliła się nad Jesse, pocałowała ją w usta, chwyciła za rękę i wyszep-tała jej imię. Jesse potrzebowała dużo czasu, aby się ocknąć. Mamrotała i odpychała ręce Merideth.

— Nie można pozwolić jej pospać jeszcze trochę?

— Bezpieczniej jest obudzić ją na chwilę.

Jesse zajączała cicho i otworzyła oczy. Przez chwilę nieprzytomnie patrzyła na skle-pienie namiotu, później odwróciła głowę i zobaczyła Merideth.

— Merry... cieszę się, że wróciłaś.

Miała ciemnobrązowe oczy, prawie czarne, co wyglądało dziwnie przy rudych wło-sach i jasnej cerze.

— Biedny Alex...

— Wiem. — Jesse zauważyła Gadę. — Uzdrowicielka?

— Tak.

Jesse patrzyła na Gadę ze spokojem, a głos miała opanowany.

— Czy mam złamany kręgosłup?

Merideth spojrzała przerażona. Gada zawahała się, ale nie była w stanie oprzeć się bezpośredniości pytania. Z niechęcią kiwnęła potakująco głową. Jesse natychmiast się rozluźniła. Opuściła głowę w tył i zaczęła tępo patrzeć w sufit namiotu.

Merideth nachyliła się i objęła ją.

— Jesse, Jesse, kochanie, to... — ale zabrakło jej słów i Merideth cicho oparła się o ra-mię chorej, mocno ją obejmując. Jesse spojrzała na Gadę.

— Jestem sparaliżowana. Nie wyzdrowieję.

— Przykro mi — powiedziała Gada. — Nie. Nie widzę żadnych szans.

Twarcz Jesse nie zmieniła się. Jeżeli oczekiwała pocieszenia, to nie dała po sobie po-znać, że jest zawiedziona.

— Wiedziałam, że to był niedobry upadek — powiedziała.

— Słyszeliśmy, jak trzasnęła kość — powiedziała Merideth.

— A żreback?

— Był martwy, kiedy cię znaleźliśmy. Złamał sobie kark.

— Poszło szybko. Jemu — w głosie Jesse mieszały się ulga, żal i strach.

Ostry zapach moczu rozszedł się po namiocie. Jesse wyczuła go i spłonęła ze wstydu.

— Nie mogę tak żyć! — krzyknęła.

— Już dobrze, nie przejmuj się — uspokajała ją Merideth i zaczęła zmieniać przescieradło.

Kiedy Merideth i Gada myły Jesse, ta patrzyła w bok i nie odezwała się słowem. Alex ostrożnie wszedł do namiotu.

— Klacz jest w porządku.

Ale jego myśli nie były w tej chwili przy zwierzęciu. Spojrzał na Jesse, która wciąż leżała z głową odwróconą do ściany i ramieniem zakrywała oczy.

— Jesse umie wybrać dobrego konia — powiedziała Merideth, siląc się na pogodny ton.

Atmosfera była napięta jak naciągnięta do granic możliwości struna. Obydwoje patrzyli długo na Jesse, ale ona nie poruszyła się.

— Pozwólcie jej zasnąć — odezwała się Gada, nie wiedząc, czy Jesse śpi, czy nie — Będzie głodna, kiedy się obudzi. Mam nadzieję, że macie coś, co będzie jej można dać.

Ich hamowane napięcie opadło; rozpoczęły gorączkową krzątaninę. Merideth przetrząsnęła torby i worki, przyniosła suszone mięso, owoce i skórzaną flaszkę.

— To wino. Czy można jej dać?

— Wstrząs nie był silny — odpowiedziała Gada. — Wino nie powinno zaszkodzić.

„Może nawet pomóc — pomyślała — o ile alkohol nie podziała na nią przynębiająco.”

— Ale te suszone rzeczy... — dodała po chwili.

— Ugotuję rosół — powiedział Alex.

Ze sterty przedmiotów wy dobył metalowy rondel, wyciągnął nóż i zaczął kroić na porcje płat mięsa. Merideth zalała winem suszone owoce. Intensywny zapach rozpląnął się po namiocie i Gada uzmysłowiła sobie, że jest spragniona i koszmarnie głodna. Ludzie pustyni umieli opuszczać posiłki nawet tego nie zauważywszy, ale ona dojechała do oazy dwa dni temu, może trzy i niewiele jadła, odsypiając działanie jadu. Nie poczytywano tutaj za dobre maniery, gdy ktoś prosił o posiłek lub wodę, lecz o jeszcze gorsze posądzano tego, kto nie oferował poczęstunku. Teraz maniery miały niewielkie znaczenie. Drżała z głodu.

— O Bogowie, jaka jestem głodna! — zawołała Merideth ze zdziwieniem, jakby odczytując myśli Gady. — A wy nie?

— No, tak — powiedział niechętnie Alex.

Gada piła chłodne, korzenne wino. Pierwszy łyk wzięła zbyt łapczywie. Rozkaszała się. Popiła jeszcze raz i oddała flaszkę. Alex chwycił skórzane naczynie i wlał porządną porcję do rondla. Dopiero wtedy pociągnął szybko mały łyk. Wyniósł rosół na zewnątrz i postawił na piecu. Upał pustyni był tak natarczywy, że nie czuli nawet ciepła płomienia, który błyskał na tle czarnego piachu jak przezroczysty miraż.

Gada poczuła, że pot spływa jej po skroniach i między piersiami. Rękawem otarła czoło. Zjedli śniadanie złożone z suszonego mięsa i owoców, popili winem, które uderzyło do głowy szybko i mocno. Alex prawie natychmiast zaczął ziewać, ale za każdym razem, gdy opadała mu głowa, podrywał się na chwiejne nogi i wychodził zamieszać rosół dla Jesse.

— Alex, połów się — powiedziała w końcu Merideth.

— Nie jestem zmęczony.

Posmakował zupę i zdjął garnek z ognia. Wniósł go do środka, żeby ostygł.

— Alex! — Merideth chwyciła go za rękę i pociągnęła na wzorzysty dywanik. — Jeżeli ona będzie wołać, to na pewno usłyszymy. Jeżeli się poruszy, pójdę do niej. Nie pomożemy jej tym, że sami będziemy się zataczać ze zmęczenia.

— Ale ja... ja... — Alex potrząsnął głową, jednakże wyczerpanie i wino zmogły go. — A wy?

— Twoja noc była cięższa niż moja. Muszę się odprężyć przez parę minut, a później pójdę do łóżka.

Przepełniony wdzięcznością, Alex położył się obok kobiety. Merideth gładziła go po włosach, dopóki po paru chwilach nie zaczął chrapać. Zerknęła na Gadę i uśmiechnęła się.

— Kiedy pierwszy raz z nami wyruszył, Jesse i ja zastanawialiśmy się, jak będziemy mogli spać w takim hałasie. A teraz nie możemy bez tego usnąć.

Alex chrapał głośno i nisko, a od czasu do czasu łapał głębszy oddech i posapywał. Gada zaśmiała się.

— Podejrzewam, że jesteście w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego.

Pociągnęła jeszcze jeden łyk wina i oddała flaszkę Merideth. Merideth sięgnęła po nią, gdy wtem chwyciła ją czkawka. Zarumieniona, zakorkowała butelkę zamiast się z niej napić.

— Mam za słabą głowę. Nie powinnam w ogóle pić wina.

— Przynajmniej zdajesz sobie z tego sprawę. Prawdopodobnie nigdy się nie ośmieszysz.

— Kiedy byłam młodsza — Merideth uśmiechnęła się do swoich wspomnień — byłam bardzo głupia i na dodatek biedna. Bardzo złe połączenie.

— Jestem w stanie wyobrazić sobie, że mogą istnieć lepsze.

— Teraz jesteśmy bogaci, a ja jestem chyba nieco mądrzejsza. Ale jakież z tego pożytek, uzdrowicielko? Pieniądze nie pomogą Jesse. Mądrość? Też nie.

— Masz rację, nie pomogą jej. Ani ja jej nie pomogę. Tylko ty i Alex możecie jej pomóc.

— Wiem — głos Merideth brzmiał miękko i smutno. — Ale będzie potrzebowała dużo czasu, zanim się z tym pogodzi.

— Ona żyje, Merideth. Niewiele brakowało, aby wypadek okazał się śmiertelny. Czyż nie jest to wystarczający powód, by się cieszyć?

— Dla mnie wystarczający. — Język zaczął się jej plątać. — Ale nie znasz Jesse, nie wiesz, skąd pochodzi, dlaczego znalazła się tutaj... — Merideth wpatrywała się błędnymi oczami w Gadę, wahała się, a później wyrzuciła z siebie: — Znalazła się tutaj, bo nie znosi uczucia, że jest w pułapce. Zanim się połączyliśmy, była bogata, miała władzę i pełnię bezpieczeństwa. Ale jej całe życie i praca były z góry zaplanowane. Miała być jedną z władczyń Centrum.

— Miasta?!

— Tak, całe byłoby jej, jeżeli by sobie tego życzyła. Ale nie chciała żyć pod kamienym niebem. Opuściła miasto nie zabierając nic, aby samodzielnie zbudować swój los, aby być wolną. Teraz wszystkie rzeczy, które sprawiały jej radość, są poza jej zasięgiem. Jak mam jej powiedzieć, że ma się cieszyć, że w ogóle żyje, skoro wie, że nigdy nie będzie mogła wychodzić w pustynię, by znaleźć diament na kolczyk dla któregoś ze starych klientów, że nigdy nie ujeździ żadnego konia, nigdy nie będzie mogła się kochać?

— Nie wiem — odparła Gada. — Ale jeśli ty i Alex będziecie traktowali jej życie jako wielkie nieszczęście, to ono takim się stanie.

Tuż przed świtem upał zelżał, ale gdy tylko zrobiło się jasno, temperatura znów się podniosła. Obóz leżał w głębokim cieniu, pod osłoną skalnych ścian, ale skwar napierał niemal z cielesną siłą.

Alex chrapał, a Merideth spała spokojnie obok niego, nie zważając na dźwięki, które wydawał. Jedną rękę zarzuciła Alexowi na plecy. Gada leżała na podłodze namiotu, twarzą ku ziemi, z rozłożonymi rękami. Delikatne włókienka strzyżonego, wełnianego dywanu leciutko kłuły ją w policzek, wilgotny od potu. Ręka wciąż ją bolała i Gada nie mogła zasnąć. Nie miała też dość sił, żeby wstać.

Zapadła w półsen, w którym pojawił się Arevin. Widziała go o wiele wyraźniej, niż mogła sobie go przypomnieć na jawie. To był dziwny sen. Dziecięco niewinny. Ledwo tylko dotknęła czubków palców Arevina, a on już począł znikać. W przerażeniu wyciągnęła ku niemu ręce. Obudziła się pełna pożądania, z łomoczącym sercem.

Jesse drgnęła. Przez moment Gada nie ruszała się, później podniosła się niechętnie. Rzuciła okiem na dwójkę partnerów. Alex spał, głęboko zatopiony w krótkiej chwili zapomnienia, jaką oferuje tylko młodość. Na twarzy Merideth zmęczenie rzeźbiło głębokie bruzdy, a pot oblepiał jej czarne, lśniące loki. Gada zostawiła Alexa i Merideth i przyklęknęła koło Jesse, która leżała twarzą w dół, tak jak ją ostatnio ułożyli. Na jednej ręce.

„Udaje, że śpi — pomyślała Gada, bo linia ramienia, sposób ułożenia palców wskazywały, że ciało Jesse jest napięte. — Albo próbuje zasnąć, tak jak ja. Każda z nas chciałaby spać i zapomnieć o rzeczywistości.”

— Jesse — powiedziała łagodnie. — Jesse, proszę.

Jesse westchnęła i opuściła rękę na prześcieradło.

— Jest rosół, jeśli czujesz się dość silna, aby go wypić. I wino, gdybyś miała ochotę.

Jesse wykonała ledwie dostrzegalny, przeczący ruch głową. Gada nie zamierzała pozwolić, aby jej pacjentka się odwodniła, nie chciała jednak przymuszać do jedzenia.

— To nie ma sensu — powiedziała chora.

— Jesse...

Kobieta wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Gady.

— Nie, w porządku. Myślałam o tym, co się stało. Śniło mi się to.

Gada spostrzegła, że ciemnobrązowe oczy Jesse były nakrapiane złotem.

— Nie mogę tak żyć. I oni też nie mogą. Będą próbowali i zmarnują sobie życie. Uzdrowicielko...!

— Proszę... — wyszeptła Gada, przerażona tak, jak jeszcze nigdy w życiu.

— Nie możesz mi pomóc?

— Ale nie umrzeć — odpowiedziała Gada. — Nie prosź mnie, abym pomogła ci umrzeć!

Zerwała się i wybiegła z namiotu. Upał uderzył ją w twarz. Nie było przed nim ucieczki. Otaczały ją ściany kanionu i zwaliska pokruszonych skał.

Ze spuszczoną głową, drżąc, czując jak pot żądli ją w oczy, Gada przystanęła i spróbowała się opanować. Zachowała się głupio i wstydziła się swego popłochu. Musiała chyba wystraszyć Jesse, ale nie była jeszcze w stanie wrócić i spojrzeć jej w twarz. Ruszyła, odchodząc coraz dalej od namiotu. Nie w kierunku pustyni, gdzie słońce i piach drgały jak we śnie, ale skalnej odnogi w kanionie, ogrodzonej na kształt korralu.

Zamykanie koni wydawało się Gadzie zupełnie zbyteczne, ponieważ zwierzęta i tak stały bez ruchu ze spuszczoneymi łbami. Nawet nie poruszały ogonem — na czarnej pustyni nie było żadnych insektów. Gada zastanawiała się, gdzie jest okazała, gniada klacz Merideth. "Żałosne stadko stworzonek" — pomyślała. Uprząż, zawieszona na płocie lub rozrzucona niedbale na ziemi, lśniła od drogiego metalu i kamieni.

Gada oparła ręce na drewnianym słupku i ułożyła brodę na pięściach.

Drgnęła, gdy usłyszała plusk wody. Po drugiej stronie korralu Merideth napełniała skórzane koryta umocowane na drewnianej ramie. Konie ożywiły się, podniosły głowy i zaczęły strzyc uszami. Ruszyły przez piach, z początku stępa, później przechodząc w cwał. Sunęły bezładną gromadą, parskając, rżąc i kopiąc się nawzajem. Były odmienne. Były piękne.

Merideth stanęła w pobliżu ze zwiotczonym, pustym bukłakiem i patrzyła na stado; na Gadę nie rzuciła jednego spojrzenia.

— Jesse ma dar do koni. Do wybierania, do ujeżdżania ich... Czy stało się coś złego?

— Przykro mi. Chyba ją rozdrażniłam. Nie miałam prawa.

— Powiedziałas jej, żeby żyła? Być może nie miałas prawa, ale cieszę się, że jej to powiedziasz.

— To nie ma znaczenia, co jej powiedziałam. Ona sama musi chcieć żyć.

Merideth machnęła ręką i krzyknęła. Konie, które były najbliżej wody, spłoszyły się, ustępując tym, które stały z tyłu. Przepychały się między sobą, wychlapując wodę z koryta. Stały potem w oczekiwaniu na jej uzupełnienie.

— Przykro mi, ale na razie to wszystko.

— Musisz im donosić sporą ilość wody.

— Tak, ale potrzebne nam są wszystkie.

Gniada klacz przełożyła łeb ponad sznurowym ogrodzeniem i zaczęła wsuwać nos w rękaw Merideth, dopominając się, aby ta pogłaskała ją między uszami i po szyi.

— Odkąd Alex jest z nami, podróżujemy z większą ilością... rzeczy. Zbytki. Alex powiedział, że w ten sposób wywrzemy na ludziach wrażenie i będą chcieli od nas kupować.

— Poskutkowało?

— Zdaje się, że tak. Żyjemy teraz bardzo dobrze. Mogę sobie pozwolić na wybieranie pośredników.

Gada wpatrywała się w konie, które jeden za drugim, wolno przechodziły w zaciemniony zakątek ogrodzenia. Niesforny blask słońca wpłynął na krawędź skały i Gada poczuła ciepło na twarzy.

— O czym myślisz? — spytała Merideth.

— Jak sprawić, aby Jesse chciała żyć.

— Nie zgodzi się na bezużyteczną wegetację. Alex i ja kochamy ją. Będziemy się nią opiekowali bez względu na wszystko. Ale jej to nie wystarczy.

— Czy ona musi chodzić, aby być pożyteczna?

— Uzdrowicielko, ona jest źródłem naszego bogactwa. — Merideth skierowała na Gadę smutne spojrzenie. — Próbowала mnie nauczyć jak i gdzie szukać. Rozumiem, co ona do mnie mówi, ale kiedy wychodzę sama, nie mam szans na znalezienie czegoś więcej niż krzemionki i fałszywego złota.

— Czy pokazywałaś jej swoją pracę?

— Oczywiście. Każde z nas potrafi robić po trosze to, co drugie, ale też każde z nas ma dar do czegoś i robi to najlepiej. Jednak wyroby Jesse nie znajdują uznania wśród ludzi. Są zbyt dziwne. Są piękne.

Merideth westchnęła i pokazała Gadzie srebrną bransoletę, jedyną ozdobę, jaką nosiła: skomplikowany wzór bez żadnych kamieni, złożony z wielu warstw, a jednak nie pękaty. Merideth miała rację: projekt był piękny, ale zbyt dziwny.

— Nikt ich nie chce kupować. Ona wie o tym. Jestem gotowa robić wszystko. Jestem gotowa ją okłamywać, gdyby to miało pomoc. Ale ona się domyśli. Uzdrowicielko

— Merideth cisnęła buklak w piach. — Czy nic nie możesz zrobić?

— Umieję postępować z zakażeniami, chorobami, guzami. Mogę nawet dokonywać zabiegów we wnętrzu ciała, o ile pozwalają na to moje narzędzia. Nie mogę jednak zmusić ciała, aby samo się uzdrowiło.

— Czy ktoś może?

— Nie... nikt, kogo znam na tej ziemi.

— Nie masz na myśli jakiegoś ducha, który mógłby sprawić cud? — upewniała się Merideth. — Myślisz o ludziach spoza ziemi, myślisz, że oni może byliby w stanie pomóc?

— Może byliby w stanie — odrzekła wolno Gada, żałując, że powiedziała tak dużo.

Nie spodziewała się, że Merideth wyczuje jej urazę. Miasto wywierało wpływ na wszystkich ludzi w okolicy. Było niczym centrum wirującego koła, tajemnicze i fascynujące. I było to miejsce, gdzie czasem lądowali pozaziemscy. Dzięki Jesse, Merideth wiedziała o nich i o Mieście pewnie o wiele więcej niż Gada. Gada zawsze musiała na wiarę przyjmować wszystkie historie o Centrum. Samo istnienie pozaziemskich było trudne do zaakceptowania, dla kogoś, kto mieszkał w krainie, w której rzadko można było zobaczyć gwiazdy.

— Być może umieliby ją uleczyć tam, w Mieście — powiedziała Gada. — Skąd mogę wiedzieć? Ludzie, którzy tam żyją, nie chcą z nami rozmawiać. Pilnują, abyśmy żyli tutaj, z dala od nich, a jeśli chodzi o pozaziemskich, nigdy nie spotkałam nikogo, kto by mówił, że ich widział.

— Jesse widziała.

— Ale czy to jej pomoże?

— Jej rodzina ma dużą władzę. Może zdołaliby wpłynąć na pozaziemskich, aby zabrali ją tam, gdzie mogłaby być uzdrowiona.

— Ludzie z Centrum i pozaziemscy zazdrośnie strzegą swojej wiedzy, Merideth — powiedziała Gada. — A przynajmniej nigdy nie zaproponowali, że się nią z kimś podzielą.

Merideth odwróciła się nachmurzona.

— Ale nie mówię, że nie powinniśmy spróbować. To może dać jej nadzieję.

Merideth zamyśliła się i w końcu rzekła:

— A ty pojechałaby z nami, żeby pomóc?

Gada zawahała się. Już postanowiła, że powróci do ośrodka uzdrowicieli i przyjmie wyrok, jaki wydadzą nauczyciele, gdy opowie im o swoich błędach. Ale teraz wyobraziła sobie inną podróż i pojęła, jak trudne przedsięwzięcie proponuje Merideth, Będą potrzebowali kogoś, kto wiedziałby, jak opiekować się Jesse.

— Uzdrowicielko?

— W porządku. Pojadę.

— No to spytajmy Jesse.

Wróciły do namiotu. Gada z zaskoczeniem zaobserwowała u siebie przejawy optymizmu. Uśmiechnęła się, pełna entuzjazmu, jakby nic się nie stało. Alex siedział w namiocie obok Jesse. Kiedy Gada weszła, rzucił na nią złe spojrzenie.

— Jesse — powiedziała Merideth — mamy pewien plan.

Znów ją obrócili, ściśle przestrzegając instrukcji Gady. Jesse patrzyła zmęczonym wzrokiem. Głębokie bruzdy na czole i wokół ust znacznie ją postarzały.

Merideth mówiła, gestykulując zapamiętane. Jesse słuchała beznamiętnie. Twarz Alexa stężała w niedowierzaniu.

— Postradałaś zmysły — powiedział, kiedy Merideth skończyła.

— Nie! Dlaczego tak mówisz? Może jest jakaś nadzieja?!

Gada spojrzała na Jesse.

— Jesteśmy szalone?

— Tak myślę — odrzekła Jesse, ale mówiła to powoli, z namysłem.

— Jeśli dostaniemy się do Centrum — spytała Gada — czy twoi ludzie nie odmówią ci pomocy?

Jesse zawahała się.

— Moi kuzyni znają pewne sposoby. Umieci leczyć bardzo poważne rany. Ale kręgosłup? Może. Nie wiem. I w końcu, nie mają powodu, żeby mi pomóc. Już nie mają.

— Zawsze mi powtarzałaś, jak ważna jest więź krwi dla rodzin żyjących w Mieście — odezwała się Merideth. — Jesteś ich krewniaczką.

— Porzuciłam ich — odpowiedziała Jesse. — To ja zerwałam więź. Dlaczego mieliby przyjmować mnie z powrotem? Czy chcecie, bym pojechała i błagała ich o litość?

— Tak.

Jesse spojrzała na swe długie, niegdyś mocne, a teraz bezużyteczne nogi.

— Jesse, nie zniosę, żebyś była w takim stanie, nie mogę znieść tego, że pragniesz śmierci.

— Oni są bardzo dumni — powiedziała Jesse. — Zraniłam dumę mojej rodziny, wyrzekając się jej.

— Zrozumię zatem, ile cię kosztuje zwrócenie się do nich o pomoc.

— Musielibyśmy być szaleni, by tego spróbować — odparła Jesse.

3.

Planowali zwinąć obóz tego wieczora i przeprowić się przez jezioro lawy po ciemku. Gada wolałaby zaczekać jeszcze parę dni, zanim podniosą Jesse, ale nie było wyboru. Nastroje Jesse zmieniały się zbyt gwałtownie, aby można było czekać dłużej. Chora wiedziała, że już zbyt długo pozostawali na pustyni. Alex i Merideth nie mogli ukryć faktu, że woda kończyła się, że trzymali konie nie napojone, aby można było ją oprąć i wykapać. Jeszcze parę dni i życie w skwaśniałym odorze, który by powstał wobec niemożności należytego umycia się czy zrobienia prania, wpędziłoby Jesse w depresję.

A oni nie mieli czasu do stracenia. Przed nimi była perspektywa długiej podróży: w górę poprzez lawę, później na wschód do gór centralnych, które rozkrawały czarna pustynię na dwie części: zachodnią, tam gdzie się obecnie znajdowali, i wschodnią, gdzie mieściło się Miasto. Droga przecinająca wschodnie i zachodnie rejony gór była dobra, ale dalej, za przełęczą, na podróżnych znów czekała pustynia. Po jej przekroczeniu trzeba skierować się na południowy wschód, do Centrum.

Musieli się spieszyć. Jeżeli rozpoczną się zimowe burze, nikt nie przedostanie się przez pustynię. Miasto zostanie odcięte.

Nie składali namiotu ani nie siodłali koni przed północą, ale wszystkie rzeczy mieli już spakowane, zanim zrobiło się zbyt gorąco, aby pracować. Ustawili bagaże obok toreb z kruszcem, znalezionym przez Jesse. Od ciężkiej pracy Gadzie mdlała ręka. Siniec narreszcie zniknął, a ranki wygoiły się. Pozostały jedynie jasne, różowe zrosty. Niedługo ślady po ukąszeniu przez żmiję piaskową zrównają się ze wszystkimi innymi bliznami i nawet Gada nie będzie mogła ich rozpoznać.

Bardzo żałowała, że nie udało się jej złapać jednego z węży i zabrać ze sobą do domu. Był to gatunek, jakiego przedtem nie widziała. Nawet gdyby okazało się, że nie jest on dla uzdrowicieli użyteczny, mogłaby wyprodukować antidotum przeciwko jadowi dla ludzi Arevina. Jeżeli w ogóle ich jeszcze kiedyś zobaczy.

Gada rzuciła ostatni pakunek na stertę, wytarła dłonie w spodnie i rękawem otarła pot z twarzy. Obok Merideth i Alex podnosili skonstruowane przez siebie nosze i mocowali prowizoryczną uprząż. Gada podeszła, by się przyjrzeć.

Był to najdziwniejszy pojazd, jaki w życiu widziała, ale wyglądało na to, że zda egzamin. Na pustyni wszystko trzeba było nosić albo ciągnąć. Wozy na kołach ugrzęzłyby w piachu lub połamaly się na skalistym terenie. O ile konie nie zaczną szarpać, nosze zapewnią Jesse znośne warunki podróży.

Między przednimi drągami konstrukcji stał spokojnie duży siwek, nieruchomy jak kamień. Drugi koń, srokaty, również nie wykazywał żadnego zaniepokojenia, gdy wprowadzono go między tylnie żerdzie.

„Jesse musi być cudotwórczynią — pomyślała Gada — jeżeli konie, które ujeżdża, zgadzają się na takie pomysły.”

— Jesse mówi, że wprowadzimy nową modę wśród bogatych kupców wszędzie tam, gdzie się zjawimy — powiedziała Merideth.

— Ma rację — odezwał się Alex. Rozpiął rzemień i pozwolił, by nosze opadły na ziemię. — Ale będą mieli dużo szczęścia, jeśli nie zapoznają się z kopytami swoich pupilków.

Z sympatią poklepał siwka po grzbiecie i odprowadził oba konie do korralu.

— Szkoda, że nie jeździła przedtem na żadnym z nich — powiedziała Gada do Merideth.

— One nie były takie, gdy je dostała. Kupuje narowiste konie. Nie może patrzeć, gdy są źle traktowane. Żrebak był jednym z takich przygarniętych. Okiełznała go, ale jeszcze nie zdążyła należycie ułożyć.

Weszli z powrotem do namiotu, by schronić się przed popołudniowym słońcem. Merideth ziewnęła szeroko.

— Lepiej się wyspać, kiedy mamy okazję. Nie będziemy mogli pozwolić sobie, żeby ciągle pozostawać na lawie, kiedy słońce się podniesie.

Gadę rozpierała energia. Siedziała w namiocie, błogosławiąc cień, ale zupełnie nie chciało jej się spać. Rozważała, jak zdołają zrealizować cały ten szalony plan. Sięgnęła po skórzaną torbę, by sprawdzić, jak czują się węże, ale Jesse obudziła się, kiedy otworzyła przegródkę Piaska. Zamknęła klapkę i przesunęła się do siennika. Jesse spojrzała na nią.

— Jesse... wtedy, to co powiedziałam... — chciała jej wyjaśnić, ale nie wiedziała jak zacząć.

— Co cię tak dręczy? Czy jestem pierwszym człowiekiem, któremu pomogłaś, a który mógł umrzeć?

— Nie. Widziałam, jak ludzie umierają. Pomagałam im umierać.

— Wszystko jeszcze niedawno wydawało się takie beznadziejne — powiedziała Jesse. — Prawdziwy koniec mógłby być zbyt łatwy. Zawsze trzeba się strzec... łatwości śmierci.

— Śmierć może być darem — powiedziała Gada. — Ale w taki czy inny sposób zawsze oznacza klęskę.

Łagodna bryza poruszyła płótno namiotu, a Gadzie zrobiło się niemal chłodno.

— Co się stało, uzdrowicielko?

— Bałam się — rzekła Gada. — Bałam się, że będziesz umierająca. Gdyby tak było, miałabyś prawo prosić mnie o pomoc. Byłabym zobowiązana ci jej udzielić. Ale jednocześnie wiedziałabym, że nie mogę.

— Nie rozumiem.

— Kiedy skończyło się moje wtajemniczenie, nauczyciele dali mi węże na własność. Dwóm z nich można podawać lekarstwo lub narkotyk w celach leczniczych. Trzeci, wąż snu, był „dawcą marzeń”. Został zabity.

Jesse instynktownie wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Gady. Gada z wdzięcznością przyjęła tę oznakę milczącego współczucia, znajdując pocieszenie w mocnym ucisku.

— Ty także jesteś kaleką — powiedziała gwałtownie Jesse. — Tak samo bezsilna w swojej pracy, jak ja w mojej.

Wspaniałomyślność Jesse, to, że użyła takiego porównania, wprowadziła Gadę w zakłopotanie.

Jesse cierpiała, była bezradna. Jej szanse na wyzdrowienie były takie niewielkie, że Gada nie mogła wyjść z podziwu dla siły jej ducha.

— Dziękuję, że to powiedziałaś.

— Zatem wracam do rodziny prosić o pomoc, tak jak ty wracasz do swojej.

— Tak.

— Dadzą ci drugiego węża — powiedziała z przekonaniem Jesse.

— Mam nadzieję.

— Czyżby to nie było pewne?

— Węże snu nie rozmnażają się dobrze — wyjaśniła Gada. — Nie wiemy o nich dostatecznie dużo. Raz na parę lat rodzi się kilka młodych albo uda się komuś z nas jednego sklonować, ale... — wzruszyła ramionami.

— To złap sobie własnego!

Taka możliwość nigdy nie przyszła Gadzie do głowy; wiedziała, że to nierealne. Nigdy nie rozważała innej możliwości, niż powrócić do osady uzdrowicieli i prosić nauczycieli o przebaczenie. Uśmiechnęła się smutno.

— Tak długich rąk to nie mam. One nie pochodzą stąd.

— A skąd?

Znowu wzruszyła ramionami.

— Z jakiegoś innego świata... — zamilkła, gdy zdała sobie sprawę z tego, co mówi.

— No to wjedziesz ze mną za bramy Miasta — zdecydowała Jesse. — Kiedy pójdę do mojej rodziny, oni przedstawią cię pozaziemskim.

— Jesse, moi ludzie od dziesiątków lat proszą Centrum o pomoc. Tamci nie chcą nawet z nami rozmawiać.

— Ale teraz jedna z rodzin w Mieście ma wobec ciebie zobowiązanie. Czy moi ludzie przyjmą mnie z powrotem — nie wiem, ale będą twoimi dłużnikami, bo mi pomogłaś.

Gada słuchała w milczeniu zaintrygowana tym, co kryło się w słowach Jesse.

— Uzdrowicielko, uwierz mi — ciągnęła Jesse. — Możemy sobie nawzajem pomóc. Jeżeli zaakceptują mnie, zaakceptują też moich przyjaciół. Jeżeli nie, to i tak będą musieli spłacić tobie dług. Każde z nas może przedstawić dwie prośby.

Gada była dumną kobietą. Dumną z odebranego wykształcenia, swoich umiejętności, swego imienia. Możliwość odpokutowania za śmierć Mcha w sposób inny niż błaganie i wybaczenie zafascynowała ją. Raz na dziesięć lat starszy uzdrowiciel wyruszał w długą podróż do Miasta prosić o nowe węże snu. Zawsze mu odmawiano. Gdyby Gadzie się udało...

— Czy to może się powieść?

— Moja rodzina pomoże — zapewniła Jesse. — Czy będą w stanie nakłonić też pozaziemskich, by nam pomogli, tego nie wiem.

Przez całe gorące popołudnie Gada i partnerzy mogli tylko czekać. Gada zdecydowała wypuścić Mglę i Piaska na chwilę, zanim zacznie się długa podróż. Kiedy wyszła z namiotu, zatrzymała się obok Jesse. Kobieta spała spokojnie, lecz twarz miała niezdrowo zaognioną.

Gada dotknęła jej czoła. Jesse miała lekką gorączkę, ale być może był to skutek upału. Gada ciągle sądziła, że Jesse udało się uniknąć poważniejszych obrażeń wewnętrznych, lecz istniała możliwość krwotoków, a nawet zapalenia otrzewnej. To było coś, co Gada była w stanie wyleczyć. Zdecydowała się nie przeszkadzać teraz Jesse, tylko poczekać i zobaczyć, czy gorączka wzrośnie.

Wychodząc poza obóz w poszukiwaniu ustronnego miejsca, gdzie węże nikogo by nie przestraszyły, Gada minęła posępnie patrzącego w dal Alexa. Zawahała się przez moment, a on spojrzął na nią z wyrazem troski na twarzy. Gada usiadła obok bez słowa.

— To my zrobiliśmy z niej kalekę, prawda? Merideth i ja.

— Zrobiliście kalekę? Nie, oczywiście, że nie.

— Nie powinniśmy byli jej ruszać. Mogłem o tym pomyśleć. Trzeba było przenieść obóz do niej. Może nerwy nie były uszkodzone, kiedy ją znaleźliśmy.

— Były uszkodzone.

Ale nie wiedzieliśmy o jej plecach. Myśleliśmy, że uderzyła się w głowę. Zapewne naruszyliśmy jej kręgosłup...

Gada położyła dłoń na przedramieniu Alexa.

— To były uszkodzenia spowodowane gwałtownym uderzeniem — powiedziała. — Każdy uzdrowiciel może to ocenić. Zniszczenie nerwów nastąpiło w chwili upadku. Ty i Merideth nie mogliście jej tego zrobić.

Alex rozluźnił mięśnie ramienia. Gada cofnęła rękę, trochę uspokojona. Jego mocne ciało miało w sobie tyle siły, a on walczył ze słabością ducha tak zapamiętała, że Gada obawiała się, aby nieświadomie nie użył siły przeciwko sobie. Był dla swoich partnerek ważniejszy, niż się wydawało, być może ważniejszy, niż sam sobie zdawał sprawę.

Alex był tym, który pilnował, aby życie obozowe toczyło się bez zakłóceń. To on równoważył marzycielską naturę Merideth — artystki i Jesse — poszukiwaczki przygód. Gada miała nadzieję, że prawda, którą usłyszał z jej ust, pozwoli mu przełamać poczucie winy. Na razie jednak nic więcej nie mogła dla niego zrobić.

Gdy zaczął napadać zmierzch, Gada wzięła Piaska i zaczęła głaskać go po gładkiej, wzorzystej skórze. Przestała się zastanawiać, czy ta pieszczota sprawia stworzeniu przyjemność i czy istota o mózgu tak małym, jak a Piaska może odczuwać jakąkolwiek przyjemność. Doznanie chłodu pod palcami było dla niej relaksujące, a Piasek leżał spokojnie, zwinięty w kłębek i od czasu do czasu tylko strzelał języczkiem. Jego ciało miało jasne i wyraźne kolory — niedawno zmienił skórę.

— Pozwalam ci za dużo jeść — powiedziała Gada z sympatią. — Ty leniuchu!

Podciągnęła kolana pod brodę. Na czarnej skale deseń grzechotnika był tak samo wyraźny jak białe łuski Mgły. Żaden wąż ani żaden człowiek nie zdołał się jeszcze przystosować do świata, w którym przyszło mu żyć. Upał był tu naprawdę nie do wytrzymania.

Mgła zniknęła Gadzie z oczu, ale uzdrowicielka nie martwiła się tym. Obydwa węże zostały przez nią oswojone i zawsze trzymały się blisko, nawet podążały jej śladem. Nie były zdolne nauczyć się czegoś ponad odruchy, które wpoili im treserzy; Mgła i Piasek na pewno powrócą, gdy poczują wibracje wywołane uderzeniami o ziemię.

Gada odpoczywała oparta o głaz, owinięta w obszerny strój pustynny. Zastanawiała się, co też Arevin może teraz robić, gdzie może być. Jego ludzie byli nomadami wypasającymi ogromne woły piżmowe, z których runa otrzymywali delikatną, jedwabistą wełnę. Po to, aby znów spotkać klan, musiałaby go specjalnie szukać. Nie wiedziała, czy będzie to kiedykolwiek możliwe, chociaż bardzo pragnęła zobaczyć Arevina.

Jednak widok jego współplemieńców będzie zawsze przypominał jej Mcha. Nie zdoła o nim zapomnieć. Jej naiwność i niewłaściwa ocena tych ludzi była powodem śmierci węża. Oczekiwała od nich, że zaakceptują jej świat mimo lęku, a oni mimowolnie udowodnili jej, jak pełne pychy były jej założenia.

Otrząsnęła się z niewesołych myśli. Teraz stała przed szansą zadośćuczynienia. Gdyby faktycznie mogła pojechać z Jesse, dowiedzieć się, skąd pochodzą węże snu i złapać kilka, gdyby jeszcze udało jej się stwierdzić, dlaczego nie rozmnażają się na Ziemi — mogłaby powrócić w pełni triumfu. Odniosłaby sukces na polu, na którym przegrywali jej nauczyciele i całe pokolenia uzdrowicieli.

Nadszedł czas, by wrócić do obozu. Poszukując Mgły wspięła się na niewielkie usypisko pokruszonej skały, które zamykało wejście do kanionu. Kobra leżała zwinięta na dużej, bazaltowej płycie.

Stojąc na szczycie wzniesienia, Gada sięgnęła po Mgłę, uniosła ją i pogłaskała po wąskiej głowie. Kobra wyglądała groźnie nawet ze złożonym kapturem. Nie potrzebowała wielkiej paszczy brzemienną jadem; trucizna była na tyle silna, że zabijała nawet w małych dawkach.

Gada obróciła się i wzrok jej pobiegł ku jaskrawemu zachodowi. Słońce tworzyło na horyzoncie pomarańczową plamę, poprzez szare chmury przebijały się promieniste włócznie fioletu i cyklamenu.

I wtedy Gada zauważyła kratery rozsiane po pustyni leżącej u jej stóp. Ziemia upstrzona była wielkimi, okrągłymi basenami. Niektóre, te położone na trasie spływającej lawy, były już słabo widoczne. Inne były wyraźniejsze — ogromne jamy wyrwane w ziemi, mimo od tylu lat przesypanych nad nimi piachu. Kratery były tak ogromne i rozrzucone po tak olbrzymiej powierzchni, że mogły mieć tylko jedno źródło — eksplozję nuklearną. Sama wojna skończyła się już dawno, prawie o niej zapomniano, bo zniszczyła wszystkich, którzy znali lub których obchodziły przyczyny jej wybuchu.

Gada wpatrywała się w sponiewieraną ziemię, szczęśliwa, że patrzy na to z daleka. W takich miejscach skutki wojny — widzialne i niewidzialne — czały się jeszcze do tej pory. I pozostaną na długie stulecia po jej śmierci. Kanion, w którym obozowała razem z partnerami, też pewnie nie był bezpieczny, ale nie przebywali w nim zbyt długo, nie istniało, więc specjalne zagrożenie.

Spostrzegła pośród skalistego złomu coś, co nie przynależało do tego miejsca, i co na tle zachodzącego słońca trudne było do rozpoznania. Gada czuła się nieswojo, jakby szpiegowała, jakby wtrącała się w sprawy, które nie powinny jej wcale interesować.

Zwłoki konia, rozkładające się w upale, leżały powykręcane na krawędzi krateru. Sztywne nogi sterczały groteskowo w powietrzu. Obejmująca głowę zwierzęcia złota uzda połyskiwała szkarłatnie i pomarańczowo w świetle zachodu.

Gada odetchnęła głęboko.

Pobiegła z powrotem do skały i ponagliła Mgłę, by wpełzła do środka. Podniosła Piaska i pospiesznie skierowała się ku obozowisku. Przeklinała, bowiem grzechotnik uparcie próbował owinać się wokół jej ramienia. Przystanęła i przytrzymała go, aby mógł wsunąć się do swej przegródki. Zaczęła biec, dopinając w drodze zamek. Torba uderzała ją po nodze.

Zzianą dobiegła do namiotu i wpadła do środka, Merideth i Alex spali. Gada uklęknęła obok Jesse i ostrożnie uniosła prześcieradło.

Minęło niewiele czasu od chwili, gdy ostatnio ją badała. Sińce po boku ściemniały i powiększyły się, a ciało miało niezdrowy, różowawy odcień. Gada dotknęła chorej. Skóra była rozpalona i sucha jak pieprz. Jesse nie zareagowała na dotyk. Kiedy Gada odchyliła jej rękę, wydawało się, że gładka skóra pociemniała. W ciągu paru minut, w czasie których Gada z przerażeniem obserwowała Jesse, zaczął się tworzyć nowy siniak; to pękały naczynia włoskowate. Promieniowanie uszkodziło tkanki tak bardzo, że lekkie naciśnięcie całkowicie je niszczyło. Bandaż na udzie nagle poczerwieniał. Gada zacisnęła pięści. Wstrząsnęły nią dreszcze tak silne, jakby dookoła panowało przenikliwie zimno.

— Merideth!

Kobieta obudziła się, ziewając półprzytomnie.

— Co się stało?

— Ile czasu minęło, zanim znaleźliście Jesse? Czy upadła gdzieś w kraterach?

— Tak. Przeszukiwała okolicę. Dlatego tu jesteśmy — inni rzemieślnicy nie są w stanie nam dorównać pod względem rzeczy, które Jesse tutaj znajduje. Tym razem zaintrygował ją tamten krater. Znaleźliśmy ją wieczorem.

„Cały dzień! — myślała Gada. — Musiała być w jednym z głównych kraterów.”

— Dlaczego mi nie powiedzieliście?

— Nie powiedzieliśmy czego?

— Te kratery są niebezpieczne.

— Uzdrowicielko, ty dajesz wiarę tym staroświeckim bujdom? Przyjeżdżamy tutaj od dziesięciu lat i nigdy nic się nam nie stało.

To nie była pora na zażarte dyskusje. Gada spojrzała znów na Jesse i zrozumiała, że beztroska dziewczyna i pogardliwy stosunek całego związku do niebezpieczeństwa grożącego ze strony reliktyw starego świata mimochodem okazały Jesse łaskę. Gada знаła metody postępowania z napromieniowanymi, ale nie było sposobu, który pomógłby w przypadku tak silnej dawki. Czegokolwiek by spróbowała, mogło to jedynie przedłużyć agonię Jesse.

— Co się stało? — po raz pierwszy głos Merideth drżał z przerażenia.

— Ona ma chorobę popromienną.

— Popromienną? Jakim cudem? Je i pije tylko to, czego sami spróbowaliśmy.

— To z krateru. Gleba jest skażona. Staroświeckie bujdy to prawda.

Merideth zbladła.

— No to rób coś! Pomóż jej!

— Nic nie mogę zrobić.

— Nie mogłaś jej pomóc przy złamaniu, nie możesz pomóc w chorobie...

Patrzyły na siebie, obie dotknięte do żywego i wściekłe. Pierwsza spuściła oczy Merideth.

— Przepraszam, nie miałam prawa...

— Na bogów, Merideth, chciałabym być wszechmocna, ale nie jestem.

Podniesione głosy obudziły Alexa. Wstał i podszedł do nich, przeciągając się i drapiąc po głowie.

— Już czas... — spojrzał na Gadę i na Merideth, potem na Jesse. — O bogowie!

Nowy ślad na czole, tam gdzie Gada położyła przed chwila rękę, nabrzmiał krwią.

Alex rzucił się na posłanie chcąc pochwycić Jesse, ale Gada go odciągnęła. Próbował ją odepchnąć.

— Alex, ledwie ją dotknęłam. Nie pomożesz jej w ten sposób.

— Więc jak?

Gada potrząsnęła głową.

Alex odsunął się od niej, oczy mu się zaszkliły.

— To niesprawiedliwe!

Wybiegł z namiotu. Merideth, stojąca u wejścia, popatrzyła za nim z wahaniem.

— Nie potrafi zrozumieć. Jest taki młody.

Gada pogładziła czoło Jesse, starając się nie otrzeć ani nie ucisnąć skóry.

— I ma rację. To niesprawiedliwe. Czy ktokolwiek kiedyś powiedział; że w ogóle coś jest sprawiedliwe?

Ucięła gwałtownie, by oszczędzić Merideth swego własnego rozgoryczenia spowodowanego straconymi szansami Jesse, które zostały zaprzepaszczone przez niefrasobliwość i szaleństwo minionych pokoleń.

— Merry? — Jesse wyciągnęła na osłep drżącą rękę.

— Jestem tutaj — Merideth sięgnęła ku niej dłonią, lecz powstrzymała się, nie chcąc dotknąć chorej.

— Co się dzieje? Czemu ja... — zamrugnęła powoli. Oczy miała nabrzmiałe krwią.

— Delikatnie — szepnęła Gada.

Merideth otuliła Jesse dłońmi tak łagodnymi jak skrzydła ptaka.

— Czy trzeba już jechać?

— Nie, kochanie.

— Tak tu gorąco...

Próbowała poprawić głowę na posłaniu. Zamarła, łapiąc głośno oddech. Diagnoza Gady była chłodna, nieludzka i bezlitosna: krwotok w narządach wewnętrznych.

— Nigdy tak nie bolało — spojrzała na Gadę, nie odwracając głowy. — To coś innego. Coś gorszego.

— Jesse, ja...

Gada zauważyła, że płacze, dopiero, gdy poczuła na wargach smak soli zmieszanej z drobinami pustynnego pyłu. Alex wślizgnął się powrotem do namiotu. Jesse próbowała znów coś powiedzieć, ale tylko chwyciła powietrze łapczywymi haustami.

Merideth ścisnęła rękę Gady. Ta poczuła, jak paznokcie przebijają skórę na jej ramieniu.

— Ona umiera?

Gada kiwnęła głową.

— Uzdrowiciele wiedzą, jak pomóc...jak...

— Merideth, nie — wyszeptała Jesse.

— ... jak uśmierzyć ból.

— Ona nie może...

— Zabili mi jednego z moich węży — powiedziała Gada głośniej, niż zamierzała.

Merideth pohamowała powtórną wybuch, ale Gada zrozumiała nieme oskarżenie. „Nie umiałaś pomóc jej żyć, a teraz nie potrafisz pomóc umrzeć.” Tym razem to Gada spuściła wzrok. Zasługiwała na potępienie.

Merideth puściła ją i odwróciła się do Jesse. Zawisła nad nią niczym demon gotujący się do walki z potworami.

Jesse wyciągnęła rękę, by dotknąć Merideth, ale gwałtownie cofnęła. Popatrzyła na miękkie wnętrze dłoni pomiędzy odciskami od pracy. Tworzył się tam siniak.

— Dlaczego...? — wyszeptała.

— Ostatnia wojna — wyjaśniła Gada. — W kraterach... — głos się jej załamał.

— To prawda — potwierdziła Jesse. — Moja rodzina wierzy w to, że świat na zewnątrz zabija, ale ja myślałam, że oni kłamią. — Straciła ostrość wzroku, zamrugła, spojrziała w kierunku Gady, ale chyba jej nie widziała. — Kłamali w tak wielu innych sprawach, choćby po to, żeby dzieci były posłuszne...

Znowu zamilkła. Zamknęła oczy. Powoli ciało jej wiotczało, najpierw jeden mięsień, potem następny, tak jakby nawet ich rozluźnienie kosztowało wysiłek, którego nie jest się w stanie ponieść od razu. Była wciąż przytomna, ale nie odpowiadała ani słowem, ani uśmiechem, ani spojrzeniem, gdy Merideth gładziła ją po jasnych włosach. Skóra wokół siniaków spopieliała.

Nagle Jesse krzyknęła przeraźliwie. Zacisnęła dłonie na skroniach, wbijając paznokcie w skórę. Gada złapała jej rękę, by je przytrzymać.

— Nie! — jęczała Jesse. — Och, zostaw mnie w spokoju...Merry, to boli!

Przed chwilą jeszcze tak słaba, Jesse rzucała się, rozgorączkowana, z ogromną siłą. Gada nie mogła zrobić nic, tylko łagodnie ją powstrzymywać. Jej wewnętrzny głos stawiający diagnozę mówił: „Tętniak”.

W mózgu Jesse pękały powoli naczynia, osłabione przez promieniowanie. Następna myśl Gady była jeszcze bardziej bezlitosna: „Pomódl się, aby pękł szybko i mocno, tak, aby od razu ją zabił”.

W tej samej chwili Gada spostrzegła, że nie ma obok niej Alexa, który przedtem próbował pomóc Jesse, a teraz poszedł na drugą stronę namiotu. Posłyszała grzechotanie Piaska. Instynktownie obróciła się i rzuciła w stronę Alexa. Łokciem uderzyła go w żołądek, a on wypuścił torbę z rąk dokładnie w momencie, gdy wysunął się z niej Piasek. Alex zwałił się na ziemię. Gada poczuła w nodze ból i zamierzyła się pięścią, ale powstrzymała cios.

Upadła na jedno kolano.

Piasek wił się na ziemi, grzechocząc lekko ogonem, gotów do następnego ataku. Serce Gady łomotało. Czuła w udzie silne pulsowanie. Tętnica udowa znajdowała się bliżej niż na szerokość palca od miejsca, w którym Piasek zatopił zęby w mięśniach.

— Głupcze! Szukasz śmierci?

Noga pulsowała jeszcze przez chwilę, nim organizm przezwyciężył działanie jadu. Szczęście, że Piasek nie trafił w arterię. Nawet ona mogłaby się rozchorować od takiego ukąszenia, a nie miała teraz na to czasu. Ból przeszedł w przytępione, głuche ćmienie.

— Jak możesz pozwolić jej umierać w takim bólu? — zapytał Alex.

— Wszystko, co bym zdołała przy pomocy Piaska, to powiększenie jej bólu.

Maskując złość, spokojnie odwróciła się w kierunku węża, podniosła go i włożyła z powrotem do torby.

— Grzechotniki nie dają szybkiej śmierci. — To nie była prawda, ale Gada chciała go nastraszyć. — Jeżeli ktoś przez nie umiera, to z powodu zakażenia. Gangrena.

Alex pobladł, ale nadal trwał przy swoim, rzucając gniewne spojrzenie.

Merideth zawołała go. Alex spojrział przelotnie na partnerkę i znowu, na długą chwilę, wbił w dziewczynę wyzywająco wzrok.

— A co z drugim węzem? — Odwrócił się do niej plecami i podszedł z boku do Jesse.

Trzymając torbę, Gada namacała zamek na przegródce Mgły. Potrząsnęła głową, odpychając wizję Jesse umierającej pod wpływem jadu kobry. Jej jad zabijał szybko. Nieprzyjemnie, ale szybko. Jakaż była różnica między uśmierzaniem bólu snem, a leczeniem go za pomocą śmierci?

Gada nigdy celowo nie spowodowała śmierci żadnej ludzkiej istoty, ani w gniewie, ani z litości. Nie wiedziała, czy teraz by potrafiła. Nie była w stanie ocenić, czy niechęć do takiego czynu brała się stąd, że tak ją wyszkolono, czy też pochodziła z jakiegoś głębszego, pierwotnego przekonania, że zabicie Jesse byłoby złem.

Słyszała, jak partnerzy rozmawiają po cichu. Nie rozumiała jednak słów: rozróżniała głos Merideth — jasny, melodyjny alt; głęboki, grzmiący tenor Alexa i Jesse, prawie pozbawioną tchu, wahającą się. Co chwila zapadała między nimi cisza, gdy Jesse walczyła z kolejnym atakiem bólu. Ostatnie godziny czy też dni życia pozbawiają zupełnie odwagi i wytrwałości.

Gada otworzyła torbę i wypuściła Mgłę, która oplotła się wokół jej ramienia aż po sam bark. Delikatnie przytrzymywała kobrę za tył głowy, tak, aby nie mogła uderzyć. Przeszła przez namiot.

Wszyscy troje spojrzeli na nią, jakby zaskoczeni jej obecnością, tak bardzo zagłębili się w swoich sprawach. Szczególnie Merideth zdawała się przez chwilę w ogóle nie poznawać Gady. Alex spoglądał to na Gadę, to na kobrę, a w jego oczach mieszały się uczucia żalu i triumfu. Mgła węszyła, chwytając językiem zapachy, a jej oczy lśniły we wzbierających ciemnościach jak srebrne lusterka. Jesse, pomrukując, zerkała na nią z ukosa. Chciała przetrzeć sobie oczy, ale powstrzymywała się na wspomnienie koszmarnego bólu w ręce.

— Uzdrowicielko? Podejdź bliżej, nie widzę dobrze.

Gada przyklękła między Alexem a Merideth. Po raz trzeci nie wiedziała, co ma powiedzieć Jesse. Czuła jakby to ona, a nie Jesse traciła wzrok. Oczy chorej zachodziły powoli szkarłatno — czarną mgłą.

— Jesse, nic nie jestem w stanie zrobić, by uśmierzyć ból. — Mgła miękko poruszała się pod jej ręką. — Wszystko, co mogę zaoferować...

— Powiedz jej — warknął Alex. Wpatrywał się w oczy Mgły jak urzeczony.

— Czy myślisz, że to łatwe? — odparowała Gada.

Alex nie podniósł na nią wzroku.

— Jesse... — zaczęła Gada. — Naturalny jad Mgły jest śmiertelny. Jeżeli chcesz, żebym...

— Co ty mówisz?! — wykrzyknęła Merideth.

Alex przemógł się i oderwał wzrok od węża.

— Merideth, nie odzywaj się. Jak możesz znieść...

— Obydwoje bądźcie cicho — skarciła ich Gada. — Decyzja nie należy do żadnego z was, a tylko do Jesse.

Alex zakoałsał się na piętach; Merideth usiadła sztywno. Jesse patrzyła gniewnie, nie odzywając się przez długą chwilę. Mgła usiłowała zsunąć się z ramienia Gady, ale dziewczyna powstrzymała ją.

— Ból ustanie? — odezwała się Jesse.

— Nie — odparła Gada — przykro mi...

— Kiedy umrę?

— Ból głowy spowodowany jest ciśnieniem krwi. Może ono cię zabić... w każdej chwili.

Merideth zgarbiła się i skryła twarz w dłoniach, ale Gada musiała dokończyć zdanie.

— Masz przed sobą kilka dni.

Jesse drgnęła na te słowa.

— Nie mam już ochoty ani na dzień dłużej — powiedziała słabo.

Między palcami Merideth kapały łzy.

— Kochana Merry, Alex wie — zaczęła Jesse. — Proszę cię, spróbuj zrozumieć. Już pora, żebym pozwoliła wam wyruszyć. — Spojrzała niewidzącymi oczyma na Gadę. — Zostaw nas na chwilę samych, a później z wdzięcznością przyjmę twój dar.

Gada podniosła się i wyszła z namiotu. Kolana jej drżały, a ramiona i kark bolały z nerwów. Usiadła na twardym, gruboziarnistym piachu, pragnąc, by noc już się skończyła.

Popatrzyła na niebo — wąski kawałek wykrojony przez ściany kanionu. Chmury tej nocy wydawały się być szczególnie ciężkie i gęste, bo chociaż księżyc nie podniósł się jeszcze na tyle, aby można go było widzieć, to choćby odrobina światła powinna pojawić się na niebie.

Nagle spostrzegła, że obłoki są bardzo zwiewne i ruchliwe, zbyt wątłe, by rozprasać światło. Poruszały się, gnane wiatrem, który pędził je wysoko nad ziemią. Gdy tak patrzyła, krawędź ciemnej chmury pękła i Gada zupełnie wyraźnie zobaczyła niebo czarne i głębokie, pobłyskujące różnokolorowymi światłami. Dziewczyna wpatrywała się w nie z nadzieją, że chmury nie zejną się powtórnie, pełna pragnienia, aby obok niej siedział ktoś jeszcze. Planety krążyły wokół niektórych z gwiazd, żyli na nich ludzie, którzy być może pomogliby Jesse, gdyby wiedzieli, że ona w ogóle istnieje. Rozważała, czy ich plan mógł mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia.

W namiocie ktoś odkrył jasną kulę z komórkami świetlnymi. Sine bioświatło omywało czarny piach przez szparę wejścia.

— Uzdrowicielko, Jesse cię woła.

Na jasnym tle widniał zarys sylwetki Merideth. Głos, odarty z melodyjności, brzmiał ostro i ochryple, brakło w nim nadziei.

Gada wniosła Mgłę do środka. Merideth już się do niej więcej nie odezwała. Nawet Alex patrzył na nią ze zmieniającym się wyrazem twarzy, który zdradzał niepewność i strach. Jedynie Jesse witała ją swymi niewidzącymi oczami. Merideth i Alex stali nad łóżkiem niczym strażnicy. Gada zatrzymała się. Nie miała wątpliwości co do swej decyzji, ale ostateczny wybór ciągle należał do Jesse.

— Podejdźcie i pocałujcie mnie — zażądała Jesse — a później zostawcie nas.

Merideth rzuciła się do przodu.

— Nie możesz żądać od nas, abyśmy teraz wyszli

— Już macie dość rzeczy, które musicie zapamiętać — głos jej drżał z wyczerpania.

Zmierzwiłone włosy lepiły się do czoła i policzków, a na jej twarzy malowało się skrajne wyczerpanie. Gada to widziała i widział to Alex, ale Merideth stała, przygnębiona, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Alex przyklęknął i delikatnie podniósł rękę Jesse do ust. Nieomal z namaszczeniem ucałował kobietę w palce, w policzek, w usta. Ona położyła mu rękę na ramieniu i przytrzymała przez chwilę. Podniósł się powoli, milczący, spojrzał na Gadę i wyszedł z namiotu.

— Merry, proszę, powiedz... powiedz: „do widzenia,” zanim wyjdiesz.

Pokonana Merideth klęknęła obok niej i odgarnęła rude włosy ze spuchniętej twarzy. Uniosła ją i objęła. Jesse odwzajemniła uścisk. Żadna nie powiedziała słowa pocieszenia.

Merideth opuściła namiot w ciszy, która trwała dłużej, niż Gada sobie tego życzyła. Kiedy odgłos kroków osłabł do lekkiego chrzęstu piachu rozgarnianego skórzanymi butami, Jesse zatrzęsała się, wydając z siebie coś między krzykiem a jękiem.

— Uzdrowicielko?

— Jestem tu. — Gada przyłożyła dłoń do jej szerokiego czoła.

— Czy myślisz, że udałoby się nam?

— Nie wiem — odpowiedziała Gada, przypominając sobie, jak jedna z jej nauczycielek powróciła spod Miasta, gdzie przywitała ją jedynie zatrzaśnięta brama i ludzie, którzy nie chcieli z nią rozmawiać. — Chcę wierzyć, że tak.

Usta Jesse zsiniały; były prawie fioletowe. Dolna warga pękła. Gada otarła krew rzadką jak woda i niemożliwą do zatamowania.

— Mimo to, idź — wyszeptała Jesse.

— Co?

— Idź do Miasta. Ciągłe mają wobec ciebie dług.

— Jesse, nie...

— Tak. Żyją pod kamiennym niebem, bojąc się wszystkiego, co jest na zewnątrz. Mogą ci pomóc i potrzebują twojej pomocy. Za parę pokoleń będzie to gromada szaleńców. Powiedz im, że żyłam i że byłam szczęśliwa. Powiedz im, że mogłam żyć, gdyby mówili prawdę. Mówili, że wszystko na zewnątrz jest śmiertelne, więc sądziłam, że to nieprawda.

— Zaniosę wiadomość od ciebie.

— Nie zapominaj o sobie. Inni ludzie potrzebują...

Zabrakło jej tchu, a Gada w milczeniu czekała na polecenie, które musiało nastąpić. Pot płynął jej po ciele. Wyczuwając rozpacz Gady, Mgła otuliła szczelniej jej ramię.

— Uzdrowicielko?

Gada poklepała jej dłoń.

— Merry zabrała cały ból. Proszę, pozwól mi odejść, zanim znów powróci.

— Dobrze, Jesse. — Uwolniła Mgłę z ramienia. — Spróbuje zrobić to tak szybko, jak tylko umiem.

Piękna, postarzała twarz zwróciła się w jej kierunku.

— Dziękuję!

Gada była zadowolona, że Jesse nie widzi tego, co miało nastąpić. Mgła uderzy w jedną z tętnic szyjnych, tuż pod szczęką, tak, aby jad dotarł do mózgu i zabił natychmiast. Gada zaplanowała to wszystko bardzo starannie, bez najmniejszych emocji. Sama była zdziwiona, jak może myśleć o tym tak precyzyjnie.

Zaczęła przemawiać uspokajająco.

— Rozluźnij się. Pozwól, aby głowa opadła do tyłu. Zamknij oczy, wyobraź sobie, że pora na sen...

Trzymała Mgłę nad piersią Jesse, czekając, aż jej napięcie opadnie i ustanie lekkie drżenie. Łzy spływały Gadzie po policzkach, ale widziała wszystko bardzo wyraźnie. Widziała puls bijący na szyi.

Mgła wysunęła i schowała język. Rozłożyła kaptur. Uderzy natychmiast, gdy tylko Gada zwolni ucisk.

— Głęboki sen, piękny sen.

Głowa Jesse zwisała, odsłaniając gardło. Mgła sunęła powoli naprzód. Gada poczuła, jak jej palce rozchylają się w tym samym momencie, w którym pomyślała: „Czy muszę to robić?”

Nagle Jesse rzuciła się konwulsyjnie. Górna część tułowia wygięła się w łuk. Głowa poderwała się w tył, ręce zeszywniały, a palce skurczyły szponowato. Przestraszona Mgła uderzyła. Konwulsje chwyciły Jesse po raz drugi. W miejscu, gdzie Mgła wbiła zęby, pojawiły się dwie czerwone kropelki. Ciało Jesse jeszcze drgało, ale było już martwe.

Gada włożyła Mgłę do torby i obmyła zwłoki tak delikatnie, jakby to ciągle była Jesse. Ale już nic z niej nie zostało. Piękno odeszło wraz z życiem, zostawiając zdeformowane, pokryte sińcami ciało. Gada zamknęła jej oczy i naciągnęła poplamione prześcieradło na twarz.

Wyszła z namiotu, niosąc skórzaną torbę. Merideth i Alex obserwowali, jak się zbliżała. Księżyc podniósł się i Gada widziała ich postacie w odcieniach szarości.

— Już po wszystkim — powiedziała.

Jakimś cudem jej głos brzmiał zwyczajnie.

Merideth nie poruszyła się ani nie odezwała. Alex wziął rękę Gady, tak jak przedtem rękę Jesse i pocałował. Gada cofnęła się, nie życząc sobie żadnych podziękowań.

— Powinnam była z nią zostać — powiedziała Merideth.

— Merry, ona nie chciała, żebyśmy zostali.

Gada zauważyła, że Merideth miała skłonności do powtarzania w wyobraźni tego, co się zdarzyło, rozważając to na tysiąc sposobów, z których każdy był okropniejszy od poprzedniego — póki ktoś nie przerwał tego fantazjowania.

— Mam nadzieję, że mi wierzysz, Merideth — powiedziała Gada — Jesse powiedziała: „Merry zabrała cały ból” i w chwilę później, tuż po uderzeniu mojej kobry, już nie żyła. Umarła natychmiast. W jej mózgu pękła tętnica. Ale ona już tego nie poczuła. Już nie poczuła Mgły. Bogowie świadkami, wierzę, że tak było naprawdę.

— Skończyłoby się tak samo bez względu na to, co byśmy zrobili?

— Tak.

Wydawało się, że w końcu uspokoiło to Merideth. Ale nie Gadę. Ciągłe pamiętała, że to ona zadała śmierć Jesse.

Gdy zobaczyła, jak nienawisć do samej siebie znika z twarzy Merideth, Gada skierowała się ku stokowi, tam gdzie pochyłość przechodziła w bazaltowy płaskowyż.

— Dokąd idziesz? — zatrzymał ją Alex.

— Wracam do swojego obozu — powiedziała matowym głosem.

— Zaczekaj, proszę. Jesse chciała ci coś podarować.

Gdyby powiedział, że Jesse prosiła ich, aby dali jej jakiś prezent, odmówiłaby. Ale — nie wiedział, czemu — fakt, że Jesse zostawiła go sama, wszystko zmieniał. Bezwolnie przystanąła.

— Nie mogę — powiedziała. — Alex, pozwól mi iść.

Odwrócił ją delikatnie i poprowadził na powrót do obozu.

Merideth zniknęła. Była w namiocie z ciałem Jesse albo opłakiwała ją gdzieś w samotności.

Jesse zostawiła konia: ciemnosiwą klacz. Pięknie zbudowane zwierzę; żywość i siła. Wbrew sobie, wbrew świadomości, że nie był to dar dla uzdrowiciela, serce Gady rwało się ku klaczy. Wydawało się jej, że ten wierzchowiec jest jedyną rzeczą, którą mogła nazwać czystym pięknem i siłą. Alex podał Gadzie wodze. Uzda wysadzana była złotymi ornamentami w pełnym delikatności stylu Merideth.

— Nazywa się Błyskawica — powiedział Alex.

Gada szykowała się do przejścia przez lawę zanim nastanie brzask. Kopyta klaczy postukiwały głucho o skały, skórzana torba objęła się o bok wierzchowca i nogi Gady. Wiedziała, że nie może wrócić do osady uzdrowicieli. Jeszcze nie teraz. Dzisiejsza noc udowodniła, że nie może przestać być uzdrowicielką, choćby nie wiadomo jak niestosownych narzędzi używała. Gdyby nauczyciele odebrali jej Mgłę i Piaska, a potem wyrzucili ją, nie potrafiłaby tego znieść.

Oszalałaby wiedząc, że w tym czy w innym miasteczku lub obozie jest choroba, a ona miałaby nie pomóc. Zawsze próbowałaby coś zrobić.

Wychowano ją w poczuciu dumy, nauczono, by polegała tylko na sobie. Musiałaby z tego zrezygnować, gdyby pojechała teraz do domu. Obiecała Jesse, że zanieś jej wiadomość do Miasta. Dotrzyma, więc obietnicy. Pojedzie do Miasta. Zrobi to dla Jesse. I dla siebie.

4.

Arevin siedział na wielkim głazie. Na piersi, w nosidełku z płachty, gaworzyło dziecko kuzynki. Ciepło i ruchliwość tej małej istoty były dla niego pocieszeniem, gdy wpatrywał się w pustynię ku której odeszła Gada.

Stavin czuł się dobrze, a niemowlę było zdrowe. Arevin wiedział, że powinien być szczęśliwy, gdyż los sprzyjał jego klanowi; tym bardziej więc rosło poczucie winy, że tak pogrążał się w smutku. Dotknął policzka w miejscu, gdzie biały wąż uderzył go ogonem. Tak jak obiecała uzdrowicielka, nie pozostała żadna blizna.

Gada — zdawało się niemożliwe, że nie było jej przez czas tak długi, aż szrama zdążyła się zrosnąć i wygoić. Pamiętał przecież dziewczynę tak dokładnie jakby rozstali się poprzedniego dnia. Gady nie dotyczyło prawo, które twierdzi, że odległość i czas kończą wszelkie znajomości. Jednocześnie Arevinowi wydawało się, że odeszła na zawsze.

Jedna z wielkich krów piżmowych z klanowego stada wgramoliła się na górę i czochnęła bokiem o głaz. Dmuchnęła na Arevina przez rozdęte nozdrza, wciskając pysk pod jego stopę i liżąc but wielkim, różowym jęzorem. Niedaleko młody byczek przeżuwał suche, bezlistne gałązki pustynnego krzewu.

Wszystkie sztuki w stadzie mocno schudły w ciągu suchego lata; sierść miały teraz szorstką i matową. Dobrze znosiły upały, o ile czesano starannie ich runo, gdy zaczynały linieć na wiosnę. A że klan hodował woły ze względu na ich piękną, delikatną, zimową wełnę, nigdy tego zabiegu nie zaniedbywano. Mimo to woły, podobnie jak ludzie, miały już dość lata, upału i diety złożonej z suchego, pozbawionego smaku pożywienia. Zwierzęta wyczekiwały już — na swój łagodny, cierpliwy sposób — powrotu do świeżej trawy zimowych pastwisk. Zazwyczaj Arevin także był zadowolony z wędrówki na płaskowyż.

Dziecko machało kruchymi rączkami, schwyciło palec Arevina i pociągnęło ku sobie. Arevin uśmiechnął się.

— To jedyna rzecz, jakiej nie mogę dla ciebie zrobić, małeńki — powiedział.

Dziecko ssało koniec jego palca i pomrukiwało zadowolone. Nie płakało, że z palca nie płynie mleko. Oczy miało niebieskie — tak jak Gada. „Dużo dzieci ma niebieskie oczy” — pomyślał Arevin. To potwierdzenie spowodowało, że młodzieniec znów zatoił się w marzeniach.

Gada śniła mu się co noc, oczywiście z wyjątkiem tych, kiedy nie mógł zasnąć. Nigdy przedtem nie był w takim stanie. Wciąż wracały wspomnienia tych kilku chwil, gdy opierali się o siebie na pustyni; pamiętał dotknięcie jej mocnych palców na zranionym policzku, czy w namiocie Stavina, gdy ją pocieszał. To było absurdalne, że za najszcześniejszą chwilę swojego życia uznawał moment tuż przed tym, jak dowiedział się, że dziewczyna musi odjechać; kiedy ją objął i przez sekundę miał nadzieję, że jednak zdecyduje się zostać. „Pewnie by została — pomyślał — przecież potrzebny nam uzdrowiciel. I może trochę ze względu na mnie.

Zostałaby dłużej, gdyby mogła...”

Wtedy to po raz pierwszy w życiu płakał. Rozumiał jednak jej niechęć do pozostania, wobec tego, co ją tutaj spotkało. Teraz on sam czuł się tak, jakby mu coś odebrano, jakby poniósł jakąś ogromną, nie do odrobienia stratę. Był nieszczęśliwy. Wiedział o tym, ale nie potrafił temu zaradzić. Każdego dnia żywił nadzieję, że Gada wróci, chociaż zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe.

Nie miał pojęcia, jak daleko za pustynią jest miejsce, do którego zmierzała. Mogła podróżować z ośrodka uzdrowieli tydzień, miesiąc, czy nawet pół roku, zanim doszła do pustyni i zdecydowała się ją przejść w poszukiwaniu nowych ludzi i nowych miejsc.

Powinien był pójść razem z nią. Teraz nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zatraskana, rozżalona, nie chciała się na to zgodzić, ale on powinien był od razu się zorientować, że sama nigdy nie będzie w stanie wyjaśnić nauczycielom, co się tutaj naprawdę stało.

Nawet przyrodzona przenikliwość umysłu nie była w stanie dopomóc Gadzie w zrozumieniu bezmiaru strachu, jaki ludzie Arevina odczuwali przed węzami. Arevin znał to z doświadczenia, z koszmaru, który ciągle żył w jego pamięci: śmierci młodszej siostry. Pamiętał zimny pot ciekący mu po plecach, gdy Gada poprosiła, by pomógł jej przytrzymać Mglę. Pamiętał też swoje śmiertelne przerażenie, gdy żmija piaskowa ukąsiła Gadę. Wtedy już ją kochał, a był pewien, że umrze.

Dziewczyna kojarzyła się mu z jedynymi niewątpliwymi cudami, jakich doświadczył w życiu. Nie umarła — to był pierwszy z nich, a drugi to ten, że ocalała Stavina przed śmiercią.

Dzieciaczek zamrugał oczyma i zaczął mocniej ssać palec Arevina. Młodzieniec zsunął się z głazu i wyciągnął drugą rękę. Olbrzymia krowa piżmowa położyła mu głowę na dłoni, a on podrapał ją pod brodą.

— Dasz dziś obiadek temu dzieciątku? — zapytał.

Poklepał zwierzę po brzuchu, po czym przykucnął obok. Krowa nie miała zbyt wiele mleka o tak późnej porze roku, ale dla dziecka wystarczy w zupełności. Arevin otarł rękawem wymię i podstawił pod nie małego człowieczka, który natychmiast zaczął łapczywie ssać.

Kiedy niemowlę zaspokoilo głód, Arevin znów podrapał krowę pod brodą i z powrotem wspiął się na głaz.

Po chwili małeństwo już spało, zacisnąwszy paluszki wokół ręki Arevina.

— Kuzynie!

Obejrzał się za siebie. Przywódczyni wdrapała się na głaz i usiadła obok. Jej długie, rozpuszczone włosy powiewały na wietrze. Pochyliła się i uśmiechnęła do niemowlęcia.

— Jak się sprawuje?

— Doskonale.

Ruchem głowy strząsnęła włosy z twarzy.

— O wiele łatwiej się nosi dzieci, gdy ma się je na plecach. Możesz też położyć je na chwilę na ziemi.

Uśmiechnęła się z lekka. Nie zawsze była tak pełna dystansu i godności jak wtedy, gdy podejmowała gości klanu.

Arevinowi udało się odwzajemnić uśmiech.

Położyła rękę na dłoni, którą trzymał dziecko.

— Mój drogi, czy muszę pytać, co się z tobą dzieje?

Arevin z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

— Spróbuję lepiej się sprawować — powiedział. — Wiem, że ostatnio mało ze mnie pożytku.

— Myślisz, iż przyszłam tu po to, aby cię ganić?

— To byłoby właściwe.

Arevin nie patrzył na kuzynkę, lecz w jej spokojnie śpiące dziecko. Kobieta puściła jego rękę i objęła go ramieniem.

— Arevinie — zwróciła się do niego bezpośrednio po imieniu po raz trzeci w jego życiu. — Arevinie, dużo dla mnie znaczysz. W swoim czasie możesz zostać wybrany przywódcą, jeśli zechcesz. Ale musisz się uspokoić. Skoro ona ciebie nie chciała...

— Chcieliśmy siebie nawzajem — powiedział — ale ona nie mogła tutaj dalej pracować i powiedziała, że nie wolno mi z nią jechać. A ja nie mogę teraz wyruszyć za nią.

Od czasu, gdy zmarli mu rodzice, Arevin został przyjęty jako członek grupy rodzinnej kuzynki. Było tam sześcioro dorosłych partnerów, dwoje, a teraz troje dzieci i Arevin. Zakresu jego obowiązków jeszcze nie sprecyzowano, ale sam poczuwał się do opieki nad dziećmi.

Zwłaszcza w czasie wędrówki na terytorium zimowe, wspólnie potrzebna była praca każdego z członków. Teraz, aż do zakończenia wyprawy, trzeba będzie pilnować wołów piźmowych dniem i nocą, inaczej jeden za drugim pójdą na wschód w poszukiwaniu karmy i nikt ich już więcej nie zobaczy. Znalezienie pożywienia o tej porze roku stanowiło trudność również dla ludzi. Gdyby jednak wyruszyli na zimowe tereny za wcześnie — w czasie, gdy roślinność pastewna dopiero kiełkuje — mogliby ją stratać.

— Kuzynie, powiedz mi to, co masz do powiedzenia.

— Wiem, że klan nie może sobie teraz pozwolić na utratę żadnej pary rąk do pracy. Mam tu obowiązki wobec ciebie, tego dziecka... Ale jak uzdrowicielka wytłumaczy to, co tu zaszło? Jak wytłumaczy wszystko nauczycielom, skoro sama wszystkiego nie rozumie? Widziałem, jak ukąsiła ją żmija piaskowa. Widziałem, jak jad i krew spływają po jej ręce, a ona prawie tego nie zauważyła.

Arevin spojrział na przyjaciółkę, gdyż nikomu przedtem nie mówił o żmii piaskowej w obawie, że go wyśmieją. Przywódczyni była zaskoczona, ale nie kwestionowała jego słów.

— W jaki sposób ona może wyjaśnić, czym był nasz strach przed tym, co nam ofiarowała? Powie swoim nauczycielom, że popełniła błąd i z tego powodu mały wąż został zabity. Obwinia za to siebie. Oni także będą ją winić i ukarzą ją za to.

Przywódczyni klanu wpatrywała się w pustynię.

— To dumna kobieta — powiedziała. — Masz rację. Ona nie będzie próbowała się usprawiedliwiać.

— Nie wróci, jeżeli ją wypędzą — powiedział Arevin. — Nie wiem dokąd pójdzie, ale my już jej nigdy nie zobaczymy.

— Nadchodzą burze — powiedziała nagle przywódczyni. Arevin skinął głową.

— Gdybyś za nią wyruszył...

— Nie mogę! Nie teraz!

— Mój drogi — powiedziała przywódczyni — żyjemy tak, aby każdy z nas był na tyle wolny, na ile to możliwe. Sam skazujesz się na niewolę odpowiedzialności w chwili, gdy nadzwyczajne wypadki wymagają zdecydowanego działania — Gdybyś był partnerem w grupie i gdyby twoim obowiązkiem było utrzymanie tego dziecka, sprawa byłaby prostsza, ale i wtedy nie stanowiłoby to problemu nie do rozwiązania. Prawdę mówiąc, to mój partner ma o wiele więcej czasu od momentu narodzenia dziecka, niż się spodziewał. To dlatego, że ty zawsze robisz więcej, niż się tego od ciebie wymaga.

— To nie tak — Arevin zareplikował gwałtownie. — Chciałem pomóc przy dziecku, potrzebowałem tego. Potrzebowałem... — Urwał, nie wiedząc, co powiedzieć. — Byłem mu wdzięczny, że pozwolił mi sobie pomagać.

— Wiem. I nie oponowałam. Ale to ty robiłeś jemu przysługę, nie on tobie. Może już pora przekazać mu obowiązki z powrotem — uśmiechnęła się przyjaźnie. — Grozi mu, że za bardzo pochłonie go praca.

Jej partner był z pewnością najlepszy w klanie, ale przywódczyni miała rację: zbyt często sprawiał wrażenie, że żyje śniąc na jawie.

— Nie powinienem był jej w ogóle pozwolić, by odeszła — wyrzucił z siebie gwałtownie Arevin. — Dlaczego wcześniej tego nie wiedziałem? Miałem ochraniać moją siostrę i zawiodłem, a teraz zawiodłem w przypadku uzdrowicielki. Powinna była z nami zostać.

— Czułaby się u nas jak kaleka!

— Mogłaby nadal uzdrawiać...!

— Mój drogi przyjacielu — powiedziała kuzynka — niemożliwością jest otoczyć kogoś absolutną opieką, nie robiąc z niego jednocześnie niewolnika. Myślę, że to jest to, czego ty nigdy nie rozumiałeś, bo zawsze zbyt wiele wymagałeś od siebie. Winisz siebie za śmierć siostry...

— Nie dopilnowałem jej.

— A co mogłeś zrobić? Przypomnij sobie jej życie, a nie jej śmierć. Była odważna, szczęśliwa i butna, jak każde dziecko. Mógłbyś chronić lepiej — ale nie inaczej, jak tylko powodując jej zależność od siebie, opartą na strachu. Nie mogłaby żyć w taki sposób i pozostać osobą, którą kochasz. I nie mogłaby też, jak mi się wydaje uzdrowicielka.

Arevin przyglądał się niemowlęciu na swych rękach. Wiedział, że kuzynka ma rację, a jednak ciągle nie potrafił odrzucić poczucia winy i niepokoju.

Łagodnie poklepała go po ramieniu.

— Znasz uzdrowicielkę lepiej i mówisz, że nie umie wytłumaczyć innym naszego strachu. Myślę, że masz rację. Sama powinnam była na to wpaść. Nie chcę, aby ukarano ją za to, co zrobiliśmy ani nie chciałabym, aby źle nas rozumiano. — Piękna kobieta obracała w palcach skórzane kółko zawieszona u szyi na rzemieniu. — Zgadzam się. Ktoś musi pojechać do osady uzdrowicieli. Ja mogłabym to zrobić, bo dbać o honor klanu to mój obowiązek. Mógłby pojechać partner mojego brata, bo to on zabił węża. Możesz też pojechać ty, bo nazywasz uzdrowicielkę swym przyjacielem. Klan będzie musiał się zebrać i zdecydować, kto pojedzie. Jednak... jedynie ty zostałeś jej przyjacielem.

Przeniosła wzrok z horyzontu na Arevina, a on wiedział, że dostatecznie długo była przywódczynią, aby nauczyć się takiego sposobu rozumowania, jakim posługiwał się klan.

— Dziękuję — powiedział.

— Straciłeś wielu ludzi, których kochałeś. Nie mogłam nic zrobić, kiedy straciłeś rodziców, ani wtedy, gdy umarła twoja siostrzyczka. Tym razem jednak pomogę ci, nawet jeśli to oznacza, że nie będziesz z nami. — Przesunęła ręką po jego włosach, które zaczynały już siwieć, tak jak i jej. — Ale pamiętaj proszę, mój kochany, że nie chciałabym stracić cię na zawsze.

Szybko zeszła na pustynny piach, zostawiając Arevina własnym myślom. Jej zaufanie dodało mu pewności; nie musiał już dłużej stawiać sobie pytania, czy wyruszenie śladami Gady jest rzeczą słuszną. Klan był jej to winien. Arevin uwolnił rękę z uścisku dziecka, przesunął płócienne nosidełko na plecy i zszedł z głazu.

Oaza była tak zielona i puszysta w mdłym świetle poranka, że Gadzie wydawało się, iż jest to miraż. Nie czuła się na siłach, by rozróżnić złudzenie od rzeczywistości. Jechała przez całą noc, aby przekroczyć rozlewisko lawy, zanim wstanie słońce i zanim upał zacznie palić niemilosiernie. Czuła pieczenie w oczach, a usta miała wysuszone i spękane.

Szara klacz — Błyskawica, podniosła łeb i zastrzygła uszami, a nozdrza poczęły jej drżeć, gdy zwęszyła zapach wody. Kiedy koń zaczął kłusować, Gada nie ściągnęła cugli.

Otoczyły ich filigranowe drzewa sezonu letniego, które gładziły Gadę po ramionach liśćmi lekkimi jak piórka. Powietrze pod nimi było nieco chłodniejsze i aż ciężkie od zapachu dojrzewających owoców. Gada zsunęła chustę z twarzy i odetchnęła głęboko. Zsiadła i doprowadziła Błyskawicę do ciemnej, przejrzystej sadzawki. Klacz wsadziła pysk do wody i piła. Zanurzyła nawet nozdrza. Gada przykucnęła obok i nabrała wodę w dłoń. Ciecz przeciekała jej przez palce, wzbudzając kręgi na powierzchni stawu. Kiedy drobne fale zanikły, Gada zobaczyła swoje odbicie. Jej twarz pokrywała gruba warstwa kurzu. „Wyglądam jak rzezimieszek” — pomyślała, śmiejąc się. Ale był to śmiech pogardy, nie radości. Łzy wyżłobiły bruzdy na przykurzonych policzkach. Dotknęła ich, wciąż wpatrując się w wodę.

Bardzo pragnęła zapomnieć ostatnie kilka dni, ale wiedziała, że one nigdy jej nie opuszczą. Ciągłe wspominała suchą i delikatną skórę Jesse i ten jej lekki, pytający dotyk. Wciąż słyszała jej głos. Czowała też boleść agonii Jesse, cierpienie, któremu nie umiała zapobiec ani ulżyć. Gada nie chciała już więcej oglądać i odczuwać bólu.

Zanurzyła ręce w zimnej wodzie i trysnęła nią w twarz. Zmyła czarny kurz, pot i ślady łez.

Poprowadziła Błyskawicę wzdłuż brzegu, mijając namioty i ciche obozowiska, gdzie spali nomadowie. Gdy doszła do obozu Grum, przystanęła. Poły namiotu były zamknięte. Gada nie chciała budzić starej kobiety i jej wnuków. Nieco dalej od brzegu była zagroda dla koni. Lisek, jej tygrysi kucyk drzemał na stojąco pośród koni Grum. Jego czarnowłosa sierść lśniła, ujawniając efekty energicznego tygodniowego szczotkowania. Kuc był tłusty i zadowolony. Nie utykał już na niepodkutą nogę. Gada zdecydowała się zostawić go u Grum na jeszcze jeden dzień i nie przeszkadzać tego ranka ani zwierzęciu, ani starej koczownicze.

Błyskawica szła za Gadą wzdłuż brzegu, trącając ją od czasu do czasu nosem w biodro. Gada podrapała klacz za uchem, tam gdzie pot zasechł pod uzdą. Ludzie Arevina obdarowali ją workiem ze sprasowanym sianem dla Liska, ale kucyka karmiła Grum, więc pasza powinna być ciągle w obozie.

— Jedzenie, porządne czyszczenie i sen, to jest to, czego potrzebujemy — powiedziała do klaczy.

Rozbiła swój obóz z dala od innych, poza sterczącymi skałkami, w rejonie niezbyt lubianym przez handlarzy. Tak było bezpieczniej i dla ludzi, i dla jej węży. Gada ominęła ostrą, kamienistą krawędź.

Wszystko się zmieniło. Zostawiła posłanie rozgrzebane na ziemi, tak jak wstała, ale cała reszta była spakowana. Teraz ktoś pozwijał koce i ułożył jeden na drugim. W pobliżu położył zapasową odzież, a naczynia do gotowania ułożył w rzędzie na piachu. Gada zmarszczyła brwi i podeszła bliżej. Uzdrowicieli traktowano z szacunkiem,

a nawet z pewną dozą strachu. Nawet nie pomyślała o tym, aby prosić Grum o dogładanie jej konia, a co dopiero dobytku. To, że ktoś mógłby ruszać jej rzeczy, nawet nie przyszło jej na myśl.

Po chwili zauważyła, że sprzęty były zniszczone: metalowy talerz zgięty w pół, filiżanka zmiażdżona, łyżka wykręcona. Upuściła lejce Błyskawicy i pośpieszyła zrobić porządek wśród dobytku. Złożone koce były pocięte i porozrywane. Podniosła wypraną przed tygodniem koszulę, która wcale nie okazała się czysta. Ktoś wytarzał ją w błocie. To była stara, znoszona koszula, miękka i przyjemna, choć poprzecierana w słabszych miejscach. Jej ulubiona. Teraz ktoś ją rozdarł na plecach i poszarpał rękawy.

Worek na paszę leżał w jednym rzędzie z innymi rzeczami, ale rozwleczone kostki prasowanego siana były wdeptane w piach. Błyskawica szczypała resztki, podczas gdy Gada rozglądała się po zrujnowanym namiocie. Nie potrafiła sobie uzmysłwić, po co ktoś miałby dewastować jej obozowisko, a potem starannie układać zniszczone rzeczy. Ciężko było pojąć, dlaczego w ogóle miałby plądrować jej obóz, bo nie znajdowało się w nim nic specjalnie wartościowego.

Potrząsnęła głową. Może ktoś sądził, że pobierała sowite opłaty w złocie i kamieniach? Niektórych uzdrowicieli hojnie obdarowywano za ich usługi. Niemniej na pustyni panowało silne poczucie godności i nawet ludzie, których nie chroniło uznanie związane z ich profesją, nie namyślali się wiele, zostawiając wartościowe rzeczy bez opieki.

Wciąż trzymając w dłoni rozdartą koszulę, Gada obchodziła to, co było kiedyś jej obozowiskiem. Czowała zbyt wielkie zmęczenie, pustkę i zagubienie, by móc rozważać, co się stało. Juczne siodło Liska było oparte o skałę. Gada podniosła je chyba tylko dlatego, że wyglądało na nie uszkodzone.

Spostrzegła wtedy, że wszystkie kieszenie zostały rozdarte i poszarpane, chociaż zamknięte były jedynie na sprzączki.

W bocznych kieszeniach znajdowały się wyłącznie mapy, notatki i dziennik z jej nie ukończonego jeszcze próbnego roku. Wepchnęła ręce głębiej w nadziei, że znajdzie choćby skrawek papieru, ale nie zostało nic. Gada cisnęła siodłem o ziemię. Zaczęła biegać po obrzeżu obozowiska, zaglądając za skały i kopać piach, łudząc się, że ujrzy porzucone kartki lub usłyszysz szelest papieru pod stopami. Nic jednak nie znalazła.

Poczuła się zagrożona. Wszystko, co miała: jej koce, ubrania i mapy, mogłyby z trudem być użyteczne dla złodzieja, ale dziennik nie przedstawiał żadnej wartości dla nikogo, prócz niej samej.

— Żeby cię cholera wzięła! — krzyknęła wściekle w pustkę.

Klacz prychnęła i uskoczyła w sadzawkę, rozpryskując wodę. Gada opanowała się, wyciągnęła rękę i powoli podeszła do Błyskawicy, przemawiając łagodnie, aż zwierzę pozwoliło się chwycić za uzdę. Dziewczyna pogłaskała wierzchowca.

— Już dobrze — powiedziała. — Wszystko będzie w porządku, nie przejmuj się.

Mówiła to tak do siebie, jak i do klaczy. Obie stały po kolana w przejrzystej, chłodnej wodzie. Gada poklepała konia po łopatce, rozczesała palcami czarną grzywę. Nagle zrobiło jej się słabo. Oparła się o kark Błyskawicy. Drżała.

Wysłuchując się w mocne, miarowe uderzenia serca i spokojny oddech zwierzęcia. Gada zdołała się opanować. Wyprostowała się i wyszła z wody. Na brzegu odpięła torbę z wężami i rozsiedlała klacz. Zaczęła ją czyścić kawałkiem podartego koca. Pracowała z wyrazem wyczerpania na twarzy. Wyszukane siodło i uzda, pokryte kurzem mogły poczekać, ale Błyskawicy nie zostawiłaby brudnej i spoconej, gdy sama miała wypoczywać.

— Gada, dziecko, uzdrowicielko, dziecino! Moja droga...

Dziewczyna odwróciła się. Grum kuśtykała w jej kierunku, podparta na toczonej lasce. Jedno z jej wnucząt — młoda, wysoka, hebanowa kobieta — szło razem z nią. Wnuki Grum wiedziały, że lepiej nie ofiarowywać pomocy złamanej artretyzmem, starej kobiecie.

— Drogie dziecko, jak mogłam pozwolić, żebyś przeszła obok i nie zauważyć cię!? Myślałam sobie: usłyszę, jak będzie wchodziła albo jej kucyk zarzy, zwietrzywszy panią. — Na pomarszczonej ze starości, mocno opalonej twarzy Grum pojawiły się dodatkowe bruzdy, świadczące o zatroskaniu. — Gada, dziecinko, za nic nie chcielibyśmy widzieć cię tak opuszczonej.

— Co się stało Grum?

— Pauli — Grum zwróciła się do wnuczki — zaopiekuj się koniem uzdrowicielki.

— Dobrze, Grum. — Pauli wzięła lejce i położyła rękę na ramieniu Gady w geście pocieszenia.

Podniosła siodło i poprowadziła Błyskawicę z powrotem do obozu Grum. Grum ujęła Gadę za łokieć, ale nie po to, aby się podeprzeć, lecz by podtrzymać Gadę. Prowadziła ją do sporego kamienia. Usiadły i Gada ponownie rozejrzała się po swoim obozie. Niedowierzanie brało górę nad zmęczeniem. Spojrzała na Grum. Stara kobieta westchnęła.

— To było wczoraj, tuż przed świtem. Usłyszeliśmy hałas i głos, ale nie twój. Kiedy przyszliśmy, zobaczyliśmy pojedynczą postać w stroju pustynnym. Myśleliśmy, że tańczy, ale kiedy podeszliśmy bliżej, ten złoczyńca uciekł. Stłukł latarkę i nie mogliśmy go znaleźć. Obejrzelismy twój obóz. Nie pozostało nic, co byłoby całe.

Gada w milczeniu patrzyła dookoła ani trochę bliższa rozwiązania zagadki: dlaczego ktoś miałby przeszukiwać jej obóz.

— Nad ranem wiatr zasypał ślady — ciągnęła Grum. — To stworzenie musiało uciec na pustynię, ale nie był to człowiek pustyni. My nie kradniemy. My nie niszczymy.

— Wiem, Grum.

— Chodź ze mną. Zjesz śniadanie, wyśpisz się i zapomnisz o szaleńcu. Wszyscy musimy uważać na szaleńców. — Wzięła poblížnioną dłoń Gady w swoją. — Nie powinnaś była sama tego oglądać. Szkoda, że nie udało mi się przedtem z tobą zobaczyć, dziecinko.

— W porządku, Grum.

— Pozwól, pomogę ci przeprowadzić się do mojego namiotu. Nie chcesz tu chyba zostać dłużej?

— Nie ma tu nic, co warto zabrać. — Stała obok Grum, wpatrując się w pobojuwisko.

— Zniszczył wszystko, Grum. Gdyby to wszystko zabrał, zrozumiałabym.

Stara kobieta łagodnie poklepała jej dłoń.

— Kochanie, nikt nie rozumie szaleńców. Oni działają bez żadnych przyczyn.

Właśnie, dlatego Gada nie mogła uwierzyć, że była to robota wariata. Zniszczenia dokonano tak metodycznie i w tak racjonalny sposób, że zdawało się to nie tyle rezultatem choroby psychicznej, ile wściekłości. Znowu wstrząsnął nią dreszcz.

— Chodź ze mną — powiedziała Grum. — Nienormalni pojawiają się, później znikają. Tak jak mniszki piaskowe; jednego roku słyszysz je wszędzie, gdziekolwiek się obrócisz, innego — nic.

— Przypuszczam, że masz rację.

— Mam — powiedziała Grum. — Znam się na tych rzeczach. On już tu nie wróci, pójdzie gdzieś indziej, ale wkrótce będziemy wiedzieli, gdzie go szukać. Kiedy go znajdziemy, zabierzemy go do naprawiaczy, może oni go wyleczą.

Gada ze zmęczeniem kiwnęła głową.

— Mam nadzieję.

Zarzuciła sobie siodło Liska na ramię i podniosła torbę z węzami. Rączka zadrżała nieco, gdy Piasek poruszył się pomiędzy przegródkami.

Gada powlokła się za Grum do jej obozu. Była zbyt zmęczona, aby myśleć nadal o tym, co się stało. Z wdzięcznością słuchała kojących słów pocieszenia i współczucia. Strata Mcha, śmierć Jesse, a teraz to. Gada niemal żałowała, że nie jest przesądna; mogłaby wtedy uwierzyć, że ktoś ją przeklął. Nie wiedziała teraz, w co powinna wierzyć, jak odmienić łańcuch nieszczęść, jakim stało się jej życie.

— Dlaczego ukradł tylko mój dziennik? — spytała nagle. — Dlaczego mapy i dziennik?

— Mapy? — zawołała Grum. — On ukradł mapy? Myślałam, że wzięłaś je ze sobą. No, to na pewno był szaleniec.

— Myślę, że masz rację. Musiał nim być. — Ciągle nie mogła siebie przekonać.

— Mapy! — powtórzyła Grum.

Gniew i złość Grum zdawały się przez chwilę przewyższać wściekłość Gady. Jednakże niepokoilo Gadę zaskoczenie w głosie starej kobiety.

Dziewczyna ujrzała nagle cień w pobliżu. Równie zaskoczony zbieracz odskoczył w tył. Gada odetchnęła, gdy zobaczyła jednego z czyścicieli, którzy zbierali każdy kawałek metalu, drewna, tkaniny, skóry — odpady z innych obozowisk. Te rzeczy były dla nich użyteczne. Zbieracze ubierali się w kolorowe stroje, zmyślnie uszyte z kawałków materiału zakomponowanego w geometryczne wzorki.

— Uzdrowicielko, pozwolisz nam to wszystko wziąć? Żaden pożytek dla ciebie...

— Ao, idź stąd! — ucieła Grum. — Przestań niepokoić uzdrowicielkę. Powinieneś sam wiedzieć.

— Ona nic z tym nie zrobi. My — tak. Pozwólcie nam to wziąć. Posprzątać.

— To nie jest dobra chwila, żeby prosić!

— Nic nie szkodzi, Grum — powiedziała Gada. — Weź sobie wszystko — zwróciła się do zbieracza.

Może na coś przydadzą się mu podarte koce i połamane łyżki. Jej — nie. Nawet nie miała ochoty znowu oglądać tego szmelcu. Nie chciała już myśleć o tym, co tutaj zaszło. Poza tym prośba zbieracza odciągnęła Gadę od problemów, od własnego zagubienia i sprowadziła na powrót do rzeczywistości. Przypomniała sobie, co kiedyś Grum mówiła o Ao i jego ludziach.

— Ao, jak będę szczepiła innych, czy pozwolisz mi, abym i was zaszczepiła? Zbieracz był pełen niedowierzania.

— Skradacze — pełzacze, trucizny, magia, czarownice — nie, to nie dla nas.

— Ale to nic z tych rzeczy. Nawet nie zobaczycie węży.

— Nie, nie dla nas.

— A zatem będę musiała wziąć cały ten śmietnik na środek oazy i spalić.

— Zmarnować! — krzyknął zbieracz. — Nie! Przynosisz wstyd swojej profesji. Przynosisz wstyd samej sobie.

— Czuję dokładnie to samo, kiedy ty nie chcesz pozwolić mi, abym ochroniła was przed chorobami. Zmarnować. Zmarnować ludzkie istnienie. Niepotrzebna śmierć.

Zbieracz zerknął na nią spod krzaczastych brwi.

— Żadnych trucizn? Żadnej magii?

— Żadnej.

— Możesz przyjść na końcu — zaproponowała Grum. — Przekonasz się, że mnie to nie zabije.

— Żadnych skradaczy — pełzaczy?

Gada nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Nie.

— A wtedy nam to dasz? — wskazał zdemolowany obóz.

— Tak. Wtedy dam.

— I później żadnych chorób?

— W każdym razie mniej. Nie jestem w stanie uchronić was od wszystkich. Ale nie będzie świnki, szkarlatyny. Nie będzie szczękościsku.

— Szczękościsku! Zatrzymasz to?

— Tak. Nie na zawsze, ale na długi czas.

— Przyjedziemy — powiedział zbieracz.

Obrócił się i odszedł.

W obozie Pauli z grubsza wyszczotkowała Błyskawicę. Klacz podskubywała kępki siana ze stogu. Pauli miała najpiękniejsze dłonie, jakie Gada kiedykolwiek widziała.

Duże, a jednak delikatne, o długich palcach. Były mocne, ale nie stwardniałe, mimo ciężkiej pracy. Choć była wysoka i jej ręce powinny wydawać się nieproporcjonalnie duże, tak nie było. Wydawały się pełne gracji i ekspresji. Ona i Grum były do siebie zupełnie niepodobne. Zaledwie jedna rzecz je łączyła: aura łagodności, która otaczała i babkę, i wnuczkę, i wszystkich kuzynów Pauli, których Gada poznała. Nie spędziła dość czasu w obozie Grum, aby dowiedzieć się, ile wnuków miała stara kobieta, ani jak ma na imię dziewczynka, która siedziała w pobliżu, czyszcząc siodło Liska.

— Jak ma się Lisek? — spytała.

— Świetnie. Jest bardzo szczęśliwy, dziecino. Trzeba było go widzieć, jak stał pod drzewem, zbyt leniwy, aby biegać. Ale już ma się dobrze. Wiesz, potrzebne ci łóżko i wypoczynek.

Gada przyglądała się swojemu tygrysiemu kucykowi, który stał między drzewami, machając ogonem. Wyglądał na tak szczęśliwego i zadowolonego, że go nie zawołała.

Gada była zmęczona, bolały ją wszystkie mięśnie na karku i ramionach. Niemożliwe, aby zasnęła, nim jej napięcie trochę nie zmaleje. Chciała przemyśleć sprawę zniszczenia obozu. Być może prawdą jest to, że jak powiedziała Grom, padł on po prostu ofiarą wandalizmu jakiegoś człowieka niespełna rozumu. Jeśli tak, to trzeba to zrozumieć i zaakceptować. Nie przywykła jednak do takiej ilości przypadkowych zdarzeń.

— Zamierzam się wykapać, Grum — powiedziała. — A potem możesz mnie ulokować gdzieś, gdzie nie będę zawadzać. Nie na długo.

— Na tak długo, jak ty tu będziesz i jak my będziemy. Witaj u nas uzdrowicielko, dziecino.

Gada przytuliła się do niej. Grum poklepała ją po ramieniu.

W pobliżu obozu Grum znajdowało się jedno ze źródełek zasilających oazę: tryskało spod kamieni i sączyło się po skałach. Gada wspięła się tam, gdzie Słońce nagrzało wodę nagromadzoną w niewielkich basenach. Widać było stąd całą oazę: pięć obozowisk nad brzegiem, ludzi, zwierzęta. Słabe głosy dzieci i ujadanie psów napływały poprzez ciężkie, zakurzone powietrze. Drzewa sezonu letniego stały kołem, otaczając jezioro niczym pióropusz lub szarfa z jasnozielonego jedwabiu.

Pod stopami mech wyścielał miękko skałę wokół basenu kąpielowego. Gada ściągnęła buty i postawiła stopy na chłodnym, żywym dywaniku.

Rozebrała się i zanurzyła w stawie. Temperatura wody była nieco niższa od temperatury ciała, dawała ochłodę, nie wywołując szoku w porannym upale. Na górze biło żywsze źródło, a ciepłe było niżej. Gada podniosła kamień w słuzie i wypuściła strumień na piasek. Wiedziała dobrze, że nie należy puszczać brudnej wody na oazę. Gdyby tak zrobiła, parę rozzłoszczonych karawaniarek przyszłoby ją upomnieć. Zrobiłyby to spokojnie, ale stanowczo, tak jak przepędza się zwierzęta, gdy ktoś pozostawi je zbyt blisko wody. Na pustyni nie istniały choroby spowodowane zanieczyszczeniem wody.

Gada zanurzyła się głębiej w ciepłej wodzie, czując, jak podnosi się jej poziom. Przyjemny chłód obejmował uda, biodra, piersi. Położyła się na wznak na ciepłej, czarnej skale i powoli uwalniała się od napięcia. Woda laskotała ją po plecach i karku.

Spojrzała na prawą rękę. Nieładny siniec zniknął; po ukąszeniu przez żmiję piaskową pozostały tylko dwie różowe, błyszczące kropki. Zacisnęła na chwilę pięści — nie było zeszywnienia ani osłabienia.

Tak krótki czas, a tak wiele zmian! Gada nigdy przedtem nie zetknęła się z czyjąś wrogością. Jej praca, jej szkolenie nie były łatwe, ale dało się wytrzymać. I żadne podejrzenia, niepewność lub szaleńcy nie zakłócili spokojnego upływu dni. Wszystko było krystalicznie jasne, dobro i zło precyzyjnie zdefiniowane.

Gada uśmiechnęła się nieznacznie: gdyby ktoś próbował powiedzieć jej albo innym uczniom, że rzeczywistość jest inna — fragmentaryczna, pełna sprzeczności i niespodzianek — nie uwierzyłaby. Teraz rozumiała zmiany, jakie obserwowała u starszych uczniów, gdy wracali po swoich próbnym latach. Co więcej, rozumiała, dlaczego tylko nieliczni wracali. Nie wszyscy przecież umierali. Wypadki i szaleńcy, to jedyne niebezpieczeństwa, jakie czyhały na uzdrowicieli. Ale, po prostu, niektórzy dochodzili do przekonania, że nie są powołani do takiego życia i porzucali je.

Gada odkryła jednak, że bez względu na wszystko — ze swoimi wężami czy bez — zawsze będzie uzdrowicielką. Kilka najgorszych dni, kiedy litowała się nad sobą z powodu śmierci Mcha, minęło. Trudny czas rozpaczy po śmierci Jesse, to również przeszłość. Gada nigdy nie zapomni agonii Jesse, ale nie może wiecznie robić sobie z tego powodu wyrzutów. Zamiast tego gotowa była wypełnić jej życzenie.

Usiadła i natarła ciało piaskiem. Trzymała ręce blisko ciała. Przyjemny chłód wody, rozluźnienie i dotyk własnej dłoni przypominały jej z niemal fizyczną wyrazistością, że długo nikt jej nie dotykał, że wieki całe nie poddawała się działaniu pożądania. Leżąc na wznak w sadzawce, fantazjowała, marząc o Arevinie.

Bosa i półnaga, z ubraniem zarzuconym na ramię, Gada zaczęła schodzić od strony sadzawki kąpielowej. W połowie drogi do obozu stanęła jak wryta i zaczęła nasłuchiwać, czy ponownie nie pojawi się cichutki dźwięk, który przed chwilą dobiegł jej uszu. Powrócił: gładki szelest łusek, dźwięk poruszającego się węża. Gada ostrożnie odwróciła się. Z początku nic nie widziała, ale po chwili ze szczeliny między kamieniami wypełzła żmija piaskowa. Podniosła swą paskudną głowę, wysuwając i chowając język szybkimi ruchami.

Nagły, psychiczny ból przypomniał jej ukąszenie żmii piaskowej. Gada spokojnie odczekała, aż zwierzę oddali się od kryjówki. Nie miało w sobie nic z eterycznego piękna Mgły czy kolorów Piaska. Było zwyczajnie brzydkie.

Lekki wiaterek wiał od strony żmii do Gady, stworzenie nie mogło więc jej zwietrzyć. „Wzrok ma — przypuszczała Gada — nie lepszy niż inne węże”. Gad pełził tuz przed dziewczyną, niemal przesunął się po jej bosych stopach. Gada schyliła się powoli, wyciągając jedną rękę nad głowę żmii, a drugą przed jej oczy.

Kiedy zwierzę zauważyło ruchy, natychmiast podniosło się, gotowe do ataku i samo weszło prosto w chwyt Gady. Ta ścisnęła je mocno, nie dając szans na ukąszenie. Żmija rzuciła się. Tłukąc Gadę po przedramieniu, syczała i mocowała się, obnażając przerażająco długie zęby.

Gada wzdrygnęła się.

— Miałaś ochotę mnie ukąsić, co zwierzątku?

Niezdarnie, jedną ręką, zwinęła chustkę i umieściła węża w prowizorycznej torbie, aby nie przestraszyć nikogo, gdy wróci do obozu.

Kroczyła gładką, kamienną ścieżką.

Grum przygotowała dla niej rozbity w cieniu namiot. Poły były odchylone, żeby mogło ulecieć chłodne powietrze poranka. Staruszka zostawiła miseczkę świeżych owoców, najsmakowitsze jagody sezonu letniego. Były czarno — niebieskie i okrągłe, mniejsze od kurzego jajka.

Gada powoli ugryzła jedną, ostrożnie, bo nigdy przedtem nie jadła świeżych jagód. Cierpki, wodnisty sok wytrysnął spod przebitej skórki. Uzdrowicielka jadła powoli, smakując. W środku było duże nasienie, które zajmowało prawie połowę owocu. Miało twardą łupinę ochraniającą przed skutkami zimowych burz i długotrwałych, niekiedy kilkuletnich okresów suszy. Kiedy Gada zjadła owoce, odłożyła nasienie. Zostanie zasadzone w obrębie oazy, gdzie ma szansę wykiełkować. Kładąc się, Gada powiedziała sobie, że musi zabrać kilka nasion letnich drzew ze sobą. Gdyby się przyjęły w górach, stanowiłyby dobre uzupełnienie sadów. W chwilę później zasnęła.

Spała spokojnie, bez majaków, a kiedy się obudziła wieczorem, czuła się lepiej, niż przez ostatnie dni. Obóz pogrążony był w ciszy. Dla Grum, jej wnucząt i jucnych zwierząt był to czas zaplanowany na odpoczynek. Stara kobieta i jej ludzie zajmowali się handlem. Wracali do domu po lecie pełnym targowania się, kupowania, sprzedawania. Rodzina Grum, jak i inne, obozowała tutaj, dziedzicząc prawo do części jagód z letnich drzew. Gdy skończą się zbiory i owoce będą już ususzone, karawana Grum opuści pustynię i przez kilka dni będzie podróżować na teren zimowiska. Żniwa wkrótce się rozpoczną: w powietrzu unosił się ostry zapach jagód.

Grum stała koło korralu. Ręce złożyła na główce laski. Ujrawszy Gadę odwróciła się i uśmiechnęła:

— Moje dziecko — uzdrowiciel dobrze spało?

— O tak. Grum. Dziękuję.

Lisek niewiele różnił się od koni Grum. Stara handlarka miała upodobanie do jabłkowitych, podpalanych srokoszy i wszelkich różnobarwnych umaszczeń. Uważała, że przez to jej karawana łatwiej rzuca się w oczy, i pewnie miała rację. Gada gwizdnęła i Lisek, zarzuciwszy głowę, pocwałował w jej kierunku, wierząc kopytami, zupełnie zdrów.

— Tęsknił za tobą.

Gada podrapała Liska po uszach, a on trącał ją miękkim pyskiem.

— Tak, widzę, że usechł z tęsknoty.

Grum zachichotała.

— Dobrze go odżywiamy. Nikt jeszcze nie zarzucił ani mnie, ani moim bliskim złego traktowania zwierząt.

— Będę musiała zastosować podstęp, aby go stąd zabrać.

— To zostań. Jedź z nami do naszej wioski i przeczekaj zimę. Nie jesteśmy zdrowsi niż przeciętni ludzie.

— Dziękuję, Grum. Ale jest coś, co muszę najpierw załatwić.

Przez moment prawie zapomniała o śmierci Jesse, choć wiedziała, że to wspomnienie nigdy jej nie opuści. Schyliła się pod sznurowanym ogrodzeniem. Stała przy swoim tygrysim kucyku i podniosła jego nogę.

— Próbowaliśmy mu zmienić podkowę — wyjaśniła Grum — ale nasze są za duże, a nie ma tu kowala, który mógłby naprawić starą albo zrobić nową. Nie tutaj i nie o tak późnej porze.

Gada wzięła kawałek połamanej podkowy. Była prawie nowa, bo zawsze kazała podkuwać Liska przed wyruszeniem na pustynię. Nawet krawędzie były ciągle ostre i kanciaste. Chyba w samym metalu była jakaś skaza. Wręczyła Grum kawałki.

— Może Ao potrafi spożytkować jakoś metal. Jeżeli będę prowadziła Liska ostrożnie, to dam radę dojechać do Podgórza?

— Tak, zwłaszcza, że możesz jechać na tej ślicznej siwce.

Gada pożałowała, że w ogóle jeździła na Lisku. Zwykle tego nie robiła. Marsz był dla niej wystarczająco szybki, a Lisek nosił wężę i dobytek. Jednak po wyjeździe z obozu Arevina odczuwała skutki ukąszenia piaskowej żmii, choć wydawało się jej, że już je pokonała. Chciała pojechać na Lisku tylko tyle, aż poczuje się lepiej, ale gdy go dosiadła — zemdląca. Niósł ją cierpliwie przez pustynię, uginając się pod jej ciężarem. Dopiero, gdy zaczął kuśtykać, ocknęła się na dźwięk pękniętego żelaza.

Podrapała kucyka po czole.

— Zatem jutro wyruszamy, jak tylko zelżeje upał. To daje nam cały dzień na zaszczenie ludzi. Jeżeli do mnie przyjdą..

— Przyjdziemy, kochanie. Bardzo dużo nas przyjdzie. Ale czemu wyjeżdżasz tak prędko? Jedź z nami. To taka sama odległość jak do Podgórza.

— Jadę do Miasta.

— Teraz? Już w tym roku za późno. Złapią cię burze.

— Nie, jeżeli nie będę marnować czasu.

— Uzdrowicielko, skarbie, dziecko drogie, ty nie zdajesz sobie sprawy, czym one są.

— Wiem dobrze. Wychowałam się w górach. Przez całą zimę oglądałam je, jak kochają się w dole.

— Oglądanie burzy z górskiego szczytu to nie to samo, co próbować ją przetrwać tutaj — powiedziała Grum.

Lisek zatoczył koło i pogalopował przez korral w kierunku grupy koni drzemiących w cieniu. Gada nagle się roześmiała.

— Powiedz mi, co cię tak śmieszy, kochana.

Gada spojrzała w dół na zgarbioną, starą kobietę, o oczach tak jasnych i tak bystrych jak u lisa.

— Dopiero teraz zauważyłam, z jakimi końmi go trzymasz.

Ciemna opalenizna Grum zaróżowiła się.

— Zdrowicielko, moje drogie dziewczę, nie mam zamiaru pobierać od ciebie opłaty za opiekę nad koniem, ale pomyślałam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

— Grum, oczywiście, że nie. W porządku. I pewna jestem, że Lisek też nie ma zastrzeżeń. Obawiam się jednak, że będziesz bardzo rozczarowana, gdy nadejdzie czas żrebia.

Grum potrząsnęła głową.

— Jestem pewna, że nie. Jak na małego ogierka, jest bardzo grzeczny, ale zna się na rzeczy. Nakrapiane konie, to jest to, co lubię. Szczególnie te w kocie prążki.

— Cieszę się, że podoba ci się jego maść. — Znalezienie sposobu, aby otrzymać odpowiedni zestaw genów wymagało od Gady sporo pracy. — Nie sądzę jednak, by spłodził ci wiele źrebiąt.

— Dlaczego nie? Tak jak powiedziałam...

— Może sprawi nam niespodziankę? Bardzo bym chciała, żeby tak się stało, ze względu na ciebie. Obawiam się jednak, że jest bezpłodny.

— Aha! — zmartwiła się Grum. — Ach, jaka szkoda! Ale rozumiem. Jest krzyżówką konia i jednego z tych pasiastych osłów, o których kiedyś słyszałam.

Gada nie prostowała słów Grum. Jej wyjaśnienie było zupełnie błędne. Lisek nie był hybrydą bardziej niż jakikolwiek inny koń, z wyjątkiem krótkiego odcinka łańcucha genów. Ale Lisek był odporny na jad Mgły i Piaska, a chociaż przyczyna była różna, efekt był taki sam, jak gdyby był mułem. Jego system odpornościowy był tak silny, że zupełnie prawdopodobne było, iż nie rozpoznaje własnych komórek haploidalnych, spermy, swojego „ja” i po prostu niszczy je.

— Wiesz dziecinko, raz trafił mi się muł, który był zupełnie niezłym reproduktorem. To się czasem zdarza. Może i tym razem.

— Może — powiedziała Gada.

Szansa, że system immunologiczny jej kucyka oszczędzi jego komórki rozrodcze, była taka sama, jak szansa napotkania płodnego muła. W zasadzie Gada nie kłamała, gdy wyrażała ostrożną zgodę.

Wróciła do namiotu. Wypuściła Piaska z torby i odciągnęła mu jad. Nie rzucał się w trakcie zabiegu. Trzymając za tył głowy, Gada pociśnięciem palców otworzyła mu szczękę i wlała do gardła fiolkę katalizatora. O wiele łatwiej było aplikować lekarstwa jemu niż Mgle. On po prostu zwijał się sennie w kłębek w swojej przegródce, zachowując się tylko trochę inaczej niż normalnie. W tym czasie gruczoły jadowe przetwarzały

skomplikowaną chemiczną miksturę złożoną z kilku rodzajów białka, antyciał rozmaitych chorób i stymulatorów ludzkiego systemu odpornościowego. Uzdrowiciele używali grzechotników o wiele dłużej niż kobr. W porównaniu z Mgłą, był o dziesiątki generacji i setki eksperymentów genetycznych bardziej przystosowany do wszelkich odmian substancji katalitycznych.

5.

Rankiem Gada ściągnęła Piaskowi jad do fiolki. Nie używała węża do wstrzykiwania szczepionki, bo każdy człowiek wymagał jedynie niewielkiej dawki. Piasek wstrzyknąłby zbyt wiele i zbyt głęboko. Posługiwała się specjalnym aplikatorem — instrumentem z wianuszkami krótkich igieł, wprowadzających szczepionkę tuż pod skórę. Gada włożyła grzechotnika do jego przegródki i wyszła na zewnątrz.

Ludzie z obozowisk zaczęli się już gromadzić. Dorośli i dzieci, trzy, cztery pokolenia w każdej rodzinie. Grum stała pierwsza w kolejce, otoczona swymi wnukami. Było ich razem siedmioro, od najstarszej Pauli, po najmłodszą, sześciolletnią dziewczynkę, która poprzedniego dnia czyściła siodło Błyskawicy. Nie wszystkie dzieci były krewnymi Grum, gdyż organizacja jej klanu opierała się o rozległe koligacje rodzinne. Grum uznawała za swe wnuki dzieci rodzeństwa swego dawno nieżyjącego partnera, swojej siostry i rodzeństwa partnera siostry. Nie wszyscy towarzyszyli jej w podróżach. Zabierała tylko tych, którzy uznani zostali za uczniów i praktykowali jako przyszli karawaniarze.

— Kto pierwszy? — spytała Gada pogodnie.

— Ja — odpowiedziała Grum. — Powiedziałam: „ja”, więc będę pierwsza. Rzuciła spojrzenie w kierunku zbieraczy, którzy stali zbitą, kolorową gromadką nie opodal, trochę z boku.

— A ty Ao patrz! — zawołała do tego, który prosił o zniszczony dobytek Gady. — Zobaczysz, że mnie nie zabije.

— Ciebie nic nie zabije, stara niegarbowana skóro! Poczekam i zobaczę, co się stanie z innymi.

— Stara, niegarbowana skóro? Ao, ty stary worku na śmieci!

— No dobrze — powiedziała Gada. Podniosła lekko głos. — Chciałabym powiedzieć wam dwie rzeczy. Po pierwsze, niektórzy ludzie są wrażliwi na surowicę. Jeżeli miejsce ukłucia się zaczerwieni, jeśli zaczniesz mocno rwać, a skóra stanie się gorąca, to trzeba przyjść do mnie jeszcze raz. Będę tu aż do wieczora. Jeżeli coś miałoby się stać, stanie się do tego czasu. W porządku? Jak ktoś jest wrażliwy, to mogę mu dać coś przeciwwymiotnego. To bardzo ważne, żebyście przychodzili, jak tylko poczujecie coś więcej niż lekki ból. Nie próbujcie przy tej okazji udawać bohaterów.

Spośród kiwających głowami i potakujących znów odezwał się Ao:

— To znaczy, że możesz uśmiercić kogoś z nas?

— Czy jesteś na tyle głupi, by udawać, że nic złego się nie dzieje, jak ktoś złamie nogę?

Ao prychnął kpiąco.

— No, to nie będziesz na tyle głupi, żeby udawać, że wszystko w porządku i umrzeć w przypadku silnego odczynu alergicznego. — Gada zdjęła pustynny płaszcz i podciągnęła krótki rękaw tuniki. — To jest blizna po zabiegu. Szczepionka zostawia mały ślad, taki jak ten. — Przeszła od gromadki do gromadki, pokazując ludziom bliznę po szczepieniu przeciw jadowi. — Gdyby, ktoś życzył sobie mieć ten znak w miejscu mniej widocznym, niech mi powie.

Widok tej niewielkiej blizny uspokoił nawet Ao, który dotychczas mamrotał bez przekonania, że uzdrowiciele są odporni na każdą truciznę.

Grum stała w pierwszym rzędzie i Gada zdziwiła się, bo kobieta zbladła.

— Grum, dobrze się czujesz?

— To krew — powiedziała Grum. — To pewnie, dlatego, kochanie. Nie znoszę widoku krwi.

— Tu z trudem zobaczysz choć kropelkę. Po prostu się rozluźnij.

Przemawiając do starej kobiety kojącym tonem, Gada posmarowała jej ramię jodyną. Miała tylko jedną buteleczkę w przegródce z lekarstwami, ale na dzisiaj to wystarczy. Postanowiła, że w Podgórzu kupi sobie więcej w aptece. Gada wycisnęła kropelkę surowicy na ramię Grum i wcisnęła aparat w skórę.

Grum drgnęła, gdy igły się wbiły, ale twarz staruszki pozostała kamienna. Gada odłożyła aparat do jodyny i ponownie przetarła ramię Grum.

— Gotowe.

Grum popatrzyła na nią zdziwiona, potem zerknęła na ramię. Ślady po igłach były jasnoczerwone, ale nie krwawiły.

— Nic więcej?

— To wszystko.

Grum zaśmiała się i zwróciła do Ao.

— Widzisz, stary rondlu, to nic takiego.

— My poczekamy — odpowiedział Ao.

Ranek zleciał szybko. Kilkoro dzieci rozplakało się, bardziej od szczypania alkoholu niż od płytkiego ukłucia igieł. Pauli zaoferowała pomoc i zabawiała maluchy opowiastkami i dowcipami, podczas gdy Gada pracowała. Większość dzieci i paru dorosłych zostało nawet po szczepieniu, by posłuchać Pauli.

Widać było, że Ao i inni zbieracze nabrali zaufania do lekarki, bo nikt na razie nie padł trupem. Ze stoickim spokojem poddawali się ukłuciu igieł i szczypaniu alkoholu.

— Koniec ze szczękościskiem?

— To ochroni was na jakieś dziesięć lat. Po tym okresie bezpieczniej będzie powtórnie się zaszczepić.

Gada wbiła aparat w ramię Ao, później przetarła skórę. Po chwili ponurego wahania Ao uśmiechnął się szeroko, z zadowoleniem.

— Boimy się szczękościsku. Zła choroba. Powolna. Bolesna.

— Tak — powiedziała Gada. — Wiecie, co ją powoduje?

Ao ścisnął rękę w pięść i wykonał gest, jakby chciał się przebić.

— Uważamy, ale...

Gada pokiwała głową. Miała okazję zaobserwować, że zbieracze narażeni są na poważne rany kłute o wiele częściej niż inni ludzie, ze względu na charakter pracy. Ale Ao wiedział o związku, jaki zachodzi między zranieniem a chorobą. Wykład na ten temat byłby przyjęty jako forma wywyższenia się z jej strony.

— Nigdy przedtem nie widzieliśmy uzdrowicieli po tej stronie pustyni. Opowiadali nam o nich ludzie z drugiej strony.

— Cóż, jesteśmy ludźmi gór — powiedziała Gada. — Nie wiemy zbyt dużo o pustyni, więc niewielu z nas tu przychodzi.

To była tylko część prawdy, ale stanowiła najprostsze wyjaśnienie.

— Nikogo przed tobą nie było. Jesteś pierwsza.

— Być może.

— Dlaczego?

— Byłam ciekawa. Sądziłam, że mogę się tu przydać.

— Powiedz innym, żeby tu przychodzili. Nic im nie grozi. — Nagle pomarszczona od wiatru twarz Ao ściemniała, — A... szaleńcy są wszędzie.

— Wiem.

— Pewnego dnia go znajdziemy.

— Zrobicie coś dla mnie, Ao?

— Wszystko.

— On nie zabrał nic, tylko moje mapy i dziennik. Przypuszczam, że zatrzyma mapy, jeśli jest dostatecznie rozgarnięty, by ich używać, ale dziennik nie przedstawia dla niego żadnej wartości. Tylko dla mnie. Może go wyrzuci, a twoi ludzie go znajdą.

— Przechowamy go dla ciebie.

— O to właśnie chciałam prosić. — Przez chwilę opisywała mu swoją zgubę.. — Przed wyjazdem zostawię wam list do ośrodka uzdrowicieli. Jeśli by jadący tam go nie zabral list i dziennik, to na pewno go wynagrodzę.

— Będziemy szukali. Znajdujemy rozmaite rzeczy, ale książki nie trafiają się zbyt często.

— Może się już nigdy nie odnaleźć. Wiem o tym. Szaleniec mógł mieć nadzieję, że to coś cennego, a kiedy okazało się, że nie, spalić go.

Ao oburzył się na myśl, że ktoś miałby zniszczyć doskonały papier.

— Będziemy pilnie szukać.

— Dziękuję.

Mężczyzna odszedł śladem innych zbieraczy.

Kiedy Pauli skończyła historię o Ropuszce i Trzech Rzekotkach Drzewnych, Gada obejrzała dzieci i z zadowoleniem stwierdziła, że żadne nie miało spuchniętej czy zaczerwienionej rączki wskutek reakcji alergicznej.

— I Ropucha już więcej nie sprzeciwiała się temu, że nie umiała wspinać się na drzewa — mówiła Pauli. — I to koniec. Teraz idźcie do domu. Wszystkie byłyście bardzo grzeczne.

Odbiegły gromadą, krzyżąc i kumkając jak żaby. Pauli odetchnęła i odprężyła się.

— Mam nadzieję, że prawdziwe żaby nie mają nic przeciwko temu, że okres godowy przyszedł poza sezonem. Zaczęłyby skakać po obozie.

— To jest ryzyko, z którym musi liczyć się artysta — powiedziała Gada.

— Artysta! — Pauli roześmiała się i zaczęła podwijać rękaw.

— Jesteś równie dobra jak wszyscy minstrele, których dotąd słyszałam.

— Bajarka, być może — powiedziała Pauli — ale nie minstrel.

— Czemu nie?

— Słoń nadepnął mi na ucho.

— Większość minstreli, których spotykałam, nie potrafiła ułożyć historii. Ty masz talent.

Gada przygotowała aparat i przyłożyła go do aksamitnej skóry Pauli. Cieniutkie igły błyszczały światłem, rozbitym przez kroplę zawieszoną na nich szczepionki.

— Jesteś pewna, że chcesz mieć bliznę tutaj? — spytała niespodziewanie Gada.

— Tak, dlaczego?

— Masz piękną skórę. Z niechęcią myślę, że miałabym ją uszkodzić. — Gada pokazała Pauli swoją rękę z bliznami. — Chyba ci trochę zazdrozczę.

Pauli poklepała Gadę po ręce. Dotyk miała tak delikatny jak Grum, tyle, że pewniejszy, ujawniający większą siłę.

— Takie blizny mogą być powodem do dumy. Ja będę dumna z tej, którą mi zrobisz. Ktokolwiek ją zobaczy, będzie wiedział, że cię spotkałam.

Uzdrowicielka wbiła igły w ramię, Pauli.

Gada odpoczywała całe popołudnie, podobnie jak reszta obozowiska. Nie miała już nic do roboty po napisaniu listu do Ao — nie było nic do pakowania. Nie został jej żaden dobytek. Lisek będzie dźwigał tylko swoje siodło, bo konstrukcja była nienaruszona, a skórę dało się naprawić. Oprócz ubrania, które miała na sobie, Gada posiadała jedynie skórzaną torbę na węże.

Mimo upału zasunęła poły namiotu i dopiero potem otworzyła dwie przegródki w torbie. Mgła wypłynęła niczym woda. Uniosła głowę i rozłożyła kaptur. Wysunęła język, aby posmakować zapachu namiotu. Piasek jak zwykle wypełził ze swego legowiska.

Gada patrzyła na węże sunące w ciepłym półmroku, rozproszonym jedynie przez mdłe światło biolampy, które połyskiwało błękitem na łuskach zwierząt. Rozmyślała o tym, co by było, gdyby szaleniec zaczął przetrząsać jej obóz w czasie, gdy ona tam była. Jeśliby węże były w torbie, mógłby wkraść się niezauważony, bo w czasie rekonwalescencji po ukąszeniu żmii spała bardzo mocno. Obcy mógłby uderzyć ją w głowę, zanim rozpoczęłyby swą niszczycielską działalność.

Gada wciąż nie mogła pojąć, dlaczego szaleniec miałby niszczyć wszystko tak metodycznie, o ile czegoś nie szukał. Czyżby to nie był wariat?

Jej mapy niczym się nie różniły od tych, jakie mieli inne. Każdemu, kto by ją o to poprosił, pozwoliłaby je skopiować. Mapy były rzeczą najistotniejszą, ale łatwą do zdobycia. Z drugiej strony dziennik był bezwartościowy dla każdego, oprócz Gady. Niemal żałowała, że szaleniec nie zaatakował obozu podczas jej obecności, bo gdyby rozciął torbę z węzami, nie byłby w stanie napaść na żaden inny obóz. Nie wprawiał ją w zachwyty fakt, że rozważa taką ewentualność z przyjemnością, ale właśnie tak to czuła.

Piasek wśliznął się po jej kolanie i oplótł wokół nadgarstka jak ciężka bransoleta. Lepiej mieścił się tu parę lat temu, kiedy był mały. Kilka minut później Mgła, owijając się Gadzie wokół talii, weszła na jej barki. W lepszych czasach, kiedy wszyscy byli razem. Mech zajmował miejsce wokół szyi, przypominając miękkie, żywe naszyjnik ze szmaragdów.

— Gada, dziecinko, czy jest tu bezpiecznie? — zapytała Grum, nie odchylając poły namiotu.

— Bezpiecznie. O ile nie będziesz się bała. Czy mam je odłożyć? — Grum zawahała się.

— No...nie.

Weszła do namiotu, przytrzymując poty, aby nie odcinać sobie drogi odwrotu. Ręce miała zajęte. Kiedy wzrok jej przyzwyczaił się do półmroku, stanęła spokojnie.

— W porządku — zapewniała Gada. — Obydwa są tutaj, razem ze mną.

Mrugając oczami, Grum podeszła bliżej. Obok siodła położyła koc, skórzaną saszetkę, bukłak i niewielki ronderek.

— Pauli zbiera prowiant. Nikt z nas nie jest w stanie zrekompensować ci tego, co się stało, ale...

— Grum, jeszcze nawet nie zapłaciłam za opiekę nad Liskiem.

— I nie zapłacisz — powiedziała Grum z uśmiechem. — Przecież już ci wszystko wyjaśniałam.

— Tak, ale ty przystąpiłaś do gry na z góry straconej pozycji, a mnie to nic nie kosztuje.

— Nie szkodzi. Odwiedzisz was wiosną i obejrzysz matę, pasiaste źrebiątka, te, które spłodził twój konik. Czuję to.

— No to pozwól mi zapłacić za nowy ekwipunek.

— Nie. Omówiliśmy to wszyscy i chcemy ci go dać. — Potrząsnęła ramieniem, w które przyjęła szczepionkę. Prawdopodobnie czuła teraz w tym miejscu ból.

— Chcemy ci podziękować.

— Nie traktujcie mnie jak niewdzięcznicę — powiedziała Gada — ale szczepionki są tym, za co żaden uzdrowiciel nigdy nie weźmie zapłaty. Nikt tutaj nie chorował. Nic dla nikogo nie zrobiłam.

— Nikt nie chorował, prawda, ale gdyby był chory, to byś pomogła, czyż nie tak?

— Tak, oczywiście, ale...

— Pomogłabyś nawet, gdyby ktoś nie mógł zapłacić. Czyż my powinniśmy postępować inaczej? Czy mamy wysłać się na pustynię z niczym?

— Ale ja mogę zapłacić. W torbie mam złoto i srebrne monety.

— Gada! — krzyknęła Grum, a czuły ton nagle zniknął z jej głosu. — Ludzie pustyni nie kradną i nie pozwalają, aby ich przyjaciele zostali okradani. Zawiedliśmy cię. Pozostaw nam nasz honor.

Gada zrozumiała, że Grum nie da się przekonać do przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty. Ważne było natomiast, aby Gada przyjęła podarunek.

— Przepraszam, Grum. Dziękuję wam.

Konie były osiodłane i gotowe do drogi. Gada załadowała większość bagażu na błyskawicę, tak, że Lisek nie miał zbyt wiele do noszenia. Siodło klaczy, chociaż dekoracyjne i zmyślnie wykonane, okazało się funkcjonalne. Pasowało na konia tak dobrze, było takie wygodne i doskonałej jakości, że Gadę przestała peszyć jego zbytkowość.

Grum i Pauli przyszyły ją odprowadzić. Nikt nie miał ostrej reakcji na szczepienie, więc Gada mogła spokojnie odjechać. Delikatnie przytuliła obie kobiety. Grum pocałowała ją w policzek; usta miała miękkie, ciepłe i bardzo suche.

— Do widzenia — wyszeptła, gdy Gada wsiadła na konia.

— Do widzenia! — powtórzyła głośniejsze.

— Do widzenia! — odpowiedziała Gada. Obróciła się w siodle, aby im pomachać.

— Gdyby nadeszły burze — krzychała Grum — znajdź jaskinię w skałach. Nie zapomnij o punktach orientacyjnych, doprowadzą cię do Podgórze!

Uśmiechając się, Gada skierowała klacz pomiędzy letnie drzewa, ciągle słysząc porady Grum i jej wskazówki co do oaz, wody, położenia wydm, kierunku wiatru oraz metod, dzięki którym karawaniarze ustalają swoje położenie na pustyni. Lisek kroczył obok; nie podkutą nogę stawiał pewnie. Klacz, wypoczęta i dobrze odżywiona, chętnie by pogalopowała, ale Gada przytrzymała ją w kłusie. Czekala ich długa droga.

Błyskawica zaczęła parskać i Gada obudziła się nagle. Omal nie uderzyła głową w skalny nawis. Było popołudnie.

— Kto tu jest?

Nikt nie odpowiedział. Było prawie niemożliwe, żeby ktoś mógł przebywać w pobliżu. Oaza Grum i ta następna, przed górami, były oddalone od siebie o dwie noce drogi. Dzisiejszego dnia Gada obozowała na skalistym pustkowiu. Nie było tu żadnych roślin, żadnego jedzenia, żadnej wody.

— Jestem uzdrowicielką — zawołała, czując się głupawo. — Uwważaj! Moje węże są wypuszczone. Odezwij się, pozwól zobaczyć lub daj jakiś znak, to je schowam.

Nikt nie odpowiedział.

„Nikogo tam nie ma — pomyślała Gada. — Na Bogów, nikt cię nie śledzi. Szaleńcy nie śledzą ludzi. Oni... są po prostu szaleni.”

Położyła się i próbowała zasnąć, ale budziło ją każde poruszenie przesypywanego wiatrem piasku. Nie czuła się pewnie aż do zmięczenia, gdy zwinęła obóz i wyruszyła na wschód.

Skalisty trakt pod górę zwolnił tempo koni i ponownie spowodował dolegliwości nie podkutej nogi Liska. Gada też lekko utykała, gdyż zmiana wysokości i temperatury źle podziałała na jej chore prawe kolano. Jednak dolina osłaniająca Podgórze była tuż przed nimi, gdzieś o godzinę drogi. Na początku trakt był stromy, ale znajdowali się już na przełęczy; wkrótce miną grzbiet wschodniego łańcucha gór centralnych. Gada zsiadła, aby dać Błyskawicy odpocząć. Podrapała Liska w czoło, gdy ten zaczął wtykać nos w jej kieszeń. Spojrzała za siebie, na pustynię. Delikatna mgiełka kurzu zaćmiewała horyzont: piaszczyste wydmy leżące bliżej pulsowały opalizującą czernią, odbijając czerwone światło słońca. Gorące fale powietrza stwarzały złudzenie ruchu. Kiedyś jedna z nauczycielek Gady opisywała jej ocean i Gada tak właśnie go sobie wyobrażała.

Była szczęśliwa, że ma pustynię za sobą. Powietrze już się oziębilo, a pojawiające się gdzieś trawa i krzewy wczepiały się kurczowo w szczeliny, pełne żyznego, wulkanicznego pyłu. Wiatr przesiewał piach, ziemię i popiół ze stoków gór. Na tej wysokości najodporniejsze rośliny przyjmowały się w osłoniętych miejscach, nie było tu wiele wody, która by je wspomagała.

Gada poprowadziła konia oraz tygrysięgo kucyka pod górę. Wysokie buty ślizgały się po wypolerowanej wiatrem skale. Strój pustynny zawadzał, zdjęła go więc i przywiązała z tyłu siodła. Luźne spodnie i tunika z krótkimi rękawami furkotały na wietrze. Gdy zbliżyła się do przełęczy, wiatr się wzmógł, bo wąskie przejście w skale działało jak komin wzmacniający lżejszą bryzę. Za parę godzin zrobi się zimno. Zimno!!!

Z trudem mogła sobie wyobrazić taki luksus.

Gada dotarła do przełęczy i wkroczyła w inny świat. Patrząc na zieloną dolinę czuła się tak, jakby zostawiła wszystkie nieszczęścia pustyni za sobą. Lisek i Błyskawica podniosły głowy: wietrzyły i parskały, czując zapach świeżej paszy, wody i innych zwierząt.

Samo miasto rozciągało się po obu stronach szlaku; skupiska kamiennych budowli opartych o górę i wcinających się w nią — czerń na czerni. Dno doliny pokrywały szmaragdowe i złote pola, zaś przeciwległy jej kraniec, wznoszący się ponad poziom, na którym znajdowała się Gada, był pokryty dzikimi lasami aż po nagie, skaliste szczyty.

Gada głęboko wciągnęła w płuca czyste powietrze i ruszyła w dół.

Piękni mieszkańcy Podgórze spotykali już wcześniej uzdrowiciele. Szacunek, jaki im okazywali, zabarwiony był podziwem i odrobiną ostrożności, lecz nie strachu, z którym Gada miała do czynienia po drugiej stronie pustyni. Do ostrożności Gada była przyzwyczajona; to był objaw rozsądku, bo Mgła i Piasek mogły okazać się niebezpieczne

dla każdego, z wyjątkiem jej samej. Gada przyjmowała pełne szacunku pozdrowienia z uśmiechem, prowadząc konie brukowanymi alejkami. Sklepy były zamknięte, otwarte zaś tawerny.

Jutro ludzie zaczną się schodzić do Gady po pomoc, ale dzisiaj — miała nadzieję — pozwolą jej zająć jakiś wygodny pokój w gospodzie i zostawią w spokoju przy kolacji i butelce wina. Pustynia wyczerpała ją kompletnie. Ktoś, kto przyszedłby teraz, o tak późnej porze, musiałby być poważnie chory. Gada bardzo pragnęła, aby tej nocy nikt w Podgórzu nie umierał.

Zostawiła konie pod sklepem i kupiła sobie nowe spodnie i koszulę, dobierając rozmiar na oko i za poradą właściciela, ponieważ była zbyt zmęczona, aby je przymierzyć.

— Proszę się nie przejmować — powiedział właściciel. — Mogę je wymienić, jeśli nie będą się podobały. Zawsze wymienię rzeczy uzdrowicielce.

— Będą dobre — powiedziała. — Dziękuję.

Zapłaciła i wyszła ze sklepu. Na rogu była apteka; właścicielka właśnie ją zamykała.

— Przepraszani — powiedziała Gada.

Aptekarka odwróciła się z pełnym rezygnacji uśmiechem. Zmierzyła wzrokiem Gadę, jej wyposażenie, zauważyła torbę na wężę. Uśmiech przeszedł w zaskoczenie.

— Uzdrowicielka! — zawołała. — Proszę do środka. Czego ci potrzeba?

— Aspiryny — odparta Gada. Miała już tylko parę gramów, potrzebowała jej dla siebie, a bała się, że może zabraknąć. — I jodyny, jeśli jest.

— Jest, oczywiście. Sama przygotowuję aspirynę, a jodynę jeszcze raz oczyszczam, kiedy ją otrzymuję. W moim towarze nie ma zanieczyszczeń. — Napełniła buteleczki Gady. — Dużo czasu minęło, od kiedy gościliśmy uzdrowiciela w Podgórzu.

— Zdrowie waszych ludzi i ich uroda są szeroko znane — powiedziała Gada, a nie były to czcze komplementy. Rozejrzała się po sklepie. — I zaopatrzenie macie świetne. Podejrzewam, że jest tu właściwie wszystko. — Na półkach jednego regału stały środki przeciwbólowe. Mocne i działające na wszystko, które osłabiały jednak ciało, zamiast je wzmacniać. Wstydziła się kupić któryś z nich, bo tym samym przyznałaby się do utraty Mcha. Jednak gdyby ktoś w Podgórzu był bardzo chory, będzie musiała ich użyć.

— Och, jakoś dajemy sobie radę — powiedziała aptekarka. — Gdzie się pani zatrzyma? Czy mogę przysłać ludzi?

— Oczywiście.

Gada wymieniła nazwę gospody polecanej przez Grum, zapłaciła za leki i wyszła ze sklepu razem z właścicielką, która poszła w przeciwnym kierunku. Dziewczyna spojrzała w głąb ulicy.

Postać w pustynnym płaszczu mignęła jej na skraju pola widzenia. Gada okręciła się i przycupnęła w pozycji obronnej. Błyskawica prychała i cofała się, drobiąc kopytami. Tajemnicza postać zatrzymała się.

Gada wyprostowała się, zakłopotana. Osoba, która do niej podchodziła, nie nosiła stroju pustynnego, ale miała płaszcz z kapturem. Gada nie mogła dojrzeć ocienionej twarzy, ale na pewno nie był to szaleniec.

— Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać, uzdrowicielko? — jego głos zdradzał wahanie.

— Oczywiście.

— Nazywam się Gabriel. Mój ojciec jest burmistrzem miasta. Przyszedłem, aby prosić cię, żebyś zechciała być naszym gościem w rezydencji.

— To bardzo uprzejmie z waszej strony. Miałam zamiar zatrzymać się w zajeździe.

— To znakomity zajazd — powiedział Gabriel. — I właścicielka byłaby zaszczycona twoją obecnością, ale mój ojciec zhańbiłby Podgórze, gdybyśmy nie zaoferowali ci tego, co najlepsze.

— Dziękuję — odrzekła Gada. Zaczęła odczuwać, jeśli nie zadowolenie, to przynajmniej wdzięczność za hojność i gościnność okazywaną uzdrowicielom. — Przyjmuję wasze zaproszenie. Powinam jednak zostawić wiadomość w zajeździe. Aptekarka powiedziała, że być może przyśle do mnie ludzi.

Gabriel poprowadził ją uliczkami, które wiły się równolegle do gór, pomiędzy jednopiętrowymi budynkami z czarnego, wydobywanego w pobliżu kamienia. Kopyta koni oraz obcasy butów Gady i Gabriela stuknęły o bruk, roznosząc się echem. Skończył się teren zabudowany, a ulica rozlała się w szeroką, wyłożoną kamieniem drogę, odgródną od stromego uskoku jedynie murem sięgającym pasa.

— Normalnie mój ojciec sam wyszedłby cię przywitać — powiedział Gabriel.

W jego głosie brzmiały nie tylko przeprosiny, ale i niepewność, jakby było coś, o czym chciał jej powiedzieć, tylko nie potrafił ująć tego w słowa.

— Nie przywykłam do tego, by witali mnie dygnitarze — odpowiedziała.

— Chciałem, żebyś wiedziała, iż zaprosilibyśmy cię w każdej sytuacji, nawet gdyby... — głos mu się załamał.

— Ach! — Zrozumiała. — Twój ojciec jest chory?

— Tak.

— Nie musisz mieć oporów, prosząc mnie o pomoc — powiedziała. — W końcu to mój zawód. A jeżeli jeszcze dostanę pokój za darmo, to będę zupełnie szczęśliwa.

Gabriel wciąż nie odsłaniał swojej twarzy, ale napięcie zniknęło z jego głosu.

— Nie chciałbym, żebyś pomyślała, że jesteśmy takimi ludźmi, którzy nigdy nic nie dają bezinteresownie.

Szli dalej w milczeniu. Droga wiała się, omijając wystające skałki. Dopiero teraz Gada zobaczyła rezydencję burmistrza. Budowla była wysoka i rozległa, oparta o pochyle zbocze urwiska. Typowy czarny kamień został ozdobiony wąskimi pasami białej skały tuż pod dachem, na którym od wschodu i od południa umocowano baterie słoneczne. Okna w wyższych pokojach były ogromne, sklepione łukowato — tak, aby pasowały do wieżyczek po obu stronach frontonu. Przeświecające przez nie światło ujawniało nieskazitelną szklą.

Pomimo dużych okien i snycerki na wielkich drewnianych drzwiach, rezydencja była tyleż fortecą, ile wystawnym pałacem. Na parterze Gada nie zauważyła żadnych okien, natomiast brama była mocna i ciężka. Odległe skrzydło osłaniał skalny występ. Wyłożony kamieniem dziedziniec ograniczała ściana urwiska, która już na miejscu okazała się ani tak stroma, ani tak wysoka, jak to się wydawało z daleka. Oświetlona alejka prowadziła do jej podnóża. Tam mieściły się stajnie i skrawek pastwiska.

— To bardzo imponujące — powiedziała Gada.

— Jest własnością Podgórze, choć mój ojciec mieszka tu, odkąd się urodziłem.

Poszli dalej kamienną drogą

— Opowiedz mi o chorobie ojca.

Sądziła, że to nic poważnego, inaczej Gabriel byłby o wiele bardziej zatroskany.

— To był wypadek na polowaniu. Jeden z jego przyjaciół przebił mu nogę lancą. Ojciec nie przyznaje się nawet, że noga jest zakażona. Obawia się, że ktoś mu ją amputuje.

— Jak to wygląda?

— Nie wiem. Nie pozwala mi patrzeć. Nie wpuścił mnie nawet do siebie od wczoraj — powiedział z rezygnacją.

Gada spojrzała na niego, przejęta, bo jeżeli jego ojciec był uparty i na tyle przestraszony, że znosił duży ból, to noga mogła być tak zakażona, że zaczynała się już martwica tkanek.

— Nienawidzę amputacji — przyznała Gada całkiem szczerze. — Nawet nie uwierzysz, jakich sposobów się imałam, aby ich uniknąć.

Przed wejściem do rezydencji Gabriel krzyknął i ciężkie wrota otworzyły się. Pozdrowił służącego, dał mu Liska i Błyskawicę, by ten odprowadził je do stajni, która położona była nieco niżej.

Gada i Gabriel weszli do hallu — dźwięczącej echem komnaty z gładko polerowanego, czarnego kamienia. Ponieważ nie było okien, panował tu półmrok, ale już inny służący zapalił gazowe lampy. Gabriel położył zwijany materac Gady na podłodze, zrzucił w tył kaptur i zsunął z ramion płaszcz. Polerowane ściany odbijały jego twarz, zniekształcając ją.

— Twój bagaż możemy zostawić tutaj. Ktoś go zanieś na górę.

Gada roześmiała się do siebie usłyszawszy, że jej zwijane posłanie może być nazwane bagażem, tak jakby była bogatym kupcem wyruszającym w podróż handlową.

Gabriel odwrócił się do niej. Zobaczywszy jego twarz po raz pierwszy, Gada wstrzymała oddech. Mieszkańcy Podgórze byli świadomi swego piękna. Ten młody człowiek pojawił się tak szczelnie opatulony, że Gada zastanawiała się, czy może jest on nieładny, ma blizny albo zdeformowaną twarz. Była przygotowana na coś takiego.

W rzeczywistości Gabriel był najpiękniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziała. Mocnej budowy, o idealnych proporcjach. Jego twarz, choć szeroka, nie miała tak ostrych rysów jak twarz Arevina, Malowała się na niej ogromna wrażliwość, skłonność do uzewnętrzniania uczuć. Młodzieniec podszedł do Gady i wtedy dziewczyna spostrzegła, że ma on niezwykle intensywnie niebieskie oczy.

Gada nie potrafiła powiedzieć, dlaczego był taki piękny; czy była to symetria ciała, czy raczej harmonijność rysów twarzy? A może nieskazitelna cera? Albo to wszystko naraz i... coś jeszcze? W każdym razie na jego widok po prostu zatykało dech w piersiach.

Gabriel popatrzył na Gadę z wyczekiwaniem. Uzdrowicielka zdała sobie sprawę, że młodzieniec spodziewa się, iż zostawi także skórzaną torbę. Wydawało się, że nie zauważył, jakie wywarł na niej wrażenie.

— Tu są moje węże — powiedziała. — Zawsze trzymam je przy sobie.

— Och, przepraszam. — Zaczerwienił się. — Powinienem wiedzieć.

— Nie szkodzi, to nie takie ważne. Myślę, że będzie lepiej, jeśli obejrzę twego ojca jak najszybciej.

— Oczywiście.

Ruszyli szeroką, krętą klatką schodową. Czas zaokrąglił krawędzie sfatygowanych stopni, wykutych w czarnym kamieniu. Gada nigdy dotąd nie spotkała tak pięknego człowieka, który byłby jednocześnie tak wrażliwy na krytykę jak Gabriel; szczególnie na niezamierzoną krytykę. Wokół uderzająco pięknych ludzi często roztaczała się aura pewności siebie i zrozumiałstwa, czasem wręcz arogancji. Gabriel zaś wydawał się być zupełnie inny. Gada zastanawiała się, co było tego przyczyną.

W ogromnej rezydencji burmistrza utrzymywała się stała, niska temperatura. Po długim okresie spędzonym na pustyni Gadę cieszył chłód. Była spocona i brudna po całodniowej podróży, ale w ogóle nie czuła teraz zmęczenia. Skórzana torba w dłoni przyjemnie ciążyła. Dziewczyna ucieszyłaby się, gdyby się okazało, że to tylko zwykła infekcja. O ile przypadek nie jest na tyle groźny, że konieczna będzie amputacja, groźba powikłań będzie bardzo mała, a niebezpieczeństwo śmierci — prawie żadne. Miała nadzieję, że nie będzie zmuszona oglądać śmierci kolejnego pacjenta.

Szła za Gabrielem po krętych schodach. Mężczyzna nie zwolnił nawet na szczycie, ale ona zatrzymała się, by popatrzeć na ogromną komnatę. Za wysokim łukowato zwieńczonym oknem z przydymionego szkła, rozciągał się przepyszny widok na całą, zanurzoną w półcieniu dolinę. Panorama dominowała nad pomieszczeniem. Ktoś musiał to spostrzec, bo nie ustawiono tutaj żadnych mebli oprócz wielkich, szerokich pufów w neutralnych kolorach. Podłoga była dwupoziomowa: wyższe półkole dochodziło do czarnej ściany, przy której były schody, a niższy, szerszy podest sięgał pod okno.

Gada posłyszała pokrzykiwanie, a w chwilę później z sąsiedniego pokoju wybiegł starszy mężczyzna i wpadł na Gabriela. Młodszy z mężczyzn, tracąc równowagę, schwytał starszego za łokcie, aby go zatrzymać. Dokładnie tak samo postąpił starszy, łapiąc Gabriela. Popatrzyli na siebie poważnie, ignorując fakt, że sytuacja była raczej zabawna.

— Jak on się czuje? — spytał Gabriel.

— Gorzej — odrzekł starszy człowiek. Spojrzał na Gadę. — Czy ona jest...?

— Tak. Przyprowadziłem uzdrowicielkę. — Obrócił się, aby przedstawić służącego.

— Brian jest zaufanym mojego ojca. Oprócz niego nikt nie ma prawa się do niego zbliżyć.

— Teraz nawet i mnie wyrzucił — powiedział. Odgarnął gęste, białe włosy z czoła. — Nie pozwala mi obejrzeć nogi. Tak go boli, że kazał sobie włożyć poduszeczkę pod koc, tak, aby materiał nie dotykał bezpośrednio stóp. Twój ojciec, panie, jest bardzo upartym człowiekiem.

— Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie.

— Przestańcie tam hałasować! — krzyknął ojciec Gabriela. — Czy nie macie za grosz szacunku? Wynoście się z moich pokoi.

Gabriel wyprostował ramiona i spojrzał na Briana.

— Lepiej tam wejdźmy.

— Ja nie, panie — zaproponował Brian. — Mnie rozkazał wyjść. Powiedział, że nie mam się pokazywać, póki mnie nie zawoła.

Starszy człowiek spuścił wzrok.

— Nie przejmuj się. On tak nie myśli. Nie chciał cię zranić.

— Panie, ty w to wierzysz, naprawdę? Że nie chciał mnie zranić?

— Na pewno nie ciebie. Jesteś niezastąpiony. Co innego ja.

— Gabrielu... — powiedział starszy człowiek, przełamując pozę sługi.

— Nie odchodź zbyt daleko — powiedział Gabriel łagodnie. — Podejrzewam, że wkrótce będzie cię potrzebował.

Wszedł do pokoju ojca. Gada wśliznęła się za nim. Początkowo nie widziała nic, ponieważ na ogromnych oknach zaciągnięte były story, a lampy nie były zapalone.

— Witaj, ojcie — powiedział Gabriel.

— Wynoś się. Powiedziałem ci, żebyś nie przeszkadzał.

— Przeprowadziłem uzdrowicielkę.

Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Podgórze, ojciec Gabriela był przystojny. Miał bladą cerę, czarne oczy i ciemne włosy, zmierzwił od leżenia w łóżku. Gdy był zdrowy, musiał wyglądać imponująco, jak ktoś nawykły do przejmowania przywódczej roli w każdej grupie, w której by się znalazł.

— Nie potrzeba mi uzdrowicielki — powiedział. — Odejdź. Chcę tu Briana.

— Wystraszyłeś go i uraziłeś uzdrowicielkę, ojcie.

— Zawołaj go.

— On przyjdzie, jeśli go zawołam, ale nie pomoże ci. Uzdrowicielka może ci pomóc. Proszę... — w głosie Gabriela brzmiało coraz więcej desperacji.

— Gabrielu, zapal proszę lampy — odezwała się Gada.

Podeszła i stanęła przy łóżku burmistrza. Gabriel usłuchał, a jego ojciec odwrócił się od światła. Powieki miał opuchnięte, a oczy przekrwione. Poruszył jedynie głowę.

— Pogorszy się — powiedziała łagodnie Gada — tak, że w końcu nie odważy się pan ruszyć. A później już nie będzie pan mógł, bo trujące substancje z rany zbyt pana osłabiają. Wtedy pan umrze.

— Miła jesteś, gdy tak rozprawiasz o śmierci.

— Nazywam się Gada. Jestem uzdrowicielką. Nie specjalizuję się w rozmowach o śmierci.

Burmistrz nie zareagował na znaczenie jej imienia, ale Gabriel tak. Odwrócił się i spojrzął na nią z szacunkiem, a nawet z lękiem.

— Gadziny! — zawarczał burmistrz.

Gada nie miała ochoty tracić energii na przekonywanie. Podeszła do łóżka i odsłoniła koce, aby obejrzeć chorą nogę burmistrza. Protestując próbował usiąść, ale gwałtownie opadł na poduszkę, oddychając ciężko. Twarz mu zbladła i zalśniła od potu.

Gabriel podszedł do Gady.

— Lepiej stań tam wyżej, przy nim — powiedziała.

Czuła cuchnący zapach infekcji. Noga wyglądała źle. Zaczynała się gangrena. Ciało było opuchnięte, a ognistoczerwone pręgi sięgały aż po udo. Za kilka dni tkanka obumrze i szernieje, a wtedy nie pozostanie nic innego jak amputacja.

Odór wzmagał się, wywołując mdłości. Gabriel był bledszy niż ojciec.

— Nie musisz tu zostawać — powiedziała Gada.

— Ja... — Przełknął ślinę i zaczął jeszcze raz: — Czuję się dobrze.

Gada, uważając, aby nie urazić opuchniętej stopy, przykryła ją kocem. Wyleczenie burmistrza nie będzie problemem. To, z czym będzie musiała walczyć, to agresywna poza, maskująca chęć obrony.

— Czy jesteś w stanie mu pomóc? — spytał Gabriel.

— Mogę sam mówić za siebie! — powiedział burmistrz.

Gabriel spojrzął w podłogę z nieodgadnionym wyrazem twarzy, który ojciec zignorował, a który dla Gady oznaczał rezygnację i smutek. Absolutnie żadnej złości. Gabriel odwrócił się i zaczął poprawiać coś przy lampach.

Gada przysiadła na brzegu łóżka i dotknęła czoła burmistrza. Jak się spodziewała, miał wysoką gorączkę.

Odwrócił się.

— Nie patrz na mnie.

— Może mnie pan ignorować — powiedziała Gada. — Może rozkazać mi, abym wyszła, ale nie może zignorować pan zakażenia. Ono nie ustanie, dlatego, że mu pan rozkaże.

— Nie obetniesz mi nogi — powiedział burmistrz, wolno cedząc słowo za słowem.

— Wcale nie zamierzam. To nie jest konieczne.

— Potrzebuję tylko Briana, żeby mi ją obmył.

— On nie obmyje gangreny!

Gadę zaczynała złościć ta dziecinada. Gdyby majaczył w gorączce, miałyby dla niego bezmierną cierpliwość. Gdyby miał już umierać, zrozumiałyby jego niechęć do przyznania, że jest z nim źle. Ale tak nie było. Sprawiał wrażenie człowieka nawykłego do tego, że sprawy toczą się zawsze po jego myśli, który teraz nie może podołać nieszczęściu.

— Ojczy, proszę cię, posłuchaj jej.

— Nie udawaj, że się mną przejmujesz — odpowiedział. — Byłbyś szczęśliwy, gdybym umarł.

Blady jak ściana Gabriel stał nieruchomo przez parę sekund, a później wolno odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Gada wstała.

— To było okropne, co pan powiedział. Jak pan mógł? Każdy przecież widzi, że on chce, aby pan żył. On pana kocha.

— Nie potrzebuję ani jego miłości, ani twoich lekarstw. Ani jedno, ani drugie mi nie pomoże.

Gada zacisnęła pięści i wyszła za Gabrielem.

Młody człowiek siedział w pokoju, twarzą do okna, oparty o stopień między poziomami sali. Gada usiadła obok.

— On tak nie myśli — w głosie Gabriela brzmiał wysiłek i poniżenie. — Naprawdę, nie.

Pochylił się, ukrył twarz w dłoniach i zaczął łkać. Gada otoczyła go ramionami i próbowała pocieszyć. Obejmowała go, klepała po szerokich plecach i gładziła po miękkich włosach. Czymkolwiek była spowodowana niechęć burmistrza do syna, Gada była pewna, że przyczyną jej nie była ani nienawiść, ani zazdrość Gabriela.

Otarł twarz rękawem.

— Dzięki — powiedział. — Przepraszam. Jak on robi się taki...

— Gabrielu, czy twój ojciec miał kiedykolwiek kłopoty z równowagą?

Przez chwilę Gabriel patrzył, nie rozumiejąc. Nagle roześmiał się, ale z goryczą.

— Umysłową? Tak? Nie, jest zupełnie normalny. To osobista sprawa między nim a mną. Czasem może pragnie, abym umarł, żeby mógł spłodzić bardziej odpowiednie dziecko. Ale teraz jest na to za późno. Może ma rację? Może ja czasem też pragnę jego śmierci?

— Wierzysz w to?

— Nie chcę.

— Ja w to zupełnie nie wierzę.

Spojrzał na nią z lekkim, ledwie dostrzegalnym przebłyskiem czegoś, co jak myślała Gada, przerodzi się za chwilę w absolutnie promienny uśmiech. Jednak znów zaczął mówić z chłodnym dystansem.

— Co się stanie, jeśli nic nie zrobisz?

— Za dzień albo dwa straci przytomność. Wtedy...Wtedy będą dwie możliwości: albo obciąć mu nogę wbrew jego woli, albo pozwolić mu umrzeć.

— Czy nie możesz leczyć go teraz? Bez jego zgody?

Pragnęła udzielić mu takiej odpowiedzi, jaką chciał usłyszeć.

— Gabrielu, niełatwo to powiedzieć, ale jeśli tracąc przytomność powie mi, że nie mogę mu obciąć nogi, pozwolę mu umrzeć. Sam mówisz, że jest w pełni władz umysłowych. Nie mam prawa postępować wbrew jego żądaniom, chociażby okazały się nie wiem jak głupie i niebezpieczne.

— Ale mogłabyś uratować mu życie.

— Tak. Ale to jest jego życie.

Gabriel w geście wyczerpania przetarł oczy wierzchem dłoni.

— Porozmawiam z nim jeszcze raz.

Gada podeszła z nim do pokoju ojca, zgodziła się jednak poczekać na zewnątrz. Nie było strachu w tym młodym człowieku. Bez względu na to, czego mu nie dostawało w oczach ojca — i w swoich własnych — był naprawdę odważny. Chociaż nie można było też wykluczyć tchórzostwa. Dlaczego tu ciągle był i pozwalał, by go poniżano. Gada nie wyobrażała sobie, aby mogła tak żyć.

Uzdrowicielka nie miała żadnych skrupułów, podsłuchując rozmowę.

— Chcę, abys pozwolił jej, żeby ci pomogła, ojcze.

— Nikt nie może mi pomóc. Już nie.

— Masz dopiero czterdzieści dziewięć lat. Może pojawić się ktoś, do kogo będziesz czuł coś podobnego jak do mamy.

— Lepiej byś powstrzymał swój język, zanim zaczniesz mówić o matce.

— Nie, już nie będę się hamował. Nie znałem jej, ale połowa mnie pochodzi z niej. Przykro mi, że cię rozczarowałem. Podjąłem decyzję, wyjeżdżam stąd. Za parę miesięcy będziesz mógł powiedzieć...nie, lepiej wyślę posłańca z wiadomością, że nie żyję, a ty nigdy nie będziesz musiał sprawdzać, czy to prawda.

Burmistrz nie odpowiadał.

— Co chcesz, abym ci powiedział? Że przykro mi, iż nie zrobiłem tego wcześniej? W porządku, przykro mi.

— To jedyna rzecz, jakiej mi nigdy nie zrobiłeś — powiedział ojciec Gabriela, — Jesteś uparty i bezczelny, ale nigdy przedtem mnie nie okłamywałeś.

Cisza się przeciągała. Gada już miała wejść, gdy Gabriel odezwał się ponownie.

— Miałem nadzieję, że uda mi się odpokutować za swoje winy. Myślałem, że jeśli będę wystarczająco użyteczny...

— Ja muszę myśleć o rodzinie — powiedział burmistrz — i o mieście. Bez względu na wszystko, zawsze będziesz moim pierworodnym, nawet gdybyś nie był moim jedynym dzieckiem. Nie mógłbym się ciebie wyrzec bez poniżenia się publicznie.

Gada była zaskoczona, usłyszawszy współczucie w szorstkim głosie.

— Wiem. Teraz to rozumiem. Ale z twojej śmierci żadnego pożytku nie będzie.

— Czy zdecydowany jesteś zrealizować swój plan?

— Przysięgam — odpowiedział Gabriel.

— Dobrze. Wpuść uzdrowicielkę.

Gdyby Gada nie złożyła przysięgi, że będzie zawsze pomagać rannym i chorym, pewnie opuściłaby natychmiast zamek. Nigdy nie była świadkiem tak chłodnej, wyrozumowanej nienawiści, a tu widziała ją między ojcem i dzieckiem.

Gabriel podszedł do drzwi, a Gada weszła do sypialni w milczeniu.

— Zmieniłem zdanie — zakomunikował burmistrz. Dopiero po chwili pojął, jak arogancko to zabrzmiało. — Jeżeli nadal zechcesz mnie leczyć.

— Zechcę — rzuciła krótko Gada i wyszła z pokoju.

Zakłopotany Gabriel poszedł za nią.

— Czy coś nie tak? Nie zmieniłaś chyba zdania?

Gabriel zdawał się być spokojny i niczym nie urażony. Gada przystanęła.

— Przyrzekłam, że mu pomogę. I pomogę. Potrzebuję pomieszczenia i kilku godzin, zanim będę mogła zająć się jego nogą.

— Damy ci wszystko, czego żadasz.

Poprowadził ją po rozległej górnej kondygnacji, aż doszli do wieży południowej. Tutejsze pomieszczenie nie było tak ogromne jak pokoje burmistrza, lecz za to bardziej przytulne. Pokój Gady mieścił się na obwodzie wieży. Zakrzywiony korytarz za pokojami gościnnymi obiegał ulokowaną w środku wspólną łaźnię.

— Już prawie pora kolacji — powiedział Gabriel, pokazując jednocześnie Gadzie jej pokój. — Zjesz ze mną?

— Nie, dziękuję. Nie tym razem.

— Czy przynieść ci coś tutaj?

— Nie. Po prostu przyjdź za trzy godziny.

Nie zwracała na niego uwagi, bo nie mogła zastanawiać się nad jego problemami, gdy planowała kurację. Machinalnie wydała mu kilka poleceń, co do rzeczy, jakie mają być gotowe w pokoju ojca. Ponieważ zakażenie jest silne, będzie to brudna i brzydko pachnąca robota.

Gdy skończyła, nadal nie odchodził.

— Bardzo go boli — powiedział. — Czy nie masz czegoś, co uśmierzyłoby ból?

— Nie — odpowiedziała Gada. — Ale nie zaszkodzi go upić.

— Upić? Dobrze, spróbuję. Nie sądzę jednak, aby to się udało. Jeszcze nigdy nie widziałem go upitego do nieprzytomności.

— Działanie uśmierzające to sprawa drugorzędna. Alkohol poprawia krążenie.

— Ach, tak...!

Kiedy Gabriel wyszedł. Gada pobrała jad od Piaska, by przygotować anatoksynę przeciw gangrenie. Świeży jad podziela też jako łagodny anestetyk, który jednak nie będzie zbyt użyteczny, póki Gada nie wydrenuje rany, a krążenie krwi nie osłabnie.

Nie była zadowolona, że będzie musiała zadać burmistrzowi ból, ale nie żałowała tego tak bardzo, jak w przypadku innych pacjentów.

Ściągnęła zakurzone pustynne ubranie i wysokie buty. Nowe spodnie i koszulę miała przymocowane do materaca. Ktoś, kto przyniósł jej rzeczy na górę, rozłożył je starannie. Włożyć taki strój będzie przyjemnością, ale dużo czasu minie, zanim znosi się i stanie tak wygodny jak ten, który zniszczył szaleniec.

Łaźnia była łagodnie oświetlona lampami gazowymi. Większość budynków tej wielkości, co ten, miała swoje generatory metanu. Prywatne oraz komunalne generatory zu-

żywały śmieci, odpadki i ludzkie odchody jako surowiec do bakteryjnej produkcji paliwa. Z tymi urządzeniami i bateriami słonecznymi na dachu, zamek był co najmniej samowystarczalny, jeśli chodzi o energię. Być może miał taką nadwyżkę, że mogła działać klimatyzacja. Jeśli zdarzyło się lato na tyle gorące, żeby upał przedostawał się przez naturalną kamienną izolację, można było budynek ochładzać. Ośrodek uzdrowieli miał podobne urządzenia i Gadzie wcale nie było przykro, że znów się na nie natknęła.

Nalała pełną wannę gorącej wody i zażyła luksusowej kąpieli.

Perfumowane mydło również podnosiło standard w porównaniu z czarnym piaskiem, którym najczęściej musiała się szorować, chcąc się umyć, ale kiedy Gada odkryła, że ręcznik pachnie mięta, po prostu się roześmiała.

Trzy godziny mijały wolno, podczas gdy lekarstwo pracowało w organizmie Piaska. Gada leżała kompletnie ubrana, ale z bosymi stopami. Nie spała, kiedy Gabriel zapukał do drzwi. Usiadła, ujęła Piaska lekko za głowę i pozwoliła mu owinąć się wokół ramienia i nadgarstka. Potem wpuściła Gabriela.

Młody mężczyzna popatrzył na Piaska z ostrożną uwagą. Był nim zafascynowany.

— Nie pozwolę mu zaatakować — powiedziała Gada.

— Po prostu zastanawiałem się, jakie są w dotyku.

Wyciągnęła ku niemu rękę, a on pogładził gładkie, wzorzyste łuski węża. Cofnął dłoń bez komentarza.

W komnacie burmistrza znajdował się Brian, szczęśliwy, że znów opiekuje się swoim panem. Burmistrz był pijacko zaczerwieniony. Jęczał i płakał, gdy Gada podchodziła do niego. Łzy jak grochy spływały mu po policzkach. Jęki ustały, gdy zauważył Gadę. Zatrzymała się w nogach łóżka. Obserwował ją wystraszony.

— Ile wypił?

— Tyle, ile chciał — odpowiedział Gabriel.

— Byłoby lepiej, gdyby był nieprzytomny — powiedziała Gada, zaczynając czuć litość.

— Widywałem jak pił do świtu z radnymi, ale nigdy nie widziałem, żeby był nieprzytomny.

Burmistrz zezował ku nim mętłym wzrokiem.

— Ani kropli koniaku więcej — powiedział — Dosyć. — Słowa brzmiały mocno mimo, iż nieco bełkotał. — Póki jestem przytomny, mnie możecie obciąć mi nogi.

— Racja — powiedziała Gada. — Niech pan zatem pilnuje.

Utkwiła spojrzenie w Piasku: w oczach pozbawionych powiek i ruchliwym języku. Zaczął drzeć.

— W jakiś inny sposób — powiedział — Musi być jakiś inny sposób.

— Tracę cierpliwość! — ostrzegła Gada.

Wiedziała, że za chwilę straci panowanie nad sobą albo, co gorsza, zacznie znów płakać nad Jesse. Pamiętała jedynie, jak bardzo pragnęła jej pomóc...a tego człowieka może wyleczyć tak łatwo.

Burmistrz położył się z powrotem na łóżko. Gada czuła, że nadal wstrząsają nim drgawki, ale przynajmniej był cicho. Gabriel i Brian stali po obu stronach. Gada odkryta nogi mężczyzny i ułożyła koce tak, że tworzyły barykadę na jego kolanach, aby nic nie mógł zobaczyć.

— Chcę patrzeć — szepnął.

Noga była fioletowa i spuchnięta.

— Nie — powiedziała Gada. — Brian, proszę, otwórz okno.

Stary sługa pośpieszył wykonać polecenie. Odsunął zasłony i otworzył wielkie okna na panujące na zewnątrz ciemności.

Chłodne, świeże powietrze rozeszło się po pokoju.

— Kiedy Piasek ukąsi — wyjaśniła Gada — odczuje pan ostry ból. Po chwili okolice ukąszenia zdrętwieją. Zdrętwienie będzie się rozchodzić powoli, bo krążenie krwi jest prawie zablokowane. Ale jak już rozejdzie się dostatecznie, oczyszczę ranę. Po tym anatoksyna będzie lepiej działać.

Zarumienione policzki burmistrza zbladły. Nie powiedział ani słowa, ale Brian podsunął mu szklanekę do ust i burmistrz wypił spory łyk. Rumieniec powrócił mu na twarz.

„Cóż — pomyślała Gada — niektórym ludziom powinno się mówić wszystko, a niektórym — nic.”

Gada rzuciła Brianowi czyste płótno.

— Nalej na to trochę koniaku i połóż sobie na usta i nos. Ty, Gabrielu, zrób to samo, jeśli chcesz. To nie będzie przyjemne. I obydwaj wypijcie po łyku. A potem przytrzymajcie mu lekko ramiona. Nie pozwólcie mu gwałtownie siadać. Wystraszy grzechotnika.

— Tak, uzdrowicielko — powiedział Brian.

Gada oczyściła skórę wokół głębokiej rany na łydce burmistrza. „Na szczęście nie ma jeszcze tężca” — pomyślała, przypominając sobie Ao i innych zbieraczy. Uzdrowiciele zaglądali od czasu do czasu do Podgórze, chociaż w przeszłości robili to częściej. Może burmistrz był zaszczepiony.

Gada odwinęła Piaska z ramienia i trzymając go tuż za wybrzuszoną szczękę, pozwoliła, by omiatał językiem zaognioną skórę chorego. Piasek ułożył się na łóżku. Gada puściła mu głowę. Uderzył. Burmistrz krzyknął. Piasek ukąsił tylko raz. Zwinął się z powrotem tak szybko, że postronny obserwator nie byłby pewien, czy wąż się w ogóle ruszył. Burmistrz jednak był pewien. Znów zaczął się mocno trząść. Ciemna krew i ropa sączyła się z dwa nakłutych ranek.

Gadzie pozostała jeszcze jedna — za to najobrzydliwsza — czynność. Otworzyła ranę i zaczęła usuwać ropę. Miała nadzieję, że Gabriel nie jadł zbyt obfitej kolacji, bo wyglądał tak, jakby ją miał za chwilę stracić, pomimo nasączonego koniakiem płótna na twarzy. Brian ze stoickim spokojem trwał przy ramieniu swego pana, uspokajał go i pilnował, aby ten się nie ruszył. Kiedy Gada skończyła, opuchlizna na nodze była zdecydowanie mniejsza. Burmistrz będzie zdrow za parę tygodni.

— Brian. Możesz tu podejść?

Starszy mężczyzna usłuchał z wahaniem, ale odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył efekt jej pracy.

— Wygląda lepiej — powiedział. — Już teraz jest lepiej niż wtedy, gdy ostatni raz pozwolił mi na to popatrzeć.

— Dobrze. Będzie się jeszcze sączyło, więc trzeba trzymać ranę w czystości.

Pokazała mu, jak zakładać opatrunek i jak bandażować. Brian zawołał młodego służącego i polecił mu, aby wyniósł pobrudzone płótna. Wkrótce odór zakażenia i martwego ciała wywietrzył z pokoju. Gabriel siedział na łóżku i obmywał ojcu czoło gąbką. Nasączone koniakiem płótno spadło mu z twarzy na podłogę, ale nie schylił się, by je podnieść. Już nie był tak blady.

Gada podniosła Piaska i wpuściła go na swe ramiona.

— Jeżeli rana będzie bolała albo temperatura znów się podniesie lub jeśli zajdzie jakakolwiek zmiana, która nie świadczyłaby o poprawie, przyjdź mnie zawołać. W innym przypadku przyjdę zobaczyć go rano.

— Dziękujemy, uzdrowicielko — powiedział Brian.

Mijając Gabriela, Gada zawahała się, ale nie popatrzyła na niego. Jego ojciec leżał spokojnie, oddychając ciężko. Spał — albo zasypiał. Gada wzruszyła ramionami i opuściła wieżę burmistrza. Wróciła do swego pokoju i ułożyła Piaska w przegródce. Później wolno zeszła po schodach, aż znalazła kuchnię. Jeden z wszechobecnych i niezliczonych służących burmistrza przygotował jej kolację; zjadła, a potem poszła do łóżka.

6.

Rano burmistrz czuł się lepiej. Brian oczywiście czuwał przy nim całą noc, wypełniając jego polecenia. Może nie całkiem ochoczo, bo to nie było w stylu Briana, ale bez zastrzeżeń czy niechęci.

— Czy zostanie blizna? — spytał burmistrz.

— Tak — odparta Gada, zdziwiona. — Oczywiście. Kilka. Usunęłam sporo martwej tkanki mięśniowej i już nigdy to miejsce się nie wypełni. Mimo to nie będzie pan chyba kulał.

— Brian, gdzie moja herbata? — jego ton zdradzał niezadowolenie z odpowiedzi Gady.

— Już niosę, panie.

Zapach korzennych przypraw rozszedł się po pokoju. Burmistrz pił herbatę sam, ignorując Gadę, która zmieniała mu bandaż na nodze.

Kiedy wyszła, psiocząc, Brian wyskoczył za nią na korytarz.

— Uzdrowicielko, proszę mu wybaczyć. Nie jest przyzwyczajony do chorowania. Zawsze oczekuje, że wszystko będzie szło po jego myśli.

— Zauważyłam.

— To znaczy... Myśli o sobie, jakby był okaleczony... Czuje się zdradzony przez samego siebie... — Brian rozłożył ręce, niezdolny znaleźć właściwych słów.

To nie było takie niezwykle — spotkać człowieka, który nie wierzy, że może być chory. Gada była przyzwyczajona do trudnych pacjentów, którzy chcieliby wyzdrowieć zbyt szybko, mimo konieczności rekonwalescencji, i którzy stawali się zrzędlivi, gdy im się to nie udawało.

— To nie upoważnia go do traktowania ludzi w ten sposób.

Brian utkwiał wzrok w podłódze.

— To dobry człowiek, uzdrowicielko.

Żałując, że dała upust złości, czy raczej poirytowaniu i zranionej dumie, a przez to dotknęła służącego, Gada odezwała się nieco łagodniej.

— Czy jesteś tu niewolnikiem?

— Och nie, uzdrowicielko. Jestem wolny. Burmistrz nie zezwala na to, aby czynić z ludzi niewolne sługi. Handlarze, którzy przyjeżdżają do Podgórze z niewolnikami są

odprawiani z miasta, a ich ludzie mogą wybierać, czy chcą jechać z nimi, czy przez cały rok świadczyć usługi miastu. Jeżeli zostają, burmistrz wykupuje ich papiery od handlarzy.

— Czy tak było z tobą?

Wahał się, ale w końcu odpowiedział.

— Niewielu wie, że byłem niewolnikiem. Jestem jednym z pierwszych, którzy zostali wyzwoleni. Pewnego roku podarł moje papiery niewolnicze. Były ważne jeszcze na dwadzieścia lat, a ja odsłużyłem dopiero pięć. Do tamtego momentu nie byłem pewien, czy mogę mu ufać; czy komukolwiek mogę. Ale, okazało się, że tak — wzruszył ramionami. — I zostałem już.

— Rozumiem, dlaczego żywisz dla niego wdzięczność — powiedziała Gada. — Ale mimo to, on nie ma prawa rozporządzać tobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Spałem ostatniej nocy.

— Na krześle?

Brian uśmiechnął się.

— Znajdź kogoś innego, aby przy nim poczuwał choć trochę — powiedziała. — A ty chodź ze mną.

— Potrzebuje pani pomocy, uzdrowicielko?

— Nie, idę na dół, do stajni. Ale ty będziesz mógł, chociaż się zdrzemnąć, gdy ja tam będę.

— Dziękuję uzdrowicielko, ale raczej zostanę tutaj.

— Jak sobie życzysz.

Wyszła z rezydencji i minęła dziedziniec. Przyjemnie było przejść się w chłodny poranek, choćby tylko po ostrych serpentynach w dół urwiska. Przed nią rozciągały się pastwiska burmistrza. Siwa klacz była sama na zielonej łące. Galopowała z wysoko uniesionym łbem i zadartym ogonem. Podskakiwała na sztywnych nogach i zatrzymywała się, parszając głośno, tuż przed płotem, a potem zawracała i pędziła w przeciwnym kierunku. Chciała uciec dalej; przesadziłaby wysoki do piersi płot i pewnie wcale by tego nie spostrzegła. Biegała jednak wyłącznie dla zabawy.

Gada ruszyła ścieżką prowadzącą do stajni. Kiedy się zbliżyła, usłyszała odgłos uderzenia ręką i płacz, a potem wściekły wrzask:

— Zabieraj się do roboty!

Gada przebiegła ostatnie metry do stajni i szarpnięciem otworzyła drzwi. Wewnątrz było prawie zupełnie ciemno. Zmrużyła oczy. Posłyszała szelest siana i poczuła przyjemny zapach wysprzątanej stajni. Po chwili jej wzrok przyzwyczaił się trochę do półmroku i zobaczyła szerokie, wyłożone słomą przejście, dwa rzędy boksów i stajennego, który odwrócił się w jej stronę.

— Dzień dobry, pani uzdrowicielko.

Stajenny był ogromnym, zwalistym mężczyzną. Miał blisko dwa metry, rude kędzioły i blond brodę.

Gada spojrzała na niego, podnosząc wzrok.

— Co to był za hałas?

— Hałas? Och, po prostu przerwałem czyjeś lenistwo.

Jego metoda musiała być skuteczna, bo ktokolwiek był tym leniem, zniknął natychmiast

— O tej porze lenistwo wydaje się być dobrym pomysłem — powiedziała.

— Cóż, wcześniej zaczynamy. — Stajenny poprowadził ją w głąb stajni. — Umieściłem wierzchowce tutaj. Klacz jest na zewnątrz, żeby się wybiegała, ale kucyka zostawiłem w środku.

— Dobrze — powiedziała Gada. — Trzeba go jak najszybciej podkuć.

— Posłałem po kowala. Ma przyjść po południu.

— O, świetnie! — Gada weszła do boksu Liska. Tracił ją pyskiem i zjadł kawałek chleba, który mu przyniosła. Jego sierść błyszcziała, a grzywa i ogon były wyczesane, miał nawet naoliwione kopyta. — Ktoś się nim dobrze zaopiekował.

— Staramy się zadowolić burmistrza i jego gościa — odparł wielki mężczyzna.

Stał w pobliżu, pełen gorliwości, póki nie wyszli ze stajni, aby przyprowadzić klacz. Błyskawicę i Liska trzeba było na nowo oswajać z pastwiskiem po tak długim pobycie na pustyni, bo inaczej bogata trawa spowodowałaby rozstrój żołądka.

Wróciła, dosiadając Błyskawicę na oklep. Stajenny był czymś zajęty w drugiej części budynku. Gada zsunęła się z grzbietu klaczy i poprowadziła ją do boksu.

— Proszę pani, to ja to zrobiłem, a nie on.

Zaskoczona Gada obróciła się, ale nie zobaczyła nikogo ani w boksie, ani w przejściu.

— Kto to? — spytała Gada. — Gdzie jesteś?

Będąc z powrotem w boksie spojrzała w górę i zobaczyła otwór w suficie służący do zrzucania siana. Wskoczyła na żłób, chwyciła za krawędź i podciągnęła się aż pod brodę, tak żeby móc zajrzeć do góry. Spłoszona mała postać odskoczyła w tył i ukryła się za belą siana.

— No, wyjdź — powiedziała Gada. — Nie zrobię ci krzywdy. Znajdowała się w śmiesznej pozycji, wisząc pośrodku stajni, bez dobrego podparcia, które pozwoliłoby wspinać się wyżej. Błyskawica skubała ją w but.

— Chodź na dół — powiedziała Gada i opuściła się.

Zobaczyła zarys postaci na stryszku z sianem, ale nie zdołała ujrzyć twarzy.

„To dziecko — pomyślała. — Po prostu mały dzieciak.”

— To nic, proszę pani — powiedziało dziecko. — On tak zawsze udaje, że wszystko robi, a są przecież inni, którzy też pracują. To wszystko. Ale co tam...

— Proszę cię, zjedź tutaj — Gada ponowiła prośbę. — Widać, że Lisek i Błyskawica są pod doskonałą opieką. Chciałabym ci podziękować.

— To wystarczy za podziękowanie, proszę pani.
— Nie mów tak do mnie. Nazywam się Gada. A ty?
Ale dziecko już zniknęło.

Ludzie z miasta — pacjenci i wysłannicy — już czekali na Gadę, kiedy weszła na górę, prowadząc Błyskawicę. Dzisiaj nie będzie sobie mogła pozwolić na spokojne śniadanko.

Przed wieczorem przebadła większość mieszkańców Podgórza. Przez kilka godzin z rzędu pracowała ciężko i w pośpiechu, ale zadowolona za każdym razem, gdy kończyła z jednym pacjentem i szła do następnego. W jej podświadomości wciąż czaił się niepokój. Obawiała się, że ktoś może wezwać do umierającego, do kogoś takiego jak Jesse, komu nie będzie w stanie w ogóle pomóc. To już stało się jej obsesją.

Ale tego dnia nic takiego się nie stało.

Wieczorem dosiadła Błyskawicy i pojechała wzdłuż rzeki na północ. Minęła miasto, gdy poblask słońca zniknął już za chmurami i osiadał na zachodnich szczytach. Podługowate cienie wypełzyły jej na spotkanie, kiedy dojeżdżała do pastwisk i stajni burmistrza. Nie widząc nikogo w pobliżu, sama zaprowadziła Błyskawicę do stajni, rozsiadła ją i zaczęła szczotkować miękką, nakrapianą sierść. Niezbyt spieszyła się do rezydencji burmistrza, do atmosfery psiej lojalności i bólu.

— Proszę pani, to nie jest zajęcie dla pani. Proszę pozwolić, że ja to zrobię, a pani niech idzie na wzgórze.

— Nie. Zejdź na dół — powiedziała Gada w stronę, skąd dochodził szept. — Możesz pomóc. I nie nazywaj mnie „panią”.

— Proszę już iść, proszę pani.

Gada szczotkowała bok Błyskawicy i nie odpowiedziała. Nic się nie działo, pomyślała więc, że dziecko odeszło. Nagle posłyszała szelest siana nad głową. Złękła się i przejechała szczotką pod włos po zadzie Błyskawicy. W chwilę później dziecko stanęło obok niej i łagodnie wyjęło jej szczotkę z dłoni.

— Widzi pani...

— Gada.

— ... to nie jest odpowiednie zajęcie dla pani. Pani zna się na uzdrawianiu, a ja na czyszczeniu koni.

Gada uśmiechnęła się.

Dziewczynka miała z dziewięć, dziesięć lat. Była mała i drobniutka. Nie spojrzała nawet na Gadę. Szczotkowała teraz zmierzwioną sierść na zadzie konia, stojąc ku niemu twarzą, blisko jego boku. Dziecko miało jasnorude włosy i brudne, obgryzione paznokcie.

— Masz rację — powiedziała Gada. — Jesteś w tym lepsza niż ja.

Dziecko przez chwilę milczało.

— Pani mnie oszukała — powiedziała nagle, nie odwracając głowy.

— Troszeczkę — przyznała Gada. — Ale musiałam. Inaczej nie mogłabym ci podziękować twarzą w twarz.

Dziewczynka odwróciła się gwałtownie z błyskiem w oczach.

— Podziękować? Mnie? — krzyknęła.

Lewą stroną twarzy miała zdeformowaną przez okropną bliznę. „Oparzenie trzeciego stopnia — pomyślała Gada. — Biedne dziecko! Gdyby jakiś uzdrowiciel był w pobliżu, blizny nie byłyby takie okropne.”

W tej samej chwili spostrzegła siniak na prawym policzku dziewczynki. Przyklęła, a dziecko szarpnęło się w tył, unikając dotyku i odwróciło głowę, żeby ukryć bliznę. Gada delikatnie dotknęła sińca.

— Słyszałam rano, jak stajenny wydziera się na kogoś — powiedziała. — To na ciebie, tak? Uderzył cię?

Dziewczynka odwróciła się i popatrzyła na nią w milczeniu.

— Nic mi nie jest — powiedziała.

Wyswobodziła się z rąk Gady i po drabince uciekła w ciemność.

— Proszę cię, zejdź z powrotem — zawołała Gada, ale dziewczynka zniknęła i chociaż Gada weszła za nią na stryszek, nigdzie nie mogła jej znaleźć.

Gada wspięła się krętym traktem do rezydencji. Jej cień kołysał się w przód i w tył w rytm światła latarenki, którą niosła w ręku. Rozmyślała o bezimiennej dziewczynce. Siniec był w niedobrym miejscu, dokładnie na skroni, ale dziecko nie drgnęło pod dotknięciem i nie miało żadnych objawów wstrząśnienia mózgu. Gada nie musiała się obawiać o życie dziewczynki. To teraz, ale w przyszłości?

Gada chciała jakoś jej pomóc, ale wiedziała, że jeśli dopilnuje, aby stajenny dostał nagany, to konsekwencje spadną na dziecko, kiedy ona odjedzie.

Weszła po schodach do pokoju burmistrza.

Brian wyglądał na wyczerpanego, za to burmistrz był świeży jak poranek. Opuchlizna na nodze zeszła prawie zupełnie. Na nakłuciach zrobiły się strupy, ale Brian pilnował, aby główna rana była otwarta i czysta.

— Kiedy będę mógł wstać? — spytał burmistrz. — Mam pracę. Muszę zobaczyć się z ludźmi. Przeprowadzić rozmowy.

— W każdej chwili — odparła Gada. — O ile nie ma pan nic przeciwko temu, żeby leżeć w łóżku trzy razy dłużej.

— Nalegam...

— Po prostu proszę leżeć — powiedziała zmęczonym tonem. Wiedziała, że nie usłucha. Brian jak zwykle wyszedł za nią na korytarz.

— Jeśli rana zacznie w nocy krwawić, zawołaj mnie.

Wiedziała, że będzie krwawić, jeżeli burmistrz wstanie, a nie chciała, aby stary słujący radził sobie z tym sam.

— Wszystko z nim w porządku? Będzie dobrze?

— Tak, o ile nie będzie się zbytnio forsował. Goi się całkiem nieźle.

- Dziękuję, uzdrowicielko.
— Gdzie jest Gabriel?
— Nie pokazuje się tutaj.
— Brian, o co chodzi pomiędzy nim a ojcem?
— Przepraszam, uzdrowicielko, ale nie mogę powiedzieć.
„Nie mogę, czy nie chcę” — pomyślała Gada.

Gada stała, spoglądając na ciemną dolinę. Nie chciało jej się jeszcze spać. To była jedna z tych rzeczy, które niezbyt lubiła w okresie próbnym: przeważnie musiała chodzić do łóżka sama. Zbyt wielu ludzi w miejscach, które odwiedzała, znało uzdrowicieli jedynie ze słyszenia. Bali się jej. Nawet Arevin bał się z początku, a w momencie, gdy jego strach minął, a wzajemny szacunek przerodził się w sympatię, Gada musiała odjechać. Nie mieli żadnej szansy, by być razem.

Oparła głowę o chłodną szybę.

Pierwszy raz przejechała pustynię po to, aby się rozejrzeć, dotrzeć do miejsc, w których uzdrowiciele nie pojawili się przez dziesięciolecia albo których nigdy przedtem nie odwiedzali. Pewnie była zarozumiała, a może nawet głupia, że robiła to, o czym nawet nie myśleli jej nauczyciele. Zbyt mało było uzdrowicieli, aby obsługiwać jeszcze ludzi po drugiej stronie pustyni. Gdyby udało się w Mieście, wszystko mogłoby się zmienić. Ale różnicę między Gadą a innymi uzdrowicielami, którzy zdobywali w Centrum wiedzę, wyznaczało teraz imię Jesse. Jeśli jej się nie uda... Nauczyciele to dobrzy ludzie, wyrozumiali dla różnic i rozmaitych przypadków, ale jak zareagują na błędy, które popełniła — nie wiedziała.

Stukanie do drzwi rozległo się jak wybawienie, bo przerwało jej niewesołe myśli.

— Proszę!

Wszedł Gabriel i po raz wtóry Gadę uderzyła jego uroda.

— Brian mówi, że ojciec ma się dobrze.

— To dobrze.

— Dziękuję, że mi pomogłaś. Wiem, że potrafi być trudny. — Wahał się; rozejrzał dookoła, skulił ramiona. — No... Przyszedłem właściwie, żeby zobaczyć, czy nie mogę dla ciebie czegoś zrobić..

Mimo swego zatroskania był łagodny i uprzejmy. Te cechy pociągały Gadę równie mocno, jak jego fizyczne piękno. A ona była taka samotna... Zdecydowała się przyjąć jego grzeczną propozycję.

— Tak — powiedziała. — Dzięki.

Stanęła przed nim, pogładziła po policzku, wzięła za rękę i poprowadziła do kanapy. Butelka wina i kieliszki stały na niskim stoliku pod oknem.

Gada spostrzegła, że Gabriel spurpurowiał.

O ile nie znała wszystkich obyczajów pustyni, o tyle znała obyczaje gór: nie przekroczyła swoich przywilejów jako gość, a w końcu to on zrobił propozycję. Stanęła przed Gabrielem i chwyciła go za ramiona tuż nad łokciami. Teraz był kompletnie błądy.

— Gabrielu, co się stało?

— Ja... ja źle się wyraziłem. Nie miałem na myśli...Jeżeli chcesz, to mogę ci kogoś przysłać...

Zmarszczyła brwi.

— Gdyby mógł zadowolić mnie ktoś, to wynająłabym go sobie w mieście. Chcę kogoś, kto mi się podoba.

Spojrzał na nią z lekkim, przelotnym uśmiechem. Chyba zdecydował się nie maltretować swej brody goleniem i pozwolił jej rosnąć w dniu, kiedy zdecydował się opuścić dom ojca, bo na policzkach wysypała mu się rudozłota szczecina.

— Dziękuję ci — powiedział.

Podprowadziła go do kanapy i nakłoniła, by usiadł.

— Coś jest nie tak?

Potrząsnął głową. Włosy spadły mu na czoło, ocieniając oczy.

— Gabrielu, wiesz przecież, że jesteś piękny.

— Tak — uśmiechnął się ponuro. — O tym wiem.

— Czy musisz myśleć o tym z takim smutkiem? A może to ja ci się nie podobam? Bogowie świadkiem, że nie mam szans przy ludziach z Podgórze. — Nie wpadła jeszcze na to, co go od niej odpychało. Nie zareagował na żadną z jej sugestii. — Czy jesteś chory? Jestem pierwszą osobą, której należy to powiedzieć!

— Nie jestem chory — powiedział cicho, nie patrząc jej w oczy. — I to nie z powodu ciebie. To znaczy, gdybym miał kogoś wybrać... Czuję się zaszczycony, że tak o mnie myślisz.

Gada czekała, aby mówić dalej.

— To nie byłoby fair wobec ciebie, gdybym został. Mógłbym...

Kiedy znowu przerwał. Gada powiedziała:

— To jest istota sporu między tobą a ojcem? To, dlatego wyjeżdżasz?

Gabriel kiwnął głową.

— I on ma rację, chcąc abym wyjechał.

— Bo nie spełniasz jego oczekiwań? — Gada potrząsnęła głową. — Karanie w niczym nie pomoże. To głupie i samolubne. Chodź ze mną do łóżka, Gabrielu. Niczego nie będę od ciebie żądać.

— Nie rozumiałaś — odpowiedział Gabriel smutno. Wziął jej rękę, podniósł do twarzy i przesunął koniuszkami jej palców po świeżym, miękkim zarostku. — Nie jest w stanie sprostać zobowiązaniom, jakie kochankowie poodejmują wobec siebie. Nie wiem, dlaczego. Miałem dobrego nauczyciela. Ale biokontrola jest poza moimi możliwościami. Próbowałem. Bogowie! Próbowałem!

Jego błękitne oczy zajaśniały. Zabrał rękę z ramienia Gady i opuszczył na kolano. Gada pogładziła go znów po policzku i objęła, skrywając zaskoczenie. Impotencję byłaby w stanie zrozumieć, ale brak kontroli! Nie wiedziała, co mu powiedzieć, a on miał jeszcze dużo do powiedzenia; czuła to w jego silnie napiętym ciele. Pięści miał zacisnięte.

Nie chciała go popędzać, już i tak zbyt często raniono go w ten sposób. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać nad łagodnym i okrężnym sposobem, by powiedzieć to, co zazwyczaj mówiła otwarcie.

— Już dobrze — powiedziała. — Rozumiem, o czym mówisz. Uspokój się. W moim przypadku to nie ma znaczenia.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, tak samo zaskoczony, jak dziewczyna w stajni, kiedy Gada zainteresowała się jej świeżym sińcem, a nie starą, brzydką blizną.

— Niemożliwe, żebyś tak myślała. Z nikim nie mogę porozmawiać. Poczuliby do mnie odrazę, tak jak mój ojciec. Nie mam o to pretensji. — Wahał się jeszcze przez chwilę, aż słowa, tłumione przez lata, zaczęły płynąć: — Miałem przyjaciółkę. Nazywała się Lea. Było to trzy lata temu, kiedy miałem piętnaście lat. Ona miała dwanaście. Gdy po raz pierwszy zdecydowałem się z kimś kochać, bardziej jeszcze dla zabawy, wybrała mnie. „Oczywiście nie ukończyła jeszcze przeszkolenia, ale to nie powinno mieć większego znaczenia, skoro ja skończyłem swoje” — myślałem.

Oparł głowę na ramieniu Gady. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w czarne okna.

— Może trzeba było przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności — powiedział. — Ale przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym być płodny. Nigdy nie słyszałem o kimś, kto nie umiałby radzić sobie z biokontrolą. Cóż, może nie głęboki trans, ale płodność?! — zaśmiał się gorzko. — I wasy. Ale mnie nie zaczęły jeszcze rosnać. — Gada poczuła, jak wstrząsnął ramionami, gdy gładka tkanina jego koszuli przesunęła się po szorstkim materiale jej ubrania. — Parę miesięcy później wyprawialiśmy przyjęcie na jej cześć, bo sadziliśmy, że nauczyła się biokontroli szybciej niż przeciętny człowiek. Nikt się nie dziwił, bo wszystko przychodziło jej łatwo. Lea jest bardzo inteligentna.

Przerwał na chwilę i ułożył się tuż przy niej. Oddychał głęboko i równo. Zerknął na nią.

— Ale to nie jej biokontrola wstrzymywała menstruację. To ja. Ona była w ciąży. Miała dwanaście lat i była moją przyjaciółką, a ja niemal zrujnowałem jej życie.

Teraz Gada zrozumiała wszystko: nieśmiałość Gabriela, jego niepewność, wstyd, z jakim ukrywał swą urodę, gdy wychodził na ulicę. Nie chciał, aby poznano, więcej — nie chciał, aby ktokolwiek zaproponował mu miłość.

— Biedne dzieci — powiedziała Gada.

— Myślę, że zawsze zakładaliśmy, iż będziemy partnerami, kiedy ona już zdecyduje, co chce robić. Kiedy się ustatkujemy. Ale kto by chciał partnera niezdolnego do samokontroli? Zawsze pamiętałby o tym, że jeśli jego kontrola zawiedzie choć minimalnie, to ten drugi nie ma żadnej szansy. Partnerstwo nie mogłoby istnieć w ten sposób. — Poruszył się lekko. — Nawet wtedy nie chciała mnie poniżyć. Nic nikomu nie powiedziała. Usunęła ciężę, ale była zupełnie sama, a trening jaki przeszła, jeszcze tego nie obejmował. Prawie się wykrwawiła na śmierć.

— Nie powinieneś traktować siebie jak kogoś, kto zrobił jej krzywdę przez złośliwość — powiedziała Gada, choć wiedziała, że słowa nie wystarczą, aby Gabriel przestał sobą pogardzać.

Miał prawo nie wiedzieć, że jest płodny, skoro nie zrobiono mu testu. A ktoś, kto opowiadał już technikę, z reguły nie miał się czym martwić. Gada słyszała o ludziach, którzy nie potrafili się biokontrolować, ale niewiele było takich przypadków. Jedyne osoba niezdolna do odpowiedzialności i sympatii przeszłaby bez załamania psychicznego przez to, przez co przeszedł Gabriel. A Gabriel na pewno miał poczucie odpowiedzialności i zdolności współodczuwania.

— Później wydobrzała — powiedział. — Ale ja obróciłem w koszmar to, co winno być dla niej przyjemnością, Lea... Myślę, że chciała się później ze mną zobaczyć... Ale nie mogła się zdecydować... O ile to miało sens.

— Tak — powiedziała Gada.

„Dwanaście lat: pewnie wtedy pierwszy raz Lea uświadomiła sobie, że inni ludzie mogą mieć wpływ na jej życie bez jej kontroli, czy nawet wiedzy. To nie była lekcja, jakiej dzieci uczą się z ochotą czy łatwością” — pomyślała.

— Chciała pracować przy formowaniu szkła i była umówiona, że zostanie asystentką Ashley.

Gada gwizdnęła z podziwu. Formowanie szkła to trudny i szanowany zawód. Tylko najzdolniejsi umieli budować lustra słoneczne. Wiele czasu zajmowało nauczenie się samej produkcji przyzwoitych, pustych w środku płytek, czy płytek falicznych, jak na wieżach. Ashley nie była jedną z najlepszych, była najlepsza.

— Czy Lea zrezygnowała z tego?

— Tak. Mogło być tak, że na zawsze. Zaczęła się jednak uczyć w następnym roku. Ale miała rok wykreślony z życiorysu. — Mówił powoli, spokojnie, bez emocji, jakby rozważał to już tyle razy w wyobraźni, że wymusił rodzaj dystansu między sobą a swoją pamięcią. — Oczywiście wróciłem do nauczyciela, ale kiedy przebadał moje reakcje dokładniej, okazało się, że potrafię utrzymać dyferencjał temperatury tylko przez kilka godzin za jednym razem. To nie wystarczy.

— Nie — powiedziała Gada, zamysłona.

Zastanawiała się właśnie, czy nauczyciel był rzeczywiście dobry.

Gabriel odchylił się, żeby spojrzeć jej w twarz.

— Sama widzisz, że nie mogę z tobą zostać na noc.

— Możesz. Proszę cię. Oboje jesteśmy samotni i oboje możemy sobie pomóc.

Złapał powietrze i wstał gwałtownie.

— Czy nie rozumiesz?... — krzyknął.

— Gabriel!

Usiadł wolno, ale nie dotknął jej.

— Ja nie mam dwunastu lat. Nie musisz się obwiniać, że zajdę w ciążę, jeśli nie będę chciała. Uzdrowiciele nie mają dzieci. Bierzemy za siebie w tej dziedzinie całkowitą odpowiedzialność, bo nie możemy sobie pozwolić na to, by dzielić ją ze swymi partnerami.

— Nigdy nie macie dzieci?

— Nigdy. Kobiety nie mogą ich donosić, a mężczyźni nie zostają ojcami.

Wpatrywał się w nią.

— Czy mi wierzysz? — upewniła się.

— I nadal chcesz mnie, mimo że wiesz...?

W odpowiedzi Gada wstała i zaczęła rozpinąć koszulę. Była nowa i miała ciasne dziurki, więc ściągnęła ją przez głowę i rzuciła na podłogę; Gabriel podniósł się powoli, patrząc na nią wstydliwie. Gada rozpięła mu koszulę i spodnie, gdy wyciągnął do niej ramiona. Kiedy spodnie zsunęły mu się po wąskich biodrach, zarumienił się.

— Co się stało?

— Nie stałem przed nikim nago od czasu, gdy miałem piętnaście lat.

— No cóż — powiedziała Gada, rozchylając wargi w uśmiechu — najwyższa pora.

Ciało Gabriela było równie piękne jak jego twarz. Gada rozpięła swoje spodnie i rzuciła je na stosik na podłodze.

Biorąc Gabriela do łóżka, wślizgnęła się obok niego pod pled. Miękki blask lampy rozjaśniał jego jasne włosy i delikatną skórę. Drżał.

— Odpręż się — wyszeptła Gada. — Nie ma pośpiechu. Wszystko to jest tylko dla przyjemności.

Jego napięcie powoli opadało, gdy masowała mu ramiona. Zdała sobie sprawę, że także była spięta, spięta z pożądania, podniecenia i pragnienia. Zastanawiała się, co też może robić Arevin.

Gabriel obrócił się na bok i objął ją. Pieścili się wzajemnie, a Gada uśmiechnęła się do siebie na myśl, że chociaż jedna noc nie zrekompensuje Gabrielowi ostatnich trzech lat, to przynajmniej będzie dobry początek.

Szybko jednak zorientowała się, że chłopiec celowo przedłużał grę wstępną. Starał się sprawić jej przyjemność, ciągle myśląc i martwiąc się, jakby była dwunastoletnią Leą, której pierwsza satysfakcja seksualna zależała od niego. Gada nie znajdowała przyjemności w tym, że ktoś się dla niej trzymał, że była dla kogoś obowiązkiem. Na dodatek Gabriel bardzo starał się reagować na jej podniety. Nie udawało mu się to, robił się więc coraz bardziej zakłopotany.

Gada dotknęła go leciutko, muskając twarz wargami.

Gabriel gwałtownie odsunął się od niej i odwrócony tyłem, zwinął się w kłębek.

— Przepraszam — powiedział.

Głos miał szorstki, tak że Gadzie wydawało się, iż płacze. Usiadła obok i zaczęła gładzić go po ramieniu.

— Powiedziałam ci, że nie będę stawiać żadnych żądań.

— Ciągle myślę...

Pocałowała go w ramię, pozwalając, aby jej oddech go połaskotał.

— Myślenie to nie najlepszy pomysł.

— Nic nie mogę na to poradzić. Wszystko, co jestem w stanie komuś dać, to ból i kłopoty.

— Gabrieli, impotent też może dać satysfakcję innej osobie. Tyle musisz wiedzieć. W tej chwili rozmawiamy o tym, że jest to przyjemność dla ciebie.

Nie odpowiedział, nie spojrział na nią. Drgnął, gdy powiedziała: „impotent”, bo była to jedyna rzecz, jakiej dotąd sobie nie wmówił.

— Nie wierzysz w to, że przy mnie jesteś bezpieczny, tak?

Odwrócił się i popatrzył na nią.

— Lea nie była bezpieczna przy mnie.

Gada podciągnęła kolana pod piersi i oparła brodę na pięściach. Długo wpatrywała się w Gabriela, westchnęła i wyciągnęła rękę, aby mógł zobaczyć szramy i nakłucia po ukąszeniach węży.

— Nawet jedno z tych ukąszeń zabiłoby każdego, kto nie jest uzdrowicielem. Albo w sposób gwałtowny i nieprzyjemny, albo powoli, choć też nieprzyjemnie.

Zamilkła, aby lepiej dotarło do niego to, co powiedziała.

— Wiele czasu poświęciłam na to, aby wykształcić w swoim organizmie odporność na te trucizny — wyjaśniła. — I sporo nieprzyjemności musiałam znieść. Nigdy nie choruję. Nie czepiają się mnie żadne infekcje. Nie dostanę raka. Nie psują mi się zęby. System odpornościowy uzdrowicieli jest tak silny, że reaguje na wszystko, co obce. Większość z nas jest nieplodna, bo produkujemy nawet przeciwciała na własne komórki rozrodcze. Nie mówiąc o cudzych.

Gabriel uniósł się na łokciu.

— No to... skoro nie możecie mieć dzieci, dlaczego powiedziałaś, że uzdrowiciele nie mogą sobie na nie pozwolić. Zrozumiałem, że nie macie czasu, aby je wychować. Więc, jeśli...

— My wychowujemy dzieci! — powiedziała Gada. — Adoptujemy je. Pierwsze uzdrowicielki próbowały zająć w ciążę. Większości się nie udało. Kilka zdołało donosić ciążę, ale noworodki były zdeformowane i pozbawione mózgu.

Gabriel odwrócił się na plecy i wlepił wzrok w sufit. Westchnął głęboko.

— O bogowie!

— Bardzo starannie uczymy się kontroli nad płodnością.

Gabriel nie odpowiedział.

— Wciąż się martwisz. — Gada oparła się na łokciu obok niego, ale nie dotykała go jeszcze.

Spojrział na nią z ironicznym, pozbawionym humoru wyrazem twarzy, na której malowało się napięcie i brak zaufania do siebie.

— Jestem wystraszony, tak mi się zdaje.

— Wiem.

— Czy kiedykolwiek się bałaś? Tak naprawdę?

— O tak — odparła.

Położyła mu rękę na brzuchu, gładząc palcami gładką skórę i delikatne, ciemnozłote loki. Nie było widać, że drży, ale Gada czuła, jak wstrząsają nim dreszcze przerażenia.

— Leż spokojnie — powiedziała. — Nie ruszaj się, póki ci nie powiem.

Zaczęła głaskać go po brzuchu i udach, po biodrach i pośladkach, kończąc za każdym razem bliżej organów płciowych, ale nie dotykając ich.

— Co robisz?

— Ćśś... Leż spokojnie.

Głaskała dalej i mówiła do niego głosem, który stawał się hipnotyczny, kojący, monotony. Czuła jak Gabriel stara się za wszelką cenę nie poruszać, kiedy go pieściła. Próbował się opanować, aż dreszcze ustały. Nawet tego nie zauważył.

— Gada!

— Co? — spytała niewinnie. — Czy coś nie tak?

— Nie mogę...

— Ćśśś...

Jęknął. Teraz drżał, ale już nie ze strachu. Gada uśmiechnęła się; rozluźniona położyła się obok i podciągnęła go, by odwrócił się twarzą do niej.

— Teraz możesz się ruszać — powiedziała.

Bez względu na przyczynę — czy dlatego, że go łaskotała, czy że ujawniła przed nim tak dobrze mu znaną bezbronność, czy może, dlatego, że po prostu był młody, zdrowy, miał osiemnaście lat i trzyletni okres przesyconego poczuciem winy samozaprzeczania — teraz czuł się jak normalny mężczyzna.

Gada zachowywała się tak, jakby patrzyła na wszystko z zewnątrz, nie jak lubieżny podglądacz, ale jak chłodny obserwator. Było to dziwne. Gabriel posiadał wrodzoną delikatność, a Gadę zbliżyło do niego jej poczucie osamotnienia. Jednak — choć po orgazmie czuła miłe odprężenie — to przede wszystkim koncentrowała się na Gabrielu. Chociaż ochoczo odpłacała namiętnością za namiętność, nie mogła powstrzymać się od myśli, czym byłby seks z Arvinem.

Gabriel i Gada leżeli blisko siebie, objęci, spoceni; oddychali ciężko. Dla Gady sama obecność kogoś była równie ważna jak seks. Może nawet ważniejsza, bo z napięciem seksualnym łatwo było sobie poradzić. Bycie samotną, a bycie samą, to były dwie zupełnie różne sprawy. Pochyliła się nad Gabrielem i pocałowała go w szyję i brodę.

— Dziękuję — wyszeptał.

Gada czuła pod ustami wibrację dźwięku.

— Uprzejmie proszę — odpowiedziała. — Ale nie robiłam tego bezinteresownie.

Leżał przez chwilę w milczeniu, trzymając rękę na zagięciu jej talii. Gada poklepała jego dłoń. Był słodkim chłopcem. Wiedziała, że w tej myśli zawierało się trochę lekceważenia dla niego, ale nie mogła temu zaradzić, tak jak nie mogła wyzbyć się pragnienia, żeby zamiast Gabriela był tu Arvin. Potrzebowała kogoś, kto by się z nią dzielił, a nie kogoś, kto czułby dla niej wdzięczność.

Nagle Gabriel przytulił się do niej mocno i ukrył twarz w jej ramieniu. Pogładziła krótkie loczki na jego karku.

— Co mam teraz robić? — Jego głos był stłumiony, a ciepły oddech osiadał na jej skórze. — Dokąd pójdę?

Gada objęła go i ukołysała. Pomyślała nagle, że lepiej może było go odesłać, kiedy proponował, że przyśle kogoś innego i pozwolić mu dalej nieprzerwanie wieść wstrzeźmieliwy żywot. Jednak nie mogła uwierzyć, że naprawdę był jednym z tych nieprzystosowanych, żalonych ludzi, którzy nigdy nie będą w stanie opanować biokontroli.

— Gabrielu, jaki rodzaj treningu przeszedłeś? Kiedy cię testowali? Jak długo utrzymywałeś różnicę temperatur? Czy dali ci znaczek?

— Jaki znaczek?

— Mały krążek ze specjalną substancją w środku, która zmienia kolor wraz z temperaturą. Większość z tych, które oglądałam, zabarwia się na czerwono, gdy męczyzna utrzymuje temperaturę genitaliów na dostatecznie wysokim poziomie.

Zaśmiała się, przypomniawszy sobie znajomego, który był nieco próżny i chełpił się intensywnością koloni swojego krążka. Trzeba było go namawiać, by zdejmował przyrząd przed pójściem do łóżka. Ale Gabriel patrzył ze zmarszczonym czołem.

— Dostatecznie wysokim?

— Tak, oczywiście, dostatecznie wysokim. Czy cię nie uczono, że właśnie to należy robić?

Gabriel ściągnął brwi, aż utworzyły jedną linię, a przerażenie i zaskoczenie mieszały się na jego twarzy.

— Nasz nauczyciel uczył nas, żeby obniżać temperaturę.

Znowu Gadzie przypomniała się historia o próżnym przyjacielu, a także parę sprośnych kawałów. Miała ochotę głośno się roześmiać. Zdołała jednak odpowiedzieć Gabrielowi z kamienną twarzą.

— Gabrielu, drogi przyjacielu, ile lat miał twój nauczyciel? Sto?

— Tak — odpowiedział. — Co najmniej. To był bardzo mądry człowiek. To jest mądry człowiek.

— Mądry? Nie wątpię, ale bardzo staroświecki — powiedziała Gada. — Zacojanya o co najmniej osiemdziesiąt lat. Obniżanie temperatury moszny uczyni cię nieplodnym, ale przegrzanie jest o wiele skuteczniejsze. I wydaje się, że o wiele łatwiej się tego nauczyć.

— Ale on mówił, że nigdy nie nauczę się należycie kontrolować. — Gada zachmużyła się, ale nie powiedziała, o czym myśli — Żadnemu nauczycielowi nie wolno mówić do ucznia w ten sposób.

— Cóż, często jeden człowiek nie umie dogadać się z drugim i wtedy wszystko, co można zrobić, to zmienić nauczyciela.

— Myślisz, że mógłbym się nauczyć? — spytał Gabriel.

— Tak.

Pohamowała się, żeby nie rzucić kolejnego ostrego komentarza o mądrości i umiejętnościach jego pierwszego mistrza. Lepiej będzie, jeśli młody człowiek sam dojdzie do tego, jakie błędy popełnił nauczyciel. Oczywiście było, że nadal żywi do niego zbyt wiele podziwu i szacunku. Gada nie chciała doprowadzić do tego, by zaczął bronić starego człowieka; człowieka, który prawdopodobnie wyrządził mu największą krzywdę, jaką tylko mógł.

Gabriel ścisnął rękę Gady.

— Co mam robić? Dokąd pójść? — Tym razem w jego głosie brzmiała nadzieja i podniecenie.

— Dokądkolwiek. Byle tam, gdzie nauczyciel mężczyzn obeznany jest z nowocześniejszymi technikami, niż ten sprzed stu lat W którą stronę będziesz jechał, gdy opuścisz dom?

— Nie... wiem. Jeszcze nie zdecydowałem. — Spojrzał w bok.

— Trudno jest odjechać — powiedziała Gada. — Wiem. Ale to najlepsze wyjście. Poświęć trochę czasu na rozejrzenie się po świecie. Zdecyduj, co będzie dla ciebie najlepsze.

— Znaleźć nowe miejsce — powiedział Gabriel smutno.

— Mógłbyś pojechać do Śróddroża — zaproponowała Gada. — Najlepsi nauczyciele o jakich słyszałam mieszkają właśnie tam. A gdy już skończysz, możesz wrócić. Nie będzie powodu, abyś miał postąpić inaczej.

— Myślę, że będzie. Obawiam się, że nie będę w stanie już nigdy wrócić do domu. Nawet jeśli nauczę się tego, co powinienem, to tutejsi ludzie zawsze będą żywić co do mnie wątpliwości. Plotki pozostaną. — Wzruszył ramionami. — Muszę jechać tak, czy owak. Obiecałem. Pojadę do Śróddroża.

— Dobrze. — Gada sięgnęła za siebie i zmniejszyła płomyk w lampie. — Mówiono mi, że nowa metoda ma też inne zalety.

— Co masz na myśli?

Dotknęła go.

— Wymaga zwiększenia krążenia krwi w rejonie narządów. To wydłuża czas trwania stosunku. I zwiększa wrażliwość.

— Ciekawe, czy stać mnie teraz na wydłużenie stosunku?

Gada miała już mu odpowiedzieć poważnie, kiedy zorientowała się, że Gabriel zrobił pierwszy, nieśmiały dowcip o seksie.

— Sprawdźmy — powiedziała.

Pospieszne pukanie do drzwi obudziło Gadę grubo przed świtem. Pokój tonął w szarości, co przesycalo go atmosferą odrealnienia, wzmocnioną przez pomarańczowe i różowe błyski płomienia lampy. Gabriel spał głęboko, lekko się uśmiechając. Długie rzęsy ocieniały mu policzki. Odrzucił przykrycie i smukłe piękne ciało leżało odkryte do pół uda. Gada niechętnie odwróciła się w stronę drzwi.

— Proszę!

Niezwykle śliczna młoda służąca weszła z uśmiechem. Światło z korytarza rozlało się na łóżku.

— Uzdrowicielko, burmistrz... — urwała w pół zdania i patrzyła oszołomiona na Gabriela. — Burmistrz...

— Zaraz tam będę. — Gada wstała, wskoczyła w nowe spodnie i sztywną koszulę i poszła za młodą kobietą, do apartamentów burmistrza.

Krew z otwartej rany zaplamiła łóżko, jednak Brian zrobił wszystko, co potrzebne było przy pierwszej pomocy. Krwotok prawie ustał. Burmistrz był śmiertelnie blady, ręce mu drżały.

— Gdyby nie był pan tak chory — powiedziała Gada — zbeształabym pana tak, jak pan na to zasługuje. — Zajęła się bandażami. — Ma pan szczęście, że ktoś się panem tak troskliwie zajmuje — powiedziała, kiedy Brian wracał ze świeżą pościelą i słychać było jego kroki. — Mam nadzieję, że odwdzięczy mi się pan za to.

— Myślałem...

— Niech pan sobie myśli, co panu się podoba — przerwała mu Gada. — Godne szacunku zajęcie. Ale niech pan nie próbuje znowu wstawać.

— Dobrze — wymamrotał, a Gada przyjęła to jako obietnicę.

Zdecydowała, że nie będzie pomagała przy zmianie prześcieradła. Kiedy to było konieczne lub kiedy kogoś bardzo lubiła, nie miała nic przeciwko takiej pracy. Czasami jednak potrafiła być dumna do przesady. Wiedziała, że była wyjątkowo bezceremonialna wobec burmistrza, ale nie mogła temu zaradzić.

Młoda służąca była wyższa od Gady i na pewno silniejsza od Briana. Chyba będzie mogła podnieść burmistrza bez pomocy Briana. Gada wyszła z pokoju i boso wracała przez korytarz do łóżka.

— Proszę pani...?

Gada odwróciła się. Młoda służąca rozejrzała się dookoła, jakby w obawie, że ktoś je zobaczy razem.

— Jak masz na imię?

— Larril.

— Larril, nazywam się Gada i nie lubię, jak ktoś mówi do mnie: „proszę pani.” Zgoda?

Larril kiwnęła głową.

— O co chodzi?

— Uzdrowicielko... w twoim pokoju widziałam... służąca nie powinna wiedzieć pewnych rzeczy. Nie chciałabym mówić źle o kimkolwiek z rodziny — jej głos drżał w napięciu. — Ale...Gabriel...on jest... — Zawstydzona i zmieszana nie mogła z siebie wydusić nic więcej.

— Larril, nie martw się, wszystko w porządku. On mi o wszystkim powiedział. Odpowiedzialność spada na mnie.

— Wiesz o... niebezpieczeństwie?

— Powiedział mi o wszystkim — powtórzyła Gada. — Mnie nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

— Byłaś bardzo wspaniałomyślna — powiedziała gwałtownie Larril.

— Bzdura. Chciałam go. A mam o wiele więcej doświadczenia w kontroli niż dwunastolatka. Czy nawet osiemnastolatek, jeśli już o tym mówimy...

Larril unikała jej spojrzenia.

— Ja też — powiedziała. — I tak mi go żal. Ale...ale się bałam. On jest taki piękny, że można by pomyśleć o... można by rozluźnić kontrolę niechący. Nie mogłabym ryzykować. Zostało mi jeszcze sześć miesięcy, zanim moje życie będzie znowu do mnie należało.

— Jesteś przypisaną tutaj niewolnicą?

Larril pokiwała głową..

— Urodziłam się na Podgórzu. Rodzice mnie sprzedali. Zanim burmistrz wprowadził nowe prawa, wolno im było to zrobić. — Napięcie w jej głosie kolidowało z rzeczowymi, obojętnymi wyjaśnieniami. To było na długo przed tym, nim doszły mnie pogłoski, że sprzedawanie ludzi jest tu zakazane. Kiedy się o tym dowiedziałam, uciekłam. A później wróciłam. — Popatrzyła na Gadę niemal z płaczem. — Złamałam słowo... — Wyprostowała się i powiedziała bardziej poufnym tonem.

— Byłam dzieckiem i nie miałam wyboru, co do rodzaju przypisywania. Nie miałam obowiązku lojalności wobec żadnego właściciela, ale miasto wykupiło moje papieiry. Muszę być lojalna wobec burmistrza.

Gada zrozumiała, ile odwagi musiała mieć Larril, aby to powiedzieć.

— Dziękuję — rzekła. — Dziękuję, że powiedziałaś mi o Gabrielu. Żaden z nich nie zdobyłby się aż na tyle. Jestem wobec ciebie zobowiązana.

— Ależ skąd uzdrowicielko! Nie miałam zamiaru...

W głosie Larril brzmiało coś jakby nagłe zawstydzenie.

Zaniepokoiło to Gadę. Zastanawiała się, czy Larril nie obawia się, że osobiste powody rozmowy z Gada wydają się podejrzone.

— Nie miałam tego na myśli — powiedziała Gada. — Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

Larril potrząsnęła głową tylko raz, szybko, w geście zaprzeczenia bardziej sobie, niż Gadzie.

— Obawiam się, że nikt nie jest w stanie mi pomóc.

— Powiedz mi.

Larril zawahała się i usiadła na podłodze. Ze złością podciągnęła nogawkę spodni.

Gada przykucnęła obok.

— O bogowie! — powiedziała.

Larril miała nad piętą przebitą nogę, między kością a ścięgnem Achillesa. Wyglądało na to, że ktoś zastosował gorące żelazo. Rana zabiżniła się wokół małego kółka z czarnego, krystalicznego metalu. Gada jedną ręką wzięła Larril za piętę, a drugą pomacała kółko. Nie było widać śladów spojenia.

Gada zmarszczyła czoło.

— To po prostu okrucieństwo.

— Jeżeli jesteś wobec nich nieposłuszna, mają prawo cię oznaczyć — wyjaśniła Larril. — Próbowałam uciec, powiedzieli więc, że sprawią, abym pamiętała, gdzie jest moje miejsce.

Złość kaleczyła łagodność jej głosu. Gada wstrząsnął dreszcz.

— Przez to zawsze będę niewolnicą — powiedziała Larril. — Gdyby to były tylko blizny, nie miałabym takich obiekcji. — Zabrała stopę z ręki Gady. — Widziałaś kopuły w górach? To z tego robią te pierścienie.

Gada zerknęła na jej drugą piętę, też przebitą, też z kółkiem. Teraz poznała szarawą, półprzezroczystą substancję, choć nigdy przedtem nie widziała ani jednego zrobionego z niej przedmiotu; tylko kopuły, które rozpierały się w nieoczekiwanych miejscach, tajemnicze, niezniszczalne.

— Kowal próbował to rozciąć — powiedziała Larril. — Kiedy nie udało mu się nawet zadrasnąć powierzchni, tak był zawstydzony, że jednym uderzeniem rozłamał żelazny pręt, aby udowodnić, co potrafi. — Dotknęła mocno napiętego ścięgna uwięzionego w delikatnym pierścieniu. — Jak już raz kryształ stwardnieje, zostaje na zawsze, tak jak kopuły. Chyba, że się przetnie ścięgno, ale wtedy kulejesz. Czasem wydaje mi się, że wolałabym to. — Zrzuciła z powrotem nogawki, aby zakryć pierścienie. — Widzisz więc, że nikt nie może mi pomóc. To próżność, wiem. Wkrótce będę wolna, bez względu na to, co oznaczają te kółka.

— Tutaj nie mogę ci pomóc — powiedziała Gada. — Zresztą byłoby to niebezpieczne.

— Myślisz, że mogłabyś coś w ogóle zrobić?

— Można by spróbować w ośrodku uzdrowicieli.

— Och, uzdrowicielko...

— Larril, to się wiąże z ryzykiem. — Na swojej kostce zademonstrowała, co trzeba by było zrobić. — Nie przecinalibyśmy ścięgna, odciągnęlibyśmy je. Wtedy pierścień mógłby spaść. Ale dość długo miałabyś nogę w gipsie. I nie ma pewności, że ścięgna wygoiłyby się prawidłowo. Nogi może już nie byłyby tak mocne jak teraz. Możliwe, że ścięgna nie chciałyby się z powrotem przyczepić.

— Rozumiem... — powiedziała Larril z nadzieją i radością w głosie. Chyba nawet dobrze nie słuchała tego, co Gada do niej mówiła.

— Czy obiecasz mi jedną rzecz?

— Tak uzdrowicielko, oczywiście.

— Nie podejmuj decyzji teraz. Ani już po tym, gdy skończy się twoja służba w Podgórzu. Poczekaj kilka miesięcy. Upewnij się. Kiedy już będziesz wolna, może się okazać, że nie ma to dla ciebie żadnego znaczenia.

Larril spojrzała na nią dziwnie i Gada czuła, że za chwilę spyta, jak uzdrowicielka czułaby się na jej miejscu. Poniechała jednak tego pytania, sądząc zapewne, że byłoby to niegrzeczne.

— Obiecujesz?

— Tak, uzdrowicielko. Obiecuję.

Wstały.

— No, to dobrej nocy — powiedziała Gada.

— Dobrej nocy, uzdrowicielko.

Gada poszła w kierunku sypialni.

— Uzdrowicielko?

— Tak?

Larril zarzuciła jej ramiona na szyję i przytuliła.

— Dziękuję.

Puściła ją zmieszana. Skierowały się każda w swoją stronę, ale Gada jeszcze raz odwróciła się.

— Larril, skąd właściciele niewolników biorą pierścienie? Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś umiał pracować w tym materiale.

— Dają je im ludzie z Miasta — odparła Larril. — Żadnych użytecznych rzeczy. Tylko pierścienie.

— Dziękuję.

Gada wróciła do łóżka, rozmyślając o Centrum, które dawało łańcuchy dla niewolników, a nie chciało rozmawiać z uzdrowicielami.

7.

Gada obudziła się wcześniej niż Gabriel, tuż pod koniec nocy, gdy brzask zaczynał przedzierać się przez ciemności. Słaba, szara poświata rozświetliła pokój. Dziewczyna położyła się na boku, podparła na łokciu i obserwowała swego kochanka. Gdy spał, był — o ile to w ogóle możliwe — jeszcze piękniejszy. Wyciągnęła rękę, ale zatrzymała się w pół gestu, zanim dotknęła Gabriela. Lubiła kochać się rano, ale nie chciała go budzić.

Odwróciła się na plecy. Ostatnia noc nie była najprzyjemniejszym doświadczeniem erotycznym jej życia, ponieważ Gabriel, może nie do końca niezdarny, był jednak nieporadny i brakowało mu doświadczenia. Mimo, że nie doznała całkowitej satysfakcji, nie uważała jednak, iż spanie z Gabrielem nie było w ogóle przyjemne.

Zamyśliła się nad przeżyciami ostatnich dni. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jednak trochę się boi.

Oczywiście — nie czuła zagrożenia ze strony Gabriela; już sama taka myśl była śmieszna. Ale nigdy przedtem nie była z mężczyzną, który nie umiał kontrolować swojej płodności. Faktem jest, że to wprawiało ją w lekkie zakłopotanie, nie mogła zaprzeczyć. Jej samokontrola była bez zarzutu; miała do siebie w tej dziedzinie całkowite zaufanie. A zresztą, gdyby przez jakąś ironię losu zaszła w ciążę, łatwo mogła ją usunąć, nie wywołując takich skutków ubocznych jak u Lei.

Nie, jej niepokój niewiele miał wspólnego z konsekwencjami tej nocy. To po prostu świadomość ułomności Gabriela odpychała ją od niego. Wychowała się w przekonaniu, że jej kochankowie będą się kontrolowali, wiedząc, że ona będzie czynić to samo. Nie mogła mieć takiej pewności z Gabrielem, chociaż kłopoty, jakie przeżywał, nie były przezeń zawinione. Po raz pierwszy zrozumiała w pełni, jak samotny musiał być przez ostatnie trzy lata i jakie reakcje wzbudzał w innych ludziach. Westchnęła smutno i zaczęła go głaskać. Przesuwała opuszkami palców po skórze, budząc go łagodnie, zapominając o swoim wahaniu i niepokoju.

Gada schodziła po urwisku, niosąc torbę z węzami. Szła do Błyskawicy. Musiała też zajrzeć do kilku swoich pacjentów w mieście, a przez całe przedpołudnie miała zamiar prowadzić szczepienia. Gabriel został w domu ojca, pakował się i przygotowywał do podróży.

Lisek i Błyskawica aż lśniły, tak były zadbane. Stajennego Rasa nigdzie nie było widać. Gada weszła do boksu Liska, żeby obejrzyć jego nowo podkuta nogę. Podrapała go za uchem. Na stryszku ponad jej głową zaszeleściło siano, ale chociaż Gada czekała, nie usłyszała nic więcej.

— Będę musiała poprosić stajennego, aby przegonił cię po wybiegu — powiedziała i znów zaczęła nasłuchiwać.

— Objadę go dla pani — wyszeptano dziecko.

— A skąd mogę wiedzieć, czy potrafisz jeździć?

— Potrafię.

— Chodź na dół, proszę.

Dziewczynka wyszła powoli przez otwór w suficie, zwiesiła się na rękach i skoczyła tuż pod nogi Gady. Stała ze spuszczoną głową.

— Jak masz na imię?

Mała wymamrotała jakieś dwie sylaby. Gada przyklękła i złapała ją za ramię.

— Przepraszam, nie usłyszałam.

Dziewczynka podniosła wzrok. Siniec schodził jej już z twarzy.

— M...Melissa.

Powiedziała swoje imię tak, jakby chciała się przed czymś obronić lub sprowokować Gadę, aby ta jej zaprzeczyła. Gada zastanawiała się, co dziecko rzekło za pierwszym razem.

— Melissa — powtórzyła dziewczynka, jakby wsłuchując się w brzmienie tego słowa.

— Ja mam na imię Gada, Melisso — Gada podała jej rękę, którą dziecko ostrożnie potrząsnęło. — Objedziesz Liska dla mnie?

— Tak.

— Może trochę wierzgać.

Melissa złapała za krawędź drzwi stajni i podciągnęła się na rękach.

— Widzi pani tego tam?

Na pastwisku za drogą stał wspaniały srokaty ogier, wysoki na ponad siedemnaście dłoni. Gada zauważyła go wcześniej; kulił uszy i szczyrzył zęby, ilekroć ktoś przechodził obok.

— Jeżdżę na nim — powiedziała Melissa.

— O moi bogowie! — Gada wyraziła najszczęśliwszy podziw.

— Tylko ja potrafię — powiedziała Melissa. — Ja i jeszcze jeden.

— Kto, Ras?

— Nie — odparła Melissa z pogardą. — On nie. Tamten z zamku, co ma żółte włosy.

— Gabriel?

— Chyba tak. Ale on nie schodzi tu często, więc objeżdżam jego konia. — Melissa zeskokczyła na podłogę. — On jest znakomity. Ale pani kucyk jest bardzo miły.

Wobec kompetencji dziewczynki, Gada nie miała dalszych obiekcji.

— Dziękuję, zatem. Będę szczęśliwa, że jeździ na nim ktoś, kto zna się na rzeczy.

Melissa wspięła się na żłób i zniknęła na stryszku, nim Gada zdołała zainteresować czymś dziewczynkę i jeszcze z nią porozmawiać. Będąc na górze, Melissa poprosiła nieśmiało:

— Niech mu pani powie, że mam pozwolenie, dobrze? — Chwilowa pewność siebie zniknęła z jej głosu.

— Oczywiście, powiem — przyrzekła Gada.

Melissa już się więcej nie odezwała.

Gada osiodłała Błyskawicę i wyprowadziła ją na zewnątrz, gdzie natknęła się na stajennego.

— Melissa ma zamiar objechać dla mnie Liska — poinformowała go. — Powiedziałam, że może.

— Kto?

— Melissa. — Twoja pomocnica — powiedziała Gada. — Rudowłose dziecko.

— Mówi pani o Brzydaku? — Roześmiał się.

Gada poczuła, że czerwieni się ze złości.

— Jak śmiesz piętnować dziecko w ten sposób?

— Piętnować? Ją? W jaki sposób? Że mówię jej prawdę? Nikt nie chce na nią patrzeć, więc lepiej, żeby o tym nie zapomniała. Czy niepokoiła panią?

Gada wsiadła na konia i spojrzała na niego z góry.

— A pięści używaj lepiej wobec kogoś swoich rozmiarów.

Spięła obcasami klacz, która wyrwała do przodu, zostawiając z tyłu i Rasa, i zamek, i burmistrza.

Dzień przeszedł szybciej, niż Gada się spodziewała. Kiedy ludzie dowiedzieli się, że w Podgórzu jest uzdrowicielka, zaczęli podążać do niej z całej doliny. Przeprowadzali małe dzieci, aby je zaszczepiła i starszych ludzi z chronicznymi dolegliwościami, którym — podobnie jak Grum z jej artretyzmem — nie mogła za bardzo pomóc. Szczęście jej nie opuszczało, bo mimo, iż miała kilku pacjentów z poważnymi infekcjami, guzami, a nawet parę przypadków chorób zakaźnych, nie było nikogo, kto by umierał. Ludzie z Podgórza byli niemal tak samo zdrowi, jak piękni.

Spędziła całe popołudnie, pracując na parterze gospody, w której pierwotnie miała się zatrzymać. Był to centralny punkt miasta. Właścicielka przywitała ją serdecznie. Wieczorem ostatni z rodziców wyprowadził z pokoju ostatnie, zapłakane dziecko. Gada żałowała, że nie ma tu Pauli, która opowiadałaby maluchom dowcipy i historyjki. Oparta o krzesło, przeciągała się i ziewała. Zamknęła oczy.

Nagle otworzyły się drzwi. Usłyszała kroki i szelest długiej sukni, a do jej nozdrzy dotarł ciepły aromat ziołowej herbaty. Lainie, właścicielka, postawiła tacę na stole obok. Lainie była przystojną, miłą kobietą w średnim wieku, dość mocno zbudowaną. Przysiadła obok, naląła dwa kubki herbaty i podała jeden dziewczynie.

— Dzięki. — Gada wdychała parę.

Piły herbatę przez parę minut, aż Lainie przerwała milczenie:

— Cieszę się, że przyjechałaś — powiedziała. — Dawno już w Podgórzu nie było żadnego uzdrowiciela.

— Wiem — przyznała Gada. — Nie możemy zbyt często zaglądać tak daleko na południe.

Ciekawiło ją, czy Lainie tak samo jak ona wie, że to nie odległość między Podgórzem a ośrodkiem uzdrowicieli stanowiła problem.

— Gdyby jakiś uzdrowiciel się tu osiedlił... — zagaiła Lainie — miasto chętnie okazałoby swą wdzięczność. Jestem pewna, że burmistrz będzie chciał z tobą o tym porozmawiać jak nieco wydobrzeje. Ja jestem członkiem rady i mogę cię zapewnić, że jego propozycja znajdzie poparcie.

— Dziękuję. Lainie. Będę o tym pamiętać.

— To znaczy, że mogłabyś zostać?

— Ja... — Wpatrywała się w herbatę, zaskoczona.

Nawet jej nie przyszło do głowy, że Lainie kierowała zaproszenie bezpośrednio do niej. Podgórze ze swoimi pięknymi i zdrowymi mieszkańcami było świetnym miejscem dla uzdrowiciela, który chciałby osiedlić się po życiu spędzonym na ciężkiej pracy.

— Nie, ja nie mogę. Wyjeżdżam jutro rano. Ale gdy wrócę do domu, powiem innym uzdrowicielom o waszej ofercie.

— Jesteś pewna, że nie chcesz zostać?

— Nie mogę. Nie mam jeszcze seniorstwa, aby móc zaakceptować taką propozycję.

— I musisz jutro wyjechać?

— Tak. Szczerze mówiąc, nie mam zbyt wiele pracy w Podgórzu. Jesteście wszyscy zdrowi — uśmiechnęła się.

Lainie zaśmiała się szybko, ale nadal mówiła poważnie:

— Jeżeli czujesz, że musisz odjechać, bo miejsce, w którym się zatrzymałaś...bo potrzebujesz czegoś bardziej stosownego do pracy... — zawahała się — moja gospoda stoi przed tobą otworem.

— Dziękuję. Jeśli miałabym zostać dłużej, to bym się tu przeprowadziła. Nie chciała-bym nadużywać gościnności burmistrza. Ale naprawdę muszę jechać.

Zerknęła na Lainie, która znów się zaśmiała. Rozumiały się.

— Czy zostaniesz na noc? — spytała Lainie. — Musisz być zmęczona, a droga jest daleka.

— Och nie, to przyjemna przejażdżka — powiedziała. — Odpręża.

Gada ruszyła do rezydencji burmistrza ciemnymi uliczkami. Rytmiczny stukot kopyt Błyskawicy tworzył tło dla marzeń. Gada drzemała, a klacz szła sama. Zamglony księżyc rzucał cienie na kamienie. Nagle Gada usłyszała zgrzytanie podkutych butów o bruk. Błyskawica gwałtownie skoczyła w bok. Tracąc równowagę, Gada złapała się za łęk siodła, a drugą ręką za grzywę. Próbowwała z powrotem dobrze usiąść. Ktoś pochwycił ją

za koszulę i uwiesił się, chcąc ściągnąć z konia. Jedną ręką uderzyła napastnika. Pięść zeslizgnęła się po szorstkim ubraniu. Uderzyła powtórnie, lecz w tym samym momencie spadła z konia. Mężczyzna zacharczał i puścił ją. Wdrapała się na grzbiet Błyskawicy i kopnęła ją po bokach. Koń skoczył w przód. Napastnik ciągle trzymał się siodła. Gada słyszała stukot butów, gdy próbował biec za nimi. Ciągnął siodło do siebie. Przechyliła się w drugą stronę, kiedy mężczyzna ją puścił.

Ułamek sekundy później Gada ściągnęła cugle. Nie było torby z wężami. Zawróciła Błyskawicę i pogalopowała za uciekającym złodziejem.

— Stój! — zawołała.

Nie chciała na niego najeżdżać koniem, ale mężczyzna nie miał zamiaru usłuchać. Mógł w każdej chwili dać nura w jakąś ciemną uliczkę, zbyt ciasną dla konia i jeźdźca, i nim zdążyłaby zsiąść i pobiec za nim, już by go nie było.

Gada pochyliła się. Złapała go za ubranie. Rzuciła się mu na plecy. Obydwoje zwałili się na ziemię. Złodziej padając zdołał się uchylić, tak że Gada runęła siłą bezwładności na bruk. Jakimś cudem udało się jej przytrzymać bandytę.

Z trudem łapała oddech. Chciała mu powiedzieć, żeby zostawił torbę, ale nie była w stanie się odezwać. Zamierzył się i poczuła ostry ból na czole, na linii włosów. Oddała cios i potoczyli się, szamocąc, po ulicy. Cały czas słyszała, jak torba trze o bruk. Podniosła się i złapała ją. To samo zrobił zakapturzony mężczyzna. W środku wściekle grzechotał Piasek. Walczący ciągnęli za torbę z obu stron, jak dwoje dzieci podczas zabawy.

— Puść! — wrzeszczała Gada.

Wydawało się jej, że jest coraz ciemniej. Widziała niewyraźnie, choć nie uderzyła się w głowę.

— Nie ma tu nic, co mogłoby ci się przydać!

Przeciwnik pociągnął torbę ku sobie, jęcząc desperacko. Gada popuściła na chwilę, a potem szarpnęła silnie z powrotem. Wyrwała torbę. Była tak zaskoczona, iż ten dziecinny chwyt poskutkował, że aż zatoczyła się do tyłu. Wylądowała na pośladkach i łokciu. Zajęczała lekko z bólu, bo przez rękę, uderzoną w czułe miejsce, przebiegł prąd. Nim zdołała się podnieść, napastnik uciekł w dół ulicy. Gada wstała. Łokieć trzymała przy boku; drugą ręką kurczowo ścisnęła uchwyt torby. W trakcie walki nie zwracała uwagi na ból. Otarła twarz. Widziała już nieco lepiej. Jej oczy zalewała krew z rozciętego czoła. Postąpiła o krok i zachwiała się: miała stłuczone prawe kolano. Pokuśtykała do klaczy, która parsknęła bojaźliwie, ale nie uciekła. Gada poklepała ją.

Nie miała już ochoty na konne przejażdżki, ani w ogóle na nic. Bardzo chciała wypuścić Mglę i Piaska, żeby się upewnić, czy nic im się nie stało, ale wiedziała, że to byłoby ponad wytrzymałość klaczy. Przytroczyła torbę z tyłu siodła i wspięła się na grzbiet.

Po chwili zatrzymała klacz przed drzwiami stajni, które nagle wyrosły przed nią w ciemności. Było jej niedobrze i miała zawroty głowy. Chociaż nie straciła zbyt wiele krwi, a napastnik nie uderzył jej na tyle mocno, aby spowodować wstrząs mózgu, to wywołona adrenalina przestała działać i Gada czuła się całkowicie pozbawiona energii.

Nabrała powietrza w płuca.

— Stajenny!

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, a później, pięć metrów ponad nią, otworzyły się drzwi od stryszku, klekoczące luźnymi zawiasami.

— Nie ma go tutaj, proszę pani — powiedziała Melissa. — On sypia na zamku. Czy ja mogę pomóc?

Gada spojrzała w górę. Dziewczynka pozostawała ukryta w ciemnościach, poza zasięgiem światła księżyca.

— Miałam nadzieję, że cię nie obudzę...

— Proszę pani, co się stało? Pani cała krwawi!

— Nie. Już przestało. Mogłabyś pojechać za mną na wzgórze? Możesz sięść z tyłu, a później sprowadziłabyś Błyskawicę do stajni.

Melissa chwyciła za dwa końce liny w małym bloczku, umocowanym nad otworem wiodącym na stryszek i zjechała na rękach.

— Zrobię wszystko, o co pani poprosi — powiedziała cicho.

Gada nachyliła się, a Melissa chwyciła ją za rękę i wskoczyła na tył siodła. Wszystkie dzieci na świecie pracowały — Gada wiedziała o tym — ale ręka dziesięcioletniej dziewczynki była szorstka i stwardniała jak u dorosłego robotnika.

Gada ścisnęła klacz kolanami i Błyskawica ruszyła. Melissa trzymała się tylnego łęku; to niewygodny i trudny sposób utrzymania się na koniu. Gada sięgnęła do tyłu i ułożyła ręce dziecka na swej talii. Melissa była tak samo sztywna i przerażona jak Gabriel.

Gada zastanawiała się, czy dziewczynka czasem nie czekała dłużej od niego, aby ktoś dotknął ją z czułością.

— Co się stało? — spytała Melissa.

— Ktoś próbował mnie obrabować.

— Proszę pani, to okropne. W Podgórza nikt nikogo i nigdy nie okrada.

— Chciał zabrać mi moje węże.

— To musiał być jakiś wariat — powiedziała Melissa.

Dreszcz przebiegi Gadzie po plecach, gdy skojarzyła fakty.

— O bogowie! — przeraziła się. Przypomniała sobie pustynny strój, jaki nosił na-
pastnik. — To był ten szaleniec!

— Co?

— Szaleniec. Nie, nie szaleniec. Szaleniec nie jechałby za mną tak daleko. On czegoś szuka. Ale czego? Nie mam nic, co mogłoby się komuś przydać. Nikomu oprócz uzdrowiciela nie są potrzebne węże.

— Może to z powodu Błyskawicy, proszę pani. To dobry koń, a ja nigdy przedtem nie widziałam takiej uprzęży.

— Przewrócił mój obóz do góry nogami zanim jeszcze dostałam Błyskawicę.

— A więc to prawdziwy wariat — rzekła Melissa. — Nikt nie okradałby uzdrowiciela.

— Wolałabym, abys mnie nie pocieszała w ten sposób — powiedziała cierpko Gada.
— Jeśli on nie próbuje mnie obrabować, to czego ode mnie chce?

Melissa mocniej zacisnęła ręce wokół talii Gady; jej ręka natrafiła na rękojeść noża.

— Dlaczego go pani nie zabiła? — spytała. — Albo przynajmniej nie poraniła porządnie?

Gada dotknęła gładkiej, kościanej rękojeści.

— Nigdy nawet o tym nie pomyślałam — odparła. — Nigdy nie użyłam noża przeciwko drugiemu człowiekowi.

Zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle byłaby w stanie to zrobić. Melissa nic nie mówiła.

Błyskawica wspinała się traktem. Kamyki wypryskiwały spod jej kopyt i stukały, tocząc się po stromiźnie urwiska.

— Czy Lisek dobrze się sprawował? — spytała w końcu Gada.

— Tak, proszę pani. I już zupełnie nie kuleje.

— To dobrze.

— Śmiesznie się na nim jeździ. Nigdy przedtem nie widziałam konia w takie paski.

— Musiałam zrobić coś oryginalnego, zanim zostałam pasowana na uzdrowiciela. Zrobiłam więc Liska — wyjaśniała. — Nikt przede mną nie wyizolował tego genu.

Zdała sobie sprawę, że Melissa nie ma zielonego pojęcia, o czym jej opowiada. Zastanawiała się, czy walka nie miała gorszych skutków niż przypuszczała.

— Pani go zabiła?

— Zrobiłam... lekarstwo... które sprawiło, że się urodził taki, jaki jest. Musiałam zmienić jakąś żywą istotę bez zrobienia jej krzywdy, by udowodnić, że jestem dostatecznie dobra, aby pracować nad dokonywaniem przemian w węzłach. W ten sposób możemy leczyć więcej chorób.

— Chciałabym umieć robić coś takiego.

— Melisso, ty potrafisz jeździć konno tak, jak ja nawet w połowie nie potrafię.

Melissa nie odzywała się.

— Coś nie tak?

— Miałam być dżokejem.

Była małym, drobnym dzieckiem i potrafiła jeździć prawie na wszystkim.

— No to, dlaczego... — Gada ucięła, bo uświadomiła sobie, dlaczego Melissa nie może być dżokejem w Podgórzu.

Po chwili dziewczynka powiedziała:

— Burmistrz życzy sobie, aby jego dżokeje byli tak samo piękni, jak jego konie.

Gada wzięła rączkę Melissy i uściśnęła ją lekko.

— Przepraszam.

— W porządku, proszę pani.

Światła dziedzińca już do nich docierały. Kopyta Błyskawicy postukiwały na kamieniach. Melissa ześlizgnęła się z konia.

— Melisso?

— Niech się pani nie martwi, proszę pani. Odprowadzę pani klacz. Hej! — zawołała. — Otworzyć bramę!

Gada zsiadła i odwiązała torbę z węzami. Uzdrowicielka była cała zeszywniała. Chore kolano bolało potwornie.

Brama rezydencji uchyliła się i wyrżał przez nią służący w nocnym stroju.

— Kto tam?

— To pani Gada — odezwała się Melissa z ciemności. — Jest ranna.

— Czuję się dobrze — chciała powiedzieć Gada, ale zamiast tego jęknęła z bólu, poruszywszy stłuczonym kolanem.

Służący odwrócił się, by wezwać pomoc. Na dziedzińcu słychać było bieganinę.

— Dlaczego nie wjechałyście do środka? — wyciągnął rękę, by podeprzeć Gadę.

Dziewczyna lekko ją odsunęła. Nadbiegli inni ludzie i otoczyli ją.

— Chodź wziąć konia, durny dzieciaku!

— Zostawcie ją w spokoju! — powiedziała Gada. — Dziękuję, Melisso.

— Nie ma za co, proszę pani.

Gdy Gada weszła do sklepionej sieci, Gabriel właśnie schodził, człapiąc po ogromnych, kręconych schodach.

— Gada, co się dzieje?... Dobrzy bogowie! Co się stało?

— Nic mi nie jest — powtarzała. — Po prostu miałam utarczkę z niekompetentnym złodziejem.

To było jednak coś więcej. Teraz o tym wiedziała.

Podziękowała służącym i poszła z Gabrielem na górę, do południowej wieży. Stał, zaniepokojony i niecierpliwy, gdy oglądała Mgłę i Piaska; nakłaniał ją, aby najpierw zajęła się sobą. Węże nie odniosły żadnych obrażeń, więc Gada zostawiła je w przegródkach i poszła do łaźni.

Kątem oka dostrzegła w lustrze swoje odbicie: twarz pokryta krwią, włosy przyklepione do czaszki i dwoje ledwo wyzierających spod nich oczu.

— Wyglądasz, jakby ktoś omal cię nie zamordował. — Gabriel odkręcił wodę, przyniósł myjki i ręczniki.

— Czyżby?

Gabriel zaczął obmywać jej ranę pod włosami na czole. Gada zobaczyła ją w lustrze: rozcięcie było płytkie, musiało być zrobione jakimś pierścieniem, a nie gołą ręką.

— Może powinnaś się położyć?

— Rany na głowie zawsze tak krwawią — odpowiedziała. — To nie takie straszne, jak wygląda. — Spojrzała po sobie i roześmiała się smutno. — Nowe koszule nigdy nie są wygodne, ale to nie najlepszy sposób, aby je znosić.

Ramię i szew na łokciu były rozdarte. Spodnie również nie były całe. Przez dziury widziała świeże siniaki.

— Dam ci nowe — powiedział Gabriel. — Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. W Podgórzu prawie nie ma rabunków. I wszyscy wiedzą, że jesteś uzdrowicielką. Kto zaatakowałby uzdrowiciela?

Gada wyjęła z ręki Gabriela płócienko i dokończyła obmywanie rany. On robił to zbyt delikatnie, a nie miała ochoty, aby rana zabliźniła się z brudem i kawałkami żwiru.

— Nie zaatakował mnie nikt z Podgórza — powiedziała.

Gabriel moczył jej kolano wraz ze spodniami, żeby odkleić materiał, przylepiony zaschniętą krwią. Gada opowiedziała mu o szaleńcu.

— Dobrze chociaż, że nie był to nikt z naszych ludzi — powiedział. — Obcego łatwiej będzie znaleźć.

— Może i tak. Ale szaleniec umknął ludziom pustyni. A miasto daje o wiele więcej możliwości ukrycia się.

Wstała. Kolano bolało jeszcze bardziej. Pokuśtykała do ogromnej wanny i odkręciła gorącą wodę. Gabriel pomógł jej zdjąć ubranie i usiadł obok, podczas gdy ona moczyła w wodzie obolałe miejsca. Denerwował się, zły na to, co się stało.

— Gdzie byłaś, kiedy szaleniec cię zaatakował? Rozkażę strażnikom miejskim, żeby przeszukali ten rejon.

— Gabrielu, zostaw już to dzisiaj. Minęła co najmniej godzina. Jego od dawna tam nie ma. Wszystko, co zdziałasz, to tyle, że wyrwiesz ludzi z ich ciepłych łóżek, żeby biegali po mieście i wrywali innych ludzi z ich ciepłych łóżek.

— Chcę coś zrobić.

— Wiem. Ale teraz nie można nic zrobić. — Położyła się i zamknęła oczy.

— Gabrielu — odezwała się nagle po kilku minutach milczenia. — Co się stało Melissie?

— Komu?

— Melissie. Małej pomocnicy stajennego, która ma blizny po oparzeniu. Ma z dziesięć — jedenaście lat. I rude włosy.

— Nie wiem. Nie sądzę, żebym ją kiedykolwiek widział.

— Objeżdża twojego konia.

— Objeżdża mojego konia?! Dziesięcioletnie dziecko? To komiczne!

— Powiedziała mi, że go objeżdża. Nie wyglądało na to, że kłamie.

— Może siedzi na grzbiecie, kiedy Ras prowadzi go na pastwisko. Nie jestem jednak pewien, czy koń zniósłby nawet tyle. Ras nie potrafi na nim jeździć, a co dopiero dziecko.

— Ach, nie ma sprawy — ustąpiła Gada. Może Melissa chciała po prostu wyrzucić na niej wrażenie? Nie zdziwiłaby się, gdyby dziecko fantazjowało. Ale nie mogła tak łatwo zwątpić w słowa Melissy.

— To nieistotne — powiedziała do Gabriela. — Chciałabym tylko wiedzieć, jak się poparzyła.

— Nie wiem.

Gada, skrajnie wyczerpana, obawiała się, że uśnie, jeśli poleży w wodzie chwilę dłużej. Wygramoliła się z wanny. Gabriel okrył ją ogromnym ręcznikiem; wytarł jej plecy i nogi, gdyż Gada nie mogła się schylić.

— W stajni był pożar — powiedział nagle. — Cztery czy pięć lat temu. Ale nie myślałem, że ktoś został poparzony. Ras zdołał uratować wszystkie konie.

— Melissa ukrywała się przede mną — powiedziała Gada. — Czy możliwe, żeby ukrywała się przez cztery lata?

Gabriel milczał przez moment.

— Jeżeli ma blizny... — Wzruszył zakłopotany ramionami. — Nie lubię o tym myśleć, ale ja ukrywałem się przed wszystkimi prawie trzy lata. Myślę, że to możliwe.

Pomógł jej dojść do sypialni i zatrzymał się tuż przed drzwiami. Nagle stał się nieporadny jak dziecko. Gada zorientowała się natychmiast, że znów go prowokowała swym zachowaniem, tym razem zupełnie nieświadomie. Bardzo chciała zaoferować mu miejsce w swoim łóżku tej nocy. Chętnie zasnęłaby w czyimś towarzystwie. Ale nie była niezmordowana. W tym momencie nic miała zupełnie siły na seks, nawet na okazywanie sympatii, a nie chciała podrażnić go jeszcze bardziej, kazać mu leżeć niewinnie obok przez całą noc.

— Dobranoc... Gabrielu — powiedziała. — Chciałabym, abyśmy mogli przeżyć ostatnią noc jeszcze raz.

Dobrze zapanował nad rozczarowaniem. Pocałowali się na dobranoc. Wszystko, co wstrzymywało ją przed zaproszeniem go do łóżka, to świadomość, jak będzie czuła się rano po dzisiejszym fizycznym i emocjonalnym stresie. Dodatkowy wysiłek — choćby nawet była nim dająca zadowolenie namiętność — mógł tylko pogorszyć jej stan.

— Cholera! — powiedziała Gada, gdy Gabriel przestał ją całować. — Ten szaleniec ciągle powiększa swoje konto.

Hałasy obudziły Gadę z głębokiego, pełnego snu. Pomyślała sobie, że to Larril przyszła wezwać ją do burmistrza, ale nikt się nie odzywał. Światło z korytarza rozświetliło na chwilę pokój, później drzwi się zamknęły i znów zapanował mrok. Gada leżała bez ruchu. Słyszała, jak bije jej serce, kiedy przygotowywała się do obrony, przypominając sobie, co Melissa mówiła o nożu. W obozie zawsze miała go pod ręką, choć bardziej spodziewała się ataku teraz, kiedy spała w domu burmistrza. Jednak tej nocy jej pas i nóż leżały gdzieś na podłodze, tam gdzie je porzuciła. A może i nawet w łazience. Nie mogła sobie przypomnieć.

„O czym ja myślę? — dziwiła się — Przecież nawet nie wiem, jak się walczy nożem.”

— Pani Gado? — odezwał się głos tak cichy, że ledwie go słyszała.

Odwróciła się i usiadła sztywno, zupełnie już przebudzona, rozluźniając zaciśnięte odruchowo pięści.

— Co? Melissa?

— Tak, proszę pani.

— Dzięki bogom, że się odezwałaś. Omal cię nie uderzyłam.

— Przepraszam... Nie miałam zamiaru pani budzić. Ja tylko... chciałam się tylko upewnić...

— Czy stało się coś złego?

— Nie, ale nie wiedziałam, czy z panią wszystko w porządku. Zawsze widzę tu zapalone światło i pomyślałam, że nie wszyscy jeszcze poszli spać. Pomyślałam, że będę mogła kogoś spytać. Tylko... że... nie mogłam. Lepiej sobie pójdę.

— Nie, zaczekaj.

Oczy Gady przywykły do ciemności i widziała sylwetkę Melissy, błysk słabego światła w spłowiałych od słońca pasmach rudych włosów. Dziecko przyjemnie pachniało sianem i czystymi końmi.

— To cudownie z twojej strony, że przeszłaś taki kawał, aby się o mnie spytać.

Przygarnęła Melissę ku sobie, schyliła się i ucałowała ją w czoło. Gęsta, kręcona grzywka tylko częściowo przykrywała nierówności blizny.

Melissa zeszywniała i cofnęła się.

— Jak pani może znieść mój dotyk.

— Melisso, kochanie.

Gada sięgnęła i zwiększyła płomień lampy, zanim dziewczynka zdołała ją powstrzymać. Dziecko odwróciło się. Gada wzięła ją za ramię i łagodnie okręciła, aż stanęły twarzą w twarz. Melissa nie chciała spojrzeć na Gadę.

— Lubię cię. Zawsze dotykam ludzi, których lubię. Inni ludzie też będą ciebie lubili, jeżeli dasz im szansę.

— Ras mówi zupełnie co innego. On mówi, że nikt w Podgórzu nie chce patrzeć na brzydaków.

— Ras to obrzydliwy człowiek. I pewna jestem, że ma inne powody, żeby wpajać ci strach przed ludźmi. On zbiera pochwały za to, co ty robisz, prawda? Stwarza pozory, że to on umie obłaskawiać konie.

Melissa wzruszyła ramionami. Schyliła główkę tak, aby blizna była mniej widoczna.

— A pożar? — spytała Gada. — Co się naprawdę stało? Gabriel mówi, że Ras uratował konie i jedynie ty odniosłaś obrażenia.

— Każdy wie, że ośmioletnie dziecko nie potrafi wyprowadzić koni z pożaru — powiedziała Melissa.

— Och, Melisso...

— Nie dbam o to!

— Nie?

— Mam gdzie mieszkać. Mam co jeść. Mogę być przy koniach, a one nie mają nic przeciwko...

— Melisso, na bogów! Dlaczego taka jesteś? Ludzie potrzebują czegoś więcej niż jedzenia i kawałka dachu nad głową!

— Nie mogę odejść. Nie mam czternastu lat.

— Czy on ci powiedział, że jesteś do niego przypisana? Niewolnictwo jest w Podgórzu zakazane.

— Nie jestem niewolnicą — odpowiedziała z irytacją Melissa. — Mam dwanaście lat. Pani myślała, że ile?

— Gdzieś tak około dwunastu — skłamała Gada, nie chcąc przyznać, iż sądziła, że Melissa jest o wiele młodsza. — Jaka to różnica?

— Czy pani mogła pójść dokąd chciała, mając dwanaście lat?

— Oczywiście, że mogłam. Miałam tyle szczęścia, że byłam w miejscu, którego nie chciałam opuszczać, ale mogłam to zrobić.

— No... Tutaj jest inaczej. Jeżeli pójdziesz, twój opiekun pójdzie za tobą. Raz tak zrobiłam i Ras po mnie przyszedł.

— Ale dlaczego?

— Bo nie mogę się ukryć — powiedziała ze złością Melissa. — Wydaje ci się, że ludzie nie mieliby nic przeciwko mnie. Ale oni donieśli Rasowi, gdzie jestem.

Gada wzięła dziewczynkę za rękę. Melissa zamilkła.

— Przepraszam — powiedziała Gada. — Nie o tym jednak myślałam. Chciałam powiedzieć: kto wymyślił takie prawo, że nie możesz być tam, gdzie byś chciała? Dlaczego miałabyś się ukrywać? Nie możesz po prostu wziąć swojej zapłaty i pójść sobie tam, gdzie ci się podoba?

Melissa roześmiała się nerwowo.

— Moją zapłatę? Dzieci nie dostają zapłaty. Ras jest moim opiekunem. Muszę go słuchać. Muszę z nim być. Takie jest prawo.

— To potworne prawo. Wiem, że on cię krzywdzi. Prawo nie może cię zmusić, abyś została z kimś takim jak on. Pozwól mi, porozmawiam z burmistrzem, może załatwi to tak, żebyś mogła robić, co zechcesz.

— Proszę pani, nie! — Melissa rzuciła się na kolana obok łóżka i ścisnęła pościel. — Kto mnie zechce? Nikt! Zostawią mnie z nim, tyle tylko, że będę musiała powiedzieć o nim złe rzeczy. A wtedy on... wtedy on będzie jeszcze gorszy. Proszę! Niech pani nic nie zmienia!

Gada podniosła dziecko z kolan i otoczyła ramionami, ale Melissa skuliła się, chcąc oswobodzić się z objęć. Rzuciła się raptownie w przód z bolesnym krzykiem, kiedy Gada puszczając ją, przesunęła ręką po łopatce.

— Melisso, co to?

— Nic!

Gada rozwiązała troczki koszuli i obejrzała dziewczynce plecy. Były zbite kawałkiem skóry albo pasem — czymś, co sprawia ból, ale nie rozcina skóry, żeby przypadkiem nie uszkodzić Melissy — bo wtedy nie mogłaby pracować.

— Jak?... — przerwała. — Niech to szlag! Ras był zły na mnie, tak? Nakrzyczałam na niego i tylko narobiłam tobie kłopotów.

— Pani Gado, kiedy on chce uderzyć, to bije. On tego nie planuje. Tak samo w stosunku do mnie, jak i do koni. — Cofnęła się, spojrzała na drzwi.

— Nie idź. Zostań na noc. Jutro pomyślimy, co zrobić.

— Nie, proszę pani, wszystko w porządku. To nic. Jestem tutaj przez całe życie. Wiem, jak sobie radzić. Niech pani nic nie robi. Muszę iść.

— Zaczekaj...

Ale Melissa wymknęła się z pokoju. Drzwi zamknęły się za nią. Gada wstała z łóżka i wolno ruszyła za dzieckiem, lecz Melissa była już w połowie drogi do schodów. Gada oparła się o futrynę, wychylając na korytarz.

— Musimy o tym porozmawiać — zawołała, ale dziewczynka zbiegła cicho po schodach i zniknęła.

Gada pokuśtykała do swego luksusowego łóżka, weszła pod ciepły pled, zgasiła lampę i pomyślała o Melissie, biegnącej gdzieś tam — pośród ciemnej, chłodnej nocy.

Gada leżała bez ruchu, budząc się powoli. Pragnęła spać jeszcze przez cały dzień. Tak rzadko chorowała, że miała trudności z przystosowaniem się do sytuacji, w której musiała leżeć w łóżku.

Biorąc pod uwagę surowe wykłady, które robiła ojcu Gabriela, zrobiłaby z siebie idiotkę, gdyby nie przestrzegała własnych zaleceń. Westchnęła. Mogła pracować ciężko przez cały dzień, mogła robić długie wycieczki pieszo lub konno i czuła się później świetnie. Ale złość, adrenalina i gwałtowna bójka zupełnie wykończyły jej organizm. Poruszyła się powoli. Chwyliła powietrze i zamarła. Tępy ból w prawej nodze, tam gdzie artretyzm był najgorszy, zaostrzył się. Kolano miała spuchnięte i sztywne, bolały ją wszystkie stawy. Była przyzwyczajona do lekkich obrażeń, ale dzisiaj po raz pierwszy ból był nie do wytrzymania.

Położyła się z powrotem. Jeżeli zmusi się dzisiaj do podróży, to później rozłoży się na dłużej. Gdzieś na środku pustyni...

Potrafiła przemóc ból, kiedy było to konieczne, ale wymagało to wiele wysiłku i trzeba było później płacić za to z nawiązką. A teraz jej ciało nie miało żadnych rezerw energii.

Ciągle nie pamiętała, gdzie położyła swój pas, ani dlaczego potrzebowała go nocą. Zerwała się gwałtownie — przypomniała sobie Melissę i o mało nie krzyknęła. Poczucie obowiązku było silniejsze niż protesty ciała. Musiała coś zrobić. Jednakże konfrontacja z Rasem nie pomoże jej małej przyjaciółce. Gada już się o tym przekonała. Nie wiedziała, co mogłaby uczynić. W tym momencie nie wiedziała nawet, czy zdoła dotrzeć do łaźni.

Dotarła jednak. Tyle przynajmniej udało jej się osiągnąć. Jej pas z nożem był tam, powieszony na wieszaku. Zawstydziła się trochę. O ile pamiętała, zostawiła rzeczy porozrucane na podłodze. Zarumieniła się lekko, bo z reguły nie była taka nieporządna.

Na czole miała siniaka, a w miejscu rozcięcia zrobił się strup. Sięgnęła do kieszonki w pasie po aspirynę, wzięła sporą dawkę i pokuśtykała z powrotem do łóżka. Czekaając na sen zastanawiała się, o ile częstsze staną się ataki artretyzmu, kiedy się postarzeje. To niestety było nieuniknione.

Szkarłatne słońce stało wysoko ponad szarymi chmurami, kiedy znów się przebudziła. W uszach dzwoniło jej lekko od aspiryny. Ostrożnie zgięła prawe kolano i odczuła ulgę stwierdziwszy, że nie jest już tak sztywne i mniej boli. Niepewne stukanie do drzwi, które ją obudziło, powtórzyło się.

— Proszę!

Gabriel otworzył drzwi i zajrzał do środka.

— Gada? Dobrze się czujesz?

— Tak. Wejdz.

— Przepraszam, jeśli cię obudziłem, ale zaglądałem parę razy i nawet się nie poruszałaś.

Gada odsunęła pled i pokazała mu kolano. Opuchlizna nieco zmalęła, ale kolano nie wyglądało normalnie, a stłuczenie zrobiło się czarno — fioletowe.

— Dobrzy bogowie! — wykrzyknął Gabriel.

— Do jutra będzie wyglądać o wiele lepiej — powiedziała Gada. Posunęła się, aby mógł usiąść koło niej. — Mogło skończyć się gorzej.

— Skręciłem sobie kiedyś kolano i wyglądało jak balon przez tydzień. Jutro, mówisz? Uzdrowiciele muszą wracać do zdrowia błyskawicznie.

— Ja sobie nie skręcałam kolana. Ja tylko je stłukłam. Opuchło bardziej od artretyzmu.

— Artretyzm?! Myślałem, że nigdy nie chorujesz.

— Nigdy nie łapię chorób zakaźnych, ale uzdrowiciele zawsze mają artretyzm, jeżeli nie coś gorszego. — Wykonała w powietrzu nieokreślony ruch ręką. — To z powodu systemu odpornościowego, o którym ci mówiłam. Czasem jest trochę nie tak i komórki odpornościowe atakują ciało, które je wyprodukowało.

Nie widziała powodu, aby opisywać Gabrielowi naprawdę poważne choroby, na jakie narażeni byli uzdrowiciele. Gabriel zaproponował jej śniadanie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jest głodna.

Gada spędziła dzień na gorących kąpielach i leżeniu w łóżku, senna od aspiryny — przynajmniej ten skutek działania leku był pewny. Od czasu do czasu przychodził Gabriel i siadał na chwilę albo Larril przynosiła tacę, albo Brian relacjonował, jak miewa się burmistrz. Ojcu Gabriela nie była potrzebna pomoc od tamtej nocy, kiedy próbował chodzić. Brian był o wiele lepszą pielęgniarką niż ona.

Niecierpliwiła się, bo chciała już wyjechać; niecierpliwiła się, bo pragnęła przejechać przez dolinę i dostać się do kolejnego łańcucha gór; niecierpliwiła się, bo chciała już rozpocząć wędrowkę w kierunku Miasta, Ta perspektywa fascynowała ją. I nie mogła się już doczekać, kiedy opuści zamek burmistrza. Warunki były tu tak komfortowe jak

rzadko, nie zaznała takich nawet w domu, w ośrodku uzdrowicieli, a mimo to rezydencja była nieprzyjemnym miejscem; bliższe poznanie go pozwalało spostrzec ogromne emocjonalne napięcie, występujące pomiędzy mieszkańcami.

Budowla była zbyt wielka, zbyt mało w niej klimatu rodziny; zbyt wiele poczucia władzy, a za mało poczucia bezpieczeństwa. Burmistrz zachowywał swe prerogatywy wyłącznie dla siebie, nie przekazując ich nikomu. Natomiast Ras zdecydowanie nadużywał swoich. Gada bardzo pragnęła wyjechać, jednak nie wiedziała, czy byłaby w stanie zostawić Melisę, nic dla niej nie zrobiwszy. Melissa...

Burmistrz miał bibliotekę, z której Larril przyniosła Gadzie kilka książek. Uzdrowicielka próbowała czytać. Zazwyczaj pochłaniała kilka dziennie, czytając zbyt szybko, aby należycie się w nich rozsmakować. Tym razem jednak była znużona, pełna niepokoju; ciągle coś ją rozpraszało lub ktoś jej przeszkadzał.

Późnym popołudniem Gada wstała i kulejąc podeszła do krzesła przy oknie. Stamtąd mogła patrzeć na dolinę. Nie miała nawet z kim porozmawiać, bo Gabriel zjechał do Podgórze, żeby podać ludziom rysopis szaleńca. Gada pragnęła, aby ktoś schwytał człowieka i aby okazało się, że można mu pomóc. Czekala ją długa podróż i nie uśmiechała jej się myśl, że musiałaby uważać przez cały czas na kogoś, kto podąża jej siadem. O tej porze roku nie napotka żadnej karawany jadącej ku Miastu; albo zdecyduje się jechać sama, albo nie pojedzie wcale.

Teraz propozycja Grum, aby spędzić zimę w jej obozie, wydawała się jeszcze bardziej nęcąca. Jednakże perspektywa spędzenia połowy roku bez możliwości wykonywania zawodu, bez pewności, czy zdoła odpokutować za swe błędy, była nie do zniesienia. Pojedzie do Miasta albo wróci do ośrodka uzdrowicieli i podda się wyrokowi swoich nauczycieli.

Grum. Może Melissa mogłaby do niej pojechać, jeżeli Gadzie udałoby się zwolnić dziecko spod władzy Podgórze? Grum ani sama nie była piękna, ani nie miała obsesji na tle fizycznej doskonałości. Blizny Melissy nie byłyby dla niej odrażające. Ale potrzeba by wielu dni, żeby przesłać wiadomość do Grum i otrzymać odpowiedź, gdyż jej wioska leżała daleko na północy. Zresztą Gada musiała sama przed sobą przyznać, że nie znała Grum na tyle, by prosić ją o podjęcie takiej odpowiedzialności.

Westchnęła i palcami przeczesła włosy. Chciałaby, aby problem zniknął gdzieś w podświadomości i aby wyłonił się już rozwiązany. Wpatrywała się teraz w przedmioty w pokoju, jakby któryś z nich mógł podsunąć myśl, co powinna zrobić.

Na stole pod oknem stał kosz z owocami, talerz z ciasteczkami oraz tacka z pasztecikami serowymi i mięsnymi. Służba burmistrza przesadzała z troskliwością wobec chorych. Przez cały dzień Gada pozbawiona była tej odmiany, jaką daje oczekiwanie na posiłki. Nakłaniała Larril, Briana i innych służących, którzy przychodzili, żeby pościelić łóżko, przetrzeć szyby w oknach, zmieść okruszki (nadal nie miała pojęcia ilu ludzi pracowało przy utrzymaniu rezydencji i usługiwaniu Gabrielowi oraz jego ojcu; — za każdym razem pojawiała się nowa twarz i nowe imię), — aby się częstowali. Mimo to i tak większość półmisków była nadal pełna.

Pod wpływem nagłego impulsu Gada opróżniła kosz ze wszystkich owoców prócz tych najbardziej soczystych i dopełniła go ciasteczkami oraz pasztecikami zawiniętymi w serwetki. Zaczęła pisać list, lecz zmieniła zamiar i tylko narysowała na karteczce zwinętego węża. Włożyła rulonik między łakocie i przykryła serwetką. Potem zadzwoniła na służbę.

Pojawił się młody chłopak — jeszcze jeden służący, którego dotychczas nie widziała. Gada poprosiła go, aby zaniósł koszyk do stajni i wsadził na stryżek nad boksem Liska. Chłopak miał trzynaście, czternaście lat, rósł szybko i był chudy jak patyk, musiała więc wymóc na nim, że nie naruszy tego, co jest w koszyku. W zamian obiecała mu, że dostanie wszystko, co pozostało na stole. Nie wyglądał na łakomczucha, ale Gada jeszcze nie spotkała dziecka, które w okresie, gdy raptownie strzela w górę, nie byłoby ciągle głodne.

— Czy to zadawalający układ? — spytała.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. Były bardzo duże i białe, z lekko zaokrąglonymi końcami. Wyrosł na bardzo przystojnego mężczyznę. Gada spostrzegła, że w Podgórzu nawet chłopcy mają gładką cerę.

— Tak, proszę pani — odparł.

— Dobrze. Tylko upewnij się, czy nie widzi cię stajenny. On jest w stanie sam zdobyć sobie pożywienie, o ile się orientuje.

— Tak, proszę pani. — Chłopiec znów obnażył swoje białe zęby, wziął kosz i wyszedł.

Z tonu jego głosu Gada wywnioskowała, że Melissa nie była jedynym dzieckiem narażonym na skutki porywczosci Rasa.

Chciała porozmawiać z dziewczynką, ale dni mijały, a mała nie pokazywała się. Gada nie miała odwagi przesłać bardziej jednoznacznej wiadomości od tej w koszu. Nie chciała, żeby Melissa znów została zbita dlatego, że ona wtrąca się w jej życie.

Było już ciemno, kiedy Gabriel wrócił do zamku i przyszedł do pokoju Gady. Choć był bardzo zajęty, pamiętał, żeby wymienić porwaną koszulę Gady na całą.

— Nic — poinformował. — Nikogo w stroju pustynnym. Nikogo, kto by się dziwnie zachowywał.

Gada przymierzyła koszulę, która pasowała na nią wyjątkowo dobrze. Tamta, którą sobie kupiła, była brązowa, z szorstkiego płótna, tkanego domowym sposobem. Ta była wykonana z o wiele delikatniejszego materiału. Cieniutka jak jedwab; drukowana w zawiłe, niebieskie wzorki. Gada wyciągnęła rękę, przesuując palcami po tkaninie.

— Kupuje nowe ubranie i jest innym człowiekiem. Ma pokój w gospodzie i nikt go nie zauważa. Prawdopodobnie nie jest ani trochę bardziej niezwykły od jakiegokolwiek obcego, który przejeżdża przez miasto.

— Większość obcych przejeżdżała tędy parę tygodni temu — powiedział Gabriel i westchnął. — Ale masz rację. Nawet teraz niczym nie będzie się wyróżniał.

Gada popatrzyła przez okno. Wpatrywała się w nieliczne, rzadko porozrzucane światełka farm w dolinie.

— Jak twoje kolano?

— Już dobrze. Opuchlizna zeszła, a ból zmniejszył się do takiego, jaki zwykle mnie nęka przy zmianie pogody.

To, co lubiła w pustyni — jeśli nie brać pod uwagę upału — to była niezmiennosc pogody. Tam nigdy nie budziła się z samopoczuciem niedołejnej stularki.

— Bogom dzięki! — westchnął Gabriel.

— Uzdrowiciele szybko wracają do zdrowia — wyjaśniała Gada. — Zwłaszcza, kiedy mają ku temu poważne powody. — Uśmiechnęła się i w nagrodę spostrzegła promienny uśmiech Gabriela.

Tym razem hałas otwieranych drzwi nie wystraszył Gady.

Obudziła się i uniosła lekko na łokciu.

— Melissa? — zapaliła lampę; zmniejszyła płomień, bo nie chciała przeszkadzać Gabrielowi.

— Dostałam koszyk — powiedziała Melissa. — Dobrze było. Lisek lubi ser, ale Błyskawica nie bardzo.

Gada zaśmiała się.

— Cieszę się, że przyszedł. Chciałam porozmawiać.

— Taa... — Melissa powoli wypuściła powietrze. — Dokąd bym poszła? Jak bym mogła?

— Nie wiem, czy będziesz w stanie w to uwierzyć po tym wszystkim, co naopowiadał ci Ras. Mogłabyś być dżokejem, jeżeli naprawdę chcesz, prawie w każdym miejscu oprócz Podgórza. Z początku musiałabyś popracować nieco ciężiej, ale ludzie zaczęliby cię cenić za to, kim jesteś i co potrafisz.

Słowa brzmiały pusto, nawet dla Gady. „Ty idiotko — pomyślała — mówisz zastraszonemu dziecku, żeby poszło w świat i zapracowało na swój sukces zupełnie samo.”

Gabriel, leżący obok z ręką przerzuconą przez jej biodro, zmienił pozycję i zaczął mamrotać. Gada zerknęła przez ramię i położyła dłoń na jego ręce.

— W porządku Gabrielu — powiedziała. — Śpij dalej.

Młody mężczyzna westchnął i znów zapadł w sen.

Gada odwróciła się do Melissy. Przez chwilę dziecko wpatrywało się w nią oniemiałe. Dziewczynka była blada jak płótno. Raptem okręciła się i wybiegła.

Gada wyskoczyła z łóżka i popędziła za nią. Łkając Melissa szarpała za klamkę. Otworzyła drzwi w chwili, gdy Gada już ją prawie dogoniła. Dziewczynka wybiegła na korytarz, lecz Gada dopadła ją i zatrzymała.

— Melisso, co się stało?

Melissa z płaczem odtrąciła ją łokciem. Gada uklękła i przytuliła dziecko, otaczając powoli ramionami i gładząc po włosach.

— Już dobrze... już dobrze — szeptała Gada, po to tylko, aby coś mówić.

— Ja nie wiedziałam, nie rozumiałam... — Melissa szarpnęła się. — Myślałam, że ty jesteś silniejsza, że możesz robić to, co chcesz, ale ty jesteś taka sama jak ja.

Gada nie pozwoliła, by Melissa wyrwała rękę z jej uścisku. Zaprowadziła dziewczynkę do jednego z pustych pokoi gościnnych i zapaliła światło. Tu podłoga nie była ogrzewana i wydawało się, że kamień wysysa całe ciepło przez bose stopy Gady. Uzdrowicielka ściągnęła koc ze starannie zasłanego łóżka i narzuciła go sobie na ramiona. Poprowadziła Melissę do krzesła przy oknie. Usiadły, choć Melissa zrobiła to z wyrażnym ociąganiem.

— A teraz powiedz mi, co się stało.

Ze zwieszoną głową, podciągając kolana pod piersi, Melissa zaczęła mówić:

— Pani też musi robić to, czego oni chcą.

— Nie muszę robić nic, czego bym nie chciała.

Melissa podniosła głowę. Z prawego oka łzy popłynęły prosto na policzek, z lewego skręcały w bok, prowadzone kanalikami na pobrużdżonej skórze. Dziewczynka znowu zwiesiła głowę. Gada przysunęła się bliżej i otoczyła ją ramieniem.

— Odpręż się. Nie ma pośpiechu.

— Oni... Oni robią rzeczy...

Gada zmarszczyła czoło, nic nie rozumiejąc.

— Jakie rzeczy? Kto to są „oni”?

— On

— Kto? Gabriel?

Melissa szybko kiwnęła potakująco głową, nie patrząc Gadzie w oczy. Gada nie mogła sobie wyobrazić, aby Gabriel świadomie kogoś skrzywdził.

— Co się stało? Jeżeli zrobił ci krzywdę, jestem pewna, że przez przypadek.

Melissa spojrzała na nią.

— Mnie nic nie zrobił. — W jej głosie brzmiała pogarda.

— Melisso, kochanie, nie rozumiem ani słowa z tego, co powiedziałaś. Jeżeli Gabriel nie zrobił ci nic złego to, dlaczego byłaś tak przerażona, gdy go zobaczyłaś? Naprawdę on jest bardzo miły.

— On każe ci wejść do swojego łóżka.

— To moje łóżko.

— To bez różnicy, czyje łóżko! Ras nie wie, gdzie śpię, ale... nieraz...

— Ras?

— Ja i on. Tak jak pani i ten drugi.

— Poczekaj — powiedziała Gada. — Ras każe ci się kłaść ze sobą do łóżka? Kiedy ty nie chcesz?

To było idiotyczne pytanie, Gada wiedziała o tym, ale nie była w stanie zadać bardziej taktownego.

— Chcesz! Nie chcesz! — Melissa wyduła wargi z odrazą.

Ze spokojem płynącym z niedowierzania, Gada spytała ostrożnie:

— Czy każe robić ci coś jeszcze?

— Powiedział, że później przestanie boleć, ale nigdy nie przestało... — Ukryła twarz między kolanami.

Wreszcie dotarło do Gady to, co Melissa próbowała powiedzieć. Kobieta przytuliła dziewczynkę i gładziła po włosach, aż powoli, jakby w strachu, że ktoś zobaczy i powstrzyma ją, Melissa objęła Gadę i rozplakała się, tuląc twarz w jej ramionach.

— Nie musisz mówić nic więcej! — rzekła Gada. — Nie rozumiałam z początku, ale teraz już wiem. Och, Melisso, to wcale nie powinno być takie! Czy nikt ci nigdy tego nie wyjaśniał?

— On powiedział, że mam szczęście — wyszeptła Melissa. — Powiedział, że powinnam być mu wdzięczna za to, że w ogóle chce mnie dotknąć. — Wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz.

Gada kołysała ją łagodnie.

— To on ma szczęście — powiedziała. — Ma szczęście, że nikt się wcześniej nie dowiedział.

Drzwi się otworzyły i Gabriel zajrzał do środka.

— Gada? Ach, tutaj jesteś.

Podszedł do niej. Światło lśniło na jego złocistym ciele. Melissa spojrzała na niego. Gabriel zamarł. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie i przerażenie. Melissa wtu-liła głowę w ramię Gady i objęła ją mocniej. Drżała z wysiłku, aby opanować łkanie.

— Co...? — zaczął.

— Wracaj do łóżka — powiedziała Gada bardziej szorstko, niż zamierzała, ale i tak zbyt łagodnie jak na niechęć, jaką do niego w tej chwili czuła.

— Co tu się dzieje? — zapytał płaczliwie.

Zmarszczywszy brwi, popatrzył na Melissę.

— Odejdź! Porozmawiam z tobą jutro — rzuciła Gada.

Zaczął protestować. Spostrzegł jednak zmianę na twarzy kochanki, urwał w połowie i wyszedł. Gada i Melissa przez dłuższą chwilę siedziały w milczeniu. Oddech Melissy powoli się uspokajał; stawał się regularny.

— Widzi pani, jak ludzie na mnie patrzą?

— Tak, kochanie. Widzę.

Po tym, jak zareagował Gabriel, Gada czuła, że nie powinna roztaczać przed dzieckiem kolorowych wizji ludzkiej tolerancji. Ale teraz miała więcej nadziei, że Melissa ze-chce porzucić to miejsce. Wszystko będzie lepsze niż to. Wszystko.

W Gadzie wzbierała złość — powolna, niebezpieczna, nieugięta. Pokryte blizna-mi, skrzywdzone i zastraszone dziecko miało takie samo prawo do łagodnej inicjacji seksualnej, jak jego piękni i pewni siebie rówieśnicy. Nawet większe. A Melissa została zraniona, skrzywdzona i zastraszona. I poniżona. Gada kołysała dziewczynkę. Melissa przylgnęła do niej w poczuciu bezpieczeństwa, jakby była zupełnie małym dzieckiem.

— Melisso...

— Tak, proszę pani.

— Ras to zły człowiek. Skrzywdził się w sposób, w jaki nie postąpiłby nikt, kto nie jest złym człowiekiem. Obiecuję, że już nigdy nic ci nie zrobi.

— Co za różnica czy on, czy ktoś inny?

— Pamiętasz, jak byłaś zdziwiona, że ktoś chciał mnie obrabować?

— Ale to był szaleniec. Ras nie jest szaleńcem.

— Więcej jest szaleńców takich jak tamten, niż ludzi takich jak Ras.

— Ten, którego widziałam, jest taki jak Ras. Pani musiała z nim być.

— Nie, nie musiałam. Zaprosiłam go, żeby ze mną został. Są rzeczy, które ludzie mogą dla siebie nawzajem robić...

Melissa zerknęła na nią. Gada nie umiała powiedzieć, czy wyraz jej twarzy odzwierciedlał ciekawość czy troskę; twarz była bez wyrazu wskutek okropnych blizn po oparzeniu. Po raz pierwszy Gada zobaczyła, że blizny sięgały pod kołnierzyk koszuli dziecka. Poczowała, że krew odpływa jej z twarzy.

— Proszę pani, co się stało?

— Kochanie, powiedz mi coś. Jak mocno byłaś poparzona? Dokąd sięgają blizny?

Oczy Melissy zwęziły się.

— Moja buzia. — Odsunęła się i dotknęła obojczyka po lewej stronie. — Tutaj. — Ręką przesunęła po klatce piersiowej, do dołu, potem w bok — Aż dotąd.

— I niżej już nie?

— Nie. Miałam długo sztywną rękę. — Pokręciła lewym barkiem: nie miał takiej swobody ruchu jak powinien. — Miałam szczęście. Gdyby było gorzej, nie mogłabym jeździć. Nikomu nie opłacałoby się utrzymywać mnie przy życiu.

Gada odetchnęła z ulgą. Widziała ludzi tak poparzonych, że nic nie pozostało z ich płci, ani narządy zewnętrzne, ani też zdolność do odczuwania przyjemności. Dziękowała wszystkim bogom wszystkich ludzi świata za to, co usłyszała. Ras zadawał jej ból, ale dlatego, że Melissa była dzieckiem, a on ogromnym i brutalnym mężczyzną, a nie dlatego, że ogień zniszczył w dziecku zdolność odczuwania czegokolwiek prócz bólu.

— Ludzie mogą robić sobie nawzajem takie rzeczy i oboje odczuwają przyjemność — powiedziała Gada. — To dlatego Gabriel i ja byliśmy razem. Ja chciałam, żeby on dotykał mnie, a on, żebym dotykała jego. Ale ktoś, kto dotyka drugiego człowieka nie dbając o to, co on czuje... wbrew jego woli... — przerwała, bo nie była w stanie pojąć, że ktoś może być tak wynaturzony, żeby obracać seks w napaść. — Ras to zły człowiek — powtórzyła.

— Ten drugi... nie bolało pani?

— Nie. To było dla nas miłe.

— Aha. To dobrze. — powiedziała niechętnie Melissa.

— Mogę ci pokazać.

— Nie! Proszę, nie!

— Nie bój się — uspokoiła ją Gada. — Nie bój się. Od tej pory nikt nie zrobi ci niczego, czego nie będziesz chciała.

— Pani Gado, pani go nie powstrzyma. Nie da pani rady. Pani musi stąd odjechać, a ja muszę tu zostać.

„Wszystko byłoby lepsze od pozostania tutaj — pomyślała Gada. — Wszystko. Nawet wygnanie.”

— A pojechałaby ze mną, gdybyś mogła?

— Z panią?

— Tak.

— Pani Gado...!

— Uzdrowiciele adoptują dzieci. Nie wiedziałaś o tym?

Nie wpadła na to wcześniej, choć długo szukała jakiegoś wyjścia.

— Ale może pani wziąć kogoś innego.

— Chcę ciebie, jeżeli ty zechcesz mnie.

Melissa przytuliła się do niej.

— Oni mnie nigdy nie puszcza — wyszeptała. — Jestem z bliźniami.

Gada gładziła Melissę po włosach i patrzyła przez okno w ciemność. W oddali połyskiwały światła bogatego, pięknego Podgórze. Chwilę później, już zasypiając, Melissa wyszeptała:

— Jestem z bliźniami.

8.

Gadę obudziły pierwsze promienie szkarłatnego, porannego słońca. Melissa zniknęła. Musiała się wymknąć i wrócić do stajni. Gada bała się o nią.. Rozprostowała nogi i wolno poszła po pokoju, wciąż owinięta w koc.

Wieża była cicha i zimna. Pokój Gady był pusty. To dobrze, że Gabriel poszedł, bo chociaż ją rozdrażnił, nie chciała, aby to on padł ofiarą jej wściekłości. To nie on na nią zasługiwał. Umyła się i ubrała, spoglądając w dolinę. Wschodnie szczyty ciągle ocieniały większą jej część. Kiedy patrzyła, pełzające ciemności odsuwały się spod stajni i geometrycznych wzorów padoków, ogrodzonych białym płotem. Wszędzie panowała cisza.

Nagle na pastwisku pojawił się koń. Jego niewiarygodnie wydłużony cień dotykał kopyt, maszerując niczym olbrzym po połyskującej trawie. Był to ogromny srokaty ogier. Siedziała na nim Melissa. Wierzchowiec przeszedł w cwał i gładko popłynął przez pole. Gada bardzo by chciała też siedzieć w tej chwili na koniu i pędzić, czując na twarzy poranny wiatr. Niemalże słyszała głuchy tętent galopującego ogiera, czuła woń młodej trawy, widziała lśniące krople rosy, rozpryskiwane przez końskie kopyta.

Ogier galopował przez pole z rozwianą grzywą. Melissa była pochylona nisko nad jego kłębem. Przed nimi znajdował się wysoki, kamienny mur. Gada wstrzymała oddech, pewna, że ogier poniosł. Wychyliła się z okna, jakby mogła sięgnąć i zatrzymać ich, zanim koń zrzuci dziecko prosto na mur. Ale Melissa siedziała spokojnie i pewnie. Wierzchowiec odbił się i gładko poszybował nad ogrodzeniem. Parę metrów dalej zwolnił, podreptał trochę w miejscu i powoli, ociężale, niemal majestatycznie, ruszył w stronę stajni.

Jeżeli Gada miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy Melissa mówiła prawdę, to teraz wszystkie zniknęły bez śladu. Nie wątpiła, że Ras gwałcił dziecko. Zakłopotanie i rozpacz Melissy były prawdziwe. Przedtem Gada zastanawiała się, czy opowieści o jazdach na koniu Gabriela nie są czasem dziecięcymi fantazjami, ale okazały się prawdziwe i Gada pojęła, jak trudne może być uwolnienie jej małej przyjaciółki. Melissa była bardzo cenna dla Rasa, dlatego stajenny nie zechce z niej zrezygnować. Gada obawiała się pójść prosto do burmistrza, z którym nie miała dobrego kontaktu i wydać Rasa za niegodziwości, które popełniał. Kto był jej uwierzył? W dzień sama miała trudności z uwierzeniem, że coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć, a Melissa była zbyt zastraszona, by oskarżyć Rasa otwarcie. Gada nie winiła jej za to.

Poszła jednak do drugiej wieży i zastukała do drzwi burmistrza. Kiedy dźwięk po-
niósł się echem po kamiennych korytarzach, zorientowała się, jak jeszcze było wcześniej.
Ale nie bardzo ją to obchodziło. Nie była w nastroju do kurtuazji.

Drzwi otworzył Brian.

— Tak, proszę pani?

— Przyszłam porozmawiać z burmistrzem o mojej zapłacie.

Z ukłonem wpuścił ją do środka.

— Nie śpi. Jestem pewien, że zechce panią widzieć.

Gada uniosła jedną brew, jakby zdziwiona, że burmistrz mógłby jej nie przyjąć. Ale
służący powiedział to tak, jak mówi człowiek, który uwielbia jakąś osobę, nie dbając zu-
pełnie o konwenanse. Nie było powodu, by złościć się na Briana.

— Nie spał całą noc — mówił Brian, prowadząc ją do pokoju w wieży. — Strup swę-
dzi tak potwornie... może mogłaby pani...

— Jeśli nie jest zainfekowany, to sprawa aptekarki, nie moja — odpowiedziała
chłodno.

Brian zerknął na nią, odwracając głowę.

— Ależ, pani...

— Porozmawiam z nim w cztery oczy, Brianie. Czy nie zechciałby posłać po stajen-
nego i Melissę?

— Melissę? — Teraz on uniosł brew. — To rudowłose dziecko?

— Tak.

— Pani, czy jesteś pewna, że życzy sobie, aby ona tu przyszła?

— Proszę, zrób jak powiedziałam.

Skłonił się lekko. Jego twarz znowu była maską służącego. Gada weszła za nim do sy-
pialni burmistrza.

Burmistrz leżał w łóżku. Prześcieradła i koce walały się, rozrzucone na podłodze.
Chory zsunął bandaż i opatrunek, odsłaniając czysty, brązowy strup. Z wyrazem bez-
granicznej przyjemności drapał metodycznie gojącą się ranę. Spozregł Gadę i próbo-
wał naciągnąć bandaż na powrót, uśmiechając się jak winowajca.

— Swędzi — powiedział. — sądzę, że to oznacza, iż się goi.

— Niech pan się drapie, gdzie ma pan ochotę — powiedziała Gada. — Będę już
o dwa dni drogi stąd, zanim powtórnie pan zainfekuje ranę.

Cofnął rękę i rzucił się na poduszki. Próbując niezdarnie poprawić pościel, rozejrzał
się dookoła. Był znów poirytowany.

— Gdzie Brian?

— Robi mi przysługę.

— Aha. — Gada wyczuła w jego głosie jeszcze większe rozdrażnienie, ale nie wrócił
do tego tematu.

— Czy chciałaś się ze mną widzieć z jakiegoś powodu?

— Mojej zapłaty.

— Oczywiście, powinienem był sam to zaproponować. Nie miałem pojęcia, że wyjeżdżasz tak szybko, moja droga. Powiedz, ile żądasz?

Gada nie znosiła, gdy ludzie, których w ogóle nie darzyła sympatią, zwracali się do niej per „moja droga”. Nigdy zaś słowa te nie zazgrzytały tak jak teraz, gdy wypowiedział je ten człowiek.

— Nie słyszałem, aby jakieś miasto nie przyjmowało waluty Podgórze — powiedział. — Wszyscy wiedzą, że nigdy nie fałszujemy kruszcu ani nie oszukujemy na wadze monet. Ale jeśli wolisz, możemy ci zapłacić szlachetnymi kamieniami.

— Nie chcę ani tego, ani tego — odparła Gada. — Chcę Melisę.

— Melisę? Obywatelkę? Uzdrowicielko, dwadzieścia lat walczyłem, zanim udało mi się przełamać złą reputację Podgórze jako ostoji niewolnictwa. My wyzwalamy niewolniczych służących i nie oddajemy nikogo w niewolę.

— Uzdrowiciele też nie trzymają niewolnych służących. Powinno być powiedziane: chcę, żeby była wolna. Ona chce pojechać ze mną, ale pański stajenny Ras, jest...jak to nazywacie?... jej opiekunem.

Burmistrz wytrzeszczył na nią oczy.

— Uzdrowicielko, nie mogę wymagać od człowieka, aby rozbijał swoją rodzinę!

Gada zmusiła się, by nie zareagować gwałtownie. Nie chciała okazać swojego oburzenia. Nagle burmistrz podskoczył na łóżku, podrapał się po nodze, po czym cofnął rękę od bandażu.

— To bardzo skomplikowane. Czy jesteś pewna, że nie chcesz niczego innego?

— Odmawia pan spełnienia mojej prośby?

Bez słowa dotknął dzwonka i w drzwiach pojawił się Brian.

— Poślij po Rasa. Każ mu przyjść jak najszybciej. Niech przyprowdzi ze sobą dziecko.

— Uzdrowicielka już po niego posłała.

— Rozumiem. — Spojrzał na Gadę, kiedy Brian wyszedł. — Co zrobisz, jeśli nie zgodzi się na twoje żądanie?

— Każdy ma prawo odmówić zapłaty uzdrowicielowi — powiedziała Gada.

— Nosimy broń tylko do obrony i nigdy nikomu nie grozimy. Ale też nie chodzimy tam, gdzie nie jesteśmy mile widziani.

— Chcesz powiedzieć, że bojkotujecie każde miejsce, w którym was źle potraktowano?

Gada wzruszyła ramionami.

— Ras jest tutaj, panie — powiedział Brian od drzwi.

— Każ mu wejść.

Gada zeszywniała; cała napięta, próbowała opanować pogardę i obrzydzenie. Zwalisty, wielki mężczyzna wszedł do pokoju, wyraźnie skrępowany. Włosy miał wilgotne i w pośpiechu przylizane do tyłu. Lekko się uklonił burmistrzowi.

Za Rasem, obok Briana, kulila się Melissa. Stary służący wprowadził ją do pokoju, ona jednak nie podniosła głowy.

— W porządku, dziecko — powiedział burmistrz. — Nie przyprowadziliśmy cię tutaj, żeby karać.

— To nie najlepszy sposób dodawania komuś otuchy! — rzuciła Gada.

— Uzdrowicielko, proszę, usiądź — powiedział burmistrz uprzejmie. — Ras...?
— Ruchem głowy wskazał dwa krzesła.

Stajenny usadowił się, spoglądając z niechęcią na Gadę. Brian popchnął Melissę do przodu, tak że znalazła się między Gada, a Rasem. Wzrok miała ciągle wbity w podłogę.

— Ras jest twoim opiekunem — powiedział burmistrz. — Zgadza się?

— Tak — wyszeptało dziecko.

Ras wyciągnął rękę, przyłożył palec do pleców Melissy i szturchnął ją lekko.

— Okaż trochę szacunku, kiedy rozmawiasz z burmistrzem.

— Panie. — Głos Melissy był cichy i drżący.

— Melisso — odezwała się Gada. — Wezwaliśmy cię tutaj, aby się dowiedzieć, co chcesz robić.

Ras odwrócił się raptownie.

— Co ona chce robić? A cóż to ma oznaczać?

— Uzdrowicielko! — zwrócił się do niej burmistrz. Tym razem w tonie jego głosu było więcej chłodu. — Proszę! Ras, jestem w poważnym kłopotcie i tylko ty, mój przyjacielu, możesz mi pomóc.

— Nie rozumiem.

— Uzdrowicielka ocaliła moje życie, wiesz o tym, a teraz przyszła pora, aby jej zapłacić. Wydaje mi się, że ona i twoje dziecko przypadły sobie do gustu.

— Czego ode mnie oczekujecie?

— Nigdy nie prosiłbym cię o poświęcenie, gdyby nie chodziło o dobro miasta. A zgodnie z tym, co mówi uzdrowicielka, mała też tego chce.

— A czego ona chce?

— Twoje dziecko...

— Melissę — poprawiła Gada.

— Ona nie nazywa się Melissa — rzucił krótko Ras. — Nie nazywa się tak i nigdy się nie nazywała.

— No to powiedz burmistrzowi, jak ją nazywasz?

— To, jak ją nazywam, jest uczciwsze niż atmosfera, jaką wokół siebie stwarza. Imię „Melissa” sama sobie nadała.

— Więc tym bardziej jest to jej imię.

— Moment — przerwał burmistrz. — Rozmawiamy o opiece nad dzieckiem, nie o jej imieniu.

— Opiece nad nią? To po to ta rozmowa? Czy chce pan, burmistrzu, abym się jej zrzekł?

Ras popatrzył na Melisę, która nawet nie drgnęła, potem na Gadę. Zanim znów odwrócił się do burmistrza, przez jego twarz przemknął cień pewności i triumfu, który Gada bez trudu zauważyła.

— Odesłać ją z obcą osobą? Jestem jej opiekunem od czasu, gdy skończyła trzy lata. Jej rodzice byli moimi przyjaciółmi. Dokądże mogłaby pójść, gdzie byłaby szczęśliwsza, a ludzie nie oglądaliby się na jej widok?

— Ona nie jest tutaj szczęśliwa — wtrąciła Gada.

— Oglądali się na jej widok? Dlaczego? — spytał burmistrz.

— Podnieś głowę — powiedział Ras do Melissy.

Kiedy nie usłuchała, szturchnął ją i dziewczynka wolno podniosła głowę.

Burmistrz zareagował z większym opanowaniem niż Gabriel, ale i on się wzdrygnął. Melissa natychmiast umknęła jego spojrzeniu, spuściwszy głowę.

— Została poparzona w stajni, panie burmistrzu — powiedział Ras. — Mało, co nie umarła. Zaopiekowałem się nią.

Burmistrz zwrócił się do Gady:

— Uzdrowicielko, nie zmienisz zdania?

— Czy to, że ona chce pojechać ze mną, nie ma znaczenia? Dokądkolwiek. To wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia.

— Czy chcesz z panią pojechać, dziecko? Ras był dla ciebie przecież dobry, czyż nie? Dlaczego chcesz nas opuścić?

Zacisnąwszy mocno pięści za plecami, Melissa nie odpowiadała. Gada pragnęła, żeby dziewczynka się odezwała, ale wiedziała, że dziecko tego nie zrobi. Za bardzo było przeżone. I miało ku temu powody.

— To po prostu dziecko — powiedział burmistrz. — Nie jest w stanie podjąć takiej decyzji. Odpowiedzialność za decyzję spoczywa na mnie, podobnie jak odpowiadam już od dwudziestu lat za zapewnienie opieki wszystkim dzieciom z Podgórze.

— Zatem musi pan sobie zdawać sprawę, że mogę dla niej zrobić więcej niż każdy z was — powiedziała Gada. — Jeśli zostanie tutaj, spędzi resztę życia ukrywając się w stajni. Pozwólcie jej ze mną jechać, a nigdy już nie będzie musiała chować się przed ludźmi.

— Zawsze będzie się chować — powiedział Ras. — Biedna, mała, pokryta bliznami kruszyna...

— Dopilnowałeś, aby nigdy o tym nie zapomniała!

— On niekoniecznie musiał zrobić coś niemilego, uzdrowicielko — powiedział łagodnie burmistrz.

— Wszystko, co widzą pańscy ludzie, to piękno! — wykrzyknęła Gada i pojęła, że nie rozumieją, o czym mówi.

— Ona mnie potrzebuje — powiedział Ras. — Prawda, dziecko? Któż inny zaopiekuje się tobą tak jak ja? — Potrząsnął głową. — Nie rozumiem, dlaczego miałyby chcieć odejść? I dlaczego pani na tym zależy?

— To znakomite pytanie, uzdrowicielko — powiedział burmistrz. — Dlaczego chcesz wziąć to dziecko? Ludzie zaczną plotkować, że przestaliśmy sprzedawać ładne dzieci po to, żeby zarobić na nieudanych.

— Ona nie może spędzić całego życia w ukryciu — powiedziała Gada. — To utalentowane dziecko. Jest inteligentna i odważna. Mogę dla niej zrobić więcej niż ktokolwiek tutaj. Mogę jej pomóc w zdobyciu zawodu. Mogę jej pomóc zostać kimś, kto nie będzie oceniany ze względu na swoje blizny.

— Uzdrowicielka?

— To jest możliwe, o ile będzie chciała.

— Z tego, co mówisz, wynika, że masz zamiar ją zaadoptować.

— Oczywiście. A cóż by innego?

Burmistrz zwrócił się do Rasa.

— To przyniosłoby niezłą reklamę miastu, gdyby ktoś z naszych ludzi został uzdrowicielem.

— Ona nie będzie szczęśliwa nigdzie, tylko tutaj — powiedział Ras.

— Czy nie chcesz zrobić dla dziecka tego, co dla niego najlepsze? — Głos burmistrza złagodniał, przybierając przychlebczy ton.

— Czy odesłanie jej z domu jest tym, co dla niej najlepsze? Czy pan odesłałby swojego...? — Ras urwał i przybladł.

Burmistrz położył się na poduszki.

— Nie, nie odesłałbym mojego dziecka. Ale gdyby samo tak wybrało, pozwoliłbym mu odejść. — Uśmiechnął się do Rasa smutno. — Ty i ja mamy podobne problemy, przyjacielu. Dziękuję, że mi to przypomniałeś.

Położył sobie ręce pod głowę i wpatrywał się w sufit przez długą chwilę.

— Nie może pan jej odesłać — powiedział Ras. — To to samo, co sprzedać niewolnego sługę.

— Ras, mój przyjacielu — powiedział burmistrz łagodnie.

— Proszę nie przekonywać mnie, że jest inaczej. Wiem lepiej i wszyscy też będą wiedzieli.

— Jednakże korzyści...

— Czy pan naprawdę wierzy, że ktokolwiek stworzy temu biedactwu możliwości, żeby została uzdrowicielką? Ten pomysł jest szalony.

Melissa zerknęła na Gadę ukradkiem — jak zwykle kryła swoje emocje — później spuściła wzrok.

— Nie życzę sobie, aby nazywano mnie kłamcą — powiedziała Gada.

— Uzdrowicielko, Ras nie chciał, aby zabrzmiało to w ten sposób. Uspokójmy się. Rozmawiamy nie tyle o rzeczywistości, ile o pozorach. Pozory są istotne, bo są tym,

w co ludzie wierzą. Muszę się z tym liczyć. Niech ci się nie wydaje, że łatwo jest sprawować taki urząd. Nie tylko jeden młody podżegacz, ale paru już nie tak młodych chętnie wykurzyłoby mnie z mojego domu, gdybym tylko dał im szansę. I nie baczyliby na to, że jestem tu od dwudziestu lat. Oskarżenie o robienie z ludzi niewolników... — Potrząsnął głową.

Gada obserwowała, jak sam siebie przekonuje, aby jej odmówić. Bezradna, nie wiedziała, jak nakłonić go do zgody. Ras zaś doskonale wiedział, jakie argumenty przemówią do burmistrza najbardziej. Jednakże obłożenie miasta interdyktem przez uzdrowicieli stanowiło poważne zagrożenie, zwłaszcza w świetle tego, jak rzadko w ostatnich latach uzdrowiciele tutaj zagładali.

Gdyby burmistrz zaryzykował przyjęcie jej ultimatum. Gada nie zaryzykowałaby wprowadzenia go w życie. Nie mogła jednak zostawić Melissy z Rasem choćby jeszcze jeden dzień, jedną godzinę. Naraziłaby ją na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Co gorsza, ujawniła swoją niechęć do stajennego, więc burmistrz mógłby nie wierzyć w to, co by o nim powiedziała. Nawet, gdyby Melissa go oskarżyła, nie było dowodów. Gada rozpaczliwie poszukiwała innego sposobu, by zdobyć wolność dla dziecka. Miała nadzieję, że jeszcze nie zniweczyła wszystkich szans.

Odezwała się najspokojniej jak potrafiła:

— Wycofuję swoją prośbę.

Melissa wstrzymała oddech, ale nie podniosła spojrzenia. Na twarzy burmistrza odmalowała się ulga, a Ras odchylił się do tyłu na krześle.

— Pod jednym warunkiem — dodała.

Zrobiła pauzę, aby dobrze dobrać słowa i powiedzieć tylko to, co można by udowodnić.

— Pod jednym warunkiem. Kiedy Gabriel będzie wyjeżdżał — a jedzie na północ — niech Melissa pojedzie z nim aż do Śróddroża.

Gada nie powiedziała nic o planach Gabriela; to była wyłącznie jego sprawa i niczyja więcej.

— Mieszka tam doskonała nauczycielka kobiet i przyjmuje każdego, kto potrzebuje jej pomocy.

Mała, wilgotna plamka poszerzała się na koszulce Melissy, gdy lży bezszelestnie kapały na szorstki materiał.

Gada pospieszyła z wyjaśnieniem, o co jej chodzi.

— Niech Melissa pojedzie z Gabrielem. Jej szkolenie może potrwać nieco dłużej niż normalnie, bo jest już dość duża. Ale to dla jej zdrowia i bezpieczeństwa. Nawet, jeśli Ras kocha... — omal nie udławiła się tym słowem — kocha ją tak mocno, że nie chce oddać jej uzdrowicielom, przecież nie odmówi jej tego.

Różowa cera Rasa zbiałała.

— Śróddroże? — zawył burmistrz. — Mamy doskonałych nauczycieli tutaj. Po co miałyby jechać do Śróddroża?

— Wiem, że cenicie piękno — powiedziała Gada — ale myślę, że cenicie także samokontrolę. Niech Melissa opanuje tę umiejętność, nawet gdyby musiała gdzie indziej poszukać nauczycielki.

— Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że to dziecko nigdy nie miało żadnej nauczycielki?

— Oczywiście, że miało! — krzyknął Ras. — To podstęp, żeby wydostać dziecko spod naszej kontroli! Wydaje ci się, że możesz przyjechać do jakiegoś miasta i kształtować każdego na swoją modłę! — wrzeszczał na Gadę. — A teraz myślisz, że ludzie uwierzą w to, co ty i ten mały dzieciak zmyślicie na mój temat. Wszyscy boją się ciebie i twoich ośliźlonych gadów, ale nie ja. Rzuć na mnie jednego, no dalej, rozgniotę go na miazgę! — Przerwał nagle i zaczął rozglądać się na lewo i prawo, jakby nie pamiętał, gdzie się znajduje. Zabrakło mu pomysłu na teatralne zakończenie tej perory.

— Nie przed wężami musisz się mieć na bacności — odparła Gada. Nie zwracając uwagi na niego, nie zwracając uwagi na Gadę, burmistrz pochylił się nad Melissa.

— Dziecko, czy byłaś u nauczycielki kobiet?

Melissa zawahała się, wreszcie odpowiedziała:

— Ja nie wiem, co to jest.

— Nikt jej nie chciał przyjąć — powiedział Ras.

— Nie bądź śmieszny. Nasi nauczyciele nie odmawiają ludziom. Zabrałaś ją do nauczycielki, czy nie?

Ras wlepił wzrok w kolana i milczał.

— Łatwo można sprawdzić.

— Nie, panie.

— Nie! Nie? — burmistrz odrzucił koc i wstał z łóżka.

Zachwiał się, ale złapał równowagę. Stał nad Rasem. Wielki mężczyzna naprzeciw wielkiego mężczyzny, dwa ogromne, postawne stworzenia, twarzą w twarz; jedno bardziej wzburzone, drugie blade ze strachu przed wściekłością pierwszego.

— Dlaczego nie?

— Ona nie potrzebuje nauczycielki.

— Jak ośmielasz się mówić coś podobnego?

Burmistrz pochyłał się, aż Ras musiał — cofając przed nim — wcisnąć się w oparcie krzesła.

— Jak śmiesz narażać ją na niebezpieczeństwo! Jak śmiesz skazywać ją na niewiedzę i przykrości!

— Jej nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Ona nie musi niczemu zapobiegać. Kto by ją w ogóle dotknął?

— Ty mnie dotykasz! — Melissa podbiegła do Gady i rzuciła się jej w ramiona. Gada mocno przytuliła dziecko.

— Ty...!? — Burmistrz wyprostował się i cofnął. Brian, który pojawił się bezszelestnie, podtrzymał go w obawie, że noga odmówi posłuszeństwa. — O czym ona mówi, Ras? Dlaczego jest taka przerażona?

Ras potrząsnął głową.

— Każ mu to powiedzieć! — krzyczała Melissa, patrząc im prosto w twarz. — Każ mu!

Burmistrz pokuśtykał do niej i zatrzymał się niezdarnie. Spojrzał Melissie prosto w oczy. Nie drgnęła.

— Wiem, że się go boisz, Melisso, Dlaczego ona tak boi się ciebie?

— Bo pani Gada mi wierzy.

Burmistrz głęboko wciągnął powietrze.

— Czy ty go chciałaś?

— Nie — wyszeptła.

— Niewdzięczny mały bękart — wrzasnął Ras. — Wstrętne brzydactwo! Któż inny oprócz mnie chciałby jej kiedykolwiek dotknąć?

Burmistrz zignorował Rasę i ujął dłoń Melissy w swoje ręce.

— Od tej chwili uzdrowicielka jest twoją prawną opiekunką. Jesteś wolna. Możesz z nią jechać.

— Dziękuję. Dziękuję, panie.

Burmistrz wyprostował się, chwiejąc się na nogach.

— Brian! Znajdź mi papiery jej opiekuństwa w aktach miejskich. Siadajcie, Ras... A! Brian, niech posłaniec pojedzie do miasta. Do naprawiaczy.

— Ty handlaro żywym towarem! — pienił się Ras. — To w ten sposób wykradasz dzieci. Ludzie będą...

— Zamknij się, Ras!

W głosie burmistrza dało się słyszeć wyczerpanie, znacznie przerastające jego chwilowy przypływ energii. Był blady.

— Nie mogę cię wypędzić. Moim obowiązkiem jest chronić innych ludzi. Inne dzieci. Teraz twoje kłopoty są moimi kłopotami i muszą zostać rozwiązane. Pójdiesz porozmawiać z naprawiaczami?

— Nie potrzebuję naprawiaczy.

— Pójdiesz dobrowolnie, czy wolisz proces?

Ras powoli usiadł na krześle i wreszcie pokiwał głową.

— Dobrowolnie — powiedział.

Gada wstała, otoczyła ramieniem Melissę. Dziewczynka objęła Gadę w pasie, a głowę przechyliła tak, że prawie nie było widać blizny. Skierowały się w stronę wyjścia.

— Dziękuję ci, uzdrowicielko — powiedział burmistrz.

— Do widzenia — powiedziała Gada i zamknęła drzwi.

Obie z Melissą szły korytarzem w kierunku drugiej wieży. Echo powtarzało ich kroki.

— Tak strasznie się bałam — powiedziała Melissa.

— Ja też. Przez chwilę myślałam, że będę musiała cię wykraść. — Melissa spojrzała na nią.

— Naprawdę by to pani zrobiła?

— Tak.

Melissa milczała przez chwilę.

— Przepraszam — powiedziała.

— Przepraszam? Za co?

— Powinnam pani ufać. A nie ufałam. Ale teraz już będę. Już się więcej nie będę bać..

— Miałas prawo się bać, Melisso.

— Już teraz się nie boję. I już nie będę. Dokąd pojedziemy?

Po raz pierwszy od czasu, kiedy Melissa zaproponowała Gadzie, że będzie objeżdżać Liska, w jej głosie brzmiała pewność siebie i entuzjazm, bez odcienia strachu.

— No cóż — powiedziała Gada. — Myślę, że powinnaś pojechać na północ do ośrodka uzdrowieli. Do domu.

— A pani?

— Mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia, zanim będę mogła pojechać do domu. Nie martw się, prawie połowę drogi pojedziesz z Gabrielem. Napiszę ci list, weźmiesz go ze sobą i dostaniesz Liska. Będą wiedzieli, że to ja cię przysłałam.

— Wolałabym jechać z panią.

Widząc jak wstrząśnięta jest Melissa, Gada zatrzymała się.

— Ja też wolałabym, żebyś jechała ze mną. Uwierz mi, proszę, ale muszę jechać do Centrum, a to może być niebezpieczne.

— Nie boję się żadnych szaleńców. A poza tym jak będę razem z panią, możemy trzymać straż.

Gada zapomniała o szaleńcu. Wspomnienie o nim wywołało w niej ponownie niepokój.

— Tak, szaleniec to jeden problem. Ale nadchodzą burze, jest prawie zima. Nie wiem, czy dam radę wrócić z Miasta. I lepiej będzie, jeśli zadomowisz się w ośrodku, zanim wrócę z wyprawy. Gdyby miało się to nie udać albo gdybym musiała opuścić ośrodek, mogłabyś tam zostać.

— Nie obchodzą mnie burze — powiedziała Melissa — nie boję się.

— Wiem, że się nie boisz. Chodzi o to, że nie ma powodu narażać cię na niebezpieczeństwo.

Melissa nie odpowiedziała. Gada przyklękała i odwróciła dziecko do siebie.

— Czy myślisz, że teraz próbuję cię unikać?

Po chwili Melissa powiedziała:

— Nie wiem, co mam myśleć, pani Gado. Pani powiedziała, że gdybym nie żyła tutaj, to byłabym odpowiedzialna za siebie i robiła to, co bym myślała, że jest dobrze. A ja myślę, że niedobrze jest, żebym zostawiła panią samą z tym szaleńcem i z burzami.

Gada przysiadła na piętach.

— Dokładnie tak powiedziałam. I tak też uważam. — Spojrzała na swoje poblżnione ręce, westchnęła i znów popatrzyła na Melissę.

— Lepiej ci powiem, dlaczego tak naprawdę chcę, żebyś pojechała do domu. Powinnam była powiedzieć to przedtem.

— Co to jest? — Głos Melissy był ściśnięty, lecz opanowany; Gada wzięła ją za rękę.

— Większość uzdrowicieli ma po trzy węże. Ja mam tylko dwa. Zrobiłam coś głupiego i ten trzeci został zabity.

Opowiedziała Melissie o ludziach Arevina, o Stavinie, jego młodszym ojcu i Mchu.

— Nie ma zbyt wielu węży snu — ciągnęła Gada. — Bardzo trudno je rozmnażać. Właściwie to nigdy nie udało się nam osiągnąć tego, żeby zaczęły się rozmnażać. Po prostu czekamy z nadzieją, że kiedyś będzie ich więcej. Sposób, w jaki je zdobywamy, jest podobny do tego, w jaki robiłam Liska.

— Tym specjalnym lekarstwem? — spytała Melissa.

— Coś takiego. Inna biologia pozaziemska węży nie poddawała się ani transdukcji wirusowej, ani mikrochirurgii. Ziemskie wirusy nie wchodziły w reakcje z substancjami chemicznymi, jakie węże snu miały w miejscu DNA, a uzdrowicielom nie udało się wyizolować niczego, co można by porównać z wirusem u pozaziemskich węży. Nie mogli więc przeszczepić genów jadowych węży snu innym wężom i jak dotąd nikomu nie udało się zsyntetyzować wszystkich, spośród setek komponentów jadu. Zrobiłam Mcha i cztery inne węże snu, ale więcej już nie mogę. Za bardzo drżą mi ręce. Stało się z nimi to samo, co wczoraj działo się z moim kolanem.

Czasem zastanawiała się, czy jej artretyzm nie był zarówno psychologiczną, jak i fizyczną reakcją na wielogodzinne siedzenie w laboratorium, delikatne manipulowanie pokrętłami mikropipety i wysilanie wzroku, aby znaleźć każde z niezliczonych jąder w pojedynczej komórce węża snu. Była pierwszą uzdrowicielką od wielu lat, której udało się przeszczepić materiał genetyczny w niezapłodnione jajo. Musiała wypreparować setki komórek, aby wreszcie uzyskać Mcha i czworo jego rodzeństwa. Był to efekt lepszy od uzyskanego przez kogokolwiek, komu udało się w ogóle zrealizować podobne zadanie.

Nikt nie zdołał stwierdzić, co powodowało dojrzewanie płciowe węży snu, więc uzdrowiciele przechowywali niewielką ilość zamrożonych, niezapłodnionych komórek jajowych wyjętych z ciał martwych węży. Jednak nikomu nie udało się ich sklonować. Mieli też pewną ilość czegoś, co prawdopodobnie było spermą węży snu, jednak komórki — po miksowaniu w wirówce testowej — okazywały się zbyt niedojrzałe, by zapłodnić jaja.

Gada wiedziała, że jej sukces był zarówno kwestią szczęścia, jak i techniki. Była pewna, że gdyby jej współpracownicy posiadali dostateczne możliwości, aby zbudować mikroskop elektronowy opisany w książkach, zdołaliby odnaleźć geny niezależnie od ciał jądrzastych; molekuly tak małe, że nie można ich było zobaczyć, zbyt małe, aby je przeszczepić, chyba, że mikropipeta zassa je przez przypadek.

— Jadę do Centrum, żeby zawieść wiadomość i poprosić tamtejszych ludzi, żeby pomogli nam zdobyć więcej węży snu. Obawiam się jednak, że odmówią. A jeśli wrócę do domu bez opiekuna snu po tym, jak straciłam swojego, to nie wiem, co się zdarzy. Może parę wykluło się od czasu, gdy wyjechałam, może kilka nawet sklonowano, ale jeśli nie, to mogą mi nie pozwolić, abym nadal była uzdrowicielką. Nie mogę być dobrą uzdrowicielką bez węża snu.

— Jeżeli nie ma innych, to powinni dać jednego z tych, które pani zrobiła — powiedziała Melissa. — Tylko takie wyjście będzie w porządku.

— Ale to nie będzie w porządku wobec młodszych uzdrowicieli, którym je dałam — powiedziała Gada. — Musiałabym pojechać do domu i powiedzieć siostrze albo bratu, że nie mogą być uzdrowicielami, dopóki nasze węże snu nie rozmnożą się powtórnie — powiedziała z długim westchnieniem. — Chcę, żebyś wiedziała to wszystko. Dlatego też pragnę, abys pojechała do domu wcześniej, by wszyscy mieli szansę ciebie poznać. Musiałam zabrać cię od Rasa, ale jeśli pojedziesz ze mną, to nie jestem pewna, czy tak będzie lepiej.

— Gado! — Melissa była zła. — Dla mnie być z panią, to zawsze będzie lepsze niż... niż być w Podgórzu. Nie obchodzi mnie, co się stanie. Nawet, jeśli mnie uderzysz...

— Melisso! — powiedziała Gada, podobnie zaszokowana, jak przed chwilą dziewczynka.

Melissa zaśmiała się bezgłośnie, z prawym kącikiem ust wzniesionym lekko ku górze.

— Widzisz? — powiedziała.

— Zgoda.

— Będzie dobrze — mówiła Melissa. — Nie obchodzi mnie, co się stanie w ośrodku uzdrowicieli. Wiem, że burze są niebezpieczne. Widziałam, jak wyglądałaś po walce z szaleńcem, więc wiem, że on też jest niebezpieczny. Ale ciągle chcę iść z tobą. Proszę, nie każ mi iść do kogoś innego.

— Jesteś pewna?

Melissa skinęła głową.

— Dobrze — powiedziała Gada. Rozjaśniła twarz w uśmiechu. — Nigdy przedtem nie adoptowałam nikogo. Teorie to nie to samo, kiedy zaczyna się je wprowadzać w życie. Pojedziemy razem.

W rzeczywistości miłe jej było bezgraniczne zaufanie, którym darzyła ją Melissa.

Poszły korytarzem, trzymając się za ręce i machając nimi jak dwoje dzieci. Skręciły w ostatni korytarz i Melissa gwałtownie cofnęła się. Pod drzwiami Gady siedział Gabriel. Obok leżało przygotowane siodło.

— Gabrielu! — zawołała Gada.

Podniósł wzrok i tym razem nie drgnął na widok Melissy.

— Cześć! — odpowiedział. — Przepraszam.

Melissa odwróciła się w stronę Gady tak, żeby najbrzydsza część blizny nie była widoczna.

— W porządku. Nie szkodzi. Jestem do tego przyzwyczajona.

— Nie byłem jeszcze do końca obudzony ostatniej nocy... — Gabriel spostrzegł spojrzenie Gady i zamilkł.

Melissa zerknęła na Gadę, która ścisnęła jej rączkę, później na Gabriela i jeszcze raz na Gadę.

— Ja lepiej... pójde przygotować konie.

— Melisso! — Gada próbowała ją złapać, ale dziewczynka uciekła.

Gada popatrzyła jak odchodzi, westchnęła i otworzyła drzwi do swojego pokoju. Gabriel wstał.

— Przepraszam — powiedział.

— Ty to masz talent!

Weszła do środka, podniosła juki i cisnęła na łóżko. Gabriel wszedł za nią.

— Proszę cię, nie bądź na mnie zła.

— Nie jestem zła. — Rozpięła sprzączki. — Zła byłam wczoraj w nocy, ale już mi przeszło.

— Cieszę się. — Gabriel usiadł na łóżku i patrzył, jak Gada się pakuje — Jestem gotowy do wyjazdu. Chciałem jednak powiedzieć „do widzenia” i podziękować ci. Przykro mi...

— Już ani słowa o tym — przerwała Gada.

— Dobrze.

Gada zwinęła wyprany strój pustynny i włożyła go do skórzanej kieszeni przy siodle.

— Dlaczego nie miałbym z tobą pojechać? — Gabriel pochylił się w oczekiwaniu, łokcie oparł na kolanach. — Musi być łatwiej podróżować, gdy ma się z kim porozmawiać.

— Nie będę sama, Melissa jedzie ze mną.

— O! — Widać było, że jest urażony.

— Adoptuję ją Gabrielu. Podgórze nie jest miejscem dla niej, tak samo, jak nie jest dla ciebie w tej chwili. Mogę pomóc jej, ale nic nie jestem w stanie zrobić dla ciebie. Co najwyżej uzależnić cię ode mnie. A tego nie chcę uczynić. Nigdy nie odnajdziesz w sobie swej siły, jeśli nie odnajdziesz wolności.

Włożyła torebkę z proszkiem do zębów, grzebień, aspirynę i mydło w jeden z juków, zapięła i usiadła. Ujęła delikatną i mocną rękę Gabriela.

— Tutaj wszystko jest dla ciebie zbyt trudne. Ja mogłabym sprawić, że wszystko byłoby zbyt łatwe. Takie wyjście też nie jest dobre.

Podniósł jej rękę i pocałował opalony, poblizniony wierzch dłoni, a potem jej wnętrze.

— Widzisz, jak szybko się uczysz? — Pogładziła go drugą ręką po lśniących, jasnych włosach.

— Czy jeszcze cię kiedyś zobaczę?

— Nie wiem — odparła. — Prawdopodobnie nie. — Uśmiechnęła się. — Nie będziesz potrzebował.

— Chciałbym — powiedział zadumany.

— Idź w świat. Weź życie w swoje ręce i ukształtuj je tak, jak będziesz chciał.

Wstał, nachylił się i pocałował ją. Gada, podnosząc się, też go pocałowała — delikatniej niż by tego chciała, żałując, że nie mają więcej czasu, że nie spotkała go po raz pierwszy na przykład rok temu. Rozłożyła palce na jego plecach i przyciągnęła mocno ku sobie.

— Do widzenia, Gabrielu.

— Do widzenia... Gado.

Drzwi zamknęły się za nim cicho. Gada wypuściła Mgłę i Piaska z ich przegródek, aby nacieszyły się trochę swobodą przed długą podróżą. Sunęły po jej stopach, dookoła nóg, kiedy wyglądała przez okno.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Chwileczkę.

Wpuściła Mgłę na ramię i bark, podniosła Piaska obiema rękami. Jeszcze trochę, a będzie za duży, by wygodnie mieścić się na jej talii.

— Można wejść.

Wszedł Brian, lecz zatrzymał się gwałtownie.

— W porządku — rzekła Gada. — Są spokojne.

Brian nie cofnął się, ale bacznie obserwował węże. Ich głowy poruszały się przy każdym ruchu Gady, języki migwały, gdy kobra i grzechotnik zerkały na Briana i smakowały jego zapach.

— Przyniosłem papiery dziecka — powiedział. — Stwierdzają, że teraz pani jest jej opiekunką.

Gada owinęła sobie Piaska wokół prawej ręki, a lewą sięgnęła po dokumenty. Brian wręczył je sztywno. Gada obejrzała je z ciekawością. Pergamin był sztywny i szeleszczący, ciężki od woskowych pieczęci. Podpis burmistrza, pełen zawijasów, widniał w jednym rogu, w drugim bazgrały Rasa.

— Czy istnieje możliwość, że Ras go zakwestionuje?

— Mógłby — powiedział Brian — ale myślę, że tego nie zrobi. Gdyby stwierdził, że został przymuszony do podpisania, musiałby powiedzieć, jaki to był przymus. A wtedy musiałby wyjaśnić... inny przymus. Myślę, że woli dobrowolną rezygnację z praw rodzicielskich, niż wymuszoną pod presją publiczną.

— Dobrze.

— I jeszcze coś, uzdrowicielko.

— Tak?

Wręczył jej małą ciężką sakiewkę. Wewnątrz wyczuwało się monety pobrzękujące czystym, ciężkim dźwiękiem złota. Gada spojrzała na Briana, rozbawiona.

— Pani zapłata — powiedział i podsunął jej do podpisu rachunek i pióro.

— Czy burmistrz nadal obawia się oskarżenia o handel niewolnikami?

— To może się zdarzyć — wyjaśnił Brian. — Lepiej się strzec.

Gada wzięła rachunek i naniosiła poprawkę: „Przyjmuję w imieniu mojej córki, jako zapłatę za jej usługi polegające na tresowaniu koni”. Podpisała dokument i wręczyła z powrotem Brianowi.

— Myślę, że teraz brzmi to lepiej — powiedziała Gada. — To sprawiedliwe wobec Melissy, a skoro otrzymała zapłatę, to oczywiście jest, że nie była niewolną sługą.

— To jeszcze jeden dowód, że pani ją adoptowała — powiedział Brian. — Myślę, że to zadowoli burmistrza.

Gada wsunęła sakiewkę do kieszeni w siodle i wpuściła Mgłę i Piaska z powrotem do ich przegródek. Wzruszyła ramionami.

— Nie ma sprawy. To bez znaczenia, skoro Melissa może wyjechać.

Nagle opadło ją przygnębienie i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście tak uparcie i arogancko dąży do tego, by wszystko działało się wedle jej woli, że aż dezorganizuje życie innym, bez żadnego dla nich pożytku. Nie miała wątpliwości, że postąpiła słusznie w przypadku Melissy, przynajmniej jeśli chodzi o uwolnienie jej spod władzy Rasa. Ale czy Gabriel będzie szczęśliwy? A burmistrz? Nawet i Ras...

Podgórze było bogatym miastem i większość mieszkańców wydawała się szczęśliwa. Oczywiście, byli teraz szczęśliwsi i bezpieczniejsi niż dwadzieścia lat temu, kiedy burmistrz obejmował urząd, ale jaki pożytek z tego miały dzieci w jego własnym domu? Gada była zadowolona, że Gabriel także — na dobre czy na złe — ale wyjeżdża.

— Uzdrowicielko?

— Tak, Brianie?

— Dziękuję.

Kiedy Gada odwróciła się w chwilę później, zdążył już bezszelestnie zniknąć.

Gdy drzwi do pokoju zamknęły się cichutko, Gada posłyszała głucho dudnienie wielkiej bramy zamykającej podwórze. Wyjrzała znowu przez okno. W dole Gabriel dosiadł swego ogromnego srokacza. Popatrzył w dół, na dolinę, a później odwrócił głowę w kierunku okien ojca. Długo się w nie wpatrywał. Gada nie musiała spoglądać na drugą wieżę, by domyślić się, że jego ojciec się nie pokazał. Gabriel zwiesił ramiona, później wyprostował się i kiedy zerknął w stronę wieży Gady, na jego twarzy malował się już spokój. Spozrzegł dziewczynę i posłał jej smutny, pełen niepewności uśmiech. Pokiwała mu ręką. Odpowiedział jej takim samym gestem.

Przez parę minut Gada patrzyła, jak łaciaty ogier kroczy, wywijając swoim długim, czarno — białym ogonem, aż zniknął za ostatnim zakrętem szlaku wiodącego na północ. Na dziedzińcu zastukały inne kopyta. Myśli Gady na powrót skupiły się wokół własnej podróży. Melissa, jadąc na Lisku, prowadziła Błyskawicę. Spojrzała w okno i skinęła głową Gadzie. Ta uśmiechnęła się i pokiwała przytakująco. Zarzuciła siodła z jukami na ramię, podniosła z podłogi torbę z wężami i zesza, aby przyłączyć się do córki.

9.

Chłodny, rześki wiatr owiewał twarz Arevina. Młodzieniec wdzięczny był za górski klimat wolny od kurzu, upału i wszechobecnego piachu. Na krawędzi przełęczy zatrzymał się, stanął obok konia i rozejrzał się po krainie, w której wychowała się Gada.

Okolica była jasna i bardzo zielona. Można było zarówno odczuć, jak i usłyszeć ogromne ilości swobodnie płynącej wody. Rzeka sunęła meandrami przez środek doliny u jego stóp, a o rzut kamieniem od traktu, wśród osuszonych skał, tryskało źródło.

Poczuł jeszcze większy szacunek dla Gady. Jego ludzie nie wędrowali, żyli tutaj przez okrągły rok. Pewnie niewielkie miała pojęcie o życiu w klimacie o takich krańcowych wahaniach, jak na pustyni. Tutaj nie można się było przygotować do życia na pustkowiu z czarnego piachu. Sam Arevin nie był przygotowany do surowości centralnej pustyni.

Miał stare mapy — nikt z żyjących członków klanu nigdy ich nie używał — które doprowadziły go bezpiecznie na drugą stronę pustyni wzdłuż linii oaz. Pora roku była tak późna, że nikogo po drodze nie spotkał. Nikogo, żeby spytać o najlepszy szlak; nikogo, żeby spytać o Gadę.

Wsiadł na konia i zjechał traktem do doliny uzdrowicieli.

Zanim dotarł do pierwszych zabudowań, znalazł się w niezwykłym sadzie. Drzewa najbardziej oddalone od drogi były w pełni wyrosnięte, sękaty, a im bliżej, tym były młodsze. Tak, jakby je, co roku dosadzano.

Kilkunastoletni młodzian wypoczywał w cieniu, zjadając owoc. Kiedy Arevin się zatrzymał, tamten wstał i zrobił kilka kroków. Arevin popędził konia po trawiastej płachcie łąki.

Spotkali się pod rzędem młodych drzew.

— Cześć — powiedział młody człowiek. Zerwał owoc i podał go Arevinowi. — Chcesz gruszkę? Brzoskwinie i wiśnie już się skończyły, a pomarańcze jeszcze nie dojrzały.

Arevin spostrzegł, że w istocie, każde drzewo nosiło owoce kilku rodzajów, chociaż liście były tego samego kształtu. Niepewnie sięgnął po gruszkę, zastanawiając się, czy gleba pod drzewami nie jest skażona.

— Nie martw się — powiedział młody człowiek — to nie jest radioaktywne. Nie ma tutaj żadnych kraterów. — Arevin nie powiedział słowa, a mimo to rozmówca zdawał się rozumieć jego myśli. — Sam zrobiłem to drzewo, a nigdy nie pracuję z gorącymi mutagenami.

Arevin nie miał pojęcia, o czym chłopak mówi, z wyjątkiem tego, iż chyba go zapewnił, że owoce są bezpieczne. Nie chcąc być niegrzecznym, przyjął gruszkę.

— Dziękuję. — Ponieważ chłopak patrzył na niego wyczekująco, Arevin ugryzł owoc, który był słodki i cierpki zarazem. I bardzo soczysty. Ugryzł ponownie. — Bardzo dobre — powiedział. — Nigdy nie widziałem rośliny, która rodziłaby cztery rodzaje owoców.

— Pierwszy projekt — powiedział chłopiec. Wykonał gest w kierunku starszych drzew. — Każdy robi jedno. To trochę mało wyrefinowane, ale taka jest tradycja.

— Rozumiem — powiedział Arevin.

— Nazywam się Thad.

— Jestem zaszczycony — powiedział Arevin. — Szukam Gady.

Thad zmarszczył brwi.

— Obawiam się, że odbyłeś długą przejażdżkę na darmo. Nie ma jej tu. I nie powinna się zjawić wcześniej, jak za parę miesięcy.

— Ale niemożliwe, abym się z nią minął.

Wyraz uprzejmości na twarzy Thada ustąpił miejsca zmartwieniu.

— Chcesz powiedzieć, że ona już wybiera się do domu? Co się stało? Czy wszystko z nią dobrze?

— Było tak, kiedy ostatni raz ją widziałem — powiedział Arevin. — Oczywiście, powinna już dawno być w domu, gdyby nic się nie stało.

Naszły go myśli o tym, że mógł zdarzyć się jej jakiś wypadek, gorszy niż ukąszenie żmii.

— Hej, dobrze się czujesz?

Thad stał obok, podtrzymując go za łokieć.

— Tak — powiedział Arevin, ale głos mu drżał.

— Słabo ci? Ja jeszcze nie ukończyłem swojego szkolenia, ale ktoś z uzdrowicieli może pomóc.

— Nie, nie. Nie jestem chory. Nie mogę tylko pojąć, jakim cudem dotarłem tutaj przed nią.

— Ale dlaczego ona wraca tak wcześnie? — Arevin popatrzył na młodego człowieka, teraz tak samo przejętego jak on.

— Nie powinienem za nią opowiadać jej historii — powiedział. — Muszę porozmawiać z jej rodzicami. Pokaż mi, gdzie oni mieszkają.

— Pokazałbym, gdybym mógł — odrzekł Thad. — Tylko, że ona nie ma rodziców. Ja ci nie wystarczuję? Jestem jej bratem.

— Przepraszam, że sprawiłem ci przykrość. Nie wiedziałem, że wasi rodzice umarli.

— Nie umarli. A może i tak. Nie wiem. To znaczy nie wiem, kim są moi rodzice ani kim są rodzice Gady.

Arevin poczuł, że się całkowicie pogubił. Nigdy nie miał kłopotów ze zrozumieniem tego, co Gada do niego mówiła. A teraz wydawało mu się, że nie pojął nawet połowy z tego, co powiedział mu ów człowiek w ciągu zaledwie paru minut.

— Jeżeli nie wiesz, kim są twoi rodzice, ani kim są rodzice Gady, to jak możesz być jej bratem?

Thad spojrział na niego z rozbawieniem.

— Nie za wiele wiesz o uzdrowicielach, co?

— Nie — przyznał się Arevin z uczuciem, że konwersacja znowu przybrała nieoczekiwany obrót. — Nie wiem. Oczywiście słyszeliśmy o was, ale Gada jest pierwszą, która odwiedziła mój klan.

— Spytałem dlatego — wyjaśnił Thad — bo większość ludzi wie, że jesteśmy adoptowani. Nie mamy żadnych rodzin. Wszyscy jesteśmy jedną rodziną.

— A jednak powiedziałeś, że jesteś jej bratem, tak jakby ona nie miała innego. — Z wyjątkiem niebieskich oczu, zresztą i tak w innym odcieniu, w Thadzie nie było śladu podobieństwa do Gady.

— Tak sobie myślimy. Jak byłem mały, to pakowałem się w tarapaty, a ona zawsze mnie z nich wyciągała.

— Rozumiem. — Arevin zsiadł z konia i poprawił mu uzdę, rozważając, co powiedział chłopak. — Nie jesteś krewnym Gady, ale czujesz się z nią szczególnie związany. Zgadza się?

— Tak.

— Jeśli ci powiem, dlaczego przyjechałem, to poradzisz mi, co robić, mając na względzie przede wszystkim Gadę? Nawet, gdybyś musiał złamać swoje obyczaje?

Arevin cieszył się z wahania młodego człowieka, gdyż nie chciałby polegać na natychmiastowej odpowiedzi, wypowiedzianej pod i wpływem emocji.

— Stało się coś naprawdę niedobrego, tak?

— Tak — przyznał Arevin. — I ona wini za to siebie.

— Ty też czujesz się z nią szczególnie związany, prawda?

— Tak.

— A ona z tobą?

— Myślę, że też.

— Jestem po jej stronie — powiedział Thad. — Zawsze.

Arevin rozpiął uzdę i ściągnął ją koniowi z pyska, aby zwierzę mogło poskubać trawę. Usiadł pod drzewem Thada, a chłopak przysiadł obok.

— Przyszedłem tu z drugiej strony zachodniej pustyni — powiedział Arevin. — Tam nie ma żadnych dobrych węży, tylko żmije piaskowe, których ukąszenie oznacza śmierć...

Arevin opowiedział wszystko, co wydarzyło się w jego obozie i czekał, jak Thad na to zareaguje. Młody uzdrowiciel długo oglądał swe poblżnione ręce.

— Jej wąż snu został zabity? — powiedział w końcu.

W głosie Thada odbijał się szok i bezradność. Jego ton zmroził Arevina.

— To nie była jej wina — powiedział Arevin powtórnie.

Thad wiedział już teraz o strachu, jaki klan odczuwał wobec węży i o okropnej śmierci siostry Arevina. Jednak przybysz widział zupełnie wyraźnie, że Thad niczego nie rozumie.

Chłopak popatrzył na niego.

— Nie wiem, co mam ci powiedzieć — odezwał się. — To naprawdę okropne. — Przerwał, rozejrzał się dookoła i potarł czoło dłonią. — Myślę, że najlepiej będzie, jak porozmawiamy ze Srebrzystą. Była jedną z nauczycielek Gady, a teraz jest najstarsza z nas.

Arevin zawahał się.

— Czy jest mądra? Wybacz mi, ale skoro ty, przyjaciel Gady, nie jesteś w stanie pojąć, jak to się wszystko stało, to czy jakiś inny uzdrowiciel będzie potrafił?

— Ja rozumiem, co się stało!

— Ty wiesz, co się stało — powiedział Arevin — ale nie rozumiesz. Nie chciałbym cię obrazić, ale obawiam się, że to prawda, co powiedziałem.

— To nie ma znaczenia — powiedział Thad.

— Nadal jednak chcę jej pomóc. Srebrzysta znajdzie wyjście.

Przepiękna dolina, w której żyli uzdrowiciele, łączyła w jedno połączenie absolutnie dziewiczej przyrody z obszarami całkowicie ucywilizowanymi. To, co jak się wydawało Arevinowi, było wybujałym lasem, prastarym i niezmiennym — rozciągało się daleko, jak okiem sięgnąć, biorąc początek na północnym stoku doliny. A tuż u podnóża, wśród ogromnych, starych drzew, wesoło kręciła ramionami grupka wiatraków. Las drzew i las wiatraków tworzyły harmonijną całość.

Ośrodek był jasnym, pogodnym miejscem — małym miasteczkiem złożonym z solidnych domów z drewna i kamienia. Ludzie pozdrawiali Thada, kiwali mu rękoma, a Arevinowi kłaniali się. Przytłumione odgłosy dziecięcej zabawy płynęły wraz z łagodną bryzą.

Thad zostawił konia Arevina luzem na pastwisku, a jego samego zaprowadził do budynku nieco większego od innych, stojącego na uboczu, z dala od głównych zabudowań. Wewnątrz, co Arevin spostrzegł ze zdumieniem, ściany nie były drewniane, ale wyłożone kafelkami.

Nawet w pomieszczeniach bez okien światło było jasne jak w dzień. Nie było to niesamowite, błękitne światło biolampek, ani nie miękkie, żółte światło gazowych płomyków.

Przez wpółotwarte drzwi Arevin zobaczył grupę młodych ludzi, młodszych nawet od Thada, pochylonych nad skomplikowanymi instrumentami, całkowicie zaabsorbowanych pracą.

Thad wskazał ręką w kierunku praktykantów.

— To są laboratoria. Szlifujemy soczewki do mikroskopów. Sami, tu, w ośrodku. Własnoręcznie produkujemy też nasze szkło laboratoryjne.

Prawie wszyscy ludzie, których Arevin widział (a zobaczył już jak sądził większość mieszkańców) byli albo bardzo młodzi, albo starzy.

„Ci młodzi przechodzą przeszkolenie — pomyślał a ci starsi, to nauczyciele. Gada i inni rozjechali się by praktykować”. Weszli po schodach, przeszli wyściełanym dywanami korytarzem i delikatnie zastukali do drzwi. Czekali kilka minut. Thadowi wydawało się to zupełnie normalne, wcale się nie niecierpliwił. W końcu przyjemny, dość wysoki głos powiedział: „Proszę!”

Wnętrze pokoju nie było tak chłodne i surowe jak laboratoria. Ściany były wyłożone drewnianą boazerią. Duże okno ukazywało widok na wiatraki. Arevin słyszał o książkach, ale jak dotąd żadnej nie widział. Tutaj dwie ściany były pokryte półkami, szczelnie wypełnionymi książkami. Stara uzdrowicielka siedziała w bujanym fotelu i trzymała jedną na kolanach.

— Thad — powiedziała, skłaniając głowę na powitanie, tonem przyjaznym, ale pytającym.

— Srebrzysta — wprowadził Arevina — to jest przyjaciel Gady. Przebył długą drogę, aby z nami porozmawiać.

— Usiądźcie — głos kobiety, tak jak i ręce, lekko drżał. Była bardzo stara, stawy miała opuchnięte i powykręcane, skórę gładką, delikatną, przezroczystą, pooraną głębokimi bruzdami. Za przykładem Thada, Arevin usiadł na krześle. Było mu niewygodnie — przywykł do siedzenia po turecku na ziemi.

— Co chciałbyś powiedzieć?

— Czy jesteś przyjaciółką Gady? — spytał. — Czy tylko nauczycielką?

Pomyślał, że może go wyśmiać, ona jednak spojrzała na niego z powagą.

— Przyjaciółką.

— Srebrzysta nadała Gadzie jej imię — powiedział Thad. — Czy myślisz, że wziąlbym cię na rozmowę do pierwszej lepszej osoby?

Mimo to Arevin zastanawiał się gorączkowo, czy powinien opowiedzieć swoją historię tej uprzejmej kobiecie. Dobrze pamiętał słowa Gady: „Moi nauczyciele rzadko dają komuś imię, które ja noszę. Będą bardzo rozczarowani”. Może rozczarowanie Srebrzystej będzie na tyle duże, że wykluczy Gadę spośród swoich ludzi?

— Powiedz mi, co się stało — powiedziała Srebrzysta. — Gada jest moją przyjaciółką i bardzo ją kocham. Nie musisz się mnie obawiać, Arevin po raz drugi tego dnia opowiedział, co przydarzyło się Gadzie, uważnie przypatrując się twarzy Srebrzystej. Jej wyraz nie zmienił się. Oczywiście, po wszystkich swoich doświadczeniach, musiała zrozumieć, co się stało, lepiej niż młody Thad.

— Ach! — westchnęła. — Gada przeszła pustynię! — Potrząsnęła głową. — Moje odważne, porywcze dziecko...

— Srebrzysta — odezwał się Thad — co możemy zrobić?

— Nie wiem, kochanie — odpowiedziała. — Chciałabym, żeby Gada wróciła do domu.

— Przecież na pewno małe węże umierają — powiedział Arevin. — Na pewno innym też zdarzają się wypadki. Co się wtedy dzieje?

— One żyją bardzo długo — wyjaśnił Thad. — Czasem dłużej niż ich uzdrowiciele. Bardzo trudno się rozmnażają.

— Każdego roku szkolimy mniej ludzi, ponieważ mamy zbyt mało węży — powiedziała Srebrzysta głosem miękkim jak puch.

— Ale doskonałość Gady musi upoważniać ją do tego, żeby dostać innego węża — powiedział Arevin.

— Nie można dawać tego, czego się nie ma — odparła smutno Srebrzysta. — Jak dotąd wykluczo się ich bardzo niewiele. — Thad spojrział w bok.

— Jedno z nas mogłoby zdecydować, że nie ukończy swojego szkolenia...

— Thad — Srebrzysta zwróciła się do chłopaka — nie mamy dość węży dla nas wszystkich, nawet teraz. Czy sądzisz, że Gada mogłaby prosić cię, żebyś jej oddał węża snu, którego ci sama dała?

Thad uniósł ramiona, nie patrząc ani na Srebrzystą, ani na Arevina.

— Nie możemy decydować bez Gady — zawyrokowała Srebrzysta.

— Ona musi wrócić do domu.

Arevin oglądał swoje dłonie; rozumiał, że nie będzie łatwego rozwiązania dylematu, prostego wytłumaczenia tego, co się stało, a tym samym wybaczenia dla Gady.

— Nie wolno wam karać jej za błąd mojego klanu — powtórzył.

Srebrzysta potrząsnęła głową.

— Tu nie chodzi o karę. Po prostu ona nie może być uzdrowicielką bez węża snu. Nie mam ani jednego, żeby jej dać.

Thad podniósł się i Arevin, z głębokim poczuciem klęski i przygnębienia, zrozumiał, że rozmowa jest zakończona.

Wyszli na zewnątrz, pozostawiając laboratoria z ich dziwną maszyną, dziwnym światłem, dziwnymi zapachami. Słońce zachodziło, zlepiając długie cienie w jednolitą ciemność.

— I gdzie mam jej szukać? — spytał nagle Arevin.

— Co?

— Przyjechałem tutaj, ponieważ myślałem, że Gada jedzie do domu. Teraz nie mam pojęcia, gdzie ona może być. Jest coraz zimniej. Jeżeli zaczęły się już burze...

— Już ona wie, co robić. Nie pozwoli, aby zima uwięziła ją na pustyni — powiedział Thad. — Ktoś na pewno potrzebował pomocy i ona była zmuszona zjechać ze szlaku w drodze do domu. Może jej pacjent był z Gór Centralnych. Jest gdzieś na południu: w środkowej Przełęczy, Nowym Tybecie czy Podgórzu.

— Dobrze — powiedział Arevin, wdzięczny za jakąkolwiek sugestię. — Pojadę na południe. — Zastanawiał się jednak, czy Thad mówi tak, bo jest tego absolutnie pewien, czy ponosi go młodzieńcza fantazja.

Thad otworzył frontowe drzwi długiego, niskiego budynku. Wewnątrz pokoje wychodziły na centralnie położone pomieszczenie: salon. Thad rzucił się na obszerną kanapę, nie zważając na dobre maniery. Arevin usiadł na podłodze.

— Kolacja za moment — powiedział Thad. — Pokój obok mojego jest w tej chwili wolny, możesz go zająć.

— Może powinienem jechać dalej? — zastanawiał się Arevin.

— Dziś w nocy? To wariacki pomysł jeździć tutaj po nocy. Rano znaleźlibyśmy cię na dnie przepaści. Zaczekaj przynajmniej do jutra.

— Skoro tak mi radzisz...

W rzeczywistości Arevina ogarnęła przemożna apatia. Poszedł z Thadem do wolnego pokoju.

— Przyniosę twój worek — powiedział Thad. — Ty odpocznij. Widać, że tego potrzebujesz.

Arevin usiadł na brzegu łóżka. W drzwiach Thad odwrócił się.

— Słuchaj, chciałbym ci pomóc. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Nie — odpowiedział Arevin. — Dziękuję. Tu będzie bardzo wygodnie.

Thad wzruszył ramionami.

— Dobra.

Czarny piach pustyni rozlewał się aż po horyzont, płaski i pusty. Nie było żadnego znaku, który by wskazywał, że ktoś po nim kiedykolwiek przeszedł. Fale gorąca unosiły się jak dym. Nie wiało jeszcze bezustannie, ale wszystkie ślady po przejściu karawany zostały już zatarte, rozwiane albo zasypane przez ostre powiewy wiatru porzedzającego zimę.

Na grzbiecie wschodniego łańcucha gór centralnych Gada i Melissa spoglądały w kierunku swego niewidocznego celu. Zsiadły z koni, aby dać im odpocząć. Melissa poprawiła rzemyk przy nowym siodle Liska i spojrzała w tył, na dolinę, gdzie kiedyś był jej dom.

— Nigdy przedtem nie byłam tak daleko — powiedziała Melissa pełna podziwu. — Przez całe moje życie. — Odwróciła się plecami do doliny, w stronę Gady. — Dziękuję, Gada.

— Proszę uprzejmie, Melisso.

Melissa spuściła wzrok. Prawy policzek, ten nieokaleczony, spurpurowiał pod opalenizną.

— Powinnam ci coś na ten temat powiedzieć.

— Na jaki temat?

— Mojego imienia. To prawda, co Ras powiedział, tak naprawdę...

— To nie ma znaczenia. Nazywasz się Melissa. Jeżeli chodzi o mnie, to to jest twoje imię. Ja też jako dziecko miałam inne niż teraz.

— Ale oni ci twoje imię nadali. To dla ciebie zaszczyt. Ty go sobie nie przywłaszczyłaś, jak ja swoje.

Wsiadły znów na konie i poczęły zjeżdżać często używanym, górskim traktem.

— Ale mogłam odrzucić imię, które mi proponowali — powiedziała Gada.
— Gdybym to zrobiła, mogłabym sobie sama wybrać dorosłe imię, tak jak inni uzdrowiciele.

— Mogłabyś je odrzucić?

— Tak.

— Ale oni dają je bardzo rzadko! Tak słyszałam.

— To prawda.

— Czy ktoś kiedyś powiedział, że go nie chce?

— O czymś takim słyszałam. Ja jestem jednak dopiero czwarta, więc niezbyt wielu ludzi miało taką możliwość. Czasem żałuję, że je przyjąłam.

— Ale dlaczego?

— Ze względu na odpowiedzialność.

Położyła rękę na torbie z węzami. Od czasu napaści szaleńca dotykała jej części. Zabrała rękę z gładkiej skóry. Uzdrowiciele umierają albo bardzo młodo, albo żyją do późnej starości. Gad, który żył bezpośrednio przed nią, miał zaledwie czterdzieści trzy lata, gdy umarł, ale dwoje pozostałych żyło ponad sto lat. Gada chciała sprostać ich niezwykłym osiągnięciom, a jak na razie ponosiła same klęski. Szlak prowadził na dół wśród wiecznych lasów; sękatych, brązowych pni i ciemnych drzew iglastych, o których legenda głosi, że nigdy nie rodzą nasion ani nie umierają. Ich żywica nasyciała powietrze ostrą, soczystą wonią.

— Gada... — powiedziała Melissa.

— Tak?

— Czy jesteś...czy jesteś moją mamą?

Zaskoczona Gada wahała się przez chwilę. Jej ludzie nie łączą się w rodziny w taki sam sposób, jak robią to inni. Ona sama nigdy do nikogo nie mówiła: „mamo” czy „tato”, choć między nią, a wszystkimi starszymi uzdrowicielkami taka właśnie była relacja. Ale w tonie Melissy brzmiało tyle pragnienia...

— Wszyscy uzdrowiciele są rodziną — powiedziała Gada — ale ja ciebie zaadoptowałam, a to, tak myślę, czyni mnie twoją matką.

— Cieszę się.

— Ja też.

Poniżej wąskiego pasa rzadkiego lasu, na stokach gór nie rosło nic, oprócz mchu, i chociaż wysokość nadal była duża, a ścieżka stroma, Gada i Melissa mogły równie dobrze być już na poziomie pustyni. Poniżej linii drzew upał i suchość powietrza rosły jeszcze bardziej.

Kiedy w końcu dotarły do piasków, zatrzymały się, aby zmienić ubrania. Gada nałożyła na siebie strój, który dostała od ludzi Arevina, Melissa — ubranie pustynne, które kupiły w Podgórzu. Przez cały dzień nikogo nie widziały. Gada od czasu do czasu zerkała w tył przez ramię i zachowywała szczególną ostrożność, gdy konie przejeżdżały między wydrami, gdzie ktoś mógłby się ukryć i zacząć na niczego nie podejrzewających podróźnych. Jednak nigdzie nie było śladu szaleńca. Gada zastanawiała się nawet, czy te dwa ataki nie były zbiegiem okoliczności. A jeśli to był szaleniec, to może jego działania przeciwko niej zostały już teraz wyparte przez jakiś inny cel?

Przed wieczorem góry zostały daleko za nimi. Cisza panująca wokół była niezmacona, wręcz niezemska. Zapadły ciemności. Ciężkie chmury zasłaniały księżyc. Nieustannie żarzące się komórki świetlne w latarce Gady — teraz stosunkowo jaśniejsze — dawały dostateczną ilość światła, aby podróźniczki mogły posuwać się naprzód. Latarenka wisząca u siodła kołysała się z każdym krokiem konia. Czarny piach odbijał światło niczym lustro wody.

Lisek i Błyskawica szły blisko siebie. Gada i Melissa rozmawiały coraz ciszej, aż wreszcie zamilkły zupełnie. Kompas Gady, ledwo dostrzegalny księżyc, kierunek wiatru, kształt piaszczystych wydram — wszystko to pomagało iść we właściwym kierunku, a jednak Gada nie mogła wyzbyć się strachu towarzyszącego nieodłącznie wędrowcowi na pustkowiu; obawy, że krąży w kółko. Odwracając się w siodle, patrzyła przez kilka minut na niewidoczny szlak, który zostawiły za sobą. Nie podążało za nimi żadne światło. Były same. Nie było nic, prócz mroku. Gada odwróciła się.

— Ale strasznie! — wyszeptwała Melissa.

— Wiem. Wiele dałabym, żebyśmy mogły podróżować za dnia.

— Może będzie padać.

— Dobrze by było.

Deszcz zraszał pustynię tylko raz na rok — dwa, ale jeśli przychodził, to zwykle przed nadejściem zimy. Wtedy drzemiące nasiona wybuchwały, rosnać i rodząc nowe nasiona, a gruboziarnista pustynia miękła, ubrana w zielen i różnobarwne kwiaty. W ciągu trzech dni delikatne roślinki kurczyły się w brązowe koronki i obumierały, zostawiając nasiona w twardych łupinach. Ale tej nocy powietrze było suche i spokojne, bez najmniejszych oznak odmiany.

Gada drzemała. W oddali zamigotało światło. Kobieta gwałtownie obudziła się ze snu, pewna, że to właśnie dogania ją szaleniec. Aż dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była pewna, że on jednak ciągnie za nimi, ciągle jest gdzieś w pobliżu, gnany niepojętą i chorą żądzą. Ale to światło nie było przenośną lampką. Trwało nieruchomo przed nimi. Wraz z falą słabego wiatru doleciał je szelest suchych liści: były w pobliżu pierwszej oazy na szlaku wiodącym do Centrum.

Nawet jeszcze nie świeciło. Gada wyciągnęła rękę i poklepała Błyskawicę.

— Teraz możemy jechać szybciej — powiedziała.

— Co? — Melissa takie zaczynała się budzić. — Gdzie?...

— Wszystko w porządku — rzekła Gada. — Niedługo będzie postój.

Melissa mrugając rozglądała się dookoła.

— Zapomniałam, gdzie jestem.

Dojechały do letnich drzew okalających oazę. Latarka Gady oświetlała liście, które były już porozrywane i pokurczone od gnanego wiatrem piachu. Gada nie widziała namiotów, nie słyszała żadnych odgłosów — ani ludzi, ani zwierząt; wszyscy karawaniarze już wycofali się na bezpieczne, górskie tereny.

— Gdzie jest to światło?

— Nie wiem — powiedziała Gada.

Zerknęła na Melissę, bo jej głos brzmiał dziwnie: tłumiał go róg chusty naciągniętej na buzię. Kiedy nikt się nie pojawiał, dziewczynka pozwoliła mu opaść, odkrywając twarz. Gada spięła Błyskawicę, zaniepokojona brakiem światła.

— Patrz! — powiedziała Melissa.

Na tle ciemności wznosiła się kolumna światła. Podjechawszy bliżej, Gada mogła zobaczyć, co to było. Pień martwego, letniego drzewa, stojący na tyle blisko wody, że gnił, zamiast usychać. Komórki świetlne zaatakowały kruche drewno, przekształcając je w lśniący słup. Gada odetchnęła z ulgą.

Pojechały dalej, okrążając nieruchomy, czarny staw, aż znalazły miejsce, gdzie drzewa były dostatecznie gęste, aby dawać schronienie. Gdy tylko Gada ściągnęła lejce, Melissa zeskoczyła i zaczęła rozsiodływać Liska. Gada zsiadła nieco wolniej, bo mimo suchego, pustynnego klimatu, jej kolano znowu zeszytniało od długiej jazdy. Melissa wycierała Liska garścią liści, przemawiając do niego ledwie dosłyszalnym głosem. Wkrótce wszyscy, konie i ludzie, ułożyli się, aby przeczekać dzień.

Gada podreptała boso w kierunku wody, przeciągając się i ziewając. Spała świetnie przez cały dzień i teraz chciała popływać przed dalszą drogą. Ciągłe było za wcześnie, aby opuszczać kryjówkę z gęstych drzew. W nadziei, że znajdzie kilka dojrzałych owoców na gałęziach, patrzyła to tu, to tam, ale zbieracze zamieszkujący pustynię okazali się bardzo dokładni.

Zaledwie kilka dni temu, po drugiej stronie gór, listowie oaz było soczyste i miękkie, ale teraz, tutaj, liście obumierały i schły. Szeleściły, gdy je dotykała, łamliwe piórka kru-szyły się w jej dłoni. Zatrzymała się na skraju plaży.

Czarny pas miał zaledwie kilka metrów szerokości, piach układał się półkolem wokół mikroskopijnej laguny, w której odbijał się wiszący wieniec gałęzi. Melissa klęczała półnaga na piachu. Pochyliła się nad wodą i w milczeniu wpatrywała się w jej taflę. Ślady po uderzeniach Rasa zniknęły, a ogień ominął plecy, nie pozostawiając blizn. Jej skóra była jaśniejsza, niż się spodziewała Gada, widząc mocno poparzone ręce i twarz. Melissa wyciągnęła powoli rękę i dotknęła powierzchni ciemnej wody. Spod jej palców rozeszły się

pierścienie drobnych fal. Melissa patrzyła zafascynowana, jak Gada wypuszcza z torby Mgłę i Piaska. Mgła przesunęła się po stopach Gady, smakując zapachy oazy. Gada uniosła ją delikatnie. Gładkie, białe łuski chłodziły jej dłoń.

— Chcę, żeby cię powąchała — powiedziała do Melissy. — Instynktownie reaguje w ten sposób, że uderza we wszystko, co ją zaniepokoi. Jeżeli nauczy się rozpoznawać twój zapach — będziesz bezpieczniejsza. Dobrze?

Melissa z namysłem kiwnęła głową. Widać było, że się boi.

— Ona jest bardzo jadowita, tak? Bardziej niż ten drugi?

— Tak. Jak tylko będziemy w domu, będę mogła zacząć cię uodporniać, ale tutaj nie chcę zaczynać. Muszę najpierw zrobić testy, a nie mam przy sobie potrzebnych rzeczy.

— Mówisz, że możesz sprawić, że ona mnie ugryzie i nic się nie stanie?

— Może niezupełnie nic, ale ukąsiła mnie przez pomyłkę parę razy i ciągle jeszcze chodzę.

— Myślę, że lepiej pozwolę jej, żeby mnie powąchała — powiedziała Melissa.

Gada usiadła obok.

— Wiem, że trudno się jej nie bać, ale oddychaj głęboko i spróbuj się rozluźnić. Zamknij oczy i słuchaj po prostu mojego głosu.

— Konie też wiedzą, kiedy się boisz — powiedziała Melissa i zrobiła to, co kazała jej Gada.

Rozwidlony język kobry mignął po rękach Melissy, ale dziecko trwało w milczeniu. Gada przypomniała sobie, jak po raz pierwszy zobaczyła kobry: przerażający i podniecający moment, kiedy cała ich masa, spleciona w niekończące się węzły wyczuła jej kroki i jednocześnie podniosła głowę jak wielogłowa bestia lub niesamowita roślina w czasie gwałtownego, obfitego kwitnienia. Gada trzymała ręką Mgłę, gdy kobra sunęła po ramionach Melissy.

— Ona jest miła w dotyku — powiedziała dziewczynka.

Głos jej drżał, ale mimo to brzmiał szczerze. Melissa widziała już grzechotniki. Zagrożenie z ich strony było jej znane, więc nie tak straszne. Piasek pełzł po jej rękach i dziewczynka pogłaskała go lekko. Gada była zadowolona: talenty jej córki nie ograniczały się tylko do opieki nad końmi.

— Myślę, że dogadacie się z Mgłą i Piaskiem — powiedziała. — To ważne dla uzdrowiciela.

Melissa spojrzała zdziwiona.

— Ale ty nie myślałaś, że... — urwała.

— Co?

Melissa wzięła głęboki oddech.

— To, co mówiłaś burmistrzowi — powiedziała z wahaniem — o tym, co mogłabym zrobić. Ty tak naprawdę nie myślałaś? Musiałaś tak powiedzieć, żeby mi pozwolił pójść.

— Wszystko, co powiedziałam, to była prawda.

— Ale ja nie mogłabym być uzdrowicielką.

— Dlaczego nie? — Melissa nie odpowiedziała, więc Gada ciągnęła dalej. — Mówiłam ci, że uzdrowiciele adoptują sobie dzieci, bo nie możemy mieć swoich. Pozwól, powiem ci o nas coś jeszcze. Wielu uzdrowicieli ma partnerów, którzy mają inny zawód. I nie wszystkie nasze dzieci zostają uzdrowicielami. Nie jesteśmy zamkniętą społecznością. Ale gdy decydujemy się na adopcję, to zwykle wybieramy kogoś, o kim sądzimy, że będzie jednym z nas.

— Ja?

— Tak. Jeżeli zechcesz. To bardzo ważna rzecz dla ciebie, żebyś robiła to, co pragniesz zrobić. Nie to, co ktoś inny chce, abyś robiła.

— Uzdrowicielka... — rozmarzyła się Melissa.

Podziw w głosie córki stał się dla Gady jeszcze jednym, ważkim powodem, aby nakłonić ludzi z Miasta do pomocy w zdobyciu węży snu.

Drugiej nocy Gada i Melissa miały ciężką jazdę. Nie było żadnej oazy i rano Gada nie zatrzymała się o brzasku, choć było zbyt gorąco na podróżowanie. Pot spływał po niej strumieniami. Lepkie krople toczyły się po bokach i plecach, zasychając w słoną skorupę.

— Proszę pani... — ten zwrot zaskoczył Gadę. Zerknęła na Melissę z troską.

— Melissa, co się stało?

— Ile jeszcze, zanim się zatrzymamy?

— Nie wiem. Musimy jechać tak długo, jak długo damy radę. — i Gada wskazała palcem niebo, na którym zwisały chmury, niskie i groźne. — Tak właśnie wyglądają przed burzą.

— Wiem. Ale nie możemy już dłużej jechać. Lisek i Błyskawica i muszą odpocząć.

— Powiedziałaś, że Miasto leży pośrodku pustyni.

— Tak, ale gdy się tam dostaniemy, będziemy też chcieli kiedyś wrócić, a te konie będą musiały nas nieść.

Gada odchyliła się w siodle do tyłu.

— Musimy jechać; zbyt niebezpiecznie jest się teraz zatrzymać.

— Gada... Gada, ty się znasz na ludziach i burzach, i na uzdrawianiu, i na pustyniach, i na miastach, a ja nie. Ale ja znam się na koniach. Jeśli pozwolimy im się zatrzymać i odpocząć kilka godzin, to nocą poniosą nas daleko. Jeśli teraz będą musiały iść, to pod wieczór będziemy musiały zostawić je po drodze.

— Dobrze — uległa Gada. — Zrobimy postój, gdy dojedziemy do tamtych skałek. Będzie przynajmniej trochę cienia.

W domu, w ośrodku uzdrowicieli. Gada nie myślała o Mieście.

Ale na pustyni i w górach, gdzie zimowali karawaniarze, życie toczyło się wokół niego. Gada zaczęła wierzyć, że i jej życie zależy od niego, kiedy wreszcie o brzasku, po trzech nocach, wysoka góra ze ściętym szczytem, która odsłaniała Centrum, poja-

wiła się przed jej oczami. Słońce wstało dokładnie spoza niej, rzucając na nią szkarłatną poświatę. Konie, czując wodę i koniec długiej podróży, podniosły łby i przyspieszyły. Kiedy słońce wzniosło się wyżej, niskie, tłuste chmury rozproszyły światło w czerwony poblask, który zalał horyzont. Kolano Gady bolało przy każdym kroku Błyskawicy, ale niepotrzebny był jej sygnał z opuchniętego stawu, aby mogła stwierdzić zbliżanie się burzy. Zacisnęła dłonie na lejcach, które boleśnie wbiły się jej w skórę. Pogładziła wilgotny kark konia. Nie miała wątpliwości, że Błyskawica też była obolała.

Letnie drzewa — zrudziałe i zeschnięte badyłe — otaczały ciemny staw i porzucone paleniska. Wiatr poszeptywał wśród suchych liści i na ziarenkach piasku, nadlatując to z jednej, to z drugiej strony. Wreszcie oczom amazonek ukazało się Miasto.

— Jest dużo większe niż myślałam — powiedziała cicho Melissa. — Często wyszukiwałam sobie miejsce, gdzie mogłabym się ukryć, słuchałam, o czym mówią ludzie, ale zawsze sądziłam, że zmyślają.

— Myślę, że ja też — powiedziała Gada.

Jej głos był jakiś daleki, zagubiony. Kiedy podjeżdżała pod urwistą ścianę, zimny pot uderzył jej na czoło, a ręce zrobiły się lepkie i zimne mimo upału.

Okresy, gdy ośrodek uzdrowielieli odczuwał dominację Miasta następowały kolejno wtedy, kiedy Gada miała siedem lat i później, gdy ukończyła siedemnaście. W każdym z tych lat uzdrowiciel — senior wyruszał w długą podróż do Centrum. Każdy taki rok rozpoczynał nowe dziesięciolecie, w którym uzdrowiciele proponowali mieszkańcom Miasta wymianę wiedzy i pomocy. Zawsze odsyłano ich z kwitkiem.

— Gada?

Zamyślona kobieta drgnęła i spojrzała na Melissę.

— Co?

— Dobrze się czujesz? Wyglądałaś tak nieprzytomnie i ja nie wiem...

— Myślę, że „przepraszam” byłoby dobrym słowem — powiedziała Gada.

— Wpuszczą nas?

Ciemne chmurzyska stawały się gęstsze i cięższe z każdą minutą.

— Mam nadzieję — odrzekła Gada.

Znajdujący się u podnóża góry, na której leżało Centrum, ciemny, rozległy staw nie miał żadnych dopływów, ani odpływów. Woda tryskała doń od spodu, a potem bez śladu wnikała w piach. Letnie drzewa obumarły, a trawa i niskie krzewy, które pokrywały ziemię, rosły bujnie. Świeża trawa właśnie kiełkowała w zdeptanych miejscach porzuconych obozowisk i na łączących je ścieżkach, ale omijała szeroką drogę prowadzącą pod bramę Miasta. Gada nie miała sumienia przejechać na koniu obok wody. Na brzegu stawu wręczyła lejce Melissie.

— Przyjedź za mną, kiedy się napiją. Nie wejdę do środka bez ciebie, nie bój się. A gdyby zerwał się wiatr, szybko przybiegnij, dobrze?

Melissa kiwnęła głową.

— Burza nie może przyjść chyba tak szybko, co?

— Obawiam się, że może — powiedziała Gada.

Napiła się pośpiesznie i spryskała wodą twarz. Ocierając krople rogiem chusty, kroczyła pustą drogą. Tuż pod warstwą czarnego piachu podłoże było gładkie i twarde. Starożytna droga? Widziała jej pozostałości w niektórych miejscach; rozkładające się, betonowe płyty, a nawet rdzewiejące stalowe pręty. Gada stanęła przed bramą Centrum, która była od niej pięć razy wyższa. Burze piaskowe wypolerowały metal, nadając mu lustrzany połysk. Nie było żadnej klamki, linki do dzwonka czy kołatki — żadnego sposobu, aby Gada mogła wezwać kogoś, kto by ją wpuścił.

Podeszła do bramy, uniosła pięść i uderzyła w metal. Ciężkie dudnienie — zupełnie nie niespodziewanie — nie brzmiało głucho. Waliła w drzwi, sądząc, że muszą być bardzo grube. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do przyćmionego światła panującego we wgłębionym portalu, spostrzegła, że płaszczyzna bramy była wyraźnie naruszona przez wściekle burze.

— Chyba już pora, żebyś przestała hałasować.

Gada aż podskoczyła, słysząc głos. Odwróciła się w jego kierunku, ale nie było tam nikogo. Zamiast tego w jednej ze ścian ukazało się okno. Błady mężczyzna ze zmierzwionymi, rudymi włosami spoglądał na nią ze złością.

— Co ty sobie wyobrażasz, żeby tak walić w drzwi, kiedy już je zamknęliśmy?

— Chcę wejść — powiedziała Gada.

— Nie jesteś mieszkanką Miasta.

— Nie. Nazywam się Gada. Jestem uzdrowicielką.

Wbrew dobrym obyczajom, które wpojono Gadzie, nie podał swojego imienia. Prawie nie zwróciła na to uwagi, gdyż powoli przyzwyczajała się do różnic, które z grzeczności w jednym miejscu robiły obrazę w innym. Ale kiedy odwrócił głowę w tył, zanosząc się od śmiechu, była zaskoczona. Zmarszczyła czoło i poczekała, aż skończy.

— Co, przestali już przysyłać stare fajtlapy, żeby zebrały? Teraz pora na młode! Ale mogli wybrać kogoś ładnego...

Z tonu jego głosu Gada wywnioskowała, że została obrażona. Wstrząsnęła ramionami.

— Otwieraj bramę.

Przestał się śmiać.

— Nie wpuszczamy obcych.

— Przyniosłam wiadomość od przyjaciółki dla jej rodziny. Chcę ją przekazać.

Nie odpowiadał przez chwilę, spoglądając w dół.

— Wszyscy ludzie, którzy wyszli, powrócili w tym roku.

— Ona opuściła Miasto dawno temu.

— Nie wiesz o Mieście zbyt wiele, skoro spodziewasz się, że zacznę biegać w poszukiwaniu rodziny jakiejś wariatki.

— Nie wiem nic o waszym mieście, ale sądząc z twojego wyglądu, jesteś krewnym mojej przyjaciółki.

— A cóż to ma oznaczać — po raz pierwszy był zbity z tropu.

— Mówiła mi, że jej rodzina jest spokrewniona ze strażnikami bramy. I faktycznie, włosy, czoło... tylko oczy masz inne. Ona miała piwne. — Oczy mieszkańca Miasta były jasnozielone.

— A czy przypadkiem nie wspomniała — młody człowiek silił się na sarkazm — do której dokładnie rodziny miałyby należeć?

— Do panującej.

— Jedną chwilę — powiedział wolno.

Spojrzał niżej, a jego ręce poruszyły się poza zasięgiem wzroku Gady. Kiedy podeszła bliżej, nie widziała nic więcej poza framugą okna. W istocie nie było to okno, tylko szklana płyta dająca ruchomy obraz. Chociaż Gada była zaskoczona, nie pozwoliła sobie na żadną reakcję. Wiedziała w końcu, że mieszkańcy Miasta mają lepszy poziom techniki niż jej przyjaciele. To był jeden z powodów, dla których tu przysłała. Młody człowiek patrzył na nią, unosząc powoli w zdziwieniu brew.

— Będę musiał wezwać kogoś innego, żeby z tobą porozmawiał.

Obraz na szklanej płycie rozmazał się i przeszedł w kolorowe linie. Przez jakiś czas nic się nie działo. Gada oparła się o ścianę płytkiej niszy i rozejrzała się.

— Melissa!

Ani dziecka, ani koni nie było nigdzie widać. Gada miała przed oczami piękną część pobliskiego stawu ukrytą za półprzezroczystą zasłoną obumarłych letnich drzew, jednak w kilku miejscach roślinność była na tyle gęsta, aby ukryć dwa konie i dziecko.

— Melissa! — zawołała powtórnie Gada.

I znów nie było żadnej odpowiedzi, ale wiatr mógł znieść słowa w drugą stronę. Fałszywe okno znieruchomiało i poczerwniało. Gada już miała odejść, aby poszukać córki, kiedy znów zamigotało i wróciło do życia.

— Gdzie jesteś? — zawołał nowy głos. — Wracaj tutaj.

Gada po raz ostatni zerknęła na zewnątrz i niechętnie powróciła do nośnika obrazów.

— Dość mocno rozdrażniłaś mojego kuzyna — powiedział obraz.

Gada patrzyła na płytę oniemiała, gdyż mówiąca osoba była zaskakująco podobna do Jesse, o wiele bardziej niż młody człowiek. To musiała być jej bliźniaczka, albo w rodzinie Jesse dochodziło do związków między bliskimi krewnymi, co daje czasami efekty rozmnożenia wegetatywnego. Kiedy postać znów się odezwała, Gadzie przypomniało się, że klonowanie to dobry sposób koncentrowania i ustalania pożądanych cech, o ile eksperymentator przygotowany jest na kilka spektakularnych błędów w efektach swej działalności. Gada nie była przygotowana na ewentualną konieczność zaakceptowania spektakularnych błędów w przypadku ludzkich noworodków.

— Halo? Czy to działa? — rudowłosa postać spoglądała na nią niespokojnie, a jej głosowi towarzyszył ostry, nieprzyjemny trzask.

Gada pojęła, że rozmawia z mężczyzną, a nie z kobietą, jak sądziła z początku. Zastanawiała się, czy mieszkańcy Miasta rzeczywiście klonowali istoty ludzkie. Jeżeli robili to często i radzili sobie nawet z klonami odmiennej płci, to może znają metody, które pozwalają im stwarzać węże snu.

— Słyszę cię, jeśli o to chodzi — powiedziała Gada.

— Dobrze. Czego chcesz? To musi być coś nieprzyjemnego, sądząc po wyglądzie Ryszarda.

— Mam wiadomość dla ciebie, jeżeli jesteś najbliższym krewnym poszukiwaczki Jesse — powiedziała Gada.

Różowe policzki gwałtownie zbladły.

— Jesse? — potrząsnął głową i opanował się. — Czy ona zmieniła się tak bardzo przez te lata, że wyglądam na kogoś innego niż bliski krewny?

— Nie — powiedziała Gada. — Wyglądasz na krewnego.

— Ona jest moja starszą siostrą — powiedział. I teraz, przypuszczam, chce wrócić i odzyskać swoje starszeństwo, a ja znowu będę nikim innym jak tylko młodszym?

W jego głosie brzmiała gorycz. Zaszokowało to Gadę. Wiadomość o śmierci Jesse nie zasmuciłaby jej brata, przeciwnie — przysporzyła mu radości.

— Ona wraca, czy nie tak? — powiedział. — Wie dobrze, że rada przywróci jej pozycję głowy naszej rodziny. Niech ją cholera weźmie! Równie dobrze mógłbym w ogóle nie istnieć przez ostatnie dwadzieścia lat.

Gada słuchała, a gardło ścisnęło się jej z żalu. Pomimo niechęci brata, gdyby Gada była w stanie utrzymać Jesse przy życiu, jej ludzie przyjęliby ją i ucieszyliby się z jej powrotu.

— To tej radzie prawdopodobnie powinnam przekazać wiadomość.

Chciała porozmawiać z kimś, kogo by to obchodziło, kto kochał Jesse, a nie z kimś, kto byłby wdzięczny za złą wiadomość.

— To sprawa rodzinna, a nie sprawa rady. Mnie powinnaś przekazać wiadomość od Jesse.

— Wolałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy.

— Jestem tego pewien — powiedział — ale to niemożliwe. Moi kuzyni mają określone reguły, co do wpuszczania obcych... Oczywiście, w tym przypadku... A ponadto nie mógłbym, nawet gdybym chciał. Brama jest zamknięta aż do wiosny.

— Nie wierzę ci.

— To prawda.

— Jesse by mnie ostrzegła.

— Ona nigdy w to nie uwierzyła. Wyjechała stąd, kiedy była dzieckiem, a dzieci nigdy tak naprawdę nie wierzą. Bawią się za murami do ostatniej minuty, udając, że mogłyby zostać na zewnątrz po zamknięciu. W ten sposób czasami tracimy jakieś.

— Ona przestała wierzyć prawie we wszystko, co mówicie.

Złość nadawała głosowi Gady ostrzejsze brzmienie. Brat Jesse spojrział w bok, obserwując przez chwilę coś innego. Znow spozrzał na Gadę.

— Cóż, mam nadzieję, że uwierzysz w to, co ci teraz powiem. Zbiera się na burzę, więc proponuję, żebyś przekazała mi wiadomość i zostawiła sobie dość czasu na znalezienie schronienia.

Nawet jeśli kłamał, to na pewno nie miał zamiaru wpuścić jej do środka. Gada już na to nie liczyła.

— Wiadomość jest następująca — powiedziała. — Ona była szczęśliwa na zewnątrz. Chcę, abyście przestali okłamywać swoje dzieci, kiedy mówicie im, jaki jest świat poza waszym Miastem.

Brat Jesse wpatrywał się wyczekująco w Gadę, potem wytrzeszczył zęby w uśmiechu i roześmiał się, krótko i ostro.

— To wszystko? Czy chcesz przez to powiedzieć, że ona nie wraca?

— Ona nie może wrócić — powiedziała Gada. — Nie żyje.

Dziwna i niesamowita mieszanka ulgi i smutku przemknęła po twarzy, która tak bardzo przypominała Jesse.

— Nie żyje? — powiedział słabo.

— Nie mogłam jej uratować. Złamała sobie kręgosłup...

— Nigdy nie życzyłem jej śmierci. — Zrobił głęboki wdech, a później wolno wypuścił powietrze. — Złamała kręgosłup... szybka śmierć.

— Nie umarła w momencie, gdy wydarzył się wypadek. Jej partnerzy i ja chcieliśmy przywieźć ją do domu, bo może wy moglibyście ją wyleczyć.

— Może i byśmy mogli — powiedział. — Jak umarła?

— Prowadziła poszukiwania w kraterach wojennych. Nie mogła przyjąć tej prawdy, że są niebezpieczne, bo powiedzieliście jej tyle kłamstw. Umarła na chorobę promienną. Byłam przy niej. Zrobiłam wszystko, co mogłam, ale nie mam węża snu. Mogłam jedynie pomóc jej umrzeć.

— Mamy wobec ciebie dług, uzdrowicielko — powiedział brat Jesse. — Za zasługę dla członka rodziny. — Mówił nieprzytomnym, przygnębionym głosem. Nagle popatrzył na nią wściekle. — Nie chcę, żeby moja rodzina pozostawała wobec ciebie dłużna. Pod ekranem jest szczelina do płacenia. Pieniądze...

— Nie chcę pieniędzy — powiedziała Gada.

— Nie mogę cię wpuścić! — krzyknął.

— Już to zaakceptowałam.

— To czego chcesz? — Potrząsnął szybko głową.

— Węża snu.

— Dlaczego nie chcecie uwierzyć, że żadnych nie mamy? Nie mogę uregulować naszego długu wężami snu — nie mam ochoty zamieniać długu wobec ciebie na dług wobec pozaziemskich. Pozaziemscy... — urwał; wydawał się rozdrażniony.

— Jeśli pozaziemscy mogliby mi pomóc, to pozwól mi z nimi porozmawiać.

— Nawet gdybym mógł, oni by ci odmówili.

— Jeśli są ludźmi, wysłuchają mnie.

— Są... pewne wątpliwości co do ich człowieczeństwa — odrzekł mężczyzna. — Kto to może powiedzieć bez testów? Ty tego nie rozumiesz, uzdrowicielko. Nigdy ich nie spotkałaś. Oni są niebezpieczni, nieobliczalni.

— Pozwól mi spróbować — wyciągnęła dłonie do góry w szybkim, błagalnym geście, próbując sprawić, żeby ją zrozumiał. — Inni ludzie umierają tak samo jak Jesse, ponieważ nie ma dostatecznej liczby uzdrowicieli. Nie ma dosyć węży snu. Chcę porozmawiać z pozaziemskimi.

— Pozwól, że ci teraz zapłacę, uzdrowicielko — powiedział smutno brat Jesse, a Gada pomyślała, że znów znalazła się w Podgórzu. — Władza w Centrum jest starannie rozdzielona. Rada nigdy nie zgodziłaby się, żeby ktoś z zewnątrz rozmawiał z pozaziemskimi. Napięcia są zbyt wielkie i nie będziemy ryzykować jakiegokolwiek zmiany. Przykro mi, że moja siostra umarła w bólu, ale to, o co prosisz, naraziłoby zbyt wiele istnień.

— Jakże to może być prawdą? — zapytała Gada. — Zwykle spotkanie, jedno pytanie...

— Nie potrafisz zrozumieć, mówiłem ci już. Trzeba wyrosnąć pośród sił, które tutaj panują. Całe życie spędziłem na nauce.

— Zdaje się, że całe życie spędziłeś uczyć się, jak się wykręcać od zobowiązań — powiedziała ze złością Gada.

— To kłamstwo! — Brat Jesse był rozwścieczony. — Gotów jestem dać ci wszystko, co leży w moich kompetencjach, ale ty żądasz rzeczy niemożliwych! Nie mogę ci pomóc w zdobyciu nowego węża snu.

— Poczekaj! — powiedziała nagle Gada. — Może będziesz mógł nam pomóc inaczej.

Brat Jesse westchnął i spojrzał w bok.

— Nie mam czasu na plany i intrygi — powiedział. — Ani ty też. Nadchodzi burza, uzdrowicielko.

Gada zerknęła w tył przez ramię. Melissy ciągle nie było widać. Ciemne chmury w oddali przysłaniały horyzont, a tumany gnanego wiatrem piachu tarzały się w tę i z powrotem między ziemią a niebem. Robiło się chłodno, ale Gadą wstrząsnęły dreszcze z innych powodów. Stawka była zbyt wysoka, aby się teraz poddać. Dziewczyna była pewna, że gdyby udało jej się dostać do Miasta, mogłaby poszukać pozaziemskich na własną rękę. Odwróciła się do brata Jesse.

— Pozwól mi tu wejść wiosną. Macie takie metody, których nie odkryje nasza mało rozwinięta technologia. — Nagle Gada uśmiechnęła się. Jesse nie można już pomóc, ale innym — tak. Na przykład Melissie. — Gdybyście mogli nauczyć mnie, jak spowodować regenerację...

Zaskoczyło ją to, że wcześniej o tym nie pomyślała. Tak bardzo pochłaniała ją egoistyczna myśl o węzach snu, o własnym prestiżu i zaszczytach. A tylu ludzi mogłoby

skorzystać, gdyby uzdrowiciele umieli regenerować mięśnie i nerwy... Ale przede wszystkim mogłaby nauczyć się, jak regenerować skórę, aby jej córka nie musiała żyć dłużej z bliznami. Gada przyglądała się bratu Jesse i ku swojej uciesze spostrzegła, że na jego twarzy widniała ulga.

— To możliwe — powiedział. — Tak. Omówię to z radą. Będę starał się ich przekonać.

— Dziękuję — powiedziała Gada. Nie mogła uwierzyć, że nareszcie ludzie z Miasta przychyliłi się do prośby uzdrowiciela. — To pomoże nam bardziej, aniżeli myślisz. Jeśli będziemy mogli ulepszyć swoje technologie, nie będziemy musieli martwić się o zdobywanie naszych węży snu, będziemy je mogli sami klonować.

Brat Jesse spochmurniał. Gada zamilkła, zaniepokojona nagłą zmianą.

— Zaskarbicie sobie wdzięczność uzdrowicieli — powiedziała szybko. Nie rozumiejąc, co złego było w jej słowach, starała się to naprawić. — I wszystkich ludzi, którym pomagamy.

— Klonowanie! — powiedział brat Jesse. — Dlaczego sądzisz, że pomogliśmy wam w klonowaniu?

— Myślałam, że ty i Jesse... — powstrzymała się w obawie, że to może rozdrażnić go jeszcze bardziej. — Po prostu, przypuszczałam, że z waszą zaawansowaną...

— Ty mówisz o manipulacjach genetycznych! — Twarz brata Jesse nie wróżyła niczego dobrego. — Obracać naszą wiedzę w produkowanie potworów?!

— Co? — spytała Gada, zaskoczona.

— Manipulacje genetyczne... Bogowie, mamy dość kłopotów z mutacjami, których nie wywołujemy celowo! Masz szczęście, że nie mogłem cię wpuścić, uzdrowicielko! Musiałbym cię zadenuncjować. Spędziłabyś resztę życia na wygnaniu wraz z innymi dziwakami.

Oniemiała Gada wpatrywała się w ekran, podczas gdy mężczyzna przeistaczał się w jej oskarżyciela. Jeżeli nie był klonem z Jesse, to członkowie jego rodziny musieli krzyżować się ze sobą w tak bliskich stopniach pokrewieństwa, że deformacje były nieuniknione bez manipulacji genetycznych.

— Nie chcę, aby moja rodzina miała długi wobec wynaturzeńców — powiedział nie patrząc na nią, manipulując przy czymś rękoma. Monety zadźwięczały w szparze pod ekranem. — Zabieraj swoje pieniądze i odejdz!

— Ludzie na zewnątrz umierają dzięki wiedzy, którą handlujecie! — krzyknęła. — Pomagacie handlarzom robić z ludzi niewolników przy pomocy waszych kryształowych pierścieni, ale nie chcecie pomóc ludziom, którzy są okaleczeni i pobliźnieni!

Brat Jesse rzucił się do przodu z wściekłością.

— Uzdrowicielko... — przerwał, patrząc poza Gadę. Na jego twarzy malowało się przerażenie. — Jak ośmielasz się przychodzić tutaj z odmieńcem? Czy skazują u was na wygnanie zarówno matkę, jak i jej potomstwo? I ty robisz mi wykłady na temat człowieczeństwa?

— O czym ty mówisz?

— Chcesz regeneracji, a nawet nie wiesz, że nie można naprawić mutantów! Wychodzą takie same. — Zaśmiała się gorzko, histerycznie. — Wracaj tam, skąd przyszłaś, uzdrowicielko. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

W chwili, kiedy obraz zaczynał znikać, Gada zgarnęła monety i cisnęła je weń. Zadzźwięczały na ekranie, a jedna utkwiała w pokrywie ochronnej. Zawarczały dzwignie, ale pokrywa nie mogła się domknąć. Gada odczuła przekorną satysfakcję. Odwróciła się tyłem do ekranu i Miasta, aby rozejrzeć się za Melissą i stanęła twarzą w twarz ze swą córką. Dziewczynka pochwyciła Gadę za rękę i gwałtownie wyciągnęła ją z niszy.

— Melisso, musimy spróbować znaleźć jakieś schronienie...

Było ciemno, mimo wczesnej pory. Chmury nie były już szare, ale czarne i Gada spostrzegła dwie trąby powietrzne.

Melissa płakała.

— Ja... ja chciałam, żeby cię wpuścili do środka, ale bałam się, że nie zechcą, to przyszłam zobaczyć.

Gada szła za nią, prawie zupełnie oślepią piachem porywanym przez silny wiatr. Błyskawica i Lisek niechętnie szły ze zwieszonymi głowami i stulonymi uszami. Melissa wprowadziła konie do płytkiej rozpadliny w skale pod urwiskiem. W chwilę potem wiatr przybrał na sile; wył i jęczał, ciskając im w twarze piachem.

— Są przerażone! — Melissa przekrzykiwała skowyt wiatru. — Klapki na oczy...

Odkryła twarz i zawiązała oczy swoją chustą. Gada zrobiła to samo z Błyskawicą. Gdy odkryła usta i nos, podmuch pozbawił ją tchu. Ze łzami, wstrzymując oddech, ciągnęła klacz śladem Liska do jaskini. Wewnątrz wiatr zamarł jak nożem uciał. Gada nie mogła otworzyć oczu. Miała wrażenie, że w płuca wpompowano jej piach. Melissa zdjęła Liskowi chustę z oczu i łkając, zarzuciła Gadzie ramiona na szyję.

— To moja wina — powiedziała. — Zobaczyl mnie i cię odesłał.

— Brama była zamknięta — powiedziała Gada. — Nie mógłby nas wpuścić, nawet jeśliby chciał. Gdyby nie ty, zostałybyśmy tam, wśród burzy.

— Ale oni nie chcą, żebyś wróciła. Przeze mnie.

— Melisso, on od razu zdecydował, że nam nie pomoże. Uwierz mi. Przeraziło go to, o co prosiłam. Oni nas nie rozumieją.

— Ale ja go słyszałam. Widziałam, jak na mnie patrzył. Ty prosiłaś o pomoc dla... dla mnie, a on powiedział, żebyś sobie poszła.

Gada wolałaby, żeby Melissa nie zrozumiała tej części rozmowy, bo nie chciała, aby dziewczynka miała nadzieję na coś, co mogło się nigdy nie zdarzyć.

— On nie wiedział, że jesteś poparzona — powiedziała Gada. — I nic go to nie obchodziło. Szukał wymówki, żeby się mnie pozbyć.

Nie przekonana, Melissa machinalnie pogładziła Liska po szyi, zdjęła mu uzdę i rozpięła siodło.

— Jeżeli to czyjaś wina — powiedziała Gada — to tylko moja. To ja zaciągnęłam cię tutaj... — Słaba poświata komórek świetlnych tylko odrobinę rozjaśniała pieczarę, w której były uwięzione. Głos załamał się Gadzie ze strachu i strapienia. — To ja przywlokłam nas obie tutaj i teraz jesteśmy odcięte.

Melissa odwróciła się i wzięła Gadę za rękę.

— Gado... Gado, ja wiedziałam, co może się stać. Ty nie zmusiłaś mnie, żebym za tobą poszła. Wiedziałam, jak podli mogą być ludzie tutaj. Tak mówi każdy, kto z nimi handluje.

Przytuliła Gadę i pocieszała ją tak samo, jak Gada pocieszała ją kilka dni temu.

Nagle Błyskawica zerwała się i przemknęła obok uzdrowicielki, przewracając ją. Kiedy Gada próbowała wstać i pochwycić uzdę, kątem oka zobaczyła czarną panterę, walącą ogonem o ziemię u wejścia do jaskini. Kot zaryczał i Błyskawica cofnęła się ponownie, przewracając Gadę. Melissa próbowała trzymać Liska, cofając się w kąt. Pantera skoczyła w ich stronę. Gada wstrzymała oddech, gdy zwierzę, rozcarniając powietrze, przeleciało obok, a jego gładkie futro musnęło jej rękę. Pantera wylądowała cztery metry przed tylną ścianą i zniknęła w wąskiej szczelinie. Melissa zaśmiała się drżącym głosem, dając upust przerażeniu. Błyskawica wypuściła oddech, rżąc głośno ze strachu.

— O, dobrzy bogowie! — szepnęła Gada.

— Słyszałam... słyszałam, jak ktoś mówił, że dzikie zwierzęta są tak samo przerażone tobą, jak ty nimi — powiedziała Melissa. — Ale myślę, że nie będę już w to wierzyła.

Gada odczepiła lampę od siodła Błyskawicy i podniosła ją wysoko, w stronę szczeliny, zaciękawiona, czy człowiek mógłby przejść tam, gdzie schował się wielki kot. Wspięła się na siodło swojej klaczy. Melissa chwyciła za uprząż Błyskawicy, uspokajając wierzchowca.

— Co robisz?

Gada oparła się o ścianę jaskini. Wyciągnęła się, żeby oświetlić wnętrze korytarza.

— Nie możemy tu zostać — powiedziała. — Umrzemy z pragnienia albo z głodu. Może tu jest przejście do Miasta? — Nie wiedziała, co jest w głębi. Pantera jednak zniknęła. Gada słyszała, jak jej własny głos odbija się echem i wraca, jakby za wąską szczeliną było wiele komór. — Albo może jest to przejście do jakiegoś innego miejsca? — obróciła się i ześliznęła z siodła.

— Gada... — cicho powiedziała Melissa.

— Tak?

— Zobacz. — Melissa wskazała na skałę nad wejściem do jaskini. Gada osłoniła światło lampy. Niewyraźny, świecący obiekt zbliżył się jakby w jej kierunku. Poczowała zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Podniosła lampę i przybliżyła do kształtu na ścianie.

— To rysunek — powiedziała.

Było to złudzenie. Pajęczasty kształt pełzał po ścianie, ale to była tylko farba, sprytnie wywołana iluzja.

— Ciekawe, po co to? — szept Melissy rozpląwał się po skałach.

— Może, aby odstraszyć ludzi. To oznaczałoby, że tam naprawdę coś jest
— Ale co z Błyskawicą i Liskiem? Nie możemy ich tutaj zostawić.
— Jeżeli nie znajdziemy dla nich czegoś do jedzenia — powiedziała łagodnie Gada
— to i tak padną z głodu.

Melissa spojrzała w stronę korytarza, w którym zniknęła pantera; błękitne światło rzuciło refleksy na jej pobliznioną twarz.

— Melisso — powiedziała nagle Gada. — Słyszysz coś?

— Wiatr ustał! — powiedziała Melissa.

Pobiegła do wyjścia. Gada ruszyła za nią, gotowa w każdej chwili osłonić dziecko przed uderzeniem burzy. Ale jej córka miała rację. Nic się nie stało. Na zewnątrz powietrze było absolutnie nieruchome. Niskie chmury pyłu przeleciały przez pustynię i zniknęły, zostawiając na błękitnym niebie poszarpane, sięgające wysoko zawiazki chmur burzowych.

I nagle zaczął się deszcz. Gada wbiegła pod krople, wznosząc w ich kierunku ramiona, jak dziecko. Lisek podreptał obok niej i puścił się galopem. Błyskawica popędziła za nim i dwa konie zaczęły brykać i wierzgać niczym żrebaki.

Melissa stała nieruchomo, wpatrując się w górę; pozwalając, by krople obmywały jej twarz.

W końcu Gada z córką wróciły do schronienia w skałach — przemoczone, zmarznęte i szczęśliwe. Potrójna tęcza rozpięła się na niebie, Gada westchnęła i siadła na piętach, żeby na nią popatrzeć. Tak była pochłonięta podziwianiem kolorów, które zmieniały się bezustannie jak w kalejdoskopie, że nawet nie zauważyła, kiedy Melissa osiadła obok niej.

Gada otoczyła ręką ramiona córki.

Chmury przepłynęły, tęcza przyblakła, a Lisek przydreptał z powrotem do Gady; był tak mokry, że faktura jego pasków i ich kolor stały się nierozpoznawalne. Gada podrapała go za uchem i pod brodą, a później spojrzała na pustynię. Tam, skąd przyszły chmury, blada delikatna zieleń zdążyła zmiękczyć zarysy niskich, czarnych wzgórz. Rośliny pustynne rosły tak szybko, że wydawało się, iż można zobaczyć, jak fala zieleni niby morski przypływ posuwa się w ślad za deszczem.

10.

Gada z niechęcią uświadomiła sobie, że nie może zostać w Centrum. Po prostu było to zbyt niebezpieczne — spędzać czas na przeszukiwaniu górskich jaskiń — choć bardzo ją do tego ciągnęło. Mogło się w końcu okazać, że prowadzą do Miasta, ale równie dobrze mogły być pułapką, w której ona i Melissa utknęłyby, zagubione w plątaninie kamiennych tuneli. Deszcz stwarzał im jedyną okazję wyjazdu: gdyby jej nie wykorzystała, ona i jej córka mogłyby już nie mieć drugiej szansy.

Wydawało się to Gadzie niesprawiedliwe, że jej powrót w góry będzie tak łatwy. Po deszczu pustynia przemieniła się w łąkę. Przez cały dzień konie skubały po drodze miękkie listki, a podróżniczki zrywały ogromne bukiety jasnoty i wysysały z białych kwiatów słodki nektar. W powietrzu było aż gęsto od pyłku.

Gada i Melissa wędrowały głęboką nocą, w świetle zorzy polarnej. Pustynia była cała roziskrzona i ani one, ani konie nie czuły zmęczenia. Gada i Melissa podjadały od czasu do czasu w trakcie jazdy, przeżuając suche owoce albo mięso. Przed świtem rzuciły się w miękką, wybujałą trawę, gdzie jeszcze kilka godzin temu był tylko piach. Przespały się nieco i obudziły o brzasku, odświeżone i wypoczęte.

Rośliny, na których spały, zdążyły już zakwitnąć. Po południu wydmy pokryły się kwiatami, które wystrzeliły plamami kolorów, jedno wzgórze białe, inne jasnoróżowe, a jeszcze inne w różnobarwne smugi, spływające ze szczytów w doliny. Dzięki kwiatom łagodniał upał i nawet niebo było jaśniejsze. Także zarys wydm został zmieniony przez deszcz: z miękko zaokrąglonych fal w ostrokrawędziste, przeżarte erozją granie.

Trzeciego dnia chmury pyłu znowu zaczęły się zbierać. Woda zupełnie wsiąkła w ziemię albo wyparowała. Teraz susza malowała liście na brązowo, rośliny kurczyły się i obumierały. Nasiona dryfowały, unoszone podmuchami wiatru.

Rozległy spokój pustyni ukoił nieco żal Gady, ale podnóża wschodnich wzniesień łańcucha centralnego, wznoszące się przed jej oczami, znów przypominały jej o klęsce. Nie miała ochoty wracać do domu.

Błyskawica, wyczuwając jakiś nieświadomy ruch Gady, jej niechęć do jazdy w tamtą stronę, zatrzymała się nagle. Dziewczyna nie popędzała jej. Parę kroków dalej Melissa ściągnęła cugle Liska i obejrzała się.

— Gada?

— Och, Melisso, dokąd ja ciebie prowadzę?

— Jedziemy do domu — powiedziała Melissa, próbując ją pocieszyć.

— Może ja już nie mam domu.

— Nie odeślą cię. Nie mogą.

Gada ze złością otarła łzy rękawem. Poczucie beznadziejności i przygnębienie nie dopuszczały żadnego pocieszenia, żadnej ulgi. Oparła czoło o kark Błyskawicy i zaciśnęła pięści w długiej, czarnej grzywie.

— Powiedziałaś, że to twój dom, powiedziałaś, że są twoją rodziną, więc jak mogliby cię odesłać?

— Nie odeślą — szepnęła Gada. — Ale jeśli powiedzą, że nie mogę być uzdrowicielką, to jak będę mogła zostać?

Melissa poklepała ją nieporadnie.

— Wszystko będzie dobrze. Wiem, że będzie. Co mogę zrobić, żebyś nie była taka smutna?

Gada westchnęła, pełna niepokoju. Podniosła wzrok na Melissę. Córka patrzyła na nią spokojnie, bez ruchu. Gada odchyliła się i pocałowała dłoń dziecka.

— Masz do mnie zaufanie — powiedziała. — I może tego właśnie potrzeba mi najbardziej.

Melissa nieznacznie uśmiechnęła się, zakłopotana, ale podniesiona na duchu. Ruszyły do przodu, lecz po paru krokach Gada znów zatrzymała Błyskawicę. Melissa zatrzymała się także, patrząc na nią z troską.

— Cokolwiek by się stało — powiedziała Gada — cokolwiek by moi nauczyciele zdecydowali o mnie, ty nadal będziesz ich córką, tak samo jak i moją. Nadal możesz zostać uzdrowicielką. Jeżeli będę musiała odjechać...

— Nie obchodzi mnie to. Nigdy nie chciałam być uzdrowicielką — powiedziała Melissa wojowniczo. — Chcę być dżokejem. Nie chciałabym mieszkać wśród ludzi, którzy zmusili cię, żebyś sobie poszła.

Lojalność Melissy wzbudziła w Gadzie niepokój. Nigdy dotąd nie знаła nikogo, kto by tak absolutnie nie dbał o swój własny interes. Być może Melissa nie przywykła jeszcze do myślenia o sobie, nie uświadamiała sobie, że ma prawo do kierowania swym losem; być może tak wiele z jej marzeń zostało zniweczonych, że już nie ma na nie odwagi. Gada miała nadzieję, że w jakiś sposób zdoła przywrócić córce pewność siebie.

— Nie ma o czym mówić — powiedziała. — Jeszcze nie jesteśmy w domu. Nie ma co teraz się tym martwić.

Maska zdecydowania na twarzy Melissy powoli znikła. Pojechały dalej.

Pod koniec trzeciego dnia delikatne rośliny zamieniały się już w pył pod końskimi kopytami. Gęsta, brązowa mgła pokryła pustynię. Raz po raz w powietrzu frunęła

chmura pierzastych nasion, niesiona przez prądy powietrza. Kiedy wiatr był mocniejszy, cięższe nasiona muskały piach niczym przyływ wody. Wraz z zapadnięciem nocy Gada i Melissa były już u podnóża szczytów, a czarna i naga pustynia została za nimi.

Wróciły w góry, jadąc prosto na zachód, najkrótszą drogą do bezpiecznego schronienia. Tutaj wzniesienia były łagodniejsze niż strome urwiska Podgórze daleko na północy.

Podjazd był łatwiejszy, ale o wiele dłuższy niż przez północną przełęcz. Pokonały pierwszą grań, a potem pojechały w kierunku dalszych, wyższych wzniesień. Melissa wstrzymała Liska i odwróciła się, wpatrując w mroczniejącą pustynię. Po chwili rozpromieniła się w uśmiechu.

— Udało się nam — powiedziała do Gady.

Kobieta odpowiedziała uśmiechem.

— Masz rację. Udało się.

Strach przed burzami przemijał powoli w czystym, chłodniejszym powietrzu gór. Chmury wisiały niepokojąco nisko, zniekształcając kopułę nieba. Nikt: ani karawaniarz, ani mieszkańiec gór nie zobaczy nawet skrawka błękitu ani gwiazdy, ani księżycy aż do przyszej wiosny, a dysk słoneczny bodzie matowiał coraz bardziej i bardziej.

Słońce, tonące za górskimi szczytami, wydłużało cień Gady i rzucało go na ciemną i pustą, piaszczystą równinę. Poza zasięgiem najgwałtowniejszych wiatrów, poza zasięgiem upału i pozbawionego kropli deszczu gruntu, Gada popędziła Błyskawicę w kierunku gór, do których wszyscy należeli. Przez cały czas wypatrywała miejsca na obóz. Nim konie zapuściły się niżej w dolinę, usłyszała szmer płynącej wody. Szlak prowadził obok niewielkiej niecki, w której biło źródło; miejsce wyglądało, jakby ktoś w nim obozował, choć już dawno temu. Woda podtrzymywała przy życiu kilka skarłowaciałych wiecznych drzewek i trochę trawy dla koni. Pośrodku zdeptanej ziemi walały się zwęglone kawałki drewna, ale Gada nie miała nic na opał. Dobrze wiedziała, że nie ma sensu próbować ścinać wiecznych drzew. Nie wiedzieli o tym podróżni, którzy zostawili ślady swojego niepowodzenia w postaci dawno zabliźnionych nacięć od siekiery na szorstkim pniu. Drewno pod spodem było twarde i sprężyste jak stal.

Nocna wędrówka w górach była równie trudna jak podróż za dnia po pustyni. Gada zsiadła z konia. Zatrzymają się na noc, a o brzasku...

O brzasku — co? Przez tyle dni się spieszyła, na przekór chorobie, śmierci i oceanom piachu, że teraz musiała się zatrzymać i uświadomić sobie, iż nie ma już powodów do pośpiechu. Co więcej — nie ma już potrzeby, żeby wyruszać stąd dokądkolwiek ani by po przespaniu kilku godzin wstawać o świcie. Czekał na nią dom, co do którego nie była wcale pewna, czy ciągle jeszcze jest jej domem. Nie przywoziła ze sobą nic prócz klęski, złych wiadomości i jednej bardzo agresywnej żmii piaskowej, która wcale nie musi okazać się użyteczna. Odpięła torbę z węzami i delikatnie położyła ją na ziemi.

Melissa, oczyściwszy konie, klękła przy pakunkach i zaczęła wyjmować jedzenie i kuchenkę parafinową. Po raz pierwszy od czasu, gdy wyruszyły, rozbijały prawdziwy obóz. Gada przysiadła na piętach obok córki, aby pomóc jej przy kolacji.

— Ja to zrobię — powiedziała Melissa — a ty sobie odpocznij.

— To nie jest chyba sprawiedliwe — zaproponowała Gada.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Nie o to chodzi.

— Lubię coś dla ciebie robić — powiedziała Melissa.

Gada położyła ręce na ramionach córki. Nie zmuszała ani nawet nie nakłaniała ją, żeby się odwróciła.

— Wiem, że lubisz. Ale ja też lubię coś dla ciebie robić.

Palce Melissy zajęte były sprzączkami i rzemykami.

— To nie jest w porządku — powiedziała wreszcie. — Ty jesteś uzdrowicielką, a ja... ja pracuję w stajni. Mnie bardziej przystoi, żebym ciebie obsługiwała.

— A gdzie jest powiedziane, że uzdrowiciel ma większe prawa niż ten, kto pracuje w stajni? Jesteś moją córką, jesteśmy więc związkiem partnerskim.

Melissa rzuciła się w ramiona Gady i mocno ją przycisnęła, ukrywając twarz w jej koszuli. Gada objęła córkę i kołysała pocieszając ją, jakby była małym dzieckiem, którym sama nigdy nie miała okazji być. Po paru minutach uścisk Melissy rozluźnił się i dziewczynka — znów opanowana — odsunęła się, spoglądając z zakłopotaniem w bok.

— Nie lubię nic nie robić.

— A czy kiedykolwiek miałaś szansę tego spróbować?

Melissa wzruszyła ramionami.

— Możemy pracować na zmianę — zaproponowała Gada — albo dzielić obowiązki każdego dnia. Co wolisz?

Melissa podniosła na nią wzrok z przelotnym uśmiechem ulgi.

— Dzielić obowiązki każdego dnia.

Rozejrzała się po obozie, jakby widziała go po raz pierwszy.

— Może jest jakieś suche drewno na ognisko — powiedziała. — I potrzebujemy trochę wody. — Sięgnęła po płachtę na drewno i po bukłak.

Gada wzięła bukłak.

— Spotkamy się za parę minut. Jeżeli nic nie znajdziesz, nie szukaj za daleko. Wszystko, co spada w czasie zimy, zostaje pewnie zużyte przez pierwszego podróżnego każdej wiosny.

Miejsce nie tylko sprawiało wrażenie, nie nikt tu się nie pojawił od wielu lat, ale jeszcze unosiła się nad nim jakaś nieuchwytna aura opuszczenia.

Gada podeszła kilka kroków w górę strumienia. W pobliżu jego źródła położyła bukłak i wspięła się na szczyt ogromnego głazu, z którego miała widok na prawie całą okolicę. Nikogo nie było w polu widzenia — żadnych koni, obozowisk, dymu. W końcu Gada skłonna była uwierzyć, że szaleniec zniknął albo, że to był zwykły zbieg okoliczności: raz spotkanie z prawdziwym szaleńcem, a raz z pomyłonym, nieudolnym złodziejem. A nawet, jeśli to był ten sam człowiek, to nie dawał żadnego znaku obecności od czasu walki na ulicy. Nie było to tak dawno, jak się wydawało, ale chyba należało już do przeszłości.

Gada zeszła znów do potoku i przytrzymała bukłak tuż pod srebrzystą powierzchnią. Woda bulgotała, puszczając bańki, gdy wpadała do otworu. Prześlizgiwała się Gdzie przez ręce i między palcami, zimna i wartka. Woda była odrębnym bytem w górach. Bukłak napełnił się po brzegi. Gada oplatała kilkakrotnie ramię wokół szyjki i zarzuciła ciężar na ramię.

Melissa jeszcze nie wróciła do obozu. Gada krzątała się dookoła przez kilka chwil, przygotowując posiłek z różnych produktów, które wyglądały jednakowo nawet po namoczeniu. I smakowały też identycznie, ale w ten sposób łatwiej było je spożywać.

Rozwinęła koce. Otworzyła torbę z węzami, lecz Mgła pozostała w środku. Kobra często nie chciała wychodzić ze swojej ciemnej przegródki po długiej podróży i robiła się złośliwa, gdy jej przeszkadzano.

Gada czuła się nieswojo, kiedy nie miała Melissy w polu widzenia. Nie mogła odpedzić niepokoju pomimo tego, iż pamiętała, jak Melissa była samodzielna i niezależna. Zamiast otworzyć przegródkę Piaska, ażeby grzechotnik mógł wyjść, czy zamiast sprawdzić, co ze żmiją piaskową — zapięła z powrotem torbę i wstała, żeby zawołać córkę. Nagle Błyskawica i Lisek uskoczyły gwałtownie, parskając ze strachu.

— Gada! Ratunku! — krzyczała Melissa głosem pełnym przerażenia. W dół potoczyły się kamienie. Gada pobiegła w stronę odgłosów szamotaniny, z nożem do połowy wyciągniętym z pochwy. Okrążyła głaz i zatrzymała się.

Melissa szarpała się z całych sił w uścisku wysokiej, trupiobladej postaci w pustynnym stroju. Napastnik jedną ręką zatykał jej usta, drugą obejmował dziewczynkę, przytrzymując jej ręce. Wyrывała się i kopała, ale mężczyzna nie reagował ani bólem ani złością.

— Powiedz jej, żeby przestała — powiedział. — Nie zrobię jej krzywdy.

Mówił ciężko, bełkotliwie, jakby był czymś odurzony. Ubranie miał podarte i brudne, a włosy dziko sterczały mu na głowie. Tęczówki oczu wydawały się bledsze od nabiegłych krwią białek, co nadawało twarzy nieludzki wyraz. Gada wiedziała od razu, że to był „jej” szaleniec — nawet zanim zauważyła pierścień, który rozciął jej czoło w czasie walki na ulicy w Podgórzu.

— Puść ją.

— Pohandluję z tobą — powiedział.

— Nie mamy wiele, ale jest twoje. Czego chcesz?

— Węża snu — powiedział. — Nic więcej.

Melissa szarpnęła się znowu i mężczyzna wykonał szybki ruch, ściskając ją mocniej, bardziej okrutnie.

— W porządku — powiedziała Gada. — Chyba nie mam wyboru, co? Jest w mojej torbie.

Poszedł za nią do obozu. Stara tajemnica została wyjaśniona, teraz pojawiła się nowa.

Gada wskazała torbę.

— Górna przegródka — powiedziała.

Szaleniec podchodził bokiem, ciągnąc niezdarnie Melissę za sobą. Sięgnął do sprzączki, szarpnął ręką do tyłu. Drżał.

— Ty to zrób! — rozkazał Melissie. — Dla ciebie to bezpieczne.

Nie patrząc na Gadę, Melissa sięgnęła do sprzączki. Była bardzo błada.

— Stój! — zawołała Gada. — Tu nic nie ma.

Melissa opuściła bezwładnie rękę, patrząc na Gadę z ulgą i strachem jednocześnie.

— Puść ją — powiedziała znowu Gada. — Jeżeli wąż snu jest tym, czego szukasz, to nie mogę ci pomóc. Zabito go, zanim jeszcze znalazłeś mój obóz.

Wpatrywał się w nią zwięzonymi oczami, a potem obrócił się i sięgnął po torbę z węzami. Odpiął sprzączkę i kopnięciem wyrzucił torbę.

Groteskowa żmija piaskowa czaiła się w środku, wijąc się i sycząc. Na moment podniosła głowę, jakby chciała uderzyć z zemsty za swoją niewolę, ale zarówno szaleniec, jak i Melissa zastygli w bezruchu. Żmija zakręciła się dookoła i wśliznęła się między skały. Gada skoczyła w przód i odciągnęła Melissę od szaleńca, ale on nawet tego nie zauważył.

— Oszukała! — Nagle roześmiał się histerycznie i podniósł ręce do nieba. — Ona da mi to, czego potrzebuję! — Śmiejąc się i płacząc, opadł na ziemię.

Gada pobiegła szybko w stronę skał, ale żmija piaskowa już zniknęła. Przeklinając, ściskając rękojeść noża, stanęła nad szaleńcem. Żmije były stosunkowo rzadkie na pustyni, wśród wzgórz w ogóle nie występowały. Teraz nie może zrobić szczepionki dla ludzi Arevina i nie ma już nic, co mogłaby pokazać nauczycielom.

— Wstawaj — powiedziała szorstko. Zerknęła na Melissę. — Nic ci nie jest?

— Nie — powiedziała Melissa. — Ale on wypuścił żmiję.

Szaleniec leżał zwinięty w kłębek; wciąż cicho płakał.

— Co z nim? — Melissa stanęła obok Gady, spoglądając na łkającego mężczyznę.

— Nie wiem. — Gada trąciła go w bok czubkiem buta. — Ty! Uspokój się. Wstań.

Mężczyzna poruszył się u ich stóp. Jego nadgarstki wystawały z postrzępionych rękawów, ręce miał chude jak suche gałęzie.

— Powinam dać radę wyrwać się „takiemu” — powiedziała Melissa z odrazą.

— On jest silniejszy, niż wygląda — rzekła Gada. — Na wszystkich bogów, człowieku, przestań zawodzić. Nie zamierzam ci nic zrobić.

— Już nie żyję — wyszeptał. — Byłaś moją ostatnią szansą, więc jestem teraz martwy.

— Ostatnią szansą na co?

— Na szczęście!

— To paskudny rodzaj szczęścia, skoro musisz innym niszczyć dobytek i rzucać się na ludzi — powiedziała Melissa.

Spojrzał na nią wściekle. Łzy lśniły na zapadniętych policzkach. Skóra mężczyzny poorana była głębokimi bruzdami.

— Dlaczego wróciłaś? Nie mogłem już dalej za tobą jechać. Chciałem wrócić do domu, żeby umrzeć, o ile by mi na to pozwolili. Ale ty wróciłaś prosto w moje ręce. — Ukrył twarz w złachmanionych rękawach pustynnego stroju.

Gada przyklekła i zmusiła go do powstania. Musiała go podpierać, biorąc cały ciężar jego ciała na siebie. Melissa przez chwilę stała obok w gotowości, potem wzruszyła ramionami i przysła z pomocą. Kiedy się podnosili, Gada namacała twarde, prostokątny kształt pod ubraniem szaleńca. Rozchyliła mu ubranie, gmerając w warstwach materiału lepkiego od brudu.

— Co robisz? Przestań!

Mocował się z nią, szturchając kościstymi łokciami, próbując naciągnąć ubranie na swe żylaste ciało.

Gada znalazła wewnętrzną kieszeń. Gdy tylko dotknęła ukrytego przedmiotu, wiedziała, że to jej dziennik. Wyszarpnęła go i puściła szaleńca. Cofnął się o krok, dwa i stanął, poprawiając gorączkowo swoje łachy. Gada nie zwracała już na niego uwagi, zaciskając mocno ręce na książce.

— Co to jest? — spytała Melissa.

— Dziennik mojego próbnego roku. Ukradł mi go z obozu.

— Miałem zamiar go zniszczyć — powiedział szaleniec. — Zapomniałem, że go mam.

Gada rzuciła na niego wściekłe spojrzenie.

— Myślałem, że mi pomoże. Na nic się jednak nie przydał.

Gada westchnęła.

W obozie położyły szaleńca na ziemi, a pod głowę włożyły mu siodło. Leżał i tępo gapił się w niebo. Za każdym razem, gdy mrugał oczyma, kolejna łza toczyła mu się po twarzy i zmywała pył i brud zostawiając jaśniejsze smugi. Gada dała mężczyźnie wody, usiadła na piętach i przyglądała mu się, zastanawiając się, co oznaczały jego słowa. O ile w ogóle coś znaczyły. Był w końcu szaleńcem, ale niezupełnie bezmyślnym; działał pod wpływem desperacji

— On chyba nie ma zamiaru nic złego zrobić, jak myślisz? — spytała Melissa.

Z wyraźnym obrzydzeniem poszła w stronę skał.

— Melisso...

Obejrzała się.

— Mam nadzieję, że żmija piaskowa odeszła daleko, ale równie dobrze może gdzieś tu być. Lepiej, jeśli dzisiaj obejdziemy się bez ognia.

Melissa wahała się tak długo, aż Gada zaczęła podejrzewać, że za chwilę powie, iż woli towarzystwo żmii piaskowej niż szaleńca, ale w końcu wzruszywszy ramionami, dziewczynka poszła do koni.

Gada ponownie podniosła wodę do ust mężczyzny. Przełknął raz i pozwolił, by woda wyciekała mu z kącików ust na kilkudniowy zarost.

— Jak masz na imię?

Gada czekała, ale nie odpowiedział. Zaczęła zastanawiać się, czy czasem nie jest katatonikiem, kiedy wzdrygnął się i westchnął głęboko.

— Musisz mieć jakieś imię.

— Przypuszczam — odparł. Dwie kolejne łyzy zaczęły się przedzierać przez brud na jego twarzy. Jego ręce drżały. — Przypuszczam, że kiedyś miałem.

— Co miałeś na myśli, mówiąc o tym całym szczęściu? Do czego jest ci potrzebny mój wąż snu? Umierasz?

— Powiedziałem ci, że tak.

— Na co?

— Z pragnienia.

Gada zmarszczyła czoło.

— Pragnienia czego?

— Węża snu.

Gada westchnęła, kolana ją bolały. Zmieniła pozycję i usiadła po turecku obok ramienia szaleńca.

— Nie będę mogła ci pomóc, jeżeli ty nie powiesz mi, co cię trapi.

Poderwał się i usiadł, rozdrapując ubranie, które tak starannie ułożył na sobie. Odciągnął sfatygowany materiał, aż go rozdarł. Obnażył szyję, unosząc brodę.

— To wszystko, co musisz wiedzieć!

Gada przyjrzała się bliżej. Wśród szorstkich, ciemnych włosów zarostu zobaczyła liczne, drobne, podwójne blizny, skupione wokół arterii szyjnych. Odchyliła się w tył, zaskoczona. Ślady pochodziły od zębów węża snu — co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości, ale nie potrafiła sobie wyobrazić choroby na tyle poważnej i bolesnej, że wymagałaby takiej ilości jadu do uśmierzenia bólu. Blizny powstawały w stosunkowo długim czasie, gdyż niektóre były stare i białe, a niektóre tak świeże różowe i lśniące, że jeszcze musiały być na nich strupy, kiedy szaleniec przeszukiwał jej obóz.

— Teraz rozumiesz?

— Nie — powiedziała Gada. — Nie rozumiem. O co tu chodzi? — przerwała, marszcząc czoło. — Czy byłeś uzdrowicielem?

Ale to było niemożliwe. Musiałaby go znać albo przynajmniej o nim słyszeć. Poza tym jad węża snu nie oddziaływałby na uzdrowiciela inaczej, niż jad jakiegokolwiek węża.

Potrząsając głową, szaleniec opadł na ziemię.

— Nie, uzdrowiciel... nigdy... nie ja. My nie potrzebujemy uzdrowicieli w pękniętej kopule.

Gada czekała niecierpliwie, ale nie chciała ryzykować żadnego gestu, aby go nie de-nerwować. Szaleniec obliznął usta i znów zaczął mówić.

— Wody... proszę.

Gada podniosła manierkę do jego ust, a on pił łapczywie. Już nie rozlewał i nie pluł, jak poprzednio. Próbował znowu usiąść, ale łokieć mu się pośliznął i mężczyzna zastygł nieruchomo na ziemi, nie próbując nawet mówić. Cierpliwość Gady skończyła się.

— Dlaczego byłeś tyle razy ukąszony przez węża snu?

Spojrzał na nią bladymi, przekrwionymi oczyma.

— Bo byłem dobrym i użytecznym błagalnikiem i przynosiłem dużo skarbów do pięknej kopuły. Często dostawałem nagrodę.

— Nagrodę?

Twarz mu złagodniała.

— O tak! — Jego oczy zamglily się; wydawało się, że poprzez Gadę patrzy gdzieś w dal. — Nagrodę. Szczęście i zapomnienie, i rzeczywistość snów.

Zamknął oczy i nie chciał się więcej odzywać mimo, że Gada szturchała go co chwila.

Gada przyłączyła się do Melissy, która znalazła suche gałęzie po drugiej stronie obozu i siedziała teraz przy małym ognisku, czekając aż dowie się, o co chodzi.

— Ktoś ma węża snu — powiedziała Gada. — Używają jadu jako narkotyku.

— To głupie — stwierdziła Melissa. — Dlaczego nie używają po prostu czegoś, co rośnie tutaj? Tu pełno różnych rzeczy.

— Nie wiem — powiedziała Gada. — Nie wiem też, jak działa jad. Nie dostali go od uzdrowiciela, przynajmniej nie dał im go dobrowolnie.

Melissa pomieszała zupę. Światło ogniska złociło jej rude włosy.

— Gado — powiedziała w końcu. — Tamtej nocy, gdy z nim walczyłeś, on zabiłby cię, gdyby mógł. Dzisiaj zabiłby mnie, gdyby miał okazję. Jeżeli ma jakichś przyjaciół, to oni też zechcą odebrać uzdrowicielowi węża snu.

— Wiem.

Uzdrowiciele zabijani dla węży snu — to było trudne do przyjęcia.

Zjadły kolację. Szaleniec spał zbyt głęboko, aby go nakarmić, chociaż wbrew temu, co mówił, daleko mu było do umierania. W rzeczywistości był zaskakująco zdrowy pod tą pokrywą brodu i podartych łachów; szczupły, ale tors umięśniony miał prawidłowo, a na skórze nie było żadnych oznak niedożywienia. Musiał być bez wątpienia bardzo silny.

„Ale wszystko zasadzało się na przyczynie — myślała Gada — dla której uzdrowiciele nosili ze sobą węże snu. Ich jad nie zabijał i nie sprawiał, że śmierć była nieunikniona. Raczej ułatwiał przejście od życia do śmierci i pomagał umierającemu człowiekowi przyjąć ostateczność”.

Gdyby dać mu czas, szaleniec bez wątpienia doprowadziłby się do śmierci. Ale Gada nie miała zamiaru pozwolić mu, aby zrealizował swoje zamiary, zanim obcy nie powie, skąd przyszedł i co tam się dzieje. Nie miała też ochoty zarywać nocy i pełnić przy nim wartę na zmianę z Melissą. Obie musiały porządnie się wyspać.

Ręce szalenca były tak wiotkie, jak złachmaniony strój pustynny, który je okrywał. Gada podniosła jego ręce nad głowę i przywiązała nadgarstki do siodła. Nie skrępowała go ciasno, lecz po prostu na tyle mocno, żeby mogła go usłyszeć, gdyby chciał uciec. Wieczór zrobił się chłodny, więc zarzuciła na niego dodatkowy koc, a później z Melissą rozłożyły swoje koce na ziemi i poszły spać.

Musiło być koło północy, kiedy Gada znowu się obudziła. Ogień wygasł, pogrążając obóz w absolutnej ciemności. Gada leżała bez ruchu, nasłuchując, czy szaleniec nie próbuje uciekać.

Melissa krzyczała przez sen. Gada przysunęła się, szukając po omacku córki i dotknęła jej ramienia. Usiadła obok, gładząc dziecko po włosach i twarzy.

— Już dobrze, Melisso — szepnęła. — Zbudź się. To tylko zły sen.

Po chwili Melissa zerwała się i usiadła.

— Co...?

— To ja, Gada. Męczył cię koszmar.

Głos Melissy drżał.

— Myślałam, że znowu jestem w Podgórzu — powiedziała. — Myślałam, że Ras...

Gada przygarnęła ją, nadal gładząc po miękkich, kręconych włosach.

— Już nic. Już dobrze. Nigdy nie będziesz musiała tam wrócić.

Poczuła, że Melissa kiwnęła głową.

— Czy chcesz, żebym została obok ciebie? — zapytała Gada. — Czy to może z powrotem przywołać koszmar?

Melissa wahała się.

— Zostań, proszę — wyszeptała.

Gada położyła się i naciągnęła na siebie oba koce. Noc zrobiła się zimna, ale była szczęśliwa, że nie jest już na pustyni, w miejscu, gdzie grunt długo przetrzymywał żar dnia. Melissa wtuliła się w nią.

Było zupełnie ciemno, ale Gada, sądząc po oddechu Melissy, mogła przypuszczać, że dziewczynka znowu śpi. Sama nie zasypiała jeszcze, przez jakiś czas. Słyszała ponad szeptaniem wody w strumieniu chrapliwy oddech szaleńca. Czuła też wibrację kopyt Liska i Błyskawicy na twardo ubitej ziemi, gdy konie zmieniały pozycję.

Głos szaleńca był głośny i jękliwy, ale o wiele mocniejszy niż zeszłej nocy.

— Pozwól mi wstać. Rozwiąż mnie. Chcesz mnie torturować, aż umrę? Muszę się odlać. Chce mi się pić.

Gada odrzuciła koce i usiadła. Z początku chciała mu podać picie, ale zdecydowała, że to bez sensu tak dawać się budzić o świcie. Wstała i przeciągnęła się ziewając. Później pomachała do Melissy, stojącej między Błyskawicą i Liskiem, które trącały ją pyskami, domagając się śniadania. Melissa zaśmiała się i kiwnęła ręką Gadzie.

— No co? Dasz mi wstać? — odezwał się znowu szaleniec.

— Za moment.

Skorzystała z prowizorycznej toalety za pobliskimi krzakami i poszła do strumienia opryskać wodą twarz. Chciała się wykapać, ale w strumieniu nie było dość wody, a nie zamierzała też zmuszać szaleńca, by czekał zbyt długo. Wróciła do obozu i rozplątała węzły wokół nadgarstków mężczyzny. Usiadł, rozcierając ręce i mamrocząc, po czym poderwał się.

— Nie chciałam naruszać twojej prywatności — powiedziała Gada — ale nie znikaj mi z oczu.

Warknął coś niezrozumiale, lecz wykonał jej polecenie. Wrócił do Gady powłócząc nogami, kucnął obok i rzucił się na manierkę. Pil chciwymi haustami. Otarł usta rękawem i zaczął rozglądać się za jedzeniem

— Jest śniadanie?

— Myślałam, że planujesz umrzeć.

Prychnął.

— Każdy w moim obozie musi zapracować na posiłek — powiedziała Gada. — Ty na swój możesz zarobić mówieniem.

Mężczyzna popatrzył w ziemię i westchnął. Miał ciemne, krzaczaste brwi, które ocieniały jego jasne oczy.

— Dobra — powiedział.

Usiadł po turecku i oparł ramiona na kolanach; dłonie zwisały mu luźno, palce drżały.

Gada czekała, ale on się nie odzywał.

W ciągu ostatnich kilku lat zniknęły dwie uzdrowicielki. Gada ciągle myślała o nich, używając ich dziecięcych imion, które nosiły, zanim wyruszyły na okres próbny. Nie była zbyt blisko z Filipą, ale Jenneth była jej ulubioną starszą siostrą, jedną z trzech najbliższych jej osób. Ciągle jeszcze pamiętała tę zimę i wiosnę, gdy dobiegł końca próbny rok Jenneth: mijały dni i wspólnota powoli zaczynała zdawać sobie sprawę, że ona już nie wróci. Nigdy nie dowiedzieli się, co się stało. Czasami, kiedy umarł uzdrowiciel, posłaniec przynosił złą wiadomość do ośrodka, a czasami nawet przywożono węże. Ale nigdy nie było żadnej wiadomości o Jenneth. A może szalenciec omdlewający teraz przed Gadą rzucił się kiedyś na jej siostrę i zabił ją z powodu jej węża snu?

— No? — powiedziała ostro Gada.

Szalenciec zląkł się.

— Co?

Gada pohamowała się.

— Skąd jesteś?

— Z południa.

— Z jakiego miasta?

Na jej mapach była zaznaczona południowa przełęcz, ale nic poza nią. Tak w górach, jak i na pustyni, ludzie mieli słuszne powody, aby unikać obszarów daleko wysuniętych na południe.

Wzruszył ramionami.

— Z żadnego. Nie zostało tam żadne miasto, tylko pęknięta kopuła.

— Skąd miałeś węża snu?

Wzruszył ramionami.

Gada zerwała się na nogi i chwyciła go za brudne ubranie. Materiał przy szyi ściągnął się przy jej pięściach, gdy pociągnęła go w górę.

— Odpowiadaj!

Łza stoczyła mu się po policzku.

— Ale jak? Nie rozumiem cię. Skąd go miałem? Ja nigdy żadnego nie miałem. One zawsze tam były, ale nie moje. Były tam, kiedy przyszedłem i były, kiedy odchodziłem. Po co by mi był twój, gdybym miał parę swoich?

Szaleniec znowu znalazł się na ziemi, gdy Gada powoli rozkurczyła palce.

— Parę swoich?

Wyciągnął ręce i podniósł je, aby opadły mu rękawy. Także na przedramionach po wewnętrznej stronie, na nadgarstkach, wszędzie tam, gdzie żyły były widoczne, widniały blizny po ukąszeniach.

— Najlepiej, jak kąsają cię wszystkie naraz, wszędzie — powiedział wzruszony. — Gardło to szybkie i pewne, to w nagłych przypadkach, żeby przetrwać. To to, co Polarny daje normalnie. A po całym ciele, jak zrobisz dla niego coś ekstra. Wtedy daje ci to.

Szaleniec skulił się, obnażył ramiona i zaczął je rozcierać, jakby mu było zimno. Zarumienił się, podekscytowany.

— A wtedy czujesz, czujesz... wszystko zaczyna płonąć, jesteś cały w ogniu, wszystko... i to trwa...

— Przestań!

Ręce opadły mu na ziemię i znów popatrzył na nią niewidzącymi oczami.

— Co?

— Ten Polarny? On ma węże snu?

Szaleniec gorliwie pokiwał głową.

— Dużo?

— Całą jamę. Czasami spuszcza na dół kogoś do przepaści, nagradza ich... Ale mnie nigdy... nie od pierwszego razu.

Gada usiadła, wpatrując się w szaleńca; wyobrażała sobie delikatne stworzenia uwięzione w głębokiej czeluści, narażone na działanie żywiołów.

— Skąd je bierze? Czy handlują z nim ludzie z Miasta? Czy ma kontakty z pozaziemskimi?

— Bierze je? One tam są. Polarny je ma.

Gadą wstrząsały dreszcze tak samo silne, jak te, które trzęsły szaleńcem. Mocno zaciśnęła ręce wokół kolan, potem powoli je rozluźniła. Przestała drzeć.

— Rozłościł się na mnie i mnie odesłał — powiedział szaleniec. — Taki byłem chory... Wtedy usłyszałem o uzdrowicielce i poszedłem cię szukać, ale cię tam nie było, a węża snu zabrałaś ze sobą... — mówił coraz głośniej i szybciej. — A ci ludzie ścigali mnie, ale ja jechałem za tobą i jechałem, i jechałem, aż znowu wróciłaś na pustynię. Nie mogłem już tam za tobą jechać, po prostu nie mogłem. Próbowałem wrócić do domu, ale nie mogłem, no to położyłem się, żeby umrzeć, ale tego też nie mogłem zrobić. Dlaczego przyjechałaś prosto do mnie, skoro nie masz węża snu? Dlaczego nie pozwolisz mi umrzeć?

— Jeszcze daleko ci do śmierci — powiedziała Gada. — Będziesz żył tak długo, aż zaprowadzisz mnie do Polarnego i do węży snu. Potem to, czy będziesz żył, czy umrzesz, to już twoja, zupełnie prywatna sprawa.

Szaleniec wlepił w nią wzrok.

— Ale Polarny mnie odesłał.

— Nie musisz już go więcej słuchać — powiedziała Gada. — Już nie ma nad tobą władzy, skoro nie chce ci dać tego, czego potrzebujesz. Twoja jedyna szansa, to pomóc mi w zdobyciu kilku węży snu.

Szaleniec wpatrywał się w nią przez długą chwilę, mrugając oczami i marszcząc czoło w głębokim zamyśleniu. Niespodziewanie twarz mu się rozjaśniła. Stała się pogodna i radosna. Ruszył w jej stronę, potknął się, zaczął pełznąć na kolanach, aż chwycił ją za ręce. Jego dłonie były brudne i szorstkie. Pierścień, który rozciął jej czoło, okazał się tylko pustą kasetą, z której wypadł kamień.

— Mówisz, że pomożesz mi zdobyć węża snu dla mnie? — Uśmiechnął się. — Żeby używać go, kiedy zechcę?

— Tak — powiedziała Gada przez zaciśnięte zęby.

Wyrwała ręce, gdy szaleniec nachylił się, aby je ucałować. Teraz już mu obiecała i chociaż wiedziała, że to jedyny sposób, aby wymusić jego współpracę — czuła się, jakby popełniała potworny grzech.

11.

Przyćmione światło księżyca sączyło się na wspaniałą drogę prowadzącą w stronę Podgórza. Arevin był tak pochłonięty myślami, że nie zauważył, kiedy zapadł zmierzch. Choć ośrodek uzdrowieli leżał sporo drogi za nim, ciągle nie spotkał nikogo, kto miałby jakieś wieści o Gadzie. Podgórze było ostatnim miejscem, w którym mogła być, bo już nic nie było dalej na południe. Mapy Arevina przedstawiające góry centralne miały zaznaczone wszystkie szlaki uzdrowieli, starą, nie uczęszczaną przełęcz, która przecinała wschodni łańcuch i na tym się kończyły. Podróżnicy w górach, jak i w kraju Arevina, nie odważali się zapuszczać daleko w południowe rejony swojego świata.

Arevin próbował nie myśleć, co zrobi, jeżeli nie znajdzie tutaj Gady. Nie był jeszcze dostatecznie blisko grzbietów gór, aby móc spojrzeć na wschodnią pustynię i był z tego zadowolony. Skoro nie widział, jak rozpoczynają się burze, mógł sobie wmawiać, że spokojna pogoda potrwa dłużej niż zwykle.

Przejechał przez wielkie zakole, spojrzął w górę i osłonił lampę. Z przodu dostrzegł światła: miękkie, żółte światła gazowe. Miasto wyglądało jak kosz iskier rozsypanych na stoku, wszystkie zbite w gromadę, z wyjątkiem kilku rozproszonych na dnie doliny.

Choć widział wiele miast, to ciągle zaskakiwało go, ile pracy i krzątania było w nich po zmroku. Zdecydował się wjechać do Podgórza jeszcze tej nocy — może zbierze jakieś informacje o Gadzie do rana? Otulił się szczelniej peleryną przed chłodem nocy.

Wbrew własnej woli Arevin zasnął i zbudził się dopiero wtedy, gdy kopyta końskie zadźwięczały na bruku. Nie widać było, aby ktoś tu jeszcze nie spał, więc Arevin pojechał dalej, aż do centrum miasta z jego tawernami i innymi miejscami rozrywki. Było tu prawie tak jasno jak w dzień, a ludzie zachowywali się, jakby to wcale nie była noc. Przez drzwi tawerny zobaczył kilku robotników. Założyli sobie ręce na ramiona i śpiewali. Tawerna sąsiadowała z zajazdem, zatrzymał więc konia i zsiadł. Sugestia Thada, ażeby rozpytywać po zajazdach, była całkiem słuszna, choć na razie żaden z właścicieli, z którymi Arevin rozmawiał, nie miał dla niego żadnych informacji.

Wszedł do środka. Pieśniarze nadal śpiewali, zagłuszając melodię, którą im wygrywała flecistka. Odłożyła instrument na kolana, sięgnęła po gliniany kufel i popiła. „Piwo” — pomyślał Arevin. Przyjemny zapach drożdży wypełniał tawernę. Pieśniarze zaczęli

nową pieśń, ale dziewczyna dmuchnęła fałszywie we flet i wlepiła wzrok w Arevina. Jeden z mężczyzn zerknął na nią. Pieśń ucichła, gdy on i inni biesiadnicy zaczęli patrzeć w tę samą stronę. Melodia fletu podjechała piskliwie w górę, opadła nisko i urwała się. Uwaga wszystkich skierowana była na Arevina.

— Witam was — powiedział oficjalnie. — Chciałbym porozmawiać z właścicielem, jeśli jest to możliwe.

Nikt się nie poruszył. Wtedy muzykantka zerwała się na nogi, przewracając swój stół.

— Zaraz... ja... zobaczę, czy ją znajdę. — Zniknęła za zasłoną.

Nikt się nie odzywał, nawet barman. Arevin nie wiedział, co powiedzieć. Nie przepuszczał, że jest taki brudny, żeby aż wszystkim odjęło mowę, a na pewno w mieście handlowym ludzie powinni być przyzwyczajeni do stroju, w jaki był ubrany. Wszystko, na co go było stać, to też gapić się na nich i czekać. Może znowu zaczną śpiewać albo pić piwo, albo spytają go, czy nie chce mu się pić.

Nie zrobili nic.

Poczuł się idiotycznie. Zrobił krok do przodu, zachowując się jak gdyby nigdy nic, ale gdy tylko się poruszył, wydawało mu się, że wszyscy w tawernie wstrzymali oddech i ze zgrozą odsunęli się od niego. Napięcie w gospodzie nie było takie, jak zwykle, gdy ludzie oglądają obcego przybysza, ale jak między wojownikami czekającymi na wroga.

Zasłona w tylnym wyjściu rozsunała się i w cieniu ukazała się jakaś postać. Właścicielka wyszła do światła i spojrzała na Arevina spokojnie, bez cienia strachu.

— Życzyłeś sobie ze mną rozmawiać?

Była wzrostu Arevina, elegancka i przystojna. Nie uśmiechnęła się. Ludzie z gór łatwo uzewnętrzniali swoje uczucia, więc Arevin zastanawiał się, czy czasem nie naruszył prywatności czyjegoś domu albo nie złamał obyczajów, którego nie znał.

— Tak — powiedział. — Szukam uzdrowicielki o imieniu Gada. Myślałem, że może uda mi się znaleźć ją w waszym mieście.

— Czemu myślisz, że ją tutaj znajdziesz?

„Jeżeli ze wszystkimi podróżnymi rozmawiano w Podgórzu tak niegrzecznie, to w jaki sposób to miasto mogło tak świetnie prosperować?” — dziwił się w duchu Arevin.

— Jeżeli nie ma jej tutaj, to znaczy, że nigdy nie dotarła do gór i jest gdzieś na zachodniej pustyni. Burze już nadchodzą.

— Dlaczego jej szukasz?

Arevin pozwolił sobie na lekkie zmarszczenie brwi, bo to pytanie przekraczało już granicę dobrego wychowania.

— Nie wydaje mi się, żeby to był twój interes — powiedział. — Jeśli normalne zasady grzeczności i dobrego wychowania nie należą do obyczajów twojego domu, pójdę poprosić gdzie indziej.

Odwrócił się i omal nie wszedł na dwoje ludzi z insygniami na kołnierzach, trzymających w dłoniach łańcuchy.

— Proszę z nami — powiedziała kobieta.

— Z jakiego powodu?

— Podejrzenie o napaść — powiedział mężczyzna.

Arevin spojrział na niego oniemiały, z najwyższym zaskoczeniem.

— Napaść? Nie jestem tutaj dłużej niż dwie minuty.

— To się sprawdzi — powiedziała kobieta.

Złapała go za przegub, by założyć kajdanki. Odciągnął rękę w przerażeniu, ale trzymała mocno. Zaczął się szarpać i tych dwoje rzuciło się na niego. Po chwili oboje polecili na siebie, a właścicielka baru krzyknęła, dopingując przeciwników Arevina. Ten ruszył na swoich napastników i zgiął się prawie do ziemi. Coś uderzyło go z boku w głowę. Poczuł, jak kolana mu miękną i zemdłał.

Ocknął się w małym kamiennym pomieszczeniu z jednym, umieszczonym bardzo wysoko oknem. Głowa bolała go potwornie. Nie rozumiał, co zaszło, bo handlarze, z którymi klan prowadził interesy, mówili o Podgórzu jako o mieście ludzi uczciwych. Może ci miejscy bandyci napadali tylko na samotnych podróżnych, a zostawiali w spokoju dobrze chronione karawany? Jego pas wraz ze wszystkimi pieniędzmi i nożem zniknął. Dlaczego jeszcze nie leżał martwy gdzieś w rowie? Tego nie mógł pojąć. Ale przynajmniej nie był już zakuty w łańcuchy.

Usiadł powoli. Próbował pozostać w bezruchu, gdy świat zawirował mu przed oczami. Rozejrzał się dookoła. Posłyszał kroki na korytarzu; wstał, zatoczył się, potem podciągnął, żeby zajrzeć przez kraty w małym otworze w drzwiach. Szybkie kroki oddaliły się.

— To tak traktujecie gości odwiedzających wasze miasto? — krzyknął.

Jego łagodne usposobienie zostało poddane trudnej próbie. Nikt nie odpowiedział. Rozluźnił uchwyt w kracie i opuścił się na podłogę. Nie widział ze swego więzienia nic, prócz drugiej kamiennej ściany. Okno było zbyt wysoko, żeby do niego dosięgnąć, nawet, gdy podsunął ciężkie drewniane łóżko i stanął na nim. Całe oświetlenie w pomieszczeniu stanowiła rozległa, słoneczna plama na ścianie naprzeciw okna. Ktoś zabrał Arevinowi strój pustynny i wysokie buty, zostawiwszy jedynie długie, luźne spodnie do konnej jazdy.

Uspokajał się powoli; postanowił czekać. Usłyszał nierówne kroki i stukot laski. Ktoś schodził w dół kamiennym korytarzem. Szczękniętą klucz i drzwi otworzyły się szeroko. Strażnicy, niosący te same insygnia, co jego napastnicy poprzedniej nocy, weszli pierwsi, zachowując pełną ostrożność. Było ich troje, co wydawało się Arevinowi dziwne, gdyż wcześniej nie zdołał pokonać nawet dwójki. Nie był zbyt doświadczony w walce. W jego klanie dorośli łagodnie rozdzielali szamoczące się dzieciaki i próbowali łagodzić spory przy pomocy słów. Wielki, czarnowłosy mężczyzna wszedł do celi, podparty na towarzyszącym mu funkcjonariuszu i na lasce. Arevin nie przywitał go ani się nie podniósł. Patrzyli na siebie sztywno przez kilka chwil.

— No, nareszcie uzdrowicielce nic nie grozi z twojej strony — powiedział zwalisty mężczyzna.

Pomocnik zostawił go na chwilę, aby przyciągnąć krzesło z korytarza. Kiedy mężczyzna usiadł, Arevin zauważył, że nie był on trwale kulawy, tylko ranny — miał zabandażowaną prawą nogę.

— I tobie też pomogła — powiedział Arevin. — To dlaczego zasadzacie się na tych, którzy chcieliby jej pomóc?

— Udajesz normalnego całkiem nieźle. Ale spodziewam się, że jak poobserwujemy cię przez parę dni, to wrócą ci napady szału.

— Nie wątpię, że jak potrzymacie mnie tu dłużej, to dostanę szału — powiedział Arevin.

— Czy sadzisz, że puścimy cię wolno, abyś mógł znowu śledzić uzdrowicielkę?

— Czy ona jest tutaj? — spytał z niecierpliwością Arevin. — Musiała bezpiecznie przejechać pustynię, skoro ją widziałeś.

Ciemnowłosa mężczyzna przypatrywał mu się przez kilka sekund.

— Zaskoczony jestem, że ty mówisz o jej bezpieczeństwie — powiedział. — Ale przypuszczam, że braku logiki należy się po szaleńcu spodziewać.

— Szaleńcu?

— Uspokój się. Wiemy, że na nią napadłeś.

— Napadłeś...? Czy ktoś na nią napadł? Nic jej nie jest? Gdzie ona jest?

— Myślę, że bezpieczniej dla niej będzie, jeśli nic ci nie powiem.

Arevin spojrzał w bok, próbując zebrać myśli. W głowie miał zamęt, który paradoksalnie mieszał mu się z uczuciem ulgi. Przynajmniej Gadzie udało się przebyć pustynię. Musi być bezpieczna.

Na skazę w kamiennym bloku padło światło. Arevin wpatrywał się w migający punkt, uspokajając się.

Podniósł wzrok niemal z uśmiechem.

— Ta cała rozmowa jest głupawa. Poproś ja, żeby się ze mną zobaczyła. Ona powie ci, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Doprawdy? A kto się chce z nią widzieć?

— Powiedz jej...że ktoś, czyje imię zna.

Zwalisty mężczyzna warknął.

— Wy barbarzyńcy i wasze przesady...

— Ona wie, kim jestem — powiedział Arevin, nie poddając się jego złości.

— I chciałbyś konfrontacji z uzdrowicielką?

— Tak.

Wielki mężczyzna pochylił się do tyłu na krześle i spojrzał na swego asystenta.

— No cóż, Brianie, ten człowiek na pewno nie mówi jak szaleniec.

— Nie, panie — powiedział starszy człowiek.

Wielki mężczyzna popatrzył na Arevina, ale tak naprawdę jego wzrok koncentrował się gdzieś za nim, na ścianie.

— Ciekaw jestem, co by Gabriel... — uciął i zerknął na pomocnika. — Czasem miał dobre pomysły w takich sytuacjach. — Wydawało się, że jest trochę zakłopotany.

— Tak, panie burmistrzu, miał.

Zapanowała cisza dłuższa i jeszcze bardziej intensywna. Arevin wiedział, że za chwilę strażnicy, burmistrz i stary człowiek o imieniu Brian wstaną i zostawią go samego w ciasnej, nieprzyjemnej celi. Poczował, jak kropla potu spływa mu po boku.

— Cóż... — powiedział burmistrz.

— Panie... — odezwała się z wahaniem strażniczka.

Burmistrz odwrócił się do niej.

— No śmiało! Mów. Nie uśmiecha mi się zamykanie niewinnych. Ale mieliśmy tu ostatnio szaleńca na swobodzie.

— Ostatniej nocy, kiedy go aresztowaliśmy, wyglądał na zaskoczonego. Teraz wierzę, że jego zaskoczenie było szczere. Pani Gada walczyła z szaleńcem, burmistrzu. Wygrała walkę, ale wróciła porządnie poturbowana. A ten człowiek nie ma nawet siniaka.

Usłyszawszy, że Gada została poraniona, Arevin musiał powstrzymać się, aby nie spytać ponownie, czy nic jej nie jest; wołał raczej nie poniżać się przed tymi ludźmi.

— Tak, wydaje się, że to prawda. Jesteś bardzo spostrzegawcza — powiedział burmistrz do strażniczki. — Czy masz jakieś sińce? — spytał Arevina.

— Nie.

— Wybacz, ale będę nalegał, abyś to udowodnił.

Arevin wstał. Bardzo nie podobała mu się konieczność rozbierania się do naga przed obcymi. Rozpiął jednak spodnie i pozwolił, aby opadły na podłogę. Obracał się powoli, a burmistrz go oglądał. Nagle przypomniał sobie, że przecież bił się zeszłej nocy i może być gdzieś posiniaczony. Nikt jednak nic nie powiedział, więc obrócił się do końca i włożył spodnie.

Starszy człowiek podszedł do niego. Strażnicy zeszywnieli.

Arevin nie poruszył się. Ci ludzie mogą każdy ruch uznać za atak.

— Ostrożnie, Brianie — powiedział burmistrz.

Brian ujął rękę Arevina, spojrział na wierzch dłoni, obrócił je, przyjrzał się palcom. Puścił. Powrócił na swoje miejsce u boku burmistrza. — On nie ma żadnego pierścienia. Wątpię, aby kiedykolwiek jakiś nosił. Ręce ma opalone i nie ma na nich śladu. Uzdrowicielka powiedziała, że napastnik rozciął jej czoło pierścieniem.

Burmistrz prychnął.

— Co zatem myślisz?

— Tak jak rzekłeś, panie, on nie mówi jak szaleniec. A poza tym szaleniec niekoniecznie musi być głupi. A to głupie, żeby pytać o uzdrowicielkę i nosić strój pustynny, jeżeli się nie jest bez winy. Skłonny byłbym nalegać, aby zwolnić tego człowieka za słowem honoru.

Burmistrz spojrział na swego pomocnika i na strażniczkę.

— Mam nadzieję — powiedział tonem, w którym nie było ani krzty kpiny — że ostrzeżecie mnie uczciwie, zanim któreś z was zdecyduje się ubiegać o mój urząd. — Zwrócił się do Arevina: — Gdybyśmy pozwolili ci zobaczyć uzdrowicielkę, zgodzisz się pozostać w kajdankach, zanim ona cię rozpozna?

Arevin ciągle pamiętał z zeszłej nocy dotyk żelaza na skórze, które chwyciło go, znie-
walało, przenikało chłodem aż do kości. Ale Gada wyśmiewa ich, gdy zaproponują łańcu-
chy. Tym raźniej się już uśmiechnął.

— Przekażcie uzdrowicielce wiadomość o mnie — powiedział — a potem zdecydu-
jecie, czy trzeba mnie zakuwać w łańcuchy.

Brian pomógł burmistrzowi wstać. Burmistrz zerknął na strażniczkę, która wierzyła
w niewinność Arevina.

— Bądźcie w gotowości. Przyślę po niego.

— Tak, proszę pana.

Strażniczka wróciła z łańcuchami. Arevin wlepił przerażone spojrzenie w pobrzęku-
jący metal. Miał nadzieję, że następną osobą, która przekroczy te drzwi, będzie Gada.
Wstał machinalnie, gdy strażniczka podchodziła do niego.

— Przykro mi — powiedziała.

Umocowała mu zimną, żelazną obręcz wokół pasa, zakuła lewy przegub i przecią-
gnęła łańcuch przez kółko obręczy. Następnie zakuła prawy przegub. Poprowadzili go
korytarzem. Wiedział, że Gada by do tego nie dopuściła. Jeżeli to ona wydała polecenie,
to znaczy, że osoba z jego pamięci nigdy nie istniała w rzeczywistości. Łatwiejsza do za-
akceptowania byłaby jej śmierć.

Może strażnicy źle zrozumieli? Rozkaz, jaki im przekazano, mógł zostać zniekształ-
cony. Albo przesłano go tak szybko, że ktoś zapomniał powiedzieć im, że łańcuchy nie
są potrzebne. Arevin postanowił znieść ten poniżający błąd z dumą i poczuciem hu-
moru.

Strażnicy wyprowadzili go na światło dzienne, które oślepiło go zupełnie. Po chwili
znów byli pod dachem, ale jego oczy wciąż nie mogły się przystosować, nawet do pół-
mroku. Nic nie widząc, wchodził po schodach, potykając się raz po raz.

Pokój, do którego został wprowadzony, był prawie zupełnie pogrążony w ciemno-
ści. Arevin zatrzymał się w drzwiach, z trudem rozpoznając owiniętą w koc postać, sie-
dzącą na krześle tyłem do niego.

— Uzdrowicielko — powiedział jeden ze strażników — oto ten, który twierdzi, że
jest twoim przyjacielem.

Kobieta nie odezwała się ani nie poruszyła.

Arevin zamarł z przerażenia. Jeżeli ktoś ją zaatakował, jeśli ją tak poranił, że nie
mogła ani mówić, ani się poruszać, ani wyśmiać ich, kiedy mówili o łańcuchach...
W przerażeniu zrobił krok w jej kierunku, potem jeszcze jeden. Tak bardzo chciał do
niej podbiec i powiedzieć, że będzie się nią opiekował. Tak bardzo chciał od niej teraz
uciec i już nigdy nie pamiętać jej inną niż wtedy, gdy była w pełni zdrowa i silna.

Zobaczył jej rękę, zwisającą bezwładnie. Padł na kolana obok otulonej całunem postaci.

— Gado...

Łańcuchy powodowały niezdolność ruchów. Wziął jej rękę i pochylił się, aby ją pocałować.

Gdy tylko jej dotknął, a nawet już wcześniej, zanim zobaczył jej wolną od blizn skórę, wiedział, że to nie Gada. Rzucił się w tył z okrzykiem przerażenia.

— Gdzie ona jest?

Okryta postać w fotelu odrzuciła koc z okrzykiem wstydu. Uklękła przed Arevinem i wyciągnęła do niego ręce. Łzy ciekły jej po policzkach.

— Przepraszam — zawodziła. — Proszę, wybacz mi...

Osunęła się niżej. Długie włosy okalały jej piękną twarz.

Ogromny mężczyzna wykuśtykał z ciemnego kąta pokoju. Tym razem Brian pomógł wstać Arevinowi i za moment łańcuchy z brzękiem opadły na podłogę.

— Musiałem mieć jakiś pewniejszy dowód niż siniaki i pierścienie — powiedział burmistrz. — Teraz już ci wierzę.

Do Arevina docierały głosy, ale nie rozumiał znaczenia słów. Wiedział, że Gady tutaj nie ma. Ona nigdy by się nie zgodziła wziąć udziału w tej farsie.

— Gdzie ona jest? — wyszeptał.

— Odjechała. Pojechała do Miasta. Do Centrum.

Arevin siedział na luksusowej kanapie w jednym z gościnnych pokoi burmistrza. Była to ta sama komnata, w której mieszkała Gada. Rozsunięte story ujawniały ciemność za oknami. Arevin nie poruszył się od czasu, gdy wrócił z punktu obserwacyjnego, skąd patrzył na zachodnią pustynię i przetaczające się masy burzowych chmur. Zabójcze wiatry zamieniały ostrokrawędziste ziarnka piasku w śmiertelną broń. W czasie burzy grube ubranie nie będzie dostatecznie chroniło Arevina; nie ochroni go też największa nawet odwaga i desperacja. Parę chwil na pustyni i będzie martwy, po godzinie wiatr obdrze jego ciało do nagich kości. Wiosną nie będzie po nim śladu.

Jeżeli Gada przebywała na pustyni, to już nie żyła.

Nie płakał. Gdyby wiedział, że Gada nie żyje, pograżyłby się w żałobie, ale nie chciał wierzyć w jej śmierć. Zastanawiał się, czy to głupio być przekonanym, że gdyby Gada umarła, musiałby o tym wiedzieć. Rozmaicie już sobie myślał, ale jeszcze nigdy, że jest głupcem.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę — powiedział niechętnie.

Larril, służąca, która udawała Gadę, weszła do pokoju.

— Dobrze się czujesz?

— Tak.

— Chciałbyś kolację?

— Myślałem, że jest bezpieczna — powiedział. — A ona jest na pustyni, a burze już się zaczęły.

— Miała czas, aby dostać się do Centrum — pocieszała go Larril. — Wyruszyła, mając jeszcze sporo czasu.

— Dużo dowiedziałem się o Mieście — powiedział Arevin. — Ludzie stamtąd potrafią być okrutni. A co by było, gdyby jej nie wpuścili?

— Miała dość czasu, nawet żeby wrócić.

— Ale jeszcze jej tu nie ma. Nikt jej nie widział. Gdyby tu była, wszyscy by wiedzieli.

Wziął milczenie Larril za potwierdzenie i oboje patrzyli posępnie w okno.

— Może... — ucięła Larril.

— Co?

— Może powinieneś odpocząć i poczekać na nią; szukałeś jej w tylu miejscach.

— Nie to chciałaś powiedzieć.

— Nie...

— Proszę cię, powiedz.

— Jest jeszcze jedna przełęcz, na południu. Nikt już jej teraz nie używa, ale jest bliżej Centrum.

— Masz rację — powiedział powoli, próbując odtworzyć w pamięci mapę. — Czy mogła tamtędy pójść?

— Tak.

— Dziękuję ci — powiedział Arevin. — Mogłem to sam wcześniej zauważyć, patrząc na mapę. Mogłem też stracić już nadzieję. Wyruszę tam jutro. — Wzruszył ramionami — Próbowałem już raz na nią czekać i nie mogłem. Jeżeli spróbuję jeszcze raz, rzeczywiście oszaleję. Jestem twoim dłużnikiem.

Spojrzała w bok.

— Każdy w tym domu ma wobec ciebie dług, którego nigdy nie będzie w stanie spłacić.

— Nie ma o czym mówić — powiedział. — Już o tym zapomniałem.

Wydawało się, że te słowa przyniosły jej ulgę. Arevin zaczął znowu patrzeć w okno.

— Uzdrowicielka była dla mnie dobra, a ty jesteś jej przyjacielem — powiedziała Larril. — Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

— Nie — powiedział Arevin. — Nic.

Zawahała się, odwróciła i odeszła.

Szaleniec ciągle nie mógł, czy też nie chciał sobie przypomnieć swojego imienia.

„A może — myślała Gada — pochodzi z takiego klanu jak Arevin i nie chce podać swojego imienia obcym?”

Gada nie potrafiła wyobrazić sobie szaleńca w klanie Arevina. Jego ludzie byli spokojni i opanowani. Szaleniec był uzależniony i chwiejny. W jednym momencie dziękował jej za obiecanego węża snu, a za chwilę płakał i jęczał, że Polarny na pewno go zabije. Nic nie mogło go uspokoić.

Gada cieszyła się, że jest znowu w górach, gdzie można podróżować za dnia. Poranek był zimny i tajemniczy, szlaki wąskie i zasnuwane mgłą.

Melissa jechała tuż obok niej: rozglądała się w milczeniu. Nie zbliżała się do szaleńca, jeśli nie było to konieczne. Jego stary koń nie mógł dotrzymać kroku Błyskawicy i Liskowi, ale przynajmniej Gada nie była zmuszona do jazdy we dwójkę na jednym wierzchowcu.

Koń powłóczył nogami we mgle; powieki miał opadnięte, uszy opuszczone. Szaleniec nucił coś na fałszywą nutę.

— Czy trakt nie wydaje ci się już znajomy?

Szaleniec gapił się na nią z uśmiechem.

— Dla mnie to wszystko jednakowe — powiedział i roześmiał się.

Uderzyć go, zbesztać, pogrozić mu — wszystko to nie przynosiło żadnego efektu. Wydawało się, że nie czuje bólu, nie ma żadnych potrzeb. Od czasu, gdy Gada obiecała mu węża snu — jakby sama nadzieja wystarczała, aby go utrzymać przy życiu. Podśpiewywał i pomrukiwał z zadowoleniem, mówił niezrozumiałe dowcipy, a czasem prostował się, rozglądał dookoła i wykrzykiwał: „Zawsze na południe”, po czym znów oddawał się nuceniu pozbawionych melodii piosenek. Gada westchnęła i przepuściła przodem zmarnowanego konia szaleńca.

— Nie wydaje mi się, żeby nas w ogóle dokądś prowadził — powiedziała Melissa. — Wydaje mi się, że jeździ z nami w kółko, żebyśmy się nim opiekowały. Powinniśmy go tu zostawić i pojechać swoją drogą.

Szaleniec zeszytywniał. Odwrócił się powoli. Stary koń stanął. Gada, zaskoczona, spostrzegła łzy płynące z oczu.

— Nie zostawiajcie mnie — powiedział. Wyraz jego twarzy i ton głosu wzbudzały litość. Przedtem nie wydawało się, żeby cokolwiek go obchodziło. Spojrzał na Melissę, mrugając pozbawionymi rzęs powiekami. — Masz rację, że mi nie ufasz, mała — powiedział. — Ale proszę, nie porzucajcie mnie. — Oczy mu się zamglily, a słowa płynęły jakby z oddali. — Zostań ze mną w pękniętej kopule i oboje będziemy mieli swoje węża snu. Na pewno twoja pani da ci jednego. — Pochylił się w jej stronę, wyciągając szponiasto rozczapierzone palce. — Zapomnisz o złych wspomnieniach i kłopotach, zapomnisz o swoich bliznach...

Melissa szarpnęła się w tył, odsunęła się od niego z niezrozumiałym przekleństwem, zaskoczona i zła. Ścisnęła nogami Liska i ruszyła galopem, kładąc się nisko na karku tygrysięgo kucyka. Za chwilę drzewa przysłoniły wszystko i słychać było tylko stłumiony tętent kopyt.

Gada rzuciła na szaleńca wściekłe spojrzenie.

— Jak mogłeś powiedzieć jej coś takiego?

— Co złego powiedziałem?

— Jedź za nami, rozumiesz? Nie zbaczaj ze szlaku. Odnajdę ją i poczekamy na ciebie.

Piętami uderzyła Błyskawicę po bokach i pocwałowała za Melissą. W ślad za nią biegł zdziwiony głos szaleńca:

— Ale dlaczego ona tak zrobiła?

Gada nie martwiła się o bezpieczeństwo Melissy czy Liska. Córka potrafiła jeździć na każdym koniu po tych górach, nie narażając na niebezpieczeństwo ani siebie, ani swojego wierzchowca. Na uległym tygrysim kucyku była podwójnie bezpieczna. Chodziło o to, że szaleniec uraził dziecko i Gada nie chciała zostawić córki w samotności.

Nie odjechała daleko. Tam, gdzie szlak znowu piał się w górę po zboczu doliny na kolejną przełęcz, Melissa stała obok Liska, tuląc się do jego szyi, a on trącał ją nosem w ramię. Usłyszawszy zbliżającą się Błyskawicę, Melissa otarła twarz rękawem i rozejrzała się. Gada zsiadła i podeszła do niej.

— Bałam się, że odjedziesz gdzieś daleko — powiedziała. — Cieszę się, że zaczekałaś.

— Nie można wymagać od konia, żeby wbiegał na górę, skoro tak niedawno przestał kuleć — wyjaśniła rzeczowo, choć z odcieniem urazy Melissa.

Gada podała jej lejce Błyskawicy.

— Jeśli masz ochotę pojeździć szybko, weź Błyskawicę.

Melissa wpatrywała się w jej twarz, jakby chciała się w niej dopatrzeć cienia sarkazmu, którego brakowało w głosie Gady. Nic takiego nie dostrzegła.

— Nie — powiedziała dziewczynka. — Nie trzeba. Może to by pomogło, ale już wszystko ze mną w porządku. Po prostu... ja nie chcę zapomnieć. Na pewno nie w taki sposób.

Gada pokiwała głową.

— Wiem.

Melissa objęła ją tym swoim nagłym, zakłopotanym gestem. Gada przytuliła dziewczynkę i poklepała po ramieniu.

— On jest szalony.

— Wiem, że on może ci pomóc. Przepraszam, że nie mogę pohamować nienawiści do niego. Próbowałam.

— To tak samo, jak ja — powiedziała Gada.

Usiadły, żeby poczekać, aż mężczyzna nadjedzie na swoim powolnym koniu.

Zanim jeszcze szaleniec zaczął rozpoznawać okolicę, czy szlak, Gada zobaczyła pękniętą kopułę. Patrzyła długo na ciężkie kształty, zanim zorientowała się, co to było. W pierwszym momencie kopuła wyglądała jak jeszcze jeden szczyt w łańcuchu górskim, tyle, że była nie czarna, lecz szara — i to zwróciło uwagę Gady. Spodziewała się

zobaczyć idealną półkulę, a nie ogromną, nieregularną powierzchnię, która rozpięta się na stoku niczym znieruchomiła ameba. Dominująca, półprzezroczysta szarość była nakrapiana plamami koloru. Czy kopuła została skonstruowana jako asymetryczna forma, czy też była z początku regularną, plastikową bańką, którą nadtopiły i deformowały działania poprzedniej cywilizacji — tego Gada nie potrafiła powiedzieć. Ale istniała w swoim obecnym kształcie przez długi, długi czas. Pył zagnieździł się we wgłębieniach i rowkach powierzchni, a drzewa, krzewy i trawa gęsto rozrastały się w zagłębieniach.

Gada jechała przez minutę czy dwie w milczeniu, nie mogąc uwierzyć, że wreszcie dojechała do celu. Dotknęła ramienia Melissy. Dziecko spojrzało przed siebie, odrywając wzrok od karku Liska, w który usilnie się wpatrywała. Gada wskazała palcem. Melissa dojrzała kopułę i cicho zakrzyknęła, potem uśmiechnęła się z ulgą i podnieceniem zarazem. Gada odpowiedziała uśmiechem.

Szaleniec podśpiewywał za ich plecami, nieświadomy, że są niedaleko punktu przeznaczenia. Pęknięta kopuła. Zestawienie słów było dziwne. Kopuły nie pękały, nie podlegały erozji, nie zmieniały się. Po prostu trwały, tajemnicze i niedostępne. Gada zatrzymała się, by poczekać na szaleńca. Kiedy stary koń dowlóknął się do niej i stanął, wskazała w górę. Mężczyzna skierował wzrok za jej palcem. Mrugał, jakby do końca nie mógł uwierzyć swoim oczom.

— To już tu? — spytała Gada.

— Jeszcze nie — odpowiedział szaleniec. — Nie, jeszcze nie. Nie jestem gotowy.

— Jak się tam dostaniemy? Można podjechać?

— Polarny nas zobaczy...

Gada wzruszyła ramionami i zsiadła z konia. Droga do kopuły była stroma i nie było widać żadnego traktu.

— Podejźmy zatem — rozluźniła popręgi przy siodle klaczy. — Melisso, popilnuj koni.

— Nie — ostro rzuciła Melissa. — Nie zostanę na dole, gdy ty będziesz szła z nim sama. Lisek i Błyskawica dadzą sobie radę, a nikt nie przyjdzie grzebać w torbie. No, może z wyjątkiem jakiegoś szaleńca, ale nawet jeśli, to dostanie to, na co zasłuży.

Gada zaczynała rozumieć, dlaczego jej własny upór tak często irytował starszych uzdrowicieli, kiedy była w wieku Melissy. Ale w ośrodku nigdy nie groziło jej żadne poważne niebezpieczeństwo i mogli jej pofolgować.

Gada przysiadła na zwalonym pniu i kiwnęła na córkę, aby usiadła obok. Melissa posłuchała, nie patrząc na Gadę. Przybrała wojowniczą postawę.

— Potrzebuję twojej pomocy — powiedziała Gada. — Nie dam sobie rady, nie uda mi się. Gdyby cokolwiek mi się stało...

— To nie będzie zwycięstwo!

— Na swój sposób będzie, Melisso... I ciebie może uzdrowić znalezienie węży snu. Tam w kopule mają ich tyle, że używają ich dla rozrywki. Muszę wiedzieć, skąd je biorą.

Gdyby mi się nie udało, gdybym nie wróciła, ty jesteś jedyną szansą, żeby inni uzdrowiciele dowiedzieli się, co się ze mną stało. I dlaczego. Tylko dzięki tobie będą mogli usłyszeć o węzach snu.

Melissa patrzyła w ziemię, pocierając dłonią o dłoń.

— To dla ciebie bardzo ważne, prawda?

— Tak.

Melissa westchnęła. Dłonie zacisnęła w pięści.

— Dobrze — powiedziała. — Co chcesz, żebym zrobiła?

Gada przytuliła ją.

— Jeżeli nie wrócę za dzień lub dwa, weź Błyskawicę i Liska i jedź na północ. Trzymaj się cały czas niedaleko Podgórze i Śróddroża. To długa droga, ale w torbie jest dosyć pieniędzy. Wiesz, jak je bezpiecznie wyjmować.

— Mam jeszcze swoją zapłatę — powiedziała Melissa.

— Oczywiście, ale pozostałe są tak samo twoje. Nie trzeba otwierać przegródek Mgły i Piaska. Wytrzymaj do czasu, aż wrócisz do domu. — Po raz pierwszy rozważała możliwość, że Melissa mogłaby udać się w podróż sama. — Piasek i tak jest za gruby. — Uśmiechnęła się z przymusem.

— Ale...

— Co?

— Jeśli coś ci się stanie, nie będę mogła przybyć na czas, żeby ci pomóc. Nie, jeżeli pojedę tak daleko, aż do ośrodka uzdrowiceli.

— Jeżeli nie powrócę sama, to nie będzie w ogóle sposobu, żeby ci pomóc. Tylko nie idź za mną. Proszę. Muszę wiedzieć, że tego nie zrobisz.

— Jeżeli nie wrócisz za trzy dni, pojedę powiedzieć twoim ludziom o węzach snu.

Gada pozwoliła Melisse na ten jeden dodatkowy dzień. I też była jej wdzięczna.

— Dziękuję ci, Melisso.

Wypuściła tygrysięgo kucyka i szarą klacz, aby pobiegały na polance obok drogi. Zamiast pogalopować w kierunku łąki i wytarzać się w trawie, konie stawały obok siebie, czujne i zdenerwowane, z szeroko rozwartymi chrapami. Koń szaleńca samotnie skubał trawę w cieniu. Melissa obserwowała wierzchowce z zaciśniętymi ustami.

Szaleniec wpatrywał się w Gadę oczyma pełnymi łez.

— Melisso — powiedziała Gada — jeżeli wrócisz do domu sama, powiedz im, że cię zaadoptowałam. Wtedy... wtedy będą wiedzieli, że jesteś także ich córką.

— Nie chcę być ich córką. Chcę być twoją.

— Jesteś. Bez względu na wszystko. — Wzięła głęboki oddech i wypuściła powoli powietrze. — Jest tu jakaś ścieżka? — spytała szaleńca. — Jaka jest najszybsza droga pod górę?

— Nie ma ścieżki.. ona otwiera się przede mną i zamyka za moimi plecami.

— No to idziemy — powiedziała — i sprawdzimy, czy te twoje czary podziałają także na innych.

Po raz ostatni przytuliła Melissę. Dziewczynka ścisnęła ją mocno, nie chcąc puścić.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała Gada. — Nie martw się.

Szaleniec wspinał się zaskakująco szybko, jakby rzeczywiście ścieżka otworzyła się przed nim. Ale tylko przed nim. Gada musiała się zdrowo namęczyć, żeby dotrzymać mu kroku. Wdrapała się parę metrów po chropowatym, czarnym kamieniu i chwyciła mężczyznę za ubranie.

— Nie tak szybko.

Oddychał szybko, nie tyle z wysiłku, co z podniecenia.

— Węże snu są blisko — powiedział.

Wyszarpnęła ubranie z jej ręki i pomknął po nagiej skale. Gada otarła czoło ramieniem i wspinała się dalej.

Następnym razem, gdy dopadła szaleńca, schwyciła go mocno za ramię i nie puściła, dopóki nie upadł na skalną półkę.

— Tu odpoczniemy — powiedziała. — Potem pójdziemy już wolniej i spokojniej. Inaczej twoi przyjaciele za wcześnie dowiedzą się, że nadchodzimy.

— Węże snu...

— Między węzami snu a nami jest Polarny. Gdy zobaczy cię pierwszy, pozwoli ci iść dalej?

— Dasz mi mojego węza snu? Na własność? Nie tak, jak Polarny?

— Nie tak, jak Polarny — powiedziała Gada.

Usiadła w wąskim pasie cienia, opierając głowę o wulkaniczną skałę. Poprzez ciemne gałęzie widziała łąkę w dolinie poniżej, ale ani Liska, ani Błyskawicy nie było w tej części polany. Nagle Gadę opadło uczucie osamotnienia.

Skała nie była naga, jak wyglądała z daleka. Mech rósł to tu, to tam szarozielonymi plamami, a małe, tłusto — liściaste sukulentki gnieździły się w cienistych niszach. Gada nachyliła się, żeby lepiej im się przyjrzeć. Na tle czerwonej skały, w cieniu, kolor rośliny trudno było odróżnić.

Usiadła gwałtownie.

Podniosła odłamek skały i — wciąż na kolanach — pochyliła się znowu nad pękatą, zielono — niebieską rośliną. Podrażniła jej liście. Zwinęły się ciasno.

„Uciekło — pomyślała. — To z pękniętej kopuły”.

Mogła się czegoś takiego spodziewać. Powinna wiedzieć, że znajdzie tu rzeczy, które nie należały do Ziemi. Popchnęła roślinę znowu. Tak, poruszyła się. Spełzaby z góry zupełnie, gdyby jej pozwolić. Kobieta wsunęła czubek kamienia pod roślinę i wyjęła ją ze szczeliny, odwracając do góry nogami. Z wyjątkiem szczeciniastych wypustek korzennych, wyglądała tak samo. Lśniące, turkusowe liście krążyły w poszukiwaniu podparcia. Gada nigdy nie widziała przedtem tego gatunku, ale znała już podobne stworzenia; „rośliny” nie mieściły się w normalnej klasyfikacji — jeśli zaatakowały przez noc pole, zatruwając grunt, to już nic nie zdołało tam wyrosnąć. Jednego razu, parę lat temu, ona i inni uzdrowiciele pomagali wypalać całą ich kolonię na pobliskich fermach. Już nigdy się tak nie wyroiły, ale małe ich skupiska pokazywały się od czasu do czasu, a pole pozostało nagie.

Miała ochotę spalić i tę roślinę, ale nie mogła ryzykować rozniecania ognia. Wypchnęła ją z cienia na słońce i liście skuliły się ciasno. Teraz Gada spostrzegła w niektórych miejscach pomarszczone kępki innych pełzaczy, martwych i wysuszonych przez słońce, pokonanych przez nagie zbcze.

— Chodźmy — powiedziała bardziej do siebie niż do szaleńca.

Wychyliła się nad krawędzią urwiska i zerknęła we wgłębienie w pękniętej kopule.

Obcość tego miejsca uderzyła ją mocno, nieomal fizycznie.

Nieziemskie rośliny rosły u podstawy ogromnej, w połowie niedostępnej struktury — tak blisko urwiska, że nie można było przejść. To, co pokrywało grunt, w niczym nie przypominało znanych Gادية roślin; ani trawy, ani zielska, ani krzewów. Była to równa, pozbawiona krawędzi płaszczyzna ogromnego, jasnoczerwonego liścia. Przyjrząwszy się jemu bliżej, Gada mogła stwierdzić, że nie był to tylko jeden liść, lecz cały ich system. Każdy był mniej więcej dwa razy większy od Gady i połączony z sąsiadującymi za pomocą poplątanych włosków. Tam, gdzie stykały się więcej niż dwa liście, z połączenia wyrastała jakby delikatna paproć.

W miejscu, gdzie szczelina rozcinała skałę, turkusowy strumień pełzaczy dzielił czerwoną pokrywą, szukając cienia z takim uporem, z jakim czerwone liście polowały na światło. Pewnego dnia kilka pełzaczy zdobędzie rozległą pochyłość urwiska i wtedy będą mogły zapanować nad doliną poniżej — pewnego dnia, gdy tylko upał i zimno wyżłobi więcej szczelin, dających schronienie wśród skał.

Głębiej położone płaszczyzny kopuły wciąż były pokryte normalną florą, gdyż rozrodzce wyrostki pełzaczy nie sięgały tak daleko. Jeżeli ten gatunek był podobny do tych, które Gada widziała wcześniej, to nie produkował on nasion. Jednakże inne pozaziemskie rośliny zdołały osiągnąć szczyt kopuły i jamy w stopionym materiale wypełnione były rozrzucą bezwładnie mozaiką kolorów: tu trochę naturalnej zieleni, w innym miejscu śmiałe, nieziemskie barwy. W kilku osmalonych, zalanych słońcem wgłębieniach, wysoko nad ziemią, kolory zlewały się: żaden jeszcze nie zdominował innych.

Wewnątrz półprzezroczystej kopuły wysokie kształty jawiły się niczym nie dające się rozróżnić, obce cienie. Między krawędzią urwiska a kopułą nie było żadnego schronienia, nie było też innej drogi, by wejść. Gada uświadomiła sobie, że widać ją jak na dłoni; jej sylwetka wyraźnie rysowała się na tle nieba.

Szaleniec wdrapał się za nią.

— Pójdziemy ścieżką — powiedziała, wskazując na płaskie liście, które nigdzie się nie rozdzielały.

W kilku miejscach ciemne żyłki pełzaczy wycinały linię, którą wskazał mężczyzna. Gada zrobiła krok i ostrożnie postawiła but na krawędzi płaskiego liścia. Nic się nie stało. Nie różniło się to w niczym od chodzenia po zwykłych liściach. Pod spodem grunt był twardy. Skała jak każda inna.

Szaleniec przeszedł obok, krocząc w kierunku kopuły. Gada szarpnęła go za ramię.

— Wężę snu! — krzyknął. — Obiecałaś!

— Zapomniałeś, że Polarny cię wygnał! Gdybyś mógł sobie po prostu wrócić, to po co ci byłam potrzebna?

Szaleniec popatrzył w ziemię.

— Nie będzie chciał mnie widzieć — wyszeptał.

— Idź za mną — powiedziała Gada. — Wszystko będzie dobrze.

Gada ruszyła przez lekko uchylające się liście. Stopy stawiała ostrożnie — na wypadek, gdyby czerwone płachty pokrywały jakąś szczelinę, której pełzacze jeszcze nie zdążyły zająć. Szaleniec podążał w ślad za nią.

— Polarny lubi nowych ludzi — powiedział. — Lubi, kiedy przychodzą prosić go o sny. Może mnie znów polubi?

Buty Gady zostawiały ślad na czerwonych, płaskich liściach, znacząc jej drogę wśród roślinności, która więziła pękniętą kopułę. Uzdrowicielka obejrzała się tylko raz: ślady jej stóp tworzyły fioletowe sińce na czerwieni, aż po samą krawędź urwiska. Ślady szalenca były o wiele słabsze. Skradał się tuż za nią, ciągle lekko zwrócony w stronę kopuły, przerażony perspektywą spotkania z Polarnym, lecz przyciągany przez węze snu.

Podługowaty balon okazał się większy, niż wyglądał z urwiska. Jego półprzezroczysta ściana pięła się w górę potężną, łagodną krzywizną. Ściana, do której podeszła Gada, poprzecinana była wielokolorowymi żyłkami. Nie znikwały w szarości, dopóki nie osiągnęły odległego krańca kopuły, daleko na prawo. Na lewo żyłki robiły się jaśniejsze w miarę, jak zbliżały się do węższego krańca konstrukcji.

Gada doszła do kopuły. Płaskie liście wspinały się po ścianach na wysokość kolan, powyżej jednak plastik był nagi. Gada przyłożyła twarz do ściany, zaglądając między pasmami pomarańcza i fioletu. Osłaniała z boku twarz dłońmi, by odciąć światło z zewnątrz, ale kształty w środku pozostały nieodgadnione i nieziemskie. Nic się nie poruszyło.

Szła za coraz bardziej intensywnymi paskami koloru.

Kiedy dotarła do węższej części, zobaczyła, dlaczego nazywało się to „pęknięta kopuła”. Cokolwiek stopiło powierzchnię, miało siłę, jakiej Gada nie była w stanie sobie wyobrazić, bo na dodatek zrobiło wyrwę w materiale, o którym uzdrowicielka sądziła, że jest niezniszczalny.

Tęczowe żyłki rozchodziły się promieniście z otworu w pogiętym plastiku. Ciepło musiało skryształizować powierzchnię, bo brzegi otworu wykruszyły się zostawiając wielkie, poszarpane wejście.

Gada ostrożnie podeszła do wyrwy. Szaleniec znów rozpoczął swoje zawodzenie.

— Ćśśś — uciszyła go Gada.

Zafascynowana, przeszła przez otwór. Czuła ostrą krawędź pod dłońmi. Poniżej, tam gdzie skośna ściana wyginała się niegdyś, by uformować dach, teraz duża połać plastikowego łuku tworzyła zapadlisko równe głębokości wzrostowi Gady. Miejscami plastik stopił się i ściekając uformował sople sięgające od sufitu do podłogi. Gada wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jednego z nich. Zadzźwięczał jak struna ogromnej harfy. Gada szybko chwyciła go, żeby uciszyć dźwięk.

Wnętrze oświetlone było złowróżbnym, czerwonym światłem. Gada mrugała, starając się uzyskać ostrość widzenia. Ale z oczami było wszystko w porządku, tyle tylko, że nie mogły się przyzwyczaić do niezziemskiego widoku. Kopuła otaczała kosmiczną dżunglę, teraz zdziczałą, o wiele bogatszą w gatunki niż kolonie pęłaczy i płaskolisci tloczących się na zewnątrz. Monstrualna winorośl, o pniu grubszym niż jakiegokolwiek znane Gadzie drzewo, pięła się po ścianie ku niepewnym wspornikom kopuły; ogromne ssawki uczezione były do kruszejącego plastiku. Winorośl rozpiniała baldachim pod sufitem. Jej niebieskawe liście były drobne i delikatne, kwiaty — ogromne, ale złożone z tysięcy białych płatków, jeszcze mniejszych niż liście.

Gada weszła głębiej, tam gdzie mniej intensywny żar nie stopił sufitu na tyle, żeby ten się zawalił. Miejscami winorośl podpełzała ku krawędzi, a tam, gdzie plastik był zbyt mocny, aby go przebić i zbyt śliski, aby się w niego wczepić — opadała z powrotem na ziemię. Na pnączach rosły drzewa, czy też coś, co można było uznać za drzewa. Jedno stało na wzniesieniu opodal: splątana masa powyginanych, zdrewniałych ni to łodyg, ni to kłaczy, skupionych w stożek wysoko nad głową Gady.

Przypominając sobie niejasne opisy szaleńca. Gada wskazała na wzniesienie, pośrodku, które było tak wysokie, że prawie dotykało plastikowego nieba.

— Tędy? — zorientowała się, że mówi szeptem.

Przykucnięty obok niej szaleniec wymamrotał coś, co można było wziąć za przytacknięcie. Gada ruszyła, przechodząc pod koronkowym cieniem splątanych gałęzi i przez kolorowo oświetlone połacie w miejscach, gdzie tęczowe rany kopuły filtrowały promienie słońca. Gada szła, nasłuchując uważnie jakiegoś ludzkiego głosu, słabego syku węży, czegokolwiek. Ale w powietrzu unosiła się tylko Cisza, Podłoże zaczęło się podnosić; doszli do podnóżka pagórka. Gdzieś czarna, wulkaniczna skała przezierająca przez grunt, który był rodzajem gleby, jakiej Gada dotąd nie widziała. Wyglądała dosyć zwyczajnie, ale rośliny z niej wychodzące były niezwykle. Gleba miała jakby delikatne, brązowe włoski i połykiwała jedwabiszcie.

Szaleniec prowadził Gadę, podążając niewidoczną ścieżką. Stok pagórka stał się bardziej stromy i kropelki potu osiadały jej na czole. Kolano znów zaczęło boleć. Przeklinała cicho wśród urywanych oddechów. Nagle stanęła na jakimś kamyku i poślizgnęła się. Chwyła się trawy, aby nie upaść. Przytrzymała ją dosyć długo, aby odzyskać równowagę, a kiedy się wyprostowała, miała garść pełną cieniutkich łodyżek, jak gdyby to naprawdę były włosy.

Wspinali się wyżej i ciągle nikt ich nie powstrzymywał. Pot na czole Gady obsechł — powietrze stawało się chłodniejsze. Szaleniec, szczerząc zęby w uśmiechu i mamrocząc do siebie, wspinał się jeszcze żwawiej. Powietrze spływające w dół wzgórza szmerowało jak woda. Gada spodziewała się, że szczyt wzgórza tuż pod sklepieniem kopuły będzie nagrany od ciepłego powietrza, ale im wyżej się wspinała, tym chłodniejszy stawał się powiew.

Minęli połąć „włosów” na wzgórzu i doszli do kolejnego skupiska drzew. Były podobne do tych poniżej: tak samo poplątane gałęzie i zwarte, poskręcane korzenie. Te

tutaj miały jednak tylko kilka metrów wysokości i gromadziły się w małe zagajniczki po trzy lub więcej sztuk. Las gęstniał. Nareszcie ukazała się ścieżka, wijąca się pomiędzy poskręcanyimi pniami. Gada dogoniła szaleńca i zatrzymała go.

— Teraz ty będziesz szedł za mną, zgoda?

Pokiwał głową, nie patrząc na nią.

Kopuła rozpraszała światło słoneczne tak, że nie przebijało się ono poprzez powyginane, poplątane gałęzie w górze. Gada ruszyła naprzód. Skały pod jej butami ustępowały miejsca miękkiej warstwie humusu i opadłych liści.

Na prawo ogromny, skalisty słup wystawał ze stoku wzgórze; lekko pochylony tworzył półkę, która wychodziła na szerszą część kopuły. Gada zastanawiała się, czy się na nią wspiąć, ale uznała, że to uczyniłoby ją doskonale widoczną. Nie chciała, aby Polarny i jego ludzie mieli pretekst do oskarżenia ją o szpiegowanie ani też, aby dowiedzieli się o jej obecności, zanim dotrze do ich obozu.

Posuwając się wciąż do przodu, zaczynała się trząść, bo chłodna bryza przemieniła się w lodowaty wiatr.

Rozejrzała się, aby się upewnić, czy szaleniec idzie za nią. W tym momencie jej towarzysz pomknął w kierunku skalnej półki, machając ramionami. Zaskoczona Gada zawahała się. Pierwszą myślą, która przysła jej do głowy było to, że ponownie postanowił umrzeć. W tym momencie pomknęła za nim Melissa.

— Polarny! — krzyknął, a Melissa rzuciła się mu do kolan, uderzając go ramieniem i przewracając.

Gada podbiegła do nich w momencie, gdy Melissa mocowała się z szaleńcem, nie pozwalając mu się podnieść, a on szarpał się i próbował wstać. Jego pojedynczy krzyk rozległ się echem, które zostało zwielokrotnione przez ściany i stopione pofałdowania kopuły. Melissa walczyła z szaleńcem zaplątana w jego wychudzone kończyny i obfity strój pustynny, gwałtownie szukając noża i jakimś cudem trzymając go ciągle za nogi.

Gada odciągnęła Melissę najłagodniej, jak umiała. Szaleniec zatoczył się, gotów znowu krzyżeć, ale Gada wyciągnęła swój nóż i przyłożyła mu go do gardła. Drugą rękę zacisnęła w pięść. Powoli ją rozkurczyła, przymuszając się, by opanować złość.

— Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego? Przecież się umówiliśmy.

— Polarny... — wyszeptał. — Polarny będzie się na mnie gniewał, ale jak mu przyprowadzę nowych ludzi...

Gada popatrzyła na Melissę, a Melissa utkwiała wzrok w ziemi.

— Nie obiecywałam, że za tobą nie pójdę — powiedziała. — Dokładnie pamiętam. Wiem, że to oszukaństwo, ale... — Podniosła oczy i napotkała wzrok Gady. — Nie wszystko wiesz o ludziach. Za bardzo im ufasz. Ja też wiem nie wszystko, to prawda, ale trochę na ludziach się znam.

— W porządku — powiedziała Gada. — Masz rację, za bardzo mu zaufałam. Dziękuję, że go powstrzymałaś.

Melissa wzruszyła ramionami.

— Ale dużo dobrego zrobiłam — rzekła z sarkazmem. — Oni już wiedzą, że tu jesteśmy, obojętnie, gdzie są.

Szaleniec zaczął chichotać, kołysząc się w tył i w przód, z rękoma oplecionymi wokół barków.

— Och, zamknij się! — powiedziała Gada. Wsunęła nóż do pochwy.

— Melisso, musisz się stąd wydostać, zanim ktokolwiek tu się zjawi.

— Proszę cię, weź mnie ze sobą — błagała Melissa. — To wszystko nie ma sensu.

— Ktoś musi powiedzieć moim ludziom o tym miejscu.

— Nie obchodzą mnie twoi ludzie! Ty mnie obchodzisz! Mam do nich pojechać i co? Powiedzieć im, że pozwoliłam, aby cię zabił jakiś szaleniec?

— Melisso, proszę, to nie pora na dyskusje.

Melissa szarpnęła rąbek chusty palcami, tak żeby materiał zasłonił poblíżnioną połowę twarzy. Chociaż, gdy opuścili pustynię, Gada przebrała się w zwykłe ubranie, Melissa ciągle nosiła pustynny strój.

— Powinnaś mi pozwolić, żebym została z tobą — powiedziała.

Odwróciła się, zwiesiła bezradnie ramiona i zaczęła schodzić ścieżką.

— Twoje życzenie się spełni, malutka. — Głos był głęboki i uprzejmy.

Przez moment Gada myślała, że to szaleniec odezwał się normalnym głosem, ale on czołgał się po nagiej skale obok niej, a na ścieżce stał ktoś inny. Melissa zatrzymała się gwałtownie, popatrzyła w górę i cofnęła się.

— Polarny! — krzyknął szaleniec. — Polarny, przyprowadziłem nowych ludzi. I ostrzegłem cię. Nie pozwoliłem, aby się do ciebie zakradli. Czy słyszałeś mnie?

— Słyszałem — powiedział Polarny. — I zastanawiałem się, dlaczego zламаłeś mój rozkaz, wracając tu.

— Myślałem, że spodobają ci się nowi ludzie.

— I to wszystko?

— Tak!

— Jesteś pewien?

Ton pozostał uprzejmy, ale kryło się pod nim okrucieństwo, którego nie mógł zamaskować nawet pozornie uprzejmy uśmiech. Jego sylwetka wyglądała złowrogo w przyćmionym świetle. Był bardzo wysoki, tak wysoki, że musiał się garbić w liściastym tunelu. „Gigantyzm przysadkowy” — pomyślała Gada.

Cały był ubrany na biało, a na dodatek był albinosem o kredowo — białych włosach, brwiach i rzęsach. Miał bardzo blade, niebieskie oczy.

— Tak, Polarny — powiedział szaleniec. — To wszystko.

Gadzie wydawało się, że między pniami widzi jakiś ruch, ale gąszcz wydawał się być zbyt wielki, aby mogli się tam skryć inni ludzie. Może w tym ciemnym, niezemskim lesie drzewa zwijały i rozwijały gałęzie z taką swobodą, z jaką kochankowie zaciskają ręce? Gadą wstrząsnął dreszcz.

— Proszę, Polarny, pozwól mi powrócić. Przyprowadziłem ci dwie wyznawczynie.

Gada dotknęła ramienia szaleńca. Zamilkł.

— Dlaczego tu jesteście?

Przez ostatnie tygodnie Gada wyrobiła w sobie tyle przezorności, żeby nie mówić Polarnemu, iż jest uzdrowicielką.

— Z tego samego powodu, co wszyscy inni — powiedziała. — Przyszłam do węży snu.

— Nie wyglądacie jak ci, którzy tu zwykle do nich przychodzą.

Podszedł, pochylając się nad nią. Spojrzał kolejno na Gadę, szaleńca, wreszcie na Melisę.

— Aha, rozumiem. Jesteście tu z jej powodu.

Gada poczuła, jak wzbiera w niej złość. Zmusiła się, by zachować spokój.

— Wszyscy troje przyszliśmy razem — powiedziała Gada. — I wszyscy z tego samego powodu.

Poczuła, że szaleniec poruszył się, jakby chciał pobiec i rzucić się Polarnemu do nóg. Mocniej zacisnęła palce na kościstym barku i szaleniec znów pogrążył się w letargu.

— A co mi przynieśliście, żebym was zainicjował?

— Nie rozumiem? — odparła zdziwiona Gada.

Krótki grymas niezadowolenia na twarzy Polarnego rozpułynał się w uśmiechu.

— Tego właśnie się spodziewałem po tym biednym durniu. Przyprowadził was tutaj, ale nie objaśnił naszych obyczajów.

— Ale je przyprowadziłem, Polarny. Przyprowadziłem je dla ciebie.

— A one przyprowadziły ciebie dla mnie? To naprawdę śmieszna zapłata.

— Zapłatę można omówić — powiedziała Gada — kiedy dojdziemy do porozumienia.

Ten Polarny, królujący tutaj niczym bożek, używający węży snu, by narzucić swój autorytet, rozżłościł Gadę tak, jak jeszcze nic na świecie. A właściwie to ją obraził. Gadę nauczono — i była o tym święcie przekonana — że używanie węży — uzdrowicieli w celu podniesienia własnego prestiżu czy zdobycia władzy jest niemoralne i niewybaczalne. Odwiedzając rozmaitych ludzi, słyszała dziecięce bajki, w których łotry lub tragiczni bohaterowie używali zdolności magicznych, żeby zrobić z siebie tyranów; zawsze źle kończyli.

Uzdrowiciele jednak nie mieli takich przygód. To nie strach powstrzymywał ich przed nadużyciem środków, którymi dysponowali; to szacunek dla samych siebie.

Polarny przydreptał parę kroków bliżej.

— Moje drogie dziecko, nie zrozumiałaś. Jak już się raz znajdziesz w moim obozie, to z niego nie wyjdiesz, dopóki nie będę pewien twojej lojalności. Przede wszystkim — nie będziesz chciała stąd odejść. A ponadto, kiedy wysyłam kogoś na zewnątrz, to jest to dowód, że mu ufam. To zaszczyt.

Gada ruchem głowy wskazała szaleńca.

— A on?

Polarny zaśmiał się bez śladu wesołości.

— Ja go nie wysyłałem. Ja go wyгнаłem.

— Ale ja wiem, gdzie są ich rzeczy, Polarny! — Szaleniec znów zaczął wyrwać się Gadzie. Tym razem puściła go z odraza. — Nie potrzebujesz ich, tylko mnie. — Klęknął i objął rękami nogi białego olbrzyma. — Wszystko jest w dolinie. Wystarczy tylko wziąć.

Gada wzdrygnęła się, kiedy Polarny przeniósł wzrok z szaleńca na nią.

— Wszystko jest dobrze strzeżone. On może cię poprowadzić do mojego dobytku, ale nie będziecie mogli go wziąć.

Polarny uwolnił się z uścisku szaleńca.

— Nie jestem silny — powiedział. — Nie zapuszczam się w dolinę.

Mała, ciężka sakiewka wylądowała u stóp Polarnego. On i Gada spojrzeli na Melissę.

— Jeżeli trzeba ci płacić za to, żebyś z kimś rozmawiał — powiedziała dziewczynka zaczepnie — to masz.

Polarny pochylił się ruchem obolałego człowieka i podniósł zapłatę Melissy. Otworzył sakiewkę i wysypał monety na rękę. Nawet w półmroku lasu złoto połyskiwało jasno. Podrzucał w zamyśleniu złote blaszki.

— Dobrze, na początek wystarczy. Musicie oczywiście oddać mi waszą broń, a potem pójdziecie do mego domu.

Gada wyjęła nóż zza pasa i cisnęła go na ziemię.

— Gado! — szepnęła Melissa. Patrzyła na uzdrowicielkę zdumiona; wyraźnie nie rozumiała, dlaczego Gada to zrobiła.

Zacisnęła palce na rękojęści swojego noża.

— Jeżeli chcemy, aby on nam ufał, musimy ufać jemu — powiedziała Gada.

Oczywiście nie wierzyła mu za grosz, lecz może byłyby mało użyteczne wobec grupy ludzi, a nie przypuszczała, aby Polarny przyszedł sam.

„Moja droga córeczko — myślała Gada — nigdy nie mówiłam, że to będzie łatwe”. Melissa skuliła się, gdy Polarny zrobił krok w jej stronę. Knykcie miała aż białe.

— Nie bój się mnie, malutka. I nie próbuj być za sprytna. Znam więcej sposobów, niż ci się wydaje.

Melissa wbiła wzrok w ziemię, powoli wyciągnęła nóż i upuściła go u swych stóp.

Polarny nerwowym ruchem głowy skinął na szaleńca.

— Przeszukaj ją.

Gada położyła rękę na ramieniu córki. Dziecko było spięte i drżące.

— Nie trzeba jej przeszukiwać. Daję ci moje słowo, że ona nie ma przy sobie żadnej innej broni.

Gada wyczuła, że Melissa opanowuje się resztkami sił. Jej obrzydzenie i niechęć do szaleńca mogły sprawić, że posunęłyby się za daleko.

— Jeszcze jeden powód, aby ją przeszukać — powiedział Polarny. — Jesteśmy fanatykami drobiazgowości. Chcesz być pierwsza?

— To byłoby lepsze — odparła Gada.

Podniosła rękę, ale Polarny popchnął ją palcem i odwrócił. Kazał pochylić się i oprzeć o poskręcane gałęzie drzewa. Gdyby nie troska o Melissę, Gada byłaby rozbawiona teatralnością jego zachowania.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Gada zaczęła się odwracać, ale Polarny koniuszkiem bladego palca dotknął świeżych blizn po nakłuciach na jej rękę.

— Ach! — wykrzyknął. Był tak blisko, że czuła jego ciepły, nieprzyjemny oddech. — Jesteś uzdrowicielką!

Gada posłyszała świst bełtu wystrzelonego z kuszy dokładnie w momencie, gdy grot wbił się jej w ramię i gdy przeszła ją fala bólu. Kolana ugięły się pod nią, ale nie upadła. Melissa piszczała histerycznie. Gada usłyszała za sobą innych ludzi. Gorąca krew spływała jej po łopatce, po piersi. Lewą ręką próbowała namacać grot cienkiego bełtu tam, gdzie wyrwał jej ciało i przygwoździł do drzewa, ale palce się ześlizgiwały, a żywe drewno mocno trzymało grot, Melissa stanęła u jej boku, podtrzymując ją najmocniej, jak tylko mogła.

Ktoś chwycił bełt i szarpnął, wrywając go z mięśnia. Gada niemal zemdląła z bólu, gdy drewno zahaczyło o jej kość. Chłodny, metalowy grot wysunął się z rany.

— Zabij ją teraz! — wrzasnął szalenięc. Słowa były urywane z podniecenia. — Zabij i zostaw ją tutaj jako ostrzeżenie.

Gada zachwiała się i opadła na kolana. Silne uderzenie spadło na jej krzyże, rozchodząc się wibrującą falą bólu.

Melissa stała przed nią z odsłoniętą twarzą i nieporadnie, oślepiona przez łzy, szepcząc słowa pocieszenia, próbowała owinąć chustką zranione ramię.

„Tyle krwi od takiej małej strzały” — pomyślała Gada.

Zemdląła.

Gadę obudził chłód. Nawet, kiedy odzyskała świadomość, zdziwiła się, że w ogóle coś czuje. Nienawiść w głosie Polarnego, kiedy rozpoznał jej zawód, nie zostawiała ani cienia nadziei. Ramię bolało mocno, ale ból nie był tak przenikliwy, żeby przeszkadzał w myśleniu. Podniosła lekko prawą rękę. Była słaba, ale można nią było ruszać.

Gada spróbowała usiąść.

— Melissa... — wyszeptła.

Gdzieś blisko rozległ się śmiech Polarnego.

— Ponieważ nie jest jeszcze uzdrowicielką, nie doznała żadnej krzywdy.

Owionęło ją chłodne powietrze. Gada potrząsnęła głową i otarła oczy rękawem. Wysięk przy siadaniu spowodował, że się spociła — stąd wrażenie lodowatości powietrza. Krew na koszuli, z wyjątkiem najbliższej okolicy rany, zbrązowiała. Widocznie po zranieniu była nieprzytomna przez dłuższy czas.

— Gdzie ona jest?

— Jest bezpieczna — powiedział Polarny. — Może z nami zostać. Nie musisz się o nią martwić. Tutaj będzie szczęśliwa.

— Zaczniemy od tego, że ona nie chciała tutaj przyjść. To nie ten rodzaj szczęścia, jakiego szuka. Puść ją do domu.

— Tak jak powiedziałem, nie mam nic przeciwko niej.

— A co przeciwko uzdrowicielom?

Polarny wpatrywał się w nią długą chwilę.

— Sądziłem, że to jest dla ciebie oczywiste.

— Przykro mi — powiedziała Gada. — Prawdopodobnie moglibyśmy podać ci substancję pobudzającą wytwarzanie melaniny, ale nie jesteśmy cudotwórcami.

Lodowate powietrze płynące z jamy poza plecami Gady spowodowało, że dostała gęziej skórki. Jej wysokie buty zniknęły. Zimny kamień wysysał ciepło przez podeszwy nagich stóp. Jednak równocześnie zagłuszał ból w barku. Wtem Gada zadrżała gwałtownie, a ból uderzył z jeszcze większą wściekłością niż przedtem. Głębokim haustem chwyciła powietrze i na moment zamknęła oczy. Znieruchomiała, oddychając głęboko i blokując dopływ bodźców z rany. Znowu krwawiła z rany na plecach, dokąd trudno było sięgnąć. Miała nadzieję, że Melissę trzymano w cieplejszym miejscu. Zastanawiała się też, gdzie są węże snu, bo przecież potrzebowały ciepła, żeby przetrwać. Gada otworzyła oczy.

— I twój wzrost... — powiedziała.

Polarny gorzko się zaśmiał.

— Wiele mógłbym powiedzieć o uzdrowicielach, ale nigdy, że brakuje im tupetu!

— Co? — spytała Gada, nic nie rozumiejąc. — Moglibyśmy ci pomóc, gdybyśmy cię widzieli odpowiednio wcześniej. Musiałeś urosnąć, zanim zabrano cię do uzdrowiciela...

Twarz Polarnego poczerwieniała z wściekłości.

— Zamknij się!

Poderwał się na nogi i szarpnął Gadę do góry.

— Czy wydaje ci się, że chcę to wyleczyć? Czy wydaje ci się, że chce słuchać o tym, iż mógłbym być przeciętny? — Popchnął ją w stronę jamy, ale po chwili znowu poderwał ją do góry. — Uzdrowiciele! Gdzie byliście, kiedy was potrzebowałem? Pozwolę ci zobaczyć, jak się czuje...

— Polarny, proszę, Polarny! — Z tłumu wycieńczonych fanatyków Polarnego wysunął się znajomy szaleniec. — Ona mi pomogła, Polarny. Ja zajmę jej miejsce.

Uczepił się rękawa olbrzyma, zawodząc i błagając. Polarny odepchnął go.

— Umysł ci się przytępił — odpowiedział biały gigant — albo myślisz, że mój jest zmałowany.

Wnętrze lochu połyskiwało w przyćmionym świetle kopających pochodni. Jego ściany pokryte były lodem. Kamień nad pochodniami poczerniał od sadzy. Woda z topniejącego lodu kapiała, tworząc kałuże.

Każdy krok podrażniał obolałe ramię na nowo i Gada nie miała już siły, aby znosić dłużej ból. Powietrze było ciężkie od zapachu płonącej smoły. Stopniowo docierał do niej niski pomruk maszynierii, bardziej dający się wyczuć niż usłyszeć. Przenikał przez jej ciało aż do kości.

Tunel przed nią rozjaśnił się. Kończył się nagle uskokiem. W szczycie wzgórza była głęboka jama, jakby krater wulkanu tyle, że wyraźnie uczyniony ręką człowieka. Gada stała u wylotu lodowego tunelu i mrugała oczami, rozglądając się bezmyślnie dookoła. Wszędzie były wyloty innych lochów. Kopuła nad głową tworzyła szare niebo, na którym nie można było wyznaczyć kierunków. Gadę owiewał zimny prąd powietrza, wpływający z dużego tunelu i nikał, wsysany przez mniejsze korytarze. Polarny znowu pchnął Gadę do przodu.

— Na dół. Schodź!

Kopnął zwój drabinki linowej, a ta postukując stoczyła się w głąb rozpadliny pośrodku krateru. Gada widziała początek drabinki, ale jej drugi koniec nikał w ciemności.

— Schodź! — powtórzył Polarny. — Albo cię wrzucimy.

— Polarny, proszę! — błagał szaleniec.

Gada nagle zrozumiała, dokąd ją wysyłają. Polarny gapił się zaskoczony, kiedy zaczęła się śmiać. Poczowała, że siły jej wracają.

— To tak torturujesz uzdrowicielkę? — spytała.

Zsunęła się w rozpadlinę niezdarnie, ale z ochotą. Trzymając się jedną ręką, schodziła po szczebelkach w lodowate ciemności. Chwytała każdy okrągły szczebelek palcami nagiej stopy i odsuwała go od ściany, aby móc postawić nogę. Na górze słyszała bezradne łkanie szaleńca.

— Zobaczmy, jak będziesz się czuć rano — powiedział Polarny.

Szaleniec wciąż jęczał przerażony:

— Ona zabije wszystkie węże snu. Polarny! Polarny! Ona po to tutaj przyszła!

— Chciałbym to zobaczyć — powiedział Polarny. — Uzdrowicielka zabijająca węże snu...

Dzięki echu odbijającemu odgłos stukających o ścianę szczebelków Gada poznała, że zbliża się do dna. Nie było tu zupełnie ciemno, ale oczy przyzwyczajały się powoli. Mokra od potu, znów wstrząsana dreszczami, musiała się zatrzymać. Oparła czoło o chłodny kamień. Palce u nóg i lewą rękę miała otarte do krwi.

I wtedy usłyszała cichy szmer sunących małych węży. Ściskając liny, Gada wisiała przy kamiennej ścianie i zerknęła w półmrok poniżej. Światło przenikało długą, wąską strugą ze środka lochu.

Wąż snu prześliznął się płynnym ruchem z jednego krańca ciemności w drugi.

Gada po omacku wyszukiwała drogę przez ostatnie metry, stawiając nogi najostrożniej, jak tylko umiała. Macała bosą stopą długo, dopóki nie była pewna, że nic się pod spodem nie rusza. Uklękała. Zimne, ostre krawędzie skały wrzynały się w jej kolana,

a jedyne ciepłe miejsce stanowiła plama świeżej krwi na ramieniu. Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła kamiennej skorupy. Opuszkami palców wyczuła gładkie łuski węża, który bezszelestnie się spod nich wysliznął.

Sięgnęła ponownie, tym razem przygotowana, i złapała następnego, którego dotknęła. Poczowała na rękę dwa delikatne ukłucia, uśmiechnęła się i chwyciła węża snu łagodnie za tył głowy, z przyzwyczajenia oszczędzając jego jad. Podniosła gada do oczu, aby nań spojrzeć. Był dziki; nie tak, jak oswojony i łagodny Mech. Wił się i tłukł Gadę ogonem po rękę; delikatny, potrójnie rozwidlony języczek szybko wysuwał się i chował, aby posmakować jej zapachu. Wężyk nie syczał, podobnie jak Mech.

W miarę jak oczy przyzwyczyły się do ciemności, stopniowo ukazywała się przed Gadą reszta lochu i pozostałe węże snu. Były wszelkich rozmiarów, pojedyncze, skupione w gromadki, całe ich zwoje — więcej niż kiedykolwiek w życiu widziała, więcej niż można by zebrać od wszystkich ludzi w ośrodku.

Złapany wąż uspokoił się wreszcie. Kropla krwi zebrała się przy każdym z nakłuć, jednakże pieczenie jadu trwało tylko chwilę. Gada usiadła na piętach i pogładziła główkę zwierzęcia. Znowu zaczęła się śmiać. Wiedziała, że powinna się kontrolować; w śmiechu było więcej hysterii niż radości, jednak śmiała się jeszcze przez chwilę.

— Śmieję się, śmieję, uzdrowicielko — głos Polarnego odbijał się od ścian studni. — Zobaczymy, jak długo będziesz się śmiała.

— Jesteś głupcem — zawołała z satysfakcją.

Śmiała się z tej kary; to było tak, jakby dziecinne bajania stały się rzeczywistością. Śmiała się do łez, choć przez moment łzy były prawdziwe. Wiedziała, że jeśli te tortury nie odniosą skutku, Polarny znajdzie jakiś inny sposób. Kichnęła, zakaszła i otarła twarz ręką koszuli. Miała przynajmniej trochę czasu.

I wtedy zobaczyła Melisę.

Córeczka leżała zwinięta na pękniętym kamieniu w wąskim krańcu lochu. Gada ostrożnie podeszła do dziecka, starając się nie zranić żadnego z węży po drodze, ani nie spłoszyć tych, które leżały zwinięte wokół rąk Melissy, czy kłębiły się na jej ciele. W jasnorudych włosach wyglądały jak zielone pnącza.

Gada uklękła obok Melissy i zaczęła ostrożnie, delikatnie zdejmować z dziecka dzikie węże. Ludzie ściągnęli z Melissy strój pustynny, a spodnie obcięli nad kolanami. Dziewczynka była związana. Nadgarstki otarta sobie do krwi, gdy próbowała się bronić. Małe, krwawe ukąszenia pokrywały jej nagie ręce i nogi.

Nagle jeden z węży uderzył: jego zęby zatopiły się w ciele Gady i stworzenie odskoczyło do tyłu ruchem tak szybkim, że prawie niewidocznym. Gada zacisnęła zęby. Przypomniały jej się słowa szaleńca: „Najlepiej jak kąsają cię wszędzie, wszystkie na raz...”

Gada osłoniła swoim własnym ciałem Melisę przed wężami i uwolniła jej przeguby, mocując się lewą ręką z płataniną węży snu. Skóra Melissy była zimna i sucha. Gada nie mogła się nadziwić, jakim cudem węże przetrzymały zimno. Nigdy nie odważyłaby się wypuścić Mcha w takiej temperaturze. Nawet w torbie byłoby zbyt zimno — wyjęłaby go i ogrzewała w dłoniach lub pozwoliłaby, żeby owinał się wokół jej szyi.

Ręka Melissy bezwładnie zsunęła się na skałę. Krew sączyła się powolnymi strużkami w miejscu, w którym Melissa otarła nakłucia o kamień lub ubranie. Gada zdołała zdjąć dziecko z lodowatej ziemi i ułożyć je sobie na kolanach. Puls dziewczynki był mocny i powolny, oddech głęboki, ale każdy wdech przychodził po coraz dłuższej przerwie.

Zimno napierało ze wszystkich stron, rozjarzając na nowo ból w barku i wysysając z Gady energię. „Tylko nie uśnij — myślała — tylko nie uśnij”. Melissa może przestać oddychać, a serce przestanie bić od takiej ilości jadu. Wtedy trzeba będzie działać zdecydowanie.

Jednak uzdrowicielka była już u kresu wytrzymałości; za każdym razem, gdy głowa jej opadała, próbowała otrząsnąć się ze snu. Przyjemna myśl wdzierwała się kusząco: „Nikt nie umiera od jadu węży snu. Człowiek albo przeżyje, albo z powodu swej choroby umiera spokojnie, kiedy przychodzi na niego czas. Można spokojnie spać. Ona na pewno nie umrze”. Ale Gada wiedziała, że nikt nigdy nie otrzymał takiej dawki jadu, a Melissa była tylko dzieckiem.

Maleńki wąż sunął między jej nogami a ścianą lochu. Gada wyciągnęła odrętwiałą prawą rękę i podniosła go z zaciekawieniem. Położył się na jej dłoni, patrząc swymi oczkami bez powiek. Jego trójczłonowy języczek migotał, smakując powietrze. W tym wężu było coś niezwykłego. Gada przyjrzała się mu bliżej.

Był młody, wyklął się niedawno — ciągle miał rogowy dziób typowy dla niedorosłych egzemplarzy u wielu gatunków węży. To była ostateczna odpowiedź na pytanie, w jaki sposób Polarny zdobywał węże snu. Wcale nie otrzymywał ich od pozaziemskich dostawców. Nie klonował ich. On miał rozmnażającą się hodowlę. W tej zimnej norze znajdowały się węże rozmaitej wielkości, w różnym wieku, od niedawno wyklutych po zupełnie dojrzałe osobniki, większe od jakiegokolwiek węża snu, którego Gada widziała.

Odwrociła się, żeby odłożyć młode zwierzątko na ziemię za sobą, ale ręką zawadziła o ścianę. Złężniony wąż snu zaatakował. Gada wdrygnęła się od ostrego ukłucia maleńkich zębów. Zwierzę zsunęło się z jej ręki na ziemię.

— Polarny! — głos miała zachrypnięty. Chrząknęła i spróbowała jeszcze raz. — Polarny!

Po chwili jego sylwetka pojawiła się nad krawędzią czeluści. Po jego uśmiechu Gada poznała, że Polarny spodziewa się po niej błagania o wolność. Zajrzał w dół i zauważył, że Gada usiadła tak, aby zablokować węzom snu dostęp do Melissy.

— Ona może być wolna, jeżeli jej na to pozwolisz — rzekł. — Nie izoluj jej od moich zwierzątek.

— Twoje zwierzątka się tutaj marnują, Polarny — powiedziała Gada. — Powinieneś wynieść je na świat. Wszyscy otaczaliby cię czcią, zwłaszcza uzdrowiciele.

— Jestem czczony tutaj — odparł.

— Ale to musi być trudne życie. Mógłbyś żyć sobie łatwo, w luksusie...

— Dla mnie komfort nie ma znaczenia — powiedział. — Ty powinnaś zdawać sobie z tego sprawę najlepiej. Czy śpię na gołej ziemi, czy w puchowych pierzynach, to dla mnie bez różnicy.

— Udało ci się sprawić, że węże snu się rozmnażają — powiedziała Gada. Zerknęła na Melissę. Kilku węzom udało się przedostać obok Gady. Pochwyciła jednego dokładnie w momencie, gdy miał dosięgnąć nagiego ramienia jej córki. Wąż odchylił się i ukąsił Gadę. Odłożyła go i resztę za siebie, ignorując ich zęby. — W jakikolwiek sposób to robisz, powinienesz podzielić się tą wiedzą z innymi.

— A jakie jest twoje miejsce w tym planie? Czy mam zrobić z ciebie mojego herolda? Mogłabyś tańcząc wstępować do każdego miasta i obwieszczać moje przybycie.

— Przyznaję, że nie bardzo bym chciała umierać tu na dole.

Polarny zaśmiał się szorstko.

— Mógłbyś pomóc wielu ludziom. Nie było uzdrowiciela, kiedy go potrzebowałeś, ponieważ nie mamy dość dużo węży snu. Mógłbyś pomóc takim ludziom jak ty.

— Pomagam ludziom, którzy przychodzą do mnie — odparł Polarny. — To są ludzie, którzy są tacy jak ja. I tylko takich potrzebuję.

Odwrócił się.

— Polarny!

— Co?

— Rzuć chociaż koc dla Melissy. Umrze, jeśli nie będę mogła utrzymać jej ciepła.

— Nie umrze — powiedział Polarny. — Nie umrze, jeżeli zostawisz ją moim zwierzętom.

Jego cień zniknął. Gada przytuliła Melissę mocniej; czuła każde powolne uderzenie serca dziecka na swoim ciele. Była tak zmarznięta i zmęczona, że nie mogła już dłużej myśleć. Sen by ją uzdrowił, ale nie mogła zasnąć — ze względu na Melissę i ze względu na siebie. Jedna tylko myśl mocno utkwiła jej w głowie: odrzucać życzenia Polarnego. Ponad wszystko była pewna, że i ona, i jej córka byłyby zgubione, gdyby zaczęła go słuchać.

Wykonując powolne ruchy tak, aby wysiłek włożony w usunięcie bólu z chorego barku nie został zmarnowany, Gada wzięła w dłonie ręce Melisy i zaczęła na nie chuchać, próbując przywrócić krążenie i ciepło. Krew w miejscach ukąszeń zaschła. Jeden z węży owinał się Gadzie wokół kostki. Poruszała palcami i kręciła stopą w nadziei, że wąż snu spełźnie. Stopę miała tak zmarzniętą, że ledwie czuła zęby wbijające się jej w śródstopie.

Dalej rozcierała ręce Melissy, dmuchała na nie i całowała. Oddech unosił się przed nią białym obłoczkiem. Przymglone światło ciemniało. Gada spojrzała w górę. Połac szarej kopyły widniejąca nad szczeliną lochu szerniała wraz z nadejściem nocy. Gadę opadło przytłaczające poczucie smutku. Było tak samo, jak tej nocy, gdy umierała Jesse: niebo czyste i ciemne, otaczające ją skalne ściany, odbierające energię jak upał pustyni. Brakowało tylko gwiazd. Gada mocnej objęła Melissę, pochylając się nad nią, osłaniając przed mroźnym cieniem.

Zwierzęta zbiły się w masę i sunęły w jej kierunku; szelest ich łusek na kamieniu rozlegał się dookoła jak szept... Gada nagle obudziła się, wyrwana ze snu.

— Gada? — to głos Melissy był tym szorstkim szeptem, który słyszała.

— Jestem tutaj.

Widziała jedynie twarz córki. Resztki rozproszonego światła połyskiwały nieśmiało w jej rudych włosach i na grubych, sztywnych bliznach. Oczy patrzyły w dal nieprzytomnie.

— Śniło mi się... — zaczęła. — On miał rację! — Zarzuciła Gadzie ręce na szyję i ukryła twarz. — Zapomniałam. Ale ja już więcej nie... ja już nie...

— Melisso! — Dziewczynka zeszywniała na głos Gady. — Nie wiem, co się stanie. Polarny mówi, że nie zrobi ci krzywdy. Jeżeli powiesz, że się do niego przyłączysz...

— Nie!

— Melisso...

— Nie! Nie powiem! Nic mnie nie obchodzi! — Jej wysoki głos był zdecydowany. — To byłoby znowu tak, jak z Rasem...

— Melisso, kochanie, teraz masz dokąd pójść. Wszystko jest tak, jak przedtem omówiliśmy. Musisz dać sobie szansę ucieczki.

Melissa tuliła się do niej w milczeniu.

— Zostawiłam Piaska i Mgłę — powiedziała w końcu. — Nie zrobiłam tak, jak kazałaś, a teraz one zagłodzą się na śmierć.

Gada pogłaskała ją po włosach.

— Nic im na razie nie będzie.

— Boję się — wyszeptała Melissa. — Obiecałam, że już więcej nie będę, ale się boję. Gado, jeśli powiem, że się do niego przyłączę, a on powie, że pozwoli, żeby znowu mnie pogryzły, to nie wiem, co zrobię. Nie chcę zapominać samej siebie... ale zrobiłam to na chwilę i... — Dotknęła grubej blizny dookoła oka. — To zniknęło. Nic już nie bolało. Za jakiś czas będę robiła wszystko.

Melissa zamknęła oczy.

Gada złapała jednego z węży snu i odrzuciła go gwałtowniej, niż się tego po sobie spodziewała.

— Wolałabyś raczej umrzeć? — spytała ochryple.

— Nie wiem — odpowiedziała słabo Melissa. Ramiona zsunęły się z szyi Gady i ręce opadły bezwładnie. — Nie wiem. Może bym wolała.

— Melisso. Przepraszam, nie myślałam tak...

Ale Melissa znowu spała lub może straciła przytomność. Gada słyszała łuski węży snu sunących po wilgotnej, śliskiej skale. Znowu wydawało się jej, że zbliżają się jedną, zbitą, agresywną falą. Po raz pierwszy w życiu bała się węży. Chcąc dodać sobie odwagi wyciągnęła dłoń, aby dotknąć nagiej skały. Jej ręka zanurzyła się w masie gładkich, wijących się ciał. Gada szarpnęła się w tył, gdy konstelacja malutkich, kłujących punkcióków oplotła jej ramię. Węże snu garnęły się do ciepła, ale gdyby pozwoliła im osiągnąć

to, czego szukały, znalazłyby także jej córkę. Skulona, wycofała się w wąski kąt lochu. Jej zdrętwiała ręka mimowolnie zacisnęła się na ciężkim odłamku wulkanicznej skały. Podniosła go niezgrabnie, gotowa zabić dzikie wężę snu.

Opuściła rękę i zmusiła się, aby rozkurczyć palce. Kamień zaklekotał, spadając na posadzkę. Kilka węży pełzło po talii uzdrowicielki. Nie była zdolna ich niszczyć, tak samo, jak nie była w stanie wyfrunąć z lochu wraz z prądem zimnego, ciężkiego powietrza. Nawet dla Melissy. Gorąca łza potoczyła się jej po policzku. Kiedy dotarta do brody, była już zimna niczym kawałek lodu. Węży snu było za dużo, aby móc chronić przed nimi Melisę. Jednak Polarny miał rację. Gada nie mogła ich zabić.

Zdesperowana, z trudem wstała na nogi, mając jako podporę ścianę rozpadliny. Chwyciła dziecko w ramiona. Melissa była jak na swój wiek mała i ciągle szczupłutka, ale ciężar bezwładnego ciała wydawał się przeogromny. Gada miała zbyt odrętwiałe z zimna ręce, ażeby chwycić pewnie. Dziewczynka spała w rej ramionach, a Gada przyciskała ją prawą ręką. Ból rwał w barku, rozchodząc się wzdłuż kręgosłupa. Jednak trzymała Melisę ponad wężami.

12.

Uprawne pola i solidnie zbudowane domy Podgórze zostały już daleko za Arevinem. Dobiegał końca trzeci dzień podróży na południe. Droga była tylko wąską ścieżką wznoszącą się i opadającą wzdłuż stoków kolejnych gór. Okolice stawała się coraz dzikszą. Flegmatyczny koń Arevina z trudem stapał naprzód.

Młodzieniec nie spotkał nikogo przez cały dzień. Ktoś jadący na południe mógłby go łatwo przegonić — wystarczyłoby, żeby znał lepiej szlak. Arevin był świadom piękna krajobrazu, jednakże czuł się nieswojo w górach. Ogarniała go tęsknota za domem, lecz niestety, nie mógł do niego wrócić. Naocznie przekonał się, że burze na wschodniej pustyni były silniejsze od tych na zachodzie, chociaż różnica była raczej bez znaczenia. Burza zachodnia zabijała w ciągu dwudziestu oddechów, a wschodnia robiła to w dziesięć. Arevin musiał więc pozostać w górach aż do wiosny.

Nie mógł tak po prostu czekać w ośrodku uzdrowicieli czy w Podgórzu. Gdyby nic nie robił, to wyobrażenia w końcu zwyciężyłyby święte przekonanie, że Gada żyje.

Prawdopodobnie uzdrowicielka była cała i zdrowa, spędzając zimę w podziemiach Miasta, gdzie zdobywała wiedzę. Młodszy ojciec Stavina miał szczęście, że nie musiał sam zapłacić za swoje przewinienie. Na szczęście dla niego, na nieszczęście dla Gady. Arevin pragnął przekazać Gadzie dobre wieści, kiedy ją odnajdzie. Niestety, wszystko, co był w stanie jej powiedzieć, to: „Wyjaśniałem, próbowałem sprawić, aby twoi ludzie zrozumieli strach moich ludzi, ale nie uzyskałem żadnej odpowiedzi — chcą widzieć ciebie, chcą, żebyś wróciła do domu”.

Nagle wydało mu się, że coś usłyszał. Zatrzymał konia. Cisza była niemal fizycznym bytem, otaczała go zewsząd. Cisza panująca w górach różniła się od ciszy na pustyni. „Czy zaczynam mieć już omamy słuchowe, jakby mało było tego, że wyobrażam sobie nocami jej dotyk?” — pomyślał Arevin.

Ale wtedy znów, spoza drzew przed sobą, usłyszał tętent zwierzęcych kopyt. Ukazało się małe stadko drobnych jeleni górskich, kroczących poprzez polanę w jego stronę; ich chude jak gałązki nogi błyskały bielą, a długie, giętkie szyje łukowato wyginały się ku górze. W porównaniu z olbrzymimi wołami piżmowymi, które wypasał klan Arevina, filigranowe jelenie wyglądały jak zabawki. Poruszały się niemal bezszelestnie; to konie jadących za nimi pasterzy usłyszał Arevin. Jego wierzchowiec, stęskniony za swoimi braćmi, zarżał.

Dwójka pasterzy, machając rękami, puściła się cwałem w jego stronę. Oboje byli bardzo młodzi, niemal dzieci, o brązowej od słońca skórze i krótko przyciętych, blond włosach. Z wyglądu krewni. W Podgórzu Arevin czuł się bardzo nieswojo, nie z powodu swojego pustynnego stroju, ale dlatego, że brano go za szaleńca. Nie uważał, aby było konieczne zmieniać sposób ubierania się po tym, jak wyjaśnił swoje intencje. A teraz, przyjrzawszy mu się przez moment, dzieciaki spojrzały na siebie i wyszczerzyły zęby w uśmiechu. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien był kupić sobie nowego ubrania. Jednakże miał mało pieniędzy i nie chciał wydawać ich na coś, co nie było absolutnie konieczne.

— Zjechałeś daleko od handlowych szlaków — powiedział starszy pasterz. Ton jego głosu nie brzmiał zaczepnie, lecz rzeczowo. — Potrzebujesz pomocy?

— Nie — odparł Arevin. — Ale dziękuję wam.

Wokół niego stłoczyło się stadko jeleni. Zwierzęta komunikowały się ze sobą za pomocą dziwnych pisków, które bardziej przypominały świergot ptaków niż dźwięki wydawane przez ssaki. Młodsza pasterka wydała nagle okrzyk: „uuup!” i zamachała rękami. Jelenie rozbiegły się na wszystkie strony. Jeszcze jedna różnica między ich stadem, a tym, którego pilnował Arevin; woły piżmowe reagowały na jeźdźców w ten sposób, że przebierały przednimi łapami, gotowe raczej zaatakować, niż wykonać polecenie.

— Na bogów, Jean, wypłosisz wszystko z całych gór — zawołał chłopak, ale nie wyglądał na zmartwionego tym, co się dzieje z jeleniami.

Zwierzęta gromadziły się w stado trochę dalej od drogi. Arevin był zaskoczony, z jaką łatwością ludzie ujawniają swoje imiona w tym kraju. Uznał jednak, że lepiej będzie się do tego przyzwyczaić.

— Nie mogę rozmawiać, jak mi się żyjątko kręca pod nogami — powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się do Arevina. — Dobrze jest zobaczyć jakąś ludzką twarz po tym, jak człowiek nie patrzył na nic innego, tylko na drzewa i jelenie. No i oczywiście na brata.

— Nie widzieliście nikogo innego na szlaku? — Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Jeżeli Gada wracałaby z Centrum i po drodze spotkała pasterzy, to z pewnością podróżowałiby razem.

— A czemu? Szukasz kogoś? — głos młodszego człowieka brzmiał podejrzliwie, a może tylko ostrożnie.

— Tak — powiedział. — Uzdrowicielki. Przyjaciółki. Jej koń jest szary, ma też tygrysięgo kucyka i jedzie z nią dziecko. Powinna wracać z pustyni na północ.

— Ale nie wraca.

— Jean!

— Kev, czy on wygląda na kogoś, kto zrobiłby jej krzywdę? A może on jej potrzebuje? Może ktoś jest chory?

— A może jest kumplem tego wariata? — powiedział brat. — Dlaczego jej szukasz?

— Jestem przyjacielem uzdrowicielki — powtórzył zaniepokojony Arevin. Widzieliście szaleńca? Czy Gada jest bezpieczna?

— Ten jest w porządku — powiedziała Jean do Keva.

— Nie odpowiedział na moje pytanie.

— Powiedział, że jest jej przyjacielem. Może to nie twój interes.

— Nie, twój brat ma prawo zadawać mi pytania — wtrącił się. Arevin. — A może i nawet obowiązek. Szukam Gady, ponieważ zdradziłem jej swoje imię.

— Jak masz na imię?

— Kev! — krzyknęła Jean, zbulwersowana.

Arevin uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu, gdy spotkał tych dwoje. Przyzwyczał się do obcesowych obyczajów.

— To nie jest rzecz, którą mógłbym wam zdradzić — wyjaśnił uprzejmie.

— My dobrze to wiemy — powiedziała Jean. — Po prostu tak długo siedzieliśmy tutaj, z dala od ludzi...

— Gada wraca? — spytał Arevin; głos mu lekko drżał z radości i podniecenia.

— Widzieliście ją? Jak dawno temu?

— Wczoraj — odparł Kev. — Ale ona nie jedzie w tę stronę.

— Jedzie na południe — dorzuciła Jean.

— Na południe?!

Jean pokiwała głową.

— Byliśmy tutaj i zbieraliśmy stado. Spotkaliśmy ją, gdy schodziliśmy z wysokich pastwisk. Kupiła jednego z jucznych koni, żeby wariat miał na czym jechać.

— Ale dlaczego była z szaleńcem? On na nią napadł! Jesteście pewni, że nie zmusił jej, aby jechała z nim?

Jean roześmiała się.

— Nie. To Gada wszystkim rządziła. Nie ma wątpliwości.

Arevin odetchnął z ulgą; mógł już nie martwić się o bezpieczeństwo Gady. Wciąż jednak był zaniepokojony.

— Na południe? — zdziwił się. — Co jest na południe stąd. Myślałem, że nie ma tam żadnych miast.

— Nie ma. My docieramy najdalej ze wszystkich. Zdziwiło nas to, że ją zobaczyliśmy. Prawie nikt nie jeździ tą przełęczą nawet, gdy wraca z Miasta. Ale ona nie mówiła, dokąd jedzie — powiedziała Jean.

— Nikt nie jeździ dalej od nas — wyjaśnił Kev. — To niebezpieczne.

— Dlaczego?

Kev wzruszyła ramionami.

— Jedziesz za nią?

— Tak.

— Dobrze, ale już pora na rozbiście obozu. Chcesz z nami zostać?

Arevin rzucił okiem na krainę za ich plecami, na południe. Faktycznie, cienie górskie schodziły już na połoniny. Zbliżał się zmierzch.

— Daleko dzisiaj nie zajedziesz — powiedział Kev. — A to jest najlepsze miejsce na obóz w promieniu pół dnia drogi.

Arevin westchnął.

— Dobrze — powiedział. — Dziękuję wam. Zostanę tu dziś na noc. — Arevin z radością przywitał ciepło ogniska. Pachnące drewno paliło się tryskając iskrami.

Kev zawinął się już w koce i chrapał lekko przy brzegu ogniska. Jean siedziała na przeciw Arevina, tuląc kolana do piersi.

Ziewnęła.

— Chyba pójdę spać — powiedziała. — A ty?

— Tak. Za chwilę.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić? — spytała.

Arevin spojrzał na nią.

— Już zrobiłaś bardzo dużo — odparł.

Patrzyła na niego, zaciekawiona.

— Nie to miałam na myśli.

— A co miałaś na myśli?

— Jak mówi się to u ciebie? Podobasz mi się. Pytam, czy chciałbyś spędzić ze mną noc.

Arevin spojrzał na Jean beznamiętnie, choć był zażenowany. Sądził — miał nadzieję — że się nie zarumienił. I Thad i Larril zadawali mu to samo pytanie, a on nie rozumiał. Najnormalniej w świecie odmówił im. Arevin miał nadzieję, iż domyślają się, że jego obyczaje są inne.

— Jestem zdrowa, jeśli się obawiasz — wyjaśniła Jean z odrobiną oschłości — a moja kontrola jest świetna.

— Bardzo cię przepraszam — powiedział Arevin. — Zupełnie cię nie rozumiem. Jestem zaszczycony twoją propozycją i nie wątpię ani w twoje zdrowie, ani w kontrolę. Ty też nie musisz wątpić w moje, ale jeśli to cię nie obrazi, muszę powiedzieć: „nie”.

— Nie ma sprawy — powiedziała Jean. — To była tylko taka myśl...

Arevin wiedział, że poczuła się dotknięta. Odmówiwszy tak obcesowo i nieświadomie Thadowi i Larril, Arevin czuł się zobowiązany wobec Jean, żeby przynajmniej wszystko jej wyjaśnić. Nie wiedział, jak ma tłumaczyć swoje uczucia, gdyż nie był pewien, czy sam je rozumie.

— Uważam, że jesteś bardzo atrakcyjna — zaczął. — Nie chciałbym, abyś mnie źle zrozumiała. Spędzenie nocy z tobą nie byłoby w porządku. Moje myśli byłyby... gdzie indziej.

Jean spojrzała na niego przez falujące od ciepła powietrze nad ogniskiem.

— Mogę obudzić Keva, jeśli chcesz.

Arevin potrząsnął głową.

— Dziękuję ci, ale chciałem powiedzieć, że moje myśli będą poza tym obozem.

— Ach! — wykrzyknęła z nagłym zrozumieniem. — Teraz wszystko jasne. Nie winię cię. Mam nadzieję, że wkrótce ją znajdziesz.

— Mam nadzieję, że cię nie obraziłem.

— W porządku — powiedziała Jean, trochę jednak zasmucona. — Nic się nie zmieni, jeśli ci powiem, że nie szukam niczego stałego? Ani nawet na dłużej niż jedna noc?

— Nie — powiedział Arevin. — Przepraszam, ale to ciągle to samo.

— Jasne. — Podniosła koc i podeszła do krawędzi światła rzucanego przez płomień ogniska. — Śpij dobrze.

Później, kiedy Arevin już leżał na swoim pośłaniu, pomyślał, jak przyjemnie i ciepło byłoby leżeć obok drugiej osoby. Zdarzało mu się od czasu do czasu sypiać z kimś z jego klanu, ale dopóki nie spotkał Gady, nie znalazł nikogo, z kim chciałby wejść w związek partnerski. Od czasu, jak ją spotkał, do nikogo nie czuł pożądania, a co dziwniejsze, nawet nie zauważył tego, że nikt go nie pociąga. Leżał na twardej ziemi, rozmyślając o tym wszystkim i próbując sobie uzmysłwić swoją sytuację. Przecież nie ma dowodów — na jedno krótkie dotknięcie i kilka wieloznacznych słów — że Gada czuła do niego coś więcej niż tylko chwilowe zafascynowanie. A jednak chciał mieć nadzieję.

Przez długi czas Gada nie poruszała się, nawet nie pomyślała, że mogłaby się poruszyć. Cały czas oczekiwała nadejścia świtu, ale noc wydawała się nieskończona. Może ludzie Polarnego przykryli czymś rozpadlinę, aby utrzymać ją w ciemności? Ale Gada wiedziała, że to śmieszna myśl, choćby dlatego, że Polarny będzie chciał na nią popatrzeć i pośmiać się z niej.

Gdy tak kontemplowała, nad jej głową rozbłysło światło. Popatrzyła w górę, ale nic nie zobaczyła. O ścianę lochu zachrobotwały liny i drewno. Gada zastanawiała się, cóż to za nieszczęśnik szukał zapomnienia u Polarnego. Wreszcie, gdy w jej pobliżu opadła spuszczone na blokach platforma, zobaczyła, że Polarny odwiedza ją we własnej osobie. Nie mogła trzymać Melissy mocniej ani ukryć jej przed nim.

Polarny zszedł z platformy. Dwaj jego fanatycy asystowali mu, niosąc lampy. Kiedy olbrzym podszedł dostatecznie blisko, światło objęło ich oboje i Gada mogła zobaczyć jego twarz. Uśmiechnął się do niej.

— Moje zwierzątka lubią cię — powiedział. Skinął głową w kierunku jej stóp. Węże oplotły nogi Gady prawie do kolan. — Ale nie wolno ci tak egoistycznie wszystkiego zagarniać dla siebie.

— Melissa ich nie chce — powiedziała Gada.

— Muszę powiedzieć — odezwał się Polarny — że nie spodziewałem się, iż zastanę cię tak przytomną.

— Jestem uzdrowicielką.

Polarny nachmurzył się.

— Ach, rozumiem. No tak, powinienem był pomyśleć o tym, że będziesz odporna.

Ruchem głowy przywołał swoich ludzi, którzy odstawili lampki i podeszli do Gady. Światło omywało twarz Polarnego od dołu, rzucając niesamowite refleksy na jego papierowo białą skórę. Fanatycy stąpali ostrożnie między ostrymi kamieniami i węzami snu. W przeciwieństwie do Gady, mieli porządne buty. Jeden wyciągnął rękę, żeby odebrać jej Melissę. Gada poczuła, że węże odwijają się z jej nóg i usłyszała, jak suną po skale.

— Trzymaj się z daleka! — krzyknęła.

Rzuciła się na rękę mężczyzny i ugryzła ją. Poczuła, jak zimne ciało ustępuje pod naporem jej zębów. Usta wypełniły mdły smak ciepłej krwi. Tak bardzo pragnęła mieć w tym momencie ostre zęby; ostre zęby z kanalikami na truciznę. Ale mogła liczyć tylko na to, że rana będzie zainfekowana.

Wielbiciel Polarnego cofnął rękę ze skowytem, rozdzierając ją sobie jeszcze głębiej, a Gada wypluła krew. Zakotłowało się, gdy Polarny i jego pomocnicy chwycili ją za włosy, ramię i za ubranie. Odciągnęli ją, podczas gdy inni zabierali Melissę. Polarny zatopił swe długie palce we włosach Gady i przytrzymał jej głowę twarzą do ściany, aby nie mogła znowu gryźć. Po chwili wywlekli ją z ciasnego kąta lochu. Szarpiąc się z nimi, stanęła na chwiejnych nogach. Polarny ponownie chwycił ją za włosy i odciągnął w tył. Kolana się pod nią ugięły. Próbowwała się podnieść, ale nie miała już o co walczyć; nie miała siły, by pokonać wyczerpanie i ból. Trzymając się lewą ręką za prawe ramię, skąd płynęła krew, opadła na ziemię.

Polarny puścił jej włosy i podszedł do Melissy. Zajrzał dziecku w oczy i zbadał puls. Zerknął na Gadę.

— Mówiłem ci, żebyś nie izolowała jej od moich zwierzątek.

Gada podniosła głowę.

— Dlaczego próbujesz ją zabić?

— Zabić?! Ja?! Nie wiesz ani dziesiątej części tego, co ja. — Zostawił Melissę i wrócił do Gady, schylając się, aby złapać kilka węży. Wkładał je do kosza, trzymając delikatnie i ostrożnie, aby go nie ukąsiły.

— Będę musiał ją zabrać, aby uratować jej życie. Ona znenawidzi cię za to, że zrujnowałaś jej pierwsze doświadczenie. Wy, uzdrowiciele, aż puchniecie od swojej arogancji.

Gada zastanawiała się, czy miał rację, mówiąc o arogancji. Jeżeli tak, to być może nie mylił się też, co do Melissy. Uzdrowicielka i tak była zbyt słaba, by się z nim spierać.

— Bądź dla niej dobry — wyszeptała.

— Nie obawiaj się — powiedział Polarny. — Będzie ze mną szczęśliwa.

Skinął na swoich pomocników. Kiedy się zbliżali, Gada spróbowała wstać i przygotować się do ostatniej obrony. Klęczała na jednym kolanie, gdy człowiek, którego ugryzła, złapał ją za prawe ramię. Pociągnął ją do góry, żeby stanęła, wykręcając ramię. Drugi wielbiciel Polarnego podtrzymał ją z drugiej strony.

Sam Polarny pochylił się nad nią, trzymając węża snu.

— Jak bardzo jesteś pewna swej odporności, uzdrowicielko?

Jeden z ludzi odchylił Gadzie głowę w tył, odsłaniając gardło. Polarny był tak wysoki, że Gada musiała ciągle patrzeć w górę; widziała, jak opuszcza węża snu.

Kły zatopiły się w tętnicy szyjnej. Nic się nie stało, Gada wiedziała, że nic się nie stanie. Pragnęła, żeby Polarny też to zrozumiał i puścił ją, żeby pozwolił położyć się na zimnej, ostrej skale i spać, nawet gdyby miała się już nigdy nie obudzić. Była zbyt zmęczona, aby dalej walczyć. Krew ściekła jej po szyi na obojczyk. Polarny podniósł jeszcze jednego węża i przystawił jej do szyi.

Kiedy drugi wąż ją ukąsił, poczuła nagły, rwący ból rozchodzący się od gardła po całym ciele. Na moment straciła oddech. Kiedy wąż cofnął głowę, wstrząsnęły nią dreszcze.

— A! — uśmiechnął się Polarny. — Uzdrowicielka zaczyna nas rozumieć. — Wahał się chwilę, obserwując ją. — Może by tak jeszcze jednego?

Znowu się nad nią pochylił; jego twarz była ukryta w cieniu, a światło formowało aureolę z jasnych, piórkowatych włosów. Gada szarpnęła się w tył, ale uścisk fanatyków Polarnego nie osłabł. Ludzie, którzy ją trzymali, zachowywali się, jakby byli zahipnotyzowani spojrzeniem węża. Mężczyzna, którego przedtem ugryzła, zawarczał wściekle. Pociągnął ją do tyłu, wykręcając ramię jedną ręką, a drugą wbijając paznokcie w zraniony bark.

Polarny, który odsunął się na czas szamotaniny, podszedł ponownie.

— Po cóż walczyć, uzdrowicielko? Pozwól sobie na oddanie się przyjemności, jaka dają moje zwierzątka.

Podniósł trzeciego węża snu do jej gardła. Gad uderzył natychmiast.

I tym razem ból rozszedł się promieniście po ciele, ale kiedy osłabł, przez Gadę przeszła kolejna fala spazmów. Krzyknęła.

— O! — usłyszała głos Polarnego. — Teraz nareszcie rozumie.

— Nie... — wyszeptwała.

Umilkła. Nie chciała sprawić Polarnemu satysfakcji swoim bólem.

Fanatycy puścili ją. Upadła do przodu, próbując podeprzeć się lewą ręką. Tym razem działanie jadu nie ustawało. Rosło, odbijając się echem w całym ciele. Gada drgała w rytm uderzeń serca. Próbując oddychać pomiędzy kolejnymi falami rozdzierającego bólu, osunęła się na twardą skałę.

Światło sączyło się w głąb lochu. Gada leżała w tej samej pozycji, w jakiej upadła — z jedną ręką wyciągniętą przed siebie. Szron posrebrzył postrzępiony koniec rękawa. Gruba, biała warstwa lodowatych kryształków pokrywała pokruszone kawałki skały na podłodze i wpełzała na ściany czeluści. Zafascynowana kolorowym wzorem, pozwoliła, aby jej wzrok błądził pośród delikatnych paproci. Kiedy się tak w nie wpatrywała, stały się raptem trójwymiarowe. Znalazła się w prehistorycznym lesie mchów i wielkich paproci, a wszystko było czarno — białe.

Tu i ówdzie koronki poznaczone były szlaczkami, które przywracały im bezlitośnie dwuwymiarowość, tworząc inny, bardziej geometryczny wzór. Ciemne liście w kolorze kamieni wyglądały jak ślady węża snu, ale Gada wiedziała dobrze, że przy tak niskiej temperaturze nie ma się co spodziewać, aby zwierzęta były aktywne na tyle, żeby sunąć po pokrytej lodem skale. Może Polarny, aby je zabezpieczyć, zabrał je w jakieś cieplejsze miejsce.

Nadzieja rozviała się, gdy Gada posłyszała cichy szmer łuski przesuwającej się po kamieniu. Przynajmniej jedno zwierzę pozostało. To ją pocieszyło, bo było znakiem, że nie jest sama.

„Ten musi mieć zwiększoną odporność” — pomyślała.

Mógł to być ten sam, który ją ukąsił, dostatecznie duży, aby wyprodukować i zgazynować pewną ilość ciepła. Otwierając oczy, próbowała sięgnąć w kierunku dźwięku. Zanim poruszyła ręką, zobaczyła węże. Zostało ich tu o wiele więcej, niż myślała. Dwa, nie — trzy węże snu oplecione wokół siebie. Żaden z nich nie był tym wielkim. Żaden nie był większy niż Mech. Wiły się i skręcały, rysując na szronie ciemne hieroglify, których Gada nie umiała odczytać. Symbole miały jakieś znaczenie — tego była pewna; gdybyż tylko mogła je rozszyfrować. Tylko część przekazu znajdowała się przed nią, więc obróciła się, by obejrzeć łącznie się ze sobą znaki. Węże pozostawały w zasięgu wzroku, ocierając się o siebie, tworząc potrójną spiralę ze swych ciał.

Zwierzęta na pewno giną z zimna i Gada musi jakoś wezwać Polarnego, żeby je ocalił. Uniosła się na łokciach, ale nie była w stanie ruszyć się bardziej. Wysilała się, próbując wydobyć głos, ale opadła ją fala mdłości. Gada zakaszła sucho, lecz nie miała w żołądku nic, czym mogłaby zwymiotować i uwolnić się od nudności. Ciągle była pod działaniem jadu.

Ostry ból zmaleł, stał się monotony i tępy. Odrzuciła go od siebie siłą woli; chciała się tym sposobem zupełnie od niego uwolnić, ale nie była w stanie zgromadzić w sobie dostatecznej energii. Pokonana, zemdlą ponownie.

Gdy ocknęła się ze snu, ból minął i wiedziała, że już nie powróci. Nadal była wolna. Polarny nie może zniewolić jej węzami snu. Szaleniec opisywał ekstazę, więc Gada wiedziała, że jad nie podziałał na nią tak, jak na wyznawców Polarnego. Nie wiedziała, czy stało się tak dlatego, że system immunologiczny uzdrowicieli jest silniejszy, czy dlatego, że opierała się temu całą siłą swej woli. Zresztą to nie miało dla niej znaczenia.

Gada zrozumiała, dlaczego Polarny był tak pewny, że Melissa nie zamrznie na śmierć. Było nadal zimno, a jednak jej samej było ciepło, a nawet gorąco. Jak długo jej organizm może utrzymywać podwyższony metabolizm — nie wiedziała, ale czuła, jak krew w jej ciele krąży i wiedziała, że nie musi się obawiać odmrożenia.

Przypomniała sobie węże snu, aktywne poza granice wiarygodności, pełzające po pokrytej lodem podłodze.

„To wszystko musiał być sen” — pomyślała.

Rozejrzała się jednak dookoła i wtedy, pośród ciemnych, wyrysowanych na skale hieroglifów zobaczyła trzy splecione, małe węże. Ujrzała drugą trójkę i trzecią. Nagle z wielkim osłupieniem i radością zrozumiała komunikat, jaki te stworzenia chciały jej przekazać. To tak, jakby była przedstawicielką wszystkich pokoleń uzdrowicieli, wysłaną tu celowo, aby przyjąć to, co jest jej dane.

Nawet teraz nie mogła się nadziwić, ile potrzeba było czasu, aby odkryć tajemnicę węży snu. Rozumiała przyczyny. Teraz, kiedy zwalczała skutki działania jadu, była w stanie zrozumieć znaczenie hieroglifów i zobaczyła więcej, niż krocie węży snu kopulujących trójkami na lodowatych kamieniach.

Jej ludzie, podobnie jak inni, przykładali do wszystkiego własną miarę. Byli skoncentrowani wyłącznie na sobie. Prawdopodobnie było to nieuniknione, gdyż ich izolacja była silna i nie do przełamania. W rezultacie jednak uzdrowiciele okazali się zbyt krótkowzroczni; chcąc chronić węże snu, nie dopuszczali jednocześnie do tego, aby zwierzęta mogły osiągnąć dojrzałość płciową. I to także było nieuniknione: węże snu miały zbyt wielką wartość, by ryzykować jakiegokolwiek eksperymenty. Bezpieczniej było polegać na powstałych z przeszczepiania klonach, niż narażać życie tych, które uzdrowiciele już posiadali.

Gada śmiała się z prostoty i klarowności wyjaśnienia. Oczywiście, węże snu należące do uzdrowicieli nigdy nie osiągały stadium dojrzałości. W jakimś momencie swego rozwoju potrzebowały tego przenikliwego zimna. Oczywiście, ich węże snu nie przechodziły nigdy okresu godowego, nawet te nieliczne, którym udało się osiągnąć dojrzałość. A wreszcie: w nadziei, że dojrzałe węże zaczną kopulować, uzdrowiciele działali według nudnego schematu, łącząc je w... pary.

Odizolowani od najnowszej wiedzy, uzdrowiciele zrozumieli jednak, że ich węże snu są istotami nie podlegającymi ziemskim prawom. Ale nie byli w stanie pojąć, dlaczego.

Parami i parami. Gada roześmiała się bezgłośnie.

Przypomniała sobie zażarte dyskusje uzdrowicieli o tym, czy węże snu są diploidalne czy heksaploidalne, gdyż liczba chromosomów czyniła możliwym i jedno, i drugie. Ale we wszystkich zacietrzewionych dyskusjach nikt nie zbliżył się do prawdy. Węże snu były triploidalne i potrzebna była trójka, a nie para.

Śmiech Gady przerodził się w smutny uśmiech żalu nad wszystkimi błędami, jakie ona i jej ludzie przez tyle lat popełniali. Fakt, że byli skrępowani brakiem odpowiedniej informacji, niewystarczającymi możliwościami technicznymi, które nie mogły sprostać wymaganiom, wreszcie przez etnocentryzm. I przez narzuconą izolację Ziemi od innych światów, jak też przez samoizolację tak licznych grup ludzi na tym świecie. A teraz, kiedy Gada wszystko zrozumiała, było już, być może, za późno.

Pragnienie wyrwało ją z półsnu. Szczelina lochu była chyba tak jasna, jak nigdy dotąd, a kamień, na którym leżała — suchy. Przesunęła ręką i poczuła ciepło, sączące się z czarnej skały.

Spróbowała wstać. Kolano bolało, ale nie było napuchnięte. W ramieniu czuła tylko lekkie rwanie. Nie wiedziała, jak długo spała, ale proces gojenia już się zaczął.

Woda sączyła się nikłym strumyczkiem w drugim końcu skalnego lochu. Gada wstała i poszła w tamtą stronę, opierając się o ścianę. Trzymała się na nogach niepewnie, jakby nagle stała się staruszką. Klęcząc przed strumykiem, piła ostrożnie. Woda była czysta i zimna. Niezwykle trudno jest otruć uzdrowiciela, ale nie chciała obarczać swego organizmu dodatkowymi toksynami.

Lodowata woda przyprawiła ją o ból w pustym żołądku. Odsunęła od siebie myśl o jedzeniu i stanęła pośrodku czeluści. Obracała się wolno, oglądając loch w świetle dziennym. Ściany nie były gładkie, ale nie miały występów ani żadnych punktów zaczepienia dla palców rąk i nóg. Krawędź była za wysoko; Gada nie mogłaby doń doskoczyć, nawet gdyby była w pełni sił. A jednak musiała się jakoś wydostać. Musiała znaleźć Melissę i uciec stąd.

W głowie jej wirowało. Obawiając się, że wpadnie w panikę, zaczęła oddychać głęboko i powoli, trzymając oczy zamknięte. Trudno jej się było skoncentrować, gdyż wiedziała, że w każdej chwili może wrócić Polarny. Będzie chciał się nad nią pastwić, bo udało mu się przełamać jej barierę immunologiczną i wiedział, że działa na nią jad.

Jego nienawiść musiała domagać się widoku Gady tarzającej się i zebrzącej jak wszyscy jego wyznawcy. Zatrzęsła się i otworzyła oczy. Gdy Polarny raz odkryje, jakie faktycznie działanie ma w jej przypadku jad, będzie chciał doprowadzić do jej śmierci.

Gada usiadła i odwinęła chustę Melissy. Materiał był zlepiony i sztywny od krwi, musiała rozmoczyć tkaninę bezpośrednio przylegającą do skóry. Strup okazał się twardy i rana już nie krwawiła. Nie była dokładnie oczyszczona, blizna będzie więc pełna brudu i pyłu, o ile szybko z tym czegoś nie zrobi. Ale zakażenia nie będzie, a Gada nie mogła teraz pozwolić sobie na stratę czasu.

Oderwała kilka wąskich pasków z brzegów kwadratowej chustki i związała ją w prowizoryczny worek. Cztery dorodne węże leżały ospale na kamieniu w zasięgu ręki. Gada złapała je, włożyła do worka i zaczęła rozglądać się za innymi. Te, które schwytała, musiały być dorosłe, a może nawet jeden czy dwa miały w sobie zapłodnione jaja. Złapała jeszcze trzy, ale reszta węży zniknęła. Ostrożnie chodziła wśród kamieni, wypatrując jakiegoś śladu nor, ale bezskutecznie.

Zastanawiała się, czy scena kopulacji nie była dziełem jej wyobraźni, czy może był to tylko niezwykle realistyczny sen. Tak czy inaczej, w lochu było przedtem o wiele więcej gadów i albo ich nory były tak świetnie ukryte, że nie dawały się odszukać, albo Polarny wyniósł stąd resztę węży snu.

Kątem oka zobaczyła przemykającego gada. Wyciągnęła dłoń, a on zaatakował. Szybko cofnęła rękę, zadowolona, że po wszystkich tych doświadczeniach wciąż miała refleks na tyle szybki, iż mogła uniknąć zębów. Nie obawiała się ukąszenia jednego węża snu — jej odporność na jad musiała być teraz niezwykle wysoka. Za każdym ukąszeniem kolejna porcja jadu, która wywarłaby na niej wrażenie, musiała być coraz większa. Jednak Gada nie miała ochoty na następny raz.

Złapała jeszcze jednego, dużego węża snu i włożyła go do chusty. Związała całość ode-
rwanym paskiem materiału, a drugim przytroczyła sobie płócienny worek do paska.

Widziała tylko jedną drogę ucieczki. Był wprawdzie inny sposób, ale wątpiła czy będzie miała dość czasu, aby usypać wzgórek z pokruszonych kamieni i wspiąć się po nim. Wróciła na drugi koniec lochu tam, gdzie rozpadlina była wąska, a ściany prawie się schodziły; w tym miejscu podtrzymała Melisę.

Coś połaskotało jej bosą stopę. Spojrzała w dół i zobaczyła umykającego świeżo wyk-
lutego, maleńkiego wężyka. Schyliła się i podniosła zwierzątko łagodnie, aby go nie
wystraszyć. Rogowa tkanka odpadła, a pod spodem ukazały się jasnoróżowe łuski
wokół pyszczka. Za jakiś czas staną się szkarłatne. Malutki wąż smakował powietrze
swym potrójnie rozwidlonym języczkiem, uderzył noskiem w jej dłoń i opłynął kciuk
dookoła. Wsunęła go do kieszeni na piersi podartej koszuli, gdzie przez cienką warstwę
tkaniny wyczuwała jego ruchy.

Opierając się plecami, przycisnęła barki i kręgosłup do ściany. Ból w ranie na razie
się nie odnowił, ale Gada nie wiedziała, jaki wysiłek będzie w stanie wytrzymać.
Zaprogramowała się na brak bólu, ale głód i wyczerpanie utrudniały koncentrację.

Oparła prawą stopę o przeciwległą ścianę i wypchnęła naprężone ciało w górę.
Ostrożnie umieściła drugą stopę na skale, przesuwając ramiona wyżej. Przeniosła nogę
nieco wyżej i znów wypchnęła ciało do góry.

Ze ściany wykruszył się niewielki kamyczek i Gada zjechała w dół, spadając na bok,
mimo prób utrzymania równowagi. Zdarła sobie skórę na dłoniach i na plecach.
Usiłując złapać oddech, próbowała się podnieść, aż wreszcie poddała się. Leżała spo-
kojnie na wznak. Dreszcz przeszedł ją od góry do dołu; przed oczami latały jej mroc-
ki. Kiedy ustały, wzięła głęboki oddech i odepchnęła się rękoma, by znów stanąć na no-
gach. Chore kolano drżało z wysiłku.

Dobrze przynajmniej, że nie spadła na węże. Przyłożyła rękę do kieszeni na piersi
i poczuła, że malutki opiekun snu poruszył się lekko.

Zacisnąwszy zęby, ponownie oparła się o skałę. Znów wypchnęła ciało ku górze, tym
razem ostrożniej, najpierw macając ścianę stopą, nim oparła się na niej całym ciężarem.
Skała ocierała jej plecy, a ręce zrobiły się śliskie od potu. Pięta się dalej. Już wyobrażała
sobie, jak patrzy ponad krawędzią swojego więzienia.

Nagle usłyszała hałas i zamarła.

„To nic — pomyślała. — To kamyczek uderzył o kamyczek. Skały wulkaniczne zawsze tak
dźwięczą, kiedy uderzają o siebie.”

Mięśnie ud drżały z wysiłku. Oczy piekły — widziała wszystko poprzez krople potu.

Znowu usłyszała jakiś dźwięk; nie skalny łoskot, ale dwa głosy. Jeden z nich należał
do Polarnego.

Prawie płacząc z rozczarowania, Gada zaczęła ześlizgiwać się z powrotem do lochu.
Schodzenie było tak samo trudne i wydawało się, że pochłania nieskończoną ilość
czasu. Musiała zejść na tyle nisko, żeby móc zeskoczyć.

Ręce, stopy, plecy drapały o kamień. Dźwięk rozlegał się w zamkniętej przestrzeni tak głośno, że Gada była pewna, iż Polarny go usłyszy. Gdy kamyk zaklekotał po ścianie szczeliny. Gada rzuciła się na ziemię. Zamarła, powstrzymując drzenie. Zmusiła się, aby oddychać powoli, choć bardzo pragnęła złapać głęboki łyk powietrza. Udawała, że ciągle śpi. Oczy zmrużyła, prawie zamknęła, ale widziała cień, który na nią padł.

— Uzdrowicielko!

Gada nie poruszyła się.

— Uzdrowicielko, obudź się!

Posłyszwała szuranie butów po kamieniach. Deszcz odłamków spadł na jej ciało.

— Ona ciągle śpi, Polarny — powiedział szaleniec. — Tak jak wszyscy inni, oprócz ciebie i mnie. Chodźmy spać. Polarny. Proszę cię, pozwól mi spać.

— Zamknij się. Nie ma już jadu. Wężę są wyczerpane.

— Mogą dać mi jeszcze jedno ukąszenie. Albo pozwól mi zejść na dół i wziąć innego, Polarny. Takiego miłego, dużego. Będę mógł sprawdzić, czy ona naprawdę śpi.

— A cóż mnie obchodzi, czy ona śpi naprawdę, czy nie?

— Nie możesz jej ufać. Polarny. Ona jest cwana. Skołowała mnie, żebym ją do ciebie przyprowadził...

Głos szaleńca tonał w oddalających się krokach. O ile Gada dobrze słyszała, Polarny nie zadał sobie trudu, aby odpowiedzieć.

Kiedy odeszli, Gada poruszyła się tylko tyle, żeby przyłożyć rękę do kieszeni na pierś. Wężyk miał się, bogom dzięki, dobrze. Czują pod palcami, jak porusza się powoli i spokojnie. Zaczęła wierzyć, że jeśli wydostanie się z tej czeluści żywa, to maleńki wąż snu również ocaleje. A może to miało być w odwrotnej kolejności?

Jej ręka drżała. Cofnęła ją, aby nie spłoszyć zwierzątka. Obróciwszy się wolno na plecy, popatrzyła w niebo. Górna krawędź szczeliny wydawała się być niezmiernie daleko, jakby wznosiła się wyżej za każdym razem, gdy Gada próbowała wzrokiem zmierzyć ścianę.

Podniesienie się na nogi szło wolno i niezdarnie, ale w końcu stanęła w ciasnej przestrzeni między ścianami i od razu ruszyła do przodu, ku skalnej płaszczyźnie. Zadrapania na plecach ocierały o kamień, a rana w barku groziła otwarciem. Nie patrząc w górę, Gada oparła jedną stopę o ścianę, naprężyła ciało, przeniosła ciężar na drugą stopę i znów zaczęła pisać się ku górze.

W miarę, jak wpełzała wyżej i wyżej, czuła, że koszula rwie się jej na plecach. Zawiązana chustka uniosła się z ziemi i ocierała o skałę tuż poniżej. Zaczęła się huścić. Była na tyle ciężka, że utrudniała utrzymanie równowagi. Gada zatrzymała się, wisząc jak most prowadzący donikąd, poczekała, aż wahadło przestanie drgać. Napięcie w mięśniach nóg zwiększyło się tak, że prawie wcale nie czuła skały pod nogami. Nie wiedziała, jak daleko ma do szczytu; nic chciała patrzeć w dół.

Zaszła wyżej niż poprzednim razem. Tutaj ściany szczeliny rozsuwały się nieco tak, że trudniej było się zaprzeć. Z każdym małym kroczkiem musiała wyciągnąć nogi nieco dalej. Teraz opierała się tylko na barkach, podtrzymując się od dołu rękoma.

Nie będzie mogła iść dużo dalej. Kamień pod prawą ręką był wilgotny od krwi. Po raz ostatni wypchnęła ciało w górę. Nagle tył głowy dotknął krawędzi szczeliny. Zobaczyła ziemię, wzgórze i niebo.

Raptowna zmiana pozbawiła ją równowagi. Zdołała podeprzeć się lewą ręką, zahaczyła łokciem o krawędź, a później oparła na niej dłoń. Okręciła ciało wokół osi i wczepiła się w ziemię prawą ręką. Rana w barku zabolęła tak, że Gada poczuła ból od kręgosłupa, aż po czubki palców. Paznokcie ryły ziemię, pośliznęły się, ale trzymały. Przebierała nogami, szukając podpory pod palce. Znalazła. Przez moment zwisała przy ścianie, chwytając łąpczywie powietrze. Czuła stłuczenie na biodrach po upadku na kamień. Tuż pod piersią, w kieszeni, przygnieciony, ale nie zmiażdżony, młodziutki wąż snu wiercił się niespokojnie.

Resztką sił w ramionach podciągnęła się pod krawędzią szczeliny i położyła się na poziomej powierzchni, dysząc ciężko. Stopy i nogi ciągle wisiały w powietrzu. Resztę drogi przeczołgała się. Rozdarta chusta zahaczyła o skałę, tkanina naprężyła się i pękła. Gada pociągnęła łagodnie, aż prowizoryczny worek znalazła się obok niej. Dopiero wtedy, jedną ręką trzymając tobolek z węzami, mogła rozejrzeć się i upewnić, że została nie zauważona. Przynajmniej przez chwilę była wolna.

Odpięła kieszeń i obejrzała młodego węża, nie mogąc uwierzyć, że wyszedł z tego bez szwanku. Zapinając kieszeń z powrotem, wzięła koszyk ze stosu obok zapadliny i włożyła do niego dorosłe węże snu. Zarzuciła go sobie na plecy, podniosła się na chwiejnych nogach i skierowała się do tuneli obiegających krater.

Nagle uświadomiła sobie, że nie pamięta, którym tutaj przyszła. Leżał naprzeciwko dużych przewodów chłodniczych — to wiedziała — ale krater był tak wielki, że każde z trzech wyjść mogło być tym, którego szukała.

„Może to lepiej — pomyślała. — Może oni zawsze używają tego samego tunelu, a ja przejdę tym, który nie jest używany. A może to bez znaczenia, którym będę szła i tak czy owak kogoś spotkam? A może wszystkie inne są ślepe”.

Zdając się na przypadek, Gada weszła do pierwszego tunelu. Wyglądał wewnątrz inaczej, ale być może dlatego, że szron zniknął. W tym tunelu też były pochodnie, więc ludzie Polarnego musieli go do czegoś używać. Jednak większość żagwi wypaliła się prawie do końca i Gada przekradała się w ciemnościach od jednego do drugiego, cały czas wodząc ręką wzdłuż ściany. Każde nowe światło mogło być końcem tunelu, ale okazywało się jedynie kolejną dogasającą pochodnią. Korytarz ciągnął się dalej. Jakkolwiek wolno szła w drugą stronę, jakkolwiek wyczerpana była teraz, wiedziała, że tamten tunel nie był taki długi.

„Jeszcze jedno światło — pomyślała. — A później...?”

Czarny dym wirował wokół niej i nie wskazywał nawet, w którą stronę biegnie prąd powietrza, aby mogła za nim pójść. Za plecami leżała jedynie ciemność. Inne płomyki wygasły, a może minęła zakręt, który odciął je z pola widzenia. Nie mogłaby pójść tą drogą z powrotem.

Spory odcinek przeszła w ciemności, zanim zobaczyła kolejne światło. Bardzo chciała, żeby było to światło dzienne, ale z góry wiedziała, że to tylko kolejna pochodnia. Żagiew prawie już dogasała, była już właściwie tylko rozżarzonym węglem. Gada czuła gryzły zapach dławiącego się płomienia.

Zastanawiała się, czy tunel nie prowadzi jej czasem do kolejnej rozpadliny. Zaczęła iść ostrożniej, wysuwając w przód stopę, ale nie przenosząc na nią ciężaru, póki nie była pewna, że wyczuje twardy grunt.

Kiedy pojawiła się kolejna pochodnia, Gada ledwie ją zauważyła. Kosz z wężami stawał się coraz cięższy. Kolano bolało potwornie, a bark rwał tak mocno, że musiała wsunąć rękę za pasek i przytrzymać ramię jak najbliżej ciała. Gdy tak powłóczyła nogami po niepewnej ścieżce, nie myślała, że będzie w stanie podnieść nogi wyżej, nawet gdyby wymagała tego ostrożność.

Wtem stanęła na stoku wzgórza, w świetle dnia, pod dziwnymi, poskręcanyimi drzewami. Oszołomiona, rozejrzała się dookoła, potem wyciągnęła lewą rękę i pogładziła szorstką korę. Dotknęła kruchego liścia koniuszkiem otartego palca.

Miała ochotę usiąść, śmiać się, położyć i zasnąć. Zamiast tego odwróciła się i zaczęła obchodzić wzgórze z nadzieją, że długi tunel nie wywiódł jej zbyt daleko od obozu narkomanów. Żałowała, że Polarny albo szaleniec nie zdradzili w swej rozmowie, gdzie umieścili Melisę.

Nagle Gada doszła do skraju strefy drzew. Prawie już weszła na polanę, nim zatrzymała się i cofnęła w cień. Niskie krzewy o okrągłych liściach pokrywały łąkę czerwona, grubą warstwą. Na tym naturalnym materacu leżeli ludzie, których widziała wcześniej z Polarnym. Wszyscy spali, pogrążeni w sennych marzeniach. Większość spoczywała twarzą do góry, z odsłoniętym gardłem, na którym widać było ślady nakłuć i małe kropelki krwi, pośród licznych parzystych blizn.

Gada przyglądała się wszystkim po kolei. W poszukiwaniach dotarła aż do drugiego końca polany. Tutaj, muskany cieniem dziwnego drzewa, leżał śpiący szaleniec. Pozycję przyjął inną niż pozostali: twarzą do dołu, rozebrany do pasa, z wyciągniętymi w górę ramionami, jakby w geście błagalnym. Nogi i stopy miał gołe.

Gdy Gada przemknęła przez polanę, podchodząc bliżej do szaleńca, zobaczyła liczne ślady po ukąszeniach na wewnętrznej stronie ramion i pod kolanami.

A więc Polarny znalazł niewyczerpanego węża i szaleniec w końcu dostał to, czego pragnął.

Ale wodza nie było na polanie, i Melissy także tutaj nie było. Gada podążyła z powrotem w stronę tunelu. Szła ostrożnie, gotowa w każdej chwili wśliznąć się pomiędzy drzewa. Ale nic się nie działo. Słyszała szuranie małych zwierząt, może ptaków czy jakichś obcych Ziemi stworzeń, kiedy dreptała boso po ubitym gruncie.

Szlak kończył się tuż przy wejściu do pierwszego tunelu. Tutaj, obok wielkiego kosza, samotnie, tylko z wężami snu, siedział Polarny.

Gada obserwowała go z zainteresowaniem. Trzymał węża w sposób zapewniający bezpieczeństwo — za tył głowy — więc gad nie mógł go ukąsić. Drugą ręką pieścił gładkie, zielone łuski. Gada zauważyła, że Polarny nie ma żadnych blizn na szyi i przypuszczała, że dla siebie stosował powolniejszą, lecz przyjemniejszą metodę przyjmowania jadu. Teraz jednak rękawy jego koszuli opadły, więc nie mogła zobaczyć, czy jego blade ramiona są pokryte bliznami.

Gada zmarszczyła czoło. Melissy nie było nigdzie w pobliżu. Jeżeli Polarny umieścił ją znowu w lochach, to Gada mogłaby szukać daremnie przez wiele dni. Nie miała na to dość sił. Wyszła z cienia na polanę.

— Dlaczego mu nie pozwoliś, żeby cię ukąsił? — spytała.

Polarny przestraszył się, ale nie stracił kontroli nad wężem. Popatrzył na Gadę z wyrazem absolutnego zaskoczenia na twarzy. Rozejrzał się szybko po polanie, jakby po raz pierwszy zauważył, że nie ma przy nim jego ludzi.

— Oni wszyscy śpią, Polarny — powiedziała Gada. — Nawet ten, który mnie tu przyprowadził.

— Chodź do mnie! — krzyknął Polarny, ale Gada nie usłuchała rozkazu.

— Jak się wydostałaś? — wyszeptał po chwili. — Zabijałem uzdrowicieli, nigdy żaden nie znał tajników magii. Było ich tak samo łatwo zabić jak każde inne stworzenie.

— Gdzie Melissa?

— Jak się wydostałaś? — piszczął.

Gada podeszła do niego, nie mając zielonego pojęcia, co robić. To prawda, że Polarny nie był silny, ale nawet, gdy siedział, był prawie tak wysoki jak ona na stojąco. Zatrzymała się przed nim.

Polarny postraszył ją wężem snu trzymany w dłoni. Gada stała tak blisko, że wyciągnęła rękę i koniuszkiem palca pogładziła zielone łuski.

— Gdzie Melissa?

— Ona jest moja — powiedział. — Ona nie należy do świata na zewnątrz. Ona należy do tego miejsca.

Ale jego blade oczy strzelające w bok zdradziły go. Wzrok Gady podążył za jego spojrzeniem ku dużemu koszowi o długości równej prawie wzrostowi Gady. Mimowolnie cofnęła się o krok i wzięła głęboki oddech. Kosz był prawie pełen kotłujących się, zbitych w masę węży snu. Rzuciła się z furią na Polarnego.

— Jak mogłeś?

— To było to, czego potrzebowała.

Gada odwróciła się od niego i zaczęła powoli, ostrożnie wyjmować węże z kosza. Było ich tak wiele, że nie widziała Melissy, nawet zarysu jej kształtów. Wyjmowała je po dwa naraz i kiedy już nie mogły zagrozić jej córce, upuszczała na ziemię. Jeden z węży owinął się jej wokół kostki, a drugi posuwistym ruchem pomknął w stronę drzew.

Polarny wstał.

— Co robisz? Nie możesz...

Pobiegł za uwolnionymi węzami, ale jeden z nich uniósł się, gotowy do ataku i Polarny cofnął się. Gada upuściła dwa kolejne na ziemię. Polarny znowu próbował pochwycić węża snu, ale ten natarł na niego i mężczyzna omal nie upadł, próbując uniknąć ataku. Zostawił w spokoju węże i rzucił się w stronę Gady, chcąc nastraszyć ją swoim wielkim wzrostem. Ale ona wyciągnęła w jego stronę opiekuna snu i olbrzym zatrzymał się.

— Boisz się ich, co, Polarny?

Zrobiła krok w jego stronę. Próbował wytrwać w miejscu, ale kiedy zrobiła kolejny krok, cofnął się gwałtownie.

— Co, nie postąpisz według własnych porad?

— Trzymaj się z daleka...

Mężczyzna upadł na plecy. Drapiąc ziemię, pełził w tył, a kiedy spróbował wstać, ponownie się przewrócił. Gada była tak blisko, że czuła jego zapach — spleśniały i wilgotny, zupełnie nie przypominający zapachu człowieka. Dysząc jak osaczone zwierzę, zatrzymał się i spojrzał jej w twarz. Zacisnął pięści, kiedy przysunęła bliżej węża snu.

— Nie — powiedział. — Nie rób tego...

Myśląc o Melissie, Gada nie zareagowała. Polarny wpatrywał się w zwierzę jak zahipnotyzowany.

— Nie... — głos mu się załamał. — Proszę...

— Czyżbyś prosił mnie o litość? — Gada krzyczała z radości, wiedząc już, że nie będzie miała dla niego więcej litości niż on dla jej córki.

Nagle pięści Polarnego rozluźniły się, a on pochylił się w stronę Gady, wyciągnąwszy rękę.

— Nie — powiedział. — Chcę spokoju.

Widać było, jak drży w oczekiwaniu na opiekuna snu.

Zaskoczona Gada cofnęła rękę.

— Proszę! — krzyknął ponownie Polarny. — Na bogów, czemu się tak ze mną bawisz?!

Gada spojrzała na węża, a potem na Polarnego. Przyjemność z jego kapitulacji zmieniła się w odrazę. Czyż była aż tak do niego podobna, żeby pragnąć władzy nad ludźmi? Może jego oskarżenia były słuszne? Zaszczyty i estyma tak samo sprawiały przyjemność jej, jak i jemu. I na pewno grzeszyła pychą, zarozumiałością i arogancją. Zawsze była arogancka. Może różnica między nią a Polarnym polegała tylko na stopniu nasilania tej cechy. Gada wiedziała, że gdyby przystawiła doń tego węża teraz, kiedy był bezbronny, to różnica między nimi przestałaby istnieć. Zrobiła krok w tył, upuszczając na ziemię opiekuna snu.

— Trzymaj się ode mnie z daleka. — Jej głos także drżał. — Mam zamiar zabrać córkę i pojechać do domu.

— Pomóż mi — wyszeptał. — Ja odkryłem to miejsce, ja używałem zwierzątek, aby pomóc innym ludziom. Czy nie zasługuję na to, żeby mi teraz pomóc?

Patrzył na Gadę błagalnym wzrokiem, ale ona nawet nie drgnęła.

Nagle wydał z siebie jęk i rzucił się na węża snu, łapiąc go jedną ręką i zmuszając, by ukąsił go w nadgarstek. Drgnął, kiedy kły raz i drugi zatopiły się w ciele.

Gada odwróciła się do niego tyłem, ale on nie zwracał już na nią uwagi. Skierowała się w stronę ogromnego, wiklinowego kosza i wąż z miękkim pacnięciem spadł na ziemię. Kilka innych wyglądało przez krawędź, aż stopniowo ich ciężar przeważył i wiklinowy kosz przechylił się. Kiedy się wywrócił, węże wiły się na ziemi w wielkim stosie.

Ale Melissy tu nie było.

Polarny przemknął obok Gady, zupełnie nie zwracając na nią uwagi i zanurzył blade, poplamione krwią ręce w kłębowisku gadów.

Gada szarpnęła go za ubranie i odciągnęła.

— Gdzie ona jest?

— Co...?

Wrywał się słabo w stronę węży snu; jego półprzezroczyste oczy szklily się.

— Melissa — gdzie ona jest?

— Ona śniła... — Wlepił oczy w węże — z nimi.

Melissa zdołała uciec. Zdołała siłą swej woli pokonać Polarnego i jad. Gada rozejrzała się po obozie, przeszukując go wzrokiem; widziała wszystko, tylko nie to, co chciałyby zobaczyć.

Polarny jęczał i Gada puściła go. Łapał umykające zwierzęta, gdy wślizgiwały się pomiędzy drzewa. Ramiona miał całe pokryte krwawymi nakłuciami, ale za każdym razem, gdy łapał kolejnego węża snu, zmuszał go do kąsania.

— Melisso! — wołała Gada, ale nikt nie odpowiadał.

Nagle Polarny chrząknął, a potem wydał dziwny, jękliwy dźwięk. Gada spojrzała przez ramię. Polarny podnosił się powoli, sztywno; w pokrwawionej ręce trzymał wijącego się węża. Cieniutkie strużki krwi po ukąszeniu spływały mu po szyi. Olbrzym upadł na kolana i zakołysał się. Runął w przód i leżał tak bez ruchu. Jego siła odpływała wraz z tym, jak pozaziemskie węże uciekały w swój pozaziemski las.

Gada podeszła do niego, oddychał równo. Nic mu się nie stało, upadek był raczej łagodny. Gada zastanawiała się, czy jad wywrze na nim takie samo wrażenie, jak na jego czcicielach, ale nawet, jeśli miało być inaczej, nawet gdyby jego strach przed jadem spowodował nie dobrą reakcję organizmu, to nic nie mogła dla niego zrobić.

Wąż snu, którego Polarny ciągle trzymał w dłoni, skręcał się i rzucał w uścisku. Gada powstrzymała oddech pod wpływem wspomnienia i żalu: miał złamany kręgosłup. Uklękła obok niego i skróciła jego ból w taki sam sposób, jak zrobiła to z Mchem.

Czując słonawy i chłodny smak krwi, namacała pasek swego małego koszyka z wikliny i zarzuciła go sobie na plecy. Nie przyszło jej do głowy, że mogłaby szukać Melissy gdzie indziej, jak tylko na ścieżce wiodącej w dół wzgórza.

Splątane drzewa rzucały tutaj głębszy cień niż w miejscu, gdzie Gada szła po raz pierwszy, a tunel pod nimi był węższy i niższy. Czując na plecach zimny pot, zmu-

szała się, by iść jak najszybciej. Nieziemski, obcy las mógł dawać schronienie rozmaitym stworzeniom — od węży po bezszelestne drapiezniki, Melissa nie ma żadnej broni, nawet noża.

Obóz Polarnego dzieliła od tego miejsca spora odległość i Gada zastanawiała się, w jaki sposób Melissa mogłaby dotrzeć tak daleko.

„Może uciekła i ukryła się — pomyślała Gada. — Może ciągle jest wewnątrz obozu Polarnego i śpi. Albo śpi i... umiera.”

Gada podeszła jeszcze kilka kroków dalej. Zawahała się. Po chwili podjęła decyzję i ruszyła naprzód.

Melissa leżała nieprzytomna za następnym zakrętem, wyciągnięta na ścieżce, z palcami wbitymi w ziemię. Gada podbiegła do niej, potykając się. Uklęła.

Delikatnie odwróciła córkę, Melissa nie poruszyła się, ciało miała bezwładne i bardzo zimne. Gada próbowała wyczuć puls. Raz się jej wydawało, że go złapała, to znów nie czuła nic. Melissa była w stanie silnego szoku i Gada nic tutaj nie mogła zrobić.

„Melisso, córeczko moja — myślała Gada — tak bardzo się starałaś, żeby dotrzymać danego słowa i prawie ci się udało. Ja także dużo ci obiecywałam i też nie dotrzymałam żadnej ze swoich obietnic. Proszę cię, daj mi jeszcze jedną szansę”.

Niezdarnie, zmuszając do wysiłku niemal kalekie prawe ramię, Gada podniosła drobniutkie ciało Melissy i oparła je sobie o lewą rękę. Chwiejąc się wstała; omal nie straciła równowagi. Nie sadziła, że w razie upadku byłaby w stanie powtórnie się podnieść. Przed nią rozciągała się droga, a Gada wiedziała, jak bardzo jest daleka.

13.

Gada brnęła przez płaskoliścienie. Potknęła się, gdy przechodziła przez szczelinę pełną, niebiesko — zielonych pełzaczy. Poślizgnęła się tak, że nieomal upadła. Melissa nie poruszyła się ani razu. Obawiając się ją położyć, Gada szła dalej.

„Tutaj nic nie mogę dla niej zrobić” — pomyślała i skoncentrowała uwagę na schodzeniu po zboczu.

Melissa wydawała się przerażająco zimna, ale Gada nie mogła ufać swej percepcji. Odsuwała od siebie wszelkie doznania. Kroczyła jak automat, przyglądając się swemu ciału jakby z oddalonego punktu obserwacyjnego. Wiedziała, że zdoła zejść ze wzgórza, ale miała ochotę krzyknąć z przerażenia, że rusza się tak powoli i ociężale: jeden krok, drugi... i ani trochę szybciej.

Stok góry wydawał się o wiele bardziej stromy niż wtedy, gdy Gada się po nim wspinała. Stojąc nad jego skrajem, uzdrowicielka nie mogła sobie nawet przypomnieć, w jaki sposób tu podeszła. Ale las i łąka o cudownych odcieniach zieleni dodały jej otuchy.

Gada usiadła i zsunęła się po krawędzi stoku. Początkowo ślizgała się powoli, hamując bosą, obolałą stopą. Jednak, kiedy była już blisko podnóża, nabrała prędkości. Ciało Melissy przeważało — straciła równowagę i upadła na bok. Z całych sił broniła się, żeby nie zacząć się bezwładnie toczyć. Udało jej się to za cenę zdartej skóry na plecach i łokciach.

Wreszcie zatrzymała się na końcu stoku w lawinie kurzu i kamyków. Przez moment leżała bez ruchu, trzymając mocno Melissę w ramionach. Porozrywany kosz leżał obok jej ramienia. Węże snu miały się wewnątrz, ale nie zdołały znaleźć dostatecznie dużej dziury, aby się wymknąć. Gada dotknęła ręką kieszeni na piersi i poczuła, jak mały opiekun snu porusza się pod jej palcami.

„Jeszcze tylko trochę — myślała. — Już prawie widać łąkę. Gdybym położyła się i leżała tutaj bardzo cicho, to usłyszałabym, jak Lisek szczypie trawę...”

— Lisek! — poczekała chwilę i zagwizdała.

Zawołała znowu i wydawało się, że posłyszała jego rzenie. Zazwyczaj podążał jej śladem, gdy znajdował się w pobliżu i przychodził na zawołanie — o ile był w dobrym nastroju. Tym razem chyba nie był.

Gada westchnęła, przekręciła się i spróbowała klęknąć. Melissa leżała przed nią blada i zimna, a jej ręce i nogi pokryte były zaschniętą krwią. Gada dzwignęła córkę na biodro. Zbierając siły, podniosła się na nogi. Pasek materiału przywiązany do kosza zsunął się z jej ramienia i zawisł na łokciu. Zrobiła pierwszy krok.

Zawołała kucyka ponownie, gdy chwiejnie wkroczyła na łąkę. Posłyszała stukot kopyt, ale nie zobaczyła ani Liska, ani Błyskawicy — tylko starego jucznego konia szaleńca. Odpoczywał w trawie, złożywszy pysk na ziemi.

Strój Arevina, zrobiony z wełny wołów piżmowych, ochraniał go zarówno przed deszczem, jak upałem i wiatrem. Arevin jechał za dnia, oddychając rześkim po deszczu powietrzem. Zaczepiał o zwisające gałęzie, które zrzucały na niego tysiące kropel. Jak dotąd nie natrafił na żaden ślad Gady, lecz był pewien, że się nie minęli — to był jedyny trakt.

Koń podniósł łeb i głośno zarżał. Odzew przyszedł spoza gęstych drzew. Arevin posłyszał tętno kopyt na twardej, wilgotnej ziemi i zza zakrętu ścieżki przybiegły galopem: szary koń oraz tygrysi kucyk — Lisek.

Lisek wyhamował i przyskoczył bliżej z szyją wygiętą w łuk. Szara klacz przebiegła obok, zawróciła, pogalopowała dla zabawy parę kroków i zatrzymała się. Kiedy trzy konie dmuchały sobie w nozdrza na powitanie, Arevin wyciągnął rękę i podrapał Liska za uchem. Obydwa konie Gady były w świetnej kondycji. Młodzieniec odetchnął z ulgą. Jeśliby ktoś zaatakował Gadę, to zabrałby konie. Były zbyt cenne. Gdyby konie uciekły w czasie napaści, to musiałyby być osiodłane. Gada na pewno jest bezpieczna. Arevin chciał zawołać ją po imieniu, ale zmienił zamiar w ostatniej chwili. Bez wątplenia był zanadto podejrzliwy, ale po tym wszystkim czuł, że dobrze być ostrożnym. Kilka chwil oczekiwania nie zaszkodzi.

Popatrzył na stok, który wznosił się skalistym urwiskiem i na kolejne górskie szczyty, na skarłowaciała roślinność, mchy... i na kopułę.

Kiedy zdał sobie sprawę, co widzi, nie mógł pojąć, że nie zauważył tego wcześniej. Była to jedyna kopuła ze śladami zniszczenia, jaką kiedykolwiek widział. Ten fakt pomógł ją rozpoznać. Była to na pewno jedna z kopuł zbudowanych przez starożytnych, największa z tych, które oglądał i o których słyszał. Arevin nie miał najmniejszych wątpliwości, że Gada gdzieś tam była.

Popędził wierzchowca, podążając śladami, które dwa konie zostawiały w błocie. Wydawało mu się, że coś usłyszał. Zatrzymał się. Nie, to nie była wyobraźnia. Usłyszał ponownie wołanie i chciał krzyknąć w odpowiedzi, ale słowa uwięzły mu w gardle. Ściągnął gwałtownie konia nogami, aż zwierzę stanęło dęba i puściło się galopem w stronę, skąd dochodził głos uzdrowicielki — w stronę Gady.

Mały, czarny koń, za którym biegły szara klacz i tygrysi kucyk, wyskoczyły spoza drzew na przeciwległym krańcu łąki. Gada zakłęta w przypiływie wściekłości, że właśnie teraz jeden z ludzi Polarnego musiał się tu zjawić.

I wtedy rozpoznała Arevina.

Zaskoczona, nie była w stanie podejść do niego ani nawet się odezwać. Zeskoczył z konia w pełnym galopie i podbiegł do Gady. Wpatrywała się w przyjaciela, jak gdyby był zjawą. Nie była pewna, czy to on, nawet, gdy stanął tak, blisko, że mogła go dotknąć.

— Arevin?

— Co się stało? Kto ci to zrobił? Szaleniec...

— On jest w kopule — powiedziała. — Z innymi. Na razie nie są niebezpieczni. To Melissa. Jest w szoku. Muszę ją zabrać do obozu... Arevin, to ty? Naprawdę?

Wzjął Melissę z jej ramion i trzymając jedną ręką córkę Gady, drugą podpierał uzdrowicielkę.

— Tak. Jestem naprawdę. Jestem tutaj.

Pomógł jej przejść przez łąkę. Kiedy doszli do miejsca, gdzie złożone były rzeczy Gady, położył Melissę na ziemi. Gada przykucnęła przy torbie z wężami i zaczęła mocować się z zamkiem. Drącymi rękami otworzyła przegródkę z lekarstwami.

Arevin położył rękę na jej rannym barku; jego dotyk był delikatny.

— Pozwól, że opatrzę ci ranę — powiedział.

— Ze mną jest wszystko dobrze — odparła. — Albo będzie. Ale Melissa...

Podniosła wzrok i przeszły ją ciarki, kiedy zobaczyła jego spojrzenie.

— Uzdrowicielko — powiedział. — Gado, przyjaciółko moja...

Próbowała wstać, on zaś próbował ją przytrzymać.

— Nic już nie można zrobić.

— Nic nie można zrobić...? — Mocowała się, by wstać.

— Jesteś ranna — powiedział Arevin. — Jeśli teraz zobaczysz dziecko, to tylko ci się pogorszy.

— O bogowie! — zawołała Gada. Arevin wciąż próbował ją powstrzymać. — Puść mnie! — krzyknęła.

Melissa leżała w głębokim cieniu sosen. Gada przykłękała na gęstym materacu z grubych, brązowych igieł. Arevin pozostał z tyłu. Gada wzięła bladą, zimną rękę Melissy. Dziecko się nie ruszało. Czołgając się po ziemi, dziewczynka zdarła sobie paznokcie do krwi. Tak bardzo chciała dotrzymać słowa... O wiele lepiej udawało się jej dotrzymać obietnic danych Gadzie, niż Gadzie obietnic danych Melisie. Pochyliła się nad dziewczynką, odgarnęła rude włosy z okropnych blizn. Jej łzy opadały na policzek Melissy.

— Nic już nie można zrobić — powtórzył Arevin. — Puls ustał.

— Ćśśś — szepnęła Gada, wciąż poszukując tętna na przegubie, na szyi. Raz miała wrażenie, że coś czuje, by znów przekonać się, że to złudzenie.

— Gado, nie zadręczaj siebie w ten sposób. Ona nie żyje! Jest zimna.

— Ona żyje. — Wiedziała, że Arevin sądzi, iż z rozpaczyny postradła rozum. Nie ruszał się, tylko patrzył na nią z niemym smutkiem. — Pomóż mi, Arevinie. Zaufaj mi. Śniłam o tobie. Kocham cię, jak sadzę. Ale Melissa jest moja córką i moją przyjaciółką. Muszę ją ocalić.

Jednak... tętno lekko łopotało pod jej palcami. Melissa została pokąsana wiele razy, ale wzrost metabolizmu stymulowany przez jad skończył się i zamiast powrócić do stanu normalnego, spadał gwałtownie do poziomu, który z trudem wystarczał na utrzymanie ciała przy życiu. Bez pomocy Melissa umrze z wyczerpania i hipotermii, prawie tak, jakby umierała z zimna.

— Co mam robić?

— Pomóż mi ją przenieść.

Gada rozłożyła koce na szerokim, płaskim kamieniu, który przez cały dzień absorbował światło słońca. We wszystkim była nieporadna. Arevin podniósł Melissę i położył na ciepłym kocu. Zostawiając córeczkę na moment, Gada wysypała zawartość juku na ziemię. Podsunęła Arevinowi menażkę, kuchenkę parafinową i rondelk.

— Ogrzej trochę wody, Arevinie, proszę. Nie za dużo.

Złożyła dłonie w miseczkę, by pokazać, ile. Wyszukała w torbie na węże paczkę cukru w przegródce z medykamentami.

Potem uklękła obok Melissy i spróbowała obudzić dziecko. Puls pojawiał się, znikał, powracał.

„Jest — mówiła do siebie Gada. — Nie wydaje mi się; na pewno jest”.

Rozsypała szczyptę cukru na języku Melissy, licząc, że córka ma dość śliny, aby się rozpuścił. Nie odważyłaby się zmuszać dziecka do picia — dziewczynka mogłaby się zakrztusić, gdyby woda dostała się do płuc. Było mało czasu, ale gdyby Gada działała zbyt szybko, mogłaby ją zabić. Co chwila, zerkając na Arevina, podawała Melissie kilka kolejnych ziarenek cukru.

Arevin bez słowa przyniósł parującą wodę. Gada jeszcze raz posypała Melissie język cukrem i wręczyła resztę Arevinowi.

— Rozpuść tego tyle, ile zdołasz. — Rozcierała Melissie ręce i klepała policzki.

— Melisso, kochanie, spróbuj się obudzić. Choć na chwilę. Córeczko, pomóż mi.

Melissa nie reagowała, ale Gada ponownie wyczuła tętno, tym razem mocne na tyle, żeby mieć pewność.

— Gotowe? — spytała Arevina.

Arevin zamieszał gorącą wodę w rondelku, nieco zbyt gwałtownie i trochę rozlało mu się na rękę. Przestraszony, spojrzał na Gade.

— W porządku, to cukier. — Wzięła od niego rondelk.

— Cukier? — Wytarł palec w trawę.

— Melisso. Obudź się, kochanie.

Powieki Melissy zadrgały. Gada odetchnęła z ulgą.

— Melisso. Musisz to wypić.

Wargi dziewczynki poruszyły się lekko.

— Nie próbuj na razie nic mówić.

Gada podniosła małe, metalowe naczynie do ust córki i powoli wlewała gęsty, lepki płyn, łyk po łyku, odczekując za każdym razem, nim podała kolejną porcję.

— Bogowie...! — wykrzyknął z niedowierzaniem Arevin

— Gada! — wyszeptała Melissa.

— Jestem tutaj, Melisso. Jesteśmy bezpieczne. Już wszystko dobrze.

Miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie.

— Tak mi zimno.

— Wiem.

— Nie chciałam cię tam zostawiać, ale obiecałam... Bałam się, że szaleniec może zabrać Liska, bałam się, że Mgła i Piasek mogą umrzeć...

Uwolniona już od wszelkich lęków, Gada ułożyła Melissę z powrotem na ciepłym kamieniu. Nic w słowach Melissy nie wskazywało na uszkodzenie mózgu. Wyszła z tego bez szwanku.

— Lisek jest tutaj z nami. I Mgła, i Piasek. Możesz znowu spać, a kiedy się obudzisz, wszystko będzie dobrze.

Melissę będzie bolała głowa przez dzień czy dwa, zależnie od tego, jak wrażliwa była na środek stymulujący. Ale żyła i wszystko było z nią w porządku.

— Próbowалаm uciec — powiedziała Melissa nie otwierając oczu. — Szłam i szłam, ale...

— Jestem z ciebie bardzo dumna. Nikt, kto nie jest odważny i silny, nie mógłby zrobić tego, co ty zrobiłaś.

Nie poblizniona część twarzy Melissy drgnęła w półśmiechu i dziewczynka zasnęła. Gada osłoniła jej buzię rogiem koca.

— Przysięgłbym na życie, że ona jest martwa — powiedział Arevin.

— Wyjdzie z tego — powiedziała Gada bardziej do siebie niż do Arevina. — Bogom dzięki, wyjdzie z tego.

Napięcie, w którym dotąd żyła, spowodowało, że nie mogła się ruszyć, nawet po to tylko, aby znowu usiąść. Kolana jej zeszywniały; wszystko, co mogła jeszcze zrobić, to upaść. Nie potrafiła nawet powiedzieć, czy kiwała się, czy to jej oczy sobie z niej kpiły, bo zdawało się jej, że wszystko dookoła to przybliży się, to oddala beładnie.

Arevin złapał ją za ramię. Dotyk jego ręki był taki, jakim go pamiętała: delikatny i pewny.

— Uzdrowicielko — powiedział. — Dziecko jest bezpieczne. Pomyśl teraz o sobie.

— Ona tyle przeszła — wyszeptała Gada. Słowa przychodziły jej z trudem. — Będzie się ciebie bała.

Nie odpowiedział. Wstrząsnął nią dreszcz. Arevin podtrzymał ją i ułożył na ziemi. Włosy mu się rozwiązały i rozsypały wokół twarzy. Wyglądał jak wtedy, kiedy widziała go ostatni raz.

Podniósł manierkę do jej suchych warg i Gada napiła się ciepłej wody wzmocnionej winem.

— Kto wam to zrobił? — spytał. — Czy nadal jesteś w niebezpieczeństwie?

Nie pomyślała nawet o tym, co może się zdarzyć, kiedy Polarny i jego ludzie się ockną.

— Nie, nie teraz, ale później, jutro... — Nagle poderwała się, żeby wstać. — Jeżeli usnę, nie obudzę się na czas...

Uspokoił ją.

— Odpocznij. Ja będę trzymał straż do rana. Wtedy będziemy mogli się przenieść w bezpieczne miejsce.

Mając jego zapewnienie, mogła odpocząć. Usłyszała, jak Arevin klęka przy niej i kładzie chłodną, wilgotną tkaninę na jej barku, aby odmoczyć postrzępiony materiał i zaschniętą krew. Obserwowała go spod rzęs.

— Jak nas znalazłeś? — spytała. — Myślałam, że jesteś snem.

— Pojechałem do ośrodka uzdrowieli — powiedział. — Musiałem spróbować wyjaśnić twoim ludziom, co się stało, żeby zrozumieli, że była to wina mojego klanu, nie twoja. — Popatrzył na nią, a później w bok, ze smutkiem. — Chyba mi się nie udało. Twoja nauczycielka powiedziała tylko, że masz wracać do domu.

Przedtem Arevin nie miał okazji odpowiedzieć na jej słowa o tym, że go kocha. A teraz zachowywał się tak, jakby tego nie powiedziała, jakby wszystko robił jedynie z poczucia obowiązku. Gada — z potwornym uczuciem pustki i żalu — zastanawiała się, czy może źle zrozumiała jego uczucia.

— Ale jesteś tutaj — powiedziała. Uniosła się na łokciu i z pewnym wysiłkiem usiadła, aby spojrzeć mu w twarz. — Nie musiałeś za mną jechać. Jeśli miałeś obowiązek do spełnienia, to wykonałeś go, przybywając do mojego domu.

Napotkał jej spojrzenie.

— Ja... ty także mi się śniłaś. — Pochylił się w jej stronę. — Nigdy nie wymienilem imion z inną osobą.

Uszczęśliwiona Gada przesunęła powoli brudną, pobliznioną rękę po jego dłoni. Pragnęła teraz jeszcze bardziej, żeby być w pełni sił. Puściła jego rękę i sięgnęła do kieszeni. Młodziutki opiekun snu owinął się wokół jej palców. Wyjęła go i pokazała Arevinowi. Wskazując głową wiklinowy kosz, powiedziała:

— Mam ich tutaj więcej i wiem, jak je rozmnażać.

Popatrzył z podziwem na małego węża snu, potem na nią.

— A więc dotarłaś do Miasta. Przyjęli cię.

— Nie — odpowiedziała. Zerknęła w stronę pękniętej kopuły. — To tam znalazłam węża snu. I cały pozaziemski świat, w którym żyją. — Wpuściła wężyka z powrotem do kieszeni. Już zaczynał się do niej przyzwyczajać. Będzie z niego dobry wąż dla uzdrowiciela. — Ludzie z Miasta odesłali mnie, ale to nie był ostatni raz, kiedy widzieli uzdrowicielkę. Ciągłe mają wobec mnie dług.

— Moi ludzie też mają wobec ciebie dług — powiedział Arevin. — Dług, którego nie zdołałem spłacić.

— Pomogłeś uratować życie mojej córki! Czy myślisz, że to się nie liczy? — A po chwili, już spokojniej, dodała: — Arevinie, chciałabym, żeby Mech żył. Nie będę udawała, że nie. Ale to moje niedbalstwo go zabiło, nic więcej. Nigdy nie myślałam, że coś innego.

— Mój klan — powiedział Arevin — i partner mojej kuzynki...

— Czekaj! Gdyby Mech wtedy nie zginął, to nie wyruszyłabym do domu.

Arevin uśmiechnął się lekko.

— A gdybym wtedy nie zawróciła — ciągnęła Gada — nigdy bym nie pojechała do Centrum. I nie spotkała Melissy. Ani nie spotkała szaleńca z pękniętej kopuły. Twój klan podziałał jak katalizator. Gdyby nie wy, nadal byśmy żebrali u ludzi z Miasta o węże, a oni nadal by nam ich odmawiali. Teraz wszystko się zmieniło. Więc może ja mam wobec was taki sam dług, jak wy wobec mnie.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

— Zdaje mi się, że usprawiedliwiasz moich ludzi nieco na siłę.

Zacisnęła pięści.

— Czy między nami nie może istnieć nic innego, tylko wina?

— Tak! — powiedział ostro Arevin i ciszej, jakby zaskoczony swoim wybuchem, dodał: — Chociaż ja mam nadzieję na coś więcej.

Łagodniejąc, Gada wzięła go za rękę.

— Ja też.

Pocałowała jego dłoń. Arevin uśmiechnął się. Pochyliła się mocniej i w chwilę później już się obejmowali.

— Jeżeli mieliśmy wobec siebie długi i spłaciliśmy je, to nasi ludzie mogą być przyjaciółmi — powiedział Arevin. — A może ty i ja zasłużyliśmy sobie na czas, którego, jak kiedyś powiedziałaś, mieliśmy za mało.

— Zasłużyliśmy — powiedziała Gada.

Arevin odgarnął splątane włosy z jej czoła.

— Nauczyłem się nowych obyczajów od czasu, gdy odwiedziłem góry, i gdy ty poczujesz się dobrze, to będę chciał spytać, czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić.

Gada odpowiedziała z uśmiechem; wiedziała, że się rozumieją.

— To pytanie właśnie chciałam zadać tobie — powiedziała i ponownie rozchyliła usta w uśmiechu. — Uzdrowiciele szybko zdrowieją, wiesz.